



# ZAGINIENI

WCIĄGAJĄCY  
DRESZCZOWIEC...

PEŁEN  
SZOKUJĄCYCH  
ZWROTÓW AKCJI



**PATRICIA GIBNEY**  
INSPEKTOR LOTTIE PARKER  
TOM I

PATRICIA GIBNEY

# ZAGINIENI

OŚWIĘCIM 2018

**D**ół, który wykopali, miał mniej niż metr głębokości. Małeńkie ciało spoczywało w białym worku po mące. Trzy pary przerażonych oczu przyglądały się tej scenie z okna na trzecim piętrze. Chłopiec siedzący w środku odezwał się, nie odwracając wzroku:

- Ciekawe, które z nas będzie następne?

Kiedy w katedrze zostaje odnaleziona kobieta, a drugie, tym razem młodego mężczyzny, zawisa na drzewie przed jego domem, detektyw inspektor Lottie Parker rozpoczyna śledztwo. Oba ciała mają na nogach charakterystyczny, nieudolnie wykonany tatuaż. Niewątpliwie ofiary coś łączyło. Ale co?

Trop prowadzi Lottie do Domu św. Angeli, dawnego przytułku dla dzieci, z którym wiąże się mroczna przeszłość rodziny inspektora Parker. Teraz to sprawa osobista.

Podczas gdy Lottie zaczyna dostrzegać związek pomiędzy nowymi zbrodniami a morderstwami sprzed dziesięcioleci, znika bez śladu dwóch nastolatków.

Lottie musi wytropić zabójcę, nim ten uderzy ponownie, ale czy tym samym nie narazi swoich dzieci na śmiertelne niebezpieczeństwo?

Wkrótce Lottie stanie twarzą w twarz z szaleńcem, który ma zdecydowanie inne niż ona pojęcie sprawiedliwości.

Ten wciągający thriller zachwyci fanów Rachel Abbot, Karin Slaughter i Roberta Dugoniego, gwarantując porywającą lekturę do późnej nocy.

Tytuł oryginału  
*The Missing Ones*  
Copyright © by Patricia Gibney, 2017  
All rights reserved  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Oświęcim 2018  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Tłumaczenie:  
Bartosz Czech  
Redakcja:  
Barbara Marszałek, Anna Wasińska  
Korekta:  
Dariusz Marszałek  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Przygotowanie okładki:  
Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Dystrybucja: ATENEUM [www.ateneum.net.pl](http://www.ateneum.net.pl)

Numer ISBN: 978-83-7889-678-4

Skład wersji elektronicznej:

Kamil Raczyński

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Prolog

31 stycznia, 1976

Dzień pierwszy

30 grudnia 2014

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Dzień drugi

31 grudnia 2014

Rozdział 12

Rozdział 13

Dzień trzeci

1 stycznia 2015

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Dzień czwarty

2 stycznia 2015

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Dzień piąty

3 stycznia 2015

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Dzień szósty

4 stycznia 2015

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

## Dzień siódmy

5 stycznia 2015

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

## Dzień ósmy

6 stycznia 2015

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Rozdział 91](#)

[Rozdział 92](#)

[Rozdział 93](#)

[Rozdział 94](#)

[Rozdział 95](#)

[Rozdział 96](#)

[Rozdział 97](#)

[Rozdział 98](#)

[Rozdział 99](#)

[Rozdział 100](#)

[Rozdział 101](#)

[Rozdział 102](#)

[Rozdział 103](#)

[Rozdział 104](#)

[Rozdział 105](#)

[Rozdział 106](#)

[Dzień dziewiąty](#)

[7 stycznia 2015](#)

[Rozdział 107](#)

[Rozdział 108](#)

[Rozdział 109](#)

[Rozdział 110](#)

[Rozdział 111](#)

[Epilog](#)

[30 stycznia 2015](#)

[Podziękowania](#)



Dla Aisling, Orla i Cathal.  
Jesteście moim życiem i światem.

# **PROLOG**

**1 stycznia, 1976**

*Dół, który wykopali, miał mniej niż metr głębokości. Małeńkie ciało spoczywało w białym worku po mące, ciasno związanym sznurkami brudnego białego fartucha. Toczyli je po ziemi, pomimo że było dość lekkie. Szacunek dla zmarłych był im obcy. Jeden z nich kopnął zwłoki, wpychając je butem głębiej. Bez modlitwy, bez ostatniego namaszczenia zakopali je pod warstwą wilgotnej gliny. Pod jabłonią, która na wiosnę miała wypuścić białe pąki, a latem dojrzałe owoce, znajdowały się teraz dwa kopce ziemi. Jeden z nich – zbity i twardy, drugi – świeży i sypki.*

*Trzy pary przerażonych oczu przyglądały się tej scenie z okna na trzecim piętrze. Dzieci klęczały na jednym z łóżek.*

*Kiedy ludzie na dole pozbiali łopaty i odeszli, cała trójka dalej wpatrywała się w skąpaną w świetle księżyca jabłoń. Dzieci były świadkami czegoś, czego ich młode umysły nie mogły pojąć. Trzęsły się, ale nie z zimna.*

*Chłopiec siedzący w środku odezwał się, nie odwracając wzroku:*

*– Ciekawe, które z nas będzie następne?*

# **DZIEŃ PIERWSZY**

**30 grudnia 2014**

## ROZDZIAŁ 1

Susan Sullivan miała spotkać się z kimś, kogo bała się najbardziej.

Spacer. Tak, spacer dobrze jej robi. Spacer w słońcu, z daleka od dusznego domu, od przytłaczających myśli. Włożyła do uszu słuchawki iPoda, na głowę założyła czarną wełnianą czapkę i, otulając się tweedowym płaszczem, wyszła na mróz. Padał gęsty śnieg.

Jej myśli pędziły jak szalone. Kogo chciała oszukać? Nie mogła o tym nie myśleć ani uciec przed koszmarami przeszłości; prześladowały ją za dnia i wdzierały się w noc niczym olbrzymi nietoperz, doprowadzając ją do mdłości. Próbowwała skontaktować się z detektywem z posterunku policji w Ragnmullin, ale bez skutku. Ponad wszystko chciała poznać prawdę i kiedy zawiodły wszelkie tradycyjne środki, postanowiła zrobić to sama. Może w ten sposób pozbyłaby się demonów. Ślizgając się i potykając, przyspieszyła kroku.

Brnęła przez miasto tak szybko, jak pozwalały na to oblodzone chodniki. Zwróciła wzrok ku bliźniaczym wieżom katedry i przeżegnała się, przechodząc przez żelazne wrota. Cementowe schody zostały posypane solą, która teraz chrzęściła pod jej butami. Śnieg zelżał, pozwalając zimowemu słońcu wyrzeć zza ciemnych chmur. Pchnęła duże drzwi frontowe, obtupała buty na gumowej wycieracze i, kiedy echo zamykanych drzwi ucichło, wkroczyła w ciemność.

Zdjęła słuchawki, które teraz zwisały swobodnie z jej ramion. Rozcierając twarz, przesunęła palcem wokół zapadniętych oczu i zamrugła, aby strząsnąć wodę z powiek. Próbowwała odnaleźć się w panującym półmroku. Świece na bocznym ołtarzu rozganiały cienie z pokrytych mozaiką ścian. Blade światło słońca przedzierało się przez witraże. Susan ruszyła przed siebie, wdychając woń kadzidła unoszącą się w powietrzu.

Schyliwszy głowę, wślizgnęła się do pierwszego rzędu i uklękła na drewnianym klęczniku. Przeżegnała się po raz kolejny, zastanawiając się, czy została w niej choć odrobina pobożności po tym, co zrobiła i przez co przeszła. Zgadząc się na spotkanie w katedrze, myślała, że o tej porze będzie pełna ludzi, a tym samym bezpieczna. Ale zła pogoda zniechęciła

każdego.

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Susan wiedziała, że to on. Sparaliżował ją strach. Nie potrafiła spojrzeć za siebie. Zamiast tego patrzyła prosto na lampkę świecącą nad tabernakulum.

Nawa rozbrzmiała echem wolnych kroków. Drewno zaskrzypiało, kiedy uklęknął w ławce tuż za nią. Podniosła się z klęcznika i usiadła. Słyszała wyłącznie jego oddech. Nawet jej nie dotknął, ale mimo to go poczuła. Od razu wiedziała, że popełniła błąd. On nie odpowie na jej pytania. Nie da jej rozgrzeszenia, którego pragnęła.

– Nie trzeba było się wtrącać – szepnął szorstko.

Odpowiedź uwięzła jej w gardle. Jej oddech przyspieszył, a serce tłukło się w piersi, aż dzwoniło jej w uszach. Chciała uciec, daleko, daleko stąd, ale nie miała już sił. Wiedziała, że to koniec.

Łzy wezbrały w kącikach oczu Susan, kiedy dłoń w rękawiczce oplótła jej gardło. Uniosła dłoń, by wyrwać się z uścisku, ale on szybko zwinął kabel iPoda, zaciskając go wokół jej szyi. Odór wody kolońskiej wypełnił jej nozdrza i zdała sobie sprawę, że umrze, nie poznawszy prawdy.

Osunęła się na drewnianą ławkę, próbując mu się wyrwać. Zacisnęła dłonie na jego palcach, co poskutkowało jedynie tym, że kabel ciaśniej oplótł jej szyję. Próbowwała nabrać powietrza, ale nie mogła. Zmoczyła się, a on dusił ją coraz mocniej. Osłabiona opuściła ręce. Był zbyt silny.

Kiedy ją dusił, zrozumiała, że po wieloletniej psychicznej męczarni ból fizyczny był miłą odmianą. Zapadająca ciemność pochłonęła światło świecy. Jej ciało zwiotczało, a strach całkowicie ją opuścił.

W ostatnich chwilach udręki pozwoliła, aby cienie zaprowadziły ją do jasnego miejsca, gdzie odnalazła spokój, którego nigdy nie zaznała za życia.

\*\*\*

Katedralny dzwon wybił dwunastą. Mężczyzna zwolnił uścisk i pchnął ciało na podłogę. Kolejny podmuch lodowatego powietrza pomknął wzdłuż środkowej nawy, kiedy w pośpiechu opuścił katedrę.

## ROZDZIAŁ 2

– Trzynaście – powiedziała inspektor Lottie Parker.

– Dwanaście – poprawił ją sierżant Mark Boyd.

– Nie, jest trzynaście. Nie widzisz butelki wódki za Jackiem Daniel'sem.

Lubiła liczyć. Boyd nazywał to zboczeniem, ale tak naprawdę to było rezultatem jej doświadczeń z dzieciństwa, kiedy nie mogła poradzić sobie z traumą. Licząc, odwracała uwagę od rzeczy i sytuacji, których nie rozumiała. Teraz jednak był to zwykły nawyk.

– Potrzebujesz okularów. – Sierżant uśmiechnął się. – A na dolnej półce są trzydzieści cztery.

– Poddaję się – westchnął cicho.

– Frajer – parsknęła.

Siedzieli w barze U Danny'ego, gdzie byli nielicznymi z gości, którzy przyszli na lunch. Było jej zimno, ponieważ większość ciepła ze znajdującego się za nimi kominka ulatywała na zewnątrz lokalu. Kucharz był zajęty zdejmowaniem kozucha z sosu na tackę obok „dania dnia” – pomarszczonej pieczonej wołowiny. Lottie zamówiła kurczaka w bułce ciabatta, Boyd tak samo. Szczupła Włoszka stała do nich plecami, pilnując chleba, rumieniącego się w piecu.

– Chyba dopiero skubią kurczaki na nasze kanapki, tak długo to trwa – narzekał.

– Nie psuj mi apetytu – odparła.

– Przecież jeszcze nic nie jesz.

Nad barem mieniły się stare świąteczne dekoracje. Przyklejony do ściany plakat obwieszczał występ zespołu Aftermath w ten weekend. Lottie słyszała o nich od swojej szesnastoletniej córki, Chloe. Wielką tablicę pokrywała wypisana kredą oferta z poprzedniego wieczoru – *trzy drinki za dziesięć euro*.

– W tej chwili dałabym dychę za chociaż jednego – westchnęła.

Nim sierżant zdążył odpowiedzieć, telefon Lottie zawibrował. Dzwonił nadinspektor Corrigan.

– Kłopoty – rzuciła, wiedząc, że dziś nie zje lunchu i, gdy tylko niska Włoszka odwróciła się z ciabattami z kurczakiem, detektywów już nie było

w barze.

\*\*\*

– Musicie jak najszybciej się dowiedzieć, kto zabił tę kobietę. – Nadinspektor Myles Corrigan srogo popatrzył na detektywów stojących z nim przed katedrą.

Lottie była zmęczona. Potrzebowała wakacji, na które nie mogła sobie pozwolić, bo była spłukana. Bóg jej świadkiem, że nienawidziła świąt, a tym bardziej poświątecznego przygnębienia.

Detektywi znajdowali się przed katedrą w Ragmullin, zbudowaną w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Corrigan wdrożył ich w sprawę – na posterunek przyszło zgłoszenie o znalezionych w katedrze zwłokach. Nadinspektor natychmiast wszedł w rolę człowieka czynu, otaczając miejsce zbrodni kordonem. Lottie była pewna, że gdyby rzeczywiście doszło tu do morderstwa, szef nie dałby się łatwo wykluczyć ze śledztwa. To ona, detektyw inspektor Ragmullin, powinna prowadzić dochodzenie, nie Corrigan. Na razie musiała jednak odłożyć firmową politykę na bok i zobaczyć, z czym mają do czynienia.

Nadinspektor zaczął wykrzykiwać instrukcje. Lottie bez entuzjazmu wsunęła włosy do kaptura kurtki i ją zapięła. Miała nadzieję, że to nie było morderstwo, tylko jakaś bezdomna po prostu zamarzła.

Corrigan przestał mówić, co oznaczało, że muszą brać się do roboty.

Przeciskając się pomiędzy stojącymi przed drzwiami katedry policjantami, Lottie ruszyła w kierunku drugiego kordonu ustawionego w środkowej nawie. Schyliła się pod taśmą i podeszła do zwłok. Z ciała ubranej w tweedowy płaszcz kobiety, wciśniętej pomiędzy klęcznik i ławkę, poczuła nieprzyjemny zapach. Kabel od słuchawek był zaciśnięty wokół szyi ofiary. Lottie przez chwilę patrzyła na martwą kobietę, zastanawiając się, kim była, jak się tu znalazła i kto będzie za nią tęsknił. Następnie zaczęła wydawać pracującym na miejscu technikom odpowiednie polecenia. Zabezpieczyła też teren dla kryminologów.

– Patolog jest w drodze – oznajmił nadinspektor. – Będzie za jakieś trzydzieści minut, o ile drogi będą przejezdne. Zobaczymy, co powie.

Lottie zerknęła na niego. Był zadowolony na samą myśl brania udziału w sprawie morderstwa. Oczami wyobraźni widziała go, jak wymyśla



przemowę na konferencję prasową. Ale to było jej śledztwo, jego w ogóle nie powinno być na miejscu zbrodni.

Za poręczą oddzielającą ołtarz od reszty katedry stała funkcjonariuszka Gillian O'Donoghue. Obok niej ksiądz otaczał ramieniem wyraźnie wstrząśniętą kobietę. Lottie podeszła do nich.

– Dzień dobry. Jestem detektyw inspektor Lottie Parker. Muszę zadać pani kilka pytań.

Kobieta jęknęła.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał ksiądz.

Lottie uznała, że był niewiele od niej młodszy. W przyszłym roku kończyła czterdzieści cztery lata, a jemu dałaby ponad trzydzieści. W czarnych spodniach i wełnianym swetrze założonym na koszulę z koloratką wyglądał, jak na księdza przystało.

– To nie potrwa długo – nalegała. – Najlepiej zadawać pytania, kiedy pamięć jest jeszcze świeża.

– Rozumiem – odrzekł ksiądz. – Ale oboje jesteśmy wstrząśnięci, więc nie wiem, czy wiele pani pomożemy.

Wstał, wyciągając dłoń.

– Ksiądz Joe Burke. A to pani Gavin, sprząta w katedrze.

Lottie zdziwiła się, z jaką uścisnął jej dłoń. W jego ciemnoniebieskich oczach odbijał się blask świateł.

– Pani Gavin znalazła ciało – oznajmił.

Inspektor wyciągnęła notes. Zazwyczaj używała telefonu, ale uznała, że niestosownie byłoby używać go w kościele. Sprzątaczką podniosła wzrok i zaczęła szlochać.

– No, już, już – ksiądz Burke pocieszał ją, jakby była małym dzieckiem. Usiadł, delikatnie gładząc panią Gavin po ramieniu. – Ta miła pani detektyw chce tylko wiedzieć, co się tu wydarzyło.

*Miła?*, pomyślała Lottie. Nigdy by tak o sobie nie powiedziała. Usiadła na ławce przed księdzem i sprzątaczką i odwróciła się. Dżinsy wpijały jej się w brzuch. Jezu, pomyślała, muszę dać sobie na wstrzymanie z fast foodami.

Kiedy sprzątaczką podniosła wzrok, inspektor oceniła, że ma około sześćdziesięciu lat. Na jej wstrząśniętej bladej twarzy było teraz widać każdą zmarszczkę.

– Pani Gavin, proszę powiedzieć, co wydarzyło się od momentu, kiedy weszła pani dziś do katedry.

Inspektor myślała, że to dość proste pytanie. Ale niestety przerosło panią Gavin, która w odpowiedzi zalała się łzami.

Ksiądz Burke patrzył na nią ze współczuciem. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Żal mi cię, jeśli chcesz cokolwiek od niej wyciągnąć”. Ale, jakby na przekór im obojgu, pani Gavin zaczęła mówić cichym i drżącym głosem.

– Przyszłam do pracy o dwunastej, żeby posprzątać po mszy o dziesiątej. Zwykle zaczynam z tamtej strony – powiedziała, wskazując na prawo. – Ale wydawało mi się, że ktoś zostawił płaszcz na podłodze z przodu środkowej nawy. Powiedziałam sobie: lepiej pójdę tam najpierw. Wtedy zobaczyłam, że to nie był zwykły płaszcz. O Matko Najświętsza...

Pani Gavin przeżegnała się trzy razy i spróbowała osuszyć łzy wymiętą chusteczką. Matka Najświętsza nikomu już teraz nie pomoże, pomyślała Lottie.

– Dotykała pani ciała?

– Broń Boże. Nie! – pokręciła głową. – Miała otwarte oczy i... i to coś wokół szyi. Widziałam już zwłoki, ale takich jeszcze nigdy. Na Boga, ksiądz wybacz, wiedziałam, że to nieboszczka.

– Co pani zrobiła potem?

– Zaczęłam krzyczeć. Rzuciłam mopa i pobiegam do zakrystii. Wpadłam prosto na księdza Burke’a.

– Usłyszałem krzyk i wybiegłem, żeby sprawdzić, co się stało.

– Czy którekolwiek z was kogoś widziało?

– Nie – odpowiedział ksiądz.

Po policzkach pani Gavin popłynęła świeża porcja łez.

– Widzę, że nie czuje się pani najlepiej – stwierdziła inspektor. – Funkcjonariuszka O’Donoghue spisze pani dane i zorganizuje powrót do domu. Skontaktujemy się później. Proszę wrócić do domu i odpocząć.

– Zaopiekuję się nią. – Ksiądz Burke miał miły ton głosu.

– Najpierw muszę z księdzem porozmawiać.

– Mieszkam na plebanii za katedrą. Znajdzie mnie tam pani o każdej porze. Sprzątaczką oparła głowę na ramieniu księdza.

– Powinienem zostać z panią Gavin – oznajmił.

– Dobrze – inspektor dała za wygraną, widząc, że zrozpaczona kobieta wygląda coraz gorzej. – Będziemy w kontakcie.

Ksiądz skinął głową i poprowadził sprzątaczkę do drzwi za ołtarzem. O’Donoghue podążyła za nimi.

Podmuch zimnego powietrza wdarł się do katedry, kiedy na miejsce zbrodni przybyli kryminolodzy. Corrigan ruszył, aby ich powitać. Jim McGlynn, szef zespołu, powitał go wymuszonym uściskiem dłoni, po czym zaczął dyrygować swoimi ludźmi.

Lottie obserwowała ich pracę przez kilka minut, a następnie podeszła do ciała tak blisko, jak tylko pozwolił na to McGlynn.

– Ofiara wydaje się być w średnim wieku. Ubrała się stosownie do pogody – zwróciła się do Boyda, który uczeplił się jej ramienia jak natrętny rzep. Ruszyła z powrotem w kierunku ołtarza, aby mieć lepszy widok i oddalić się od sierżanta.

– Hipotermia nie wchodzi raczej w rachubę... – konstatował Boyd, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Drżąc z zimna, inspektor nadal obserwowała techników. Gwar ich pracy zakłócał spokój katedry.

– Ta katedra to największy koszmar – powiedział Jim McGlynn. – Bóg jeden wie, ilu ludzi przewija się tutaj codziennie i zostawia po sobie ślady.

– Zabójca dobrze wybrał miejsce – stwierdził Corrigan, ale nikt mu nie odpowiedział.

Odgłos wysokich obcasów przemierzających środkową nawę przykuł uwagę Lottie. Niska kobieta, która szła ku nim dziarskim krokiem, tonęła w czarnej kurtce Puffa. W jej dłoni pobrzękiwały kluczyki od samochodu, które po chwili, jakby dopiero co zdała sobie sprawę, gdzie jest, wrzuciła do przewieszanej przez ramię czarnej skórzanej torebki. Uścisnęła dłoń nadinspektora i przedstawiła się:

– Jane Dore, patolog. – Miała ostry i profesjonalny ton głosu.

– Zna pani inspektor Lottie Parker, prawda? – zapytał.

– Tak. Uwinę się najszybciej, jak się da – odparła, po czym zwróciła się do niej. – Jak tylko ustalę przyczynę zgonu, będziecie mogli zabrać się do pracy.

Lottie imponował sposób, w jaki poradziła sobie z Corriganem, usadzając go, jeszcze zanim rozpoczął kazanie. Jane Dore miała najwyżej metr sześćdziesiąt i przy inspektor, która bez szpilek mierzyła ponad metr siedemdziesiąt, wydawała się dosyć niska. Lottie miała na sobie parę wygodnych butów Ugg, w które niedbale wcisnęła nogawki dzinsów.

Po założeniu rękawiczek, białego teflonowego kombinezonu i po zabezpieczeniu butów patolog przystąpiła do wstępnej oceny ciała. Wsunęła palce pod szyję kobiety, dotykając kabła zaciśniętego na jej szyi, po czym

uniosła głowę ofiary, koncentrując się na jej oczach i ustach. Kiedy kryminalodzy obrócili ciało na bok, w powietrzu uniósł się odór odchodów.

– Czas zgonu? – zapytała Lottie.

– Ze wstępnych obserwacji wynika, że zginęła w ciągu ostatnich dwóch godzin. Po sekcji zwłok będę miała pewność. – Jane Dore zdjęła rękawiczki z drobnych dłoni. – Jim, jak skończysz, ciało można zabrać do kostnicy Tullamore.

Nie po raz pierwszy Lottie żałowała, że Zarząd Służby Zdrowia przeniósł kostnicę do szpitala w Tullamore, pół godziny drogi od Ragmullin.

– Jak tylko ustali pani przyczynę zgonu, proszę mnie niezwłocznie poinformować – nakazał Corrigan.

Inspektor przewróciła oczami. Wszyscy dobrze wiedzieli, że ofiarę uduszono. Patolog musiała tylko oficjalnie opisać zgon jako morderstwo. Nie było możliwości, by ta kobieta udusiła się sama.

Jane Dore wrzuciła kombinezon do papierowej torby i opuściła katedrę tak szybko, jak się w niej pojawiła.

– Wracam do biura. Inspektor Parker, proszę natychmiast zebrać zespół dochodzeniowy. – Corrigan ruszył marmurową posadzką za odchodzącą patolog.

Kryminalodzy spędzili jeszcze kolejną godzinę na miejscu zbrodni. Ciało włożono do worka, który zapięto i umieszczono na noszach. Kiedy opuszczali katedrę, zaskrzypiały drewniane drzwi. Zupełnie niepotrzebnie zawyły syreny karetki. Jadąca nią pacjentka nie żyła i nigdzie jej się nie spieszyło.

## ROZDZIAŁ 3

Lottie naciągnęła kaptur na uszy, stojąc na pokrytych śniegiem schodach katedry.

Podniosła wzrok ku niebu, z którego zaczął padać śnieg. Za żelazną bramą, teraz owiniętą biało-niebieską taśmą policyjną, znajdowało się Ragmullin, miasto położone w środkowej części kraju. Mieszkańcy przemierzali ulice od świtu, by o zmierzchu pogasić światła w oknach i wypocząć przed rozpoczęciem następnego nudnego dnia. Lottie lubiła anonimowość, na którą pozwalało to miasto, ale wiedziała też, że ma ono swoje głęboko skrywane ciemne sekrety.

Ragmullin umarło wraz z ekonomią, a przynajmniej tak uważano. Młodzi uciekali do Australii lub Kanady, by dołączyć do garstki szczęśliwców, którzy już tam mieszkali. Ich rodzice natomiast narzekali na brak pieniędzy nawet na rzeczy codziennego użytku.

Spojrzała na drzewa, których gałęzie uginały się pod ciężarem śniegu, a potem popatrzyła na ziemię pod nogami. Była pokryta lodem, co oznaczało, że policjanci nie znajdą żadnych śladów. Życzyła więc szczęścia funkcjonariuszom, wyposażonym w długie szczypce, którymi przeszukiwali teren.

– Czternaście – powiedział zaczepnie Boyd.

Obłok dymu z jego świeżo zapalonego papierosa otoczył Lottie. Odsunęła się, na co znów się do niej przybliżył. Był wysokim i bardzo szczupłym czterdziestopięcioletkiem. „Wygląda na głodnego”, powiedziała kiedyś jej matka. Jego orzechowe oczy rozjaśniały interesującą twarz. Miał krótkie, włosy, które pokrywały się siwizną. Pod wielką kurtkę z kapturem założył białą koszulę i szarą marynarkę.

– Czternaście? – zapytała.

– Stacji drogi krzyżowej – odpowiedział. – Myślałem, że będziesz chciała je policzyć w katedrze, więc zrobiłem to za ciebie.

– Znajdź sobie jakieś hobby – mruknęła.

Mieli wspólną przeszłość, której wspomnienie – wyblakłe, ale nadal obecne w świadomości – wywoływało w Lottie dreszcze. Łączyło ich jeszcze

kilka innych rzeczy. To ona dostała stopień inspektora, którego Boyd bardzo pragnął. Raczej mu to nie przeszkadzało, ale wiedziała, że chciałby poprowadzić własne śledztwo. Awans niezmiernie ją ucieszył, bo oznaczał, że nie będzie musiała codziennie jeździć sześćdziesiąt kilometrów do Athlone. Spędzone tam lata były udręką, chociaż wahała się, czy powrót do pracy z Boydem w Ragmullin nie był gorszy. Ale z drugiej strony, będąc tutaj, nie musiała już prosić swojej wścibskiej matki, by zajęła się dziećmi.

Lottie odwróciła się od sierżanta, który puszczał kółka z dymu, uśmiechając się pod nosem.

– Sama zaczęłaś – powiedział.

Zaciągnął się ostatni raz, wyrzucił niedopałek i zszedł schodami, kierując się w stronę posterunku. Wbrew sobie uśmiechnęła się i podążyła za nim, uważając, żeby nie upaść na tyłek przed połową policji Ragmullin.

\*\*\*

W kolejce do recepcji stało kilka osób. Podczas gdy dyżurny próbował utrzymać porządek, Lottie przemknęła niepostrzeżenie i pobiegła schodami do biura.

Telefony rozdzwoniły się na dobre. Wieści szybko się roznoszą, a w szczególności te złe. Oddychając zatęchłym biurowym powietrzem, rozejrzała się dookoła. Jej biurko było nieuporządkowane, w przeciwieństwie do stanowiska pracy Boyda, które zaimponowałyby niejednej telewizyjnej gospodyni. Ani śladu rozsypanej mąki, wszystkie akta i długopisy na swoim miejscu. Ktoś tu wyraźnie cierpiał na nerwicę natręctw.

– Czyścioch – mruknęła.

Z powodu renowacji musiała dzielić biuro z trzema innymi detektywami – Markiem Boydem, Marią Lynch i Larrym Kirbym. Telefony stacjonarne i komórkowe, kserokopiarka, rozlatujące się kaloryfery na olej grzewczy oraz przemarsz każdego, kto chciał skorzystać z toalety, nadawały pomieszczeniu aurę chaosu. Tęskniła za swoim biurem, gdzie cisza pozwalała jej myśleć.

Przynajmniej coś się tu dzieje, pomyślała, siadając za biurkiem.

– Dowiedziałaś się, kim była?

– Denatka?

– Nie, papież. Tak, ofiara.

Nienawidziła, kiedy posługiwał się żargonem z amerykańskich seriali

o policjantach. Boyd uśmiechnął się do siebie.

– Domyślam się, że już wiesz, kto to jest. – Przesunęła akta z jednej strony biurka na drugą, szukając klawiatury.

– Susan Sullivan. Pięćdziesiąt pięć lat. Panna. Mieszkała sama w Parkgreen, dziesięć minut drogi samochodem stąd albo pół godziny piechotą. Ostatnie dwa lata pracowała w radzie miejskiej. Była dyrektorem Wydziału Zagospodarowania Przestrzennego, cokolwiek to znaczy. Przeniesiona z Dublina.

– Jak udało ci się sprawdzić ją tak szybko?

– McGlynn znalazł jej imię na iPodzie.

– No i?

– Znalazłem ją w Internecie na stronie rady miejskiej. A adres mam ze spisu zarejestrowanych wyborców.

– Miała przy sobie telefon? – Lottie nadal przeszukiwała swoje biurko. Bez kompasu i mapy trudno było jej cokolwiek znaleźć.

– Nie – odparł.

– Wyślij Kirby’ego i Lynch do jej domu. Ten telefon to jeden z naszych priorytetów, tak samo jak ktoś, kto powie nam, gdzie dziś była. – Znalazła bezprzewodową klawiaturę w koszu na śmieci u jej stóp.

– Jasne – przytaknął.

– Jacyś krewni?

– Znalezienie żyjących krewnych, o ile tacy istnieją, może trochę potrwać.

Lottie zalogowała się do komputera. Czuła podniecenie, ale irytował ją fakt, że śledztwo zajmie sporo czasu. I tak mieli już sporo do roboty – ciągnące się sprawy sądowe, spory pomiędzy karawaniarzami – a jutrzejsza noc sylwestrowa jak zwykle przyniesie kolejne kłopoty. Pomyślała o rodzinie. Po raz kolejny zostawiła troje nastolatków samych w domu. Może powinna zadzwonić, upewnić się, że nic im nie jest? I musiała jeszcze zrobić zakupy, co zanotowała w odpowiedniej aplikacji na telefonie. Konała z głodu. Grzebiąc w przepelnionej szufladzie, znalazła paczkę przeterminowanych herbatników. Zaproponowała je Boydowi, ale odmówił. Przeżuwając ciastko, wpisała do komputera zeznanie pani Gavin i księdza Burke’a.

– Musisz tak mlaskać? – zapytał.

– Boyd – mruknęła.

– Co?

– Zamknij się!

Wepchnęła do ust kolejny herbatnik i zaczęła go głośno przeżuwać.

– Na miłość boską – jęknął.

– Inspektor Parker! Do gabinetu.

Na dźwięk grzmiącego głosu Corrigan podskoczyła na krześle. Boyd podniósł wzrok, kiedy drzwi biura głośno trzasnęły.

– Co, do diabła...?

Poprawiła bluzkę, naciągając rękaw, i strzepała okruchy z dzinsów. Odgarnęła niesforny kosmyk za ucho i poszła za szefem, mijając porostawiane wszędzie drabiny i puszki z farbą. Inspektorat BHP miałyby tu sporo roboty, ale zawsze mogło być gorzej. Wszystko było lepsze od starych pomieszczeń biurowych.

Lottie zamknęła za sobą drzwi. Gabinet nadinspektora odnowiono jako pierwszy; pachniał nowymi meblami i świeżą farbą.

– Siadaj – rozkazał.

Wykonała polecenie, obserwując pięćdziesięcioletniego Corrigan, który usadowił się za swoim biurkiem.

Jego opasy brzech wcisnął się w blat. Pamiętała jeszcze, kiedy był szczupły, sprawny i zasypywał wszystkich radami dotyczącymi zdrowego trybu życia. To było, zanim życie dało mu w kość.

Kiedy pochylił się, by podpisać formularz, zobaczyła swoje odbicie w jego lśniącej łysinie.

– Co się tutaj dzieje? – warknął, podnosząc wzrok.

Ty mi powiedz, w końcu jesteś tu szefem, pomyślała. Zastanawiała się, czy ten człowiek potrafił normalnie rozmawiać. Być może wrzeszczenie należało do jego obowiązków służbowych.

– Nie rozumiem, sir.

Żałowała, że nie ma na sobie kurtki, w której mogłaby schować podbródek.

– Nie rozumiem, sir – przedrzeźnił ją. – Mówię o tobie i tym cholernym Boydzie. Moglibyście spróbować traktować się po ludzku przez pięć minut? Niedługo to będzie oficjalne śledztwo w sprawie morderstwa, a wy dogryzacie sobie jak para gówniarzy.

Lottie zastanawiała się, czy Corriganem wstrząsnęłoby poznanie całej prawdy.

– Uważam, że traktujemy się bardzo po ludzku.



– Zakopcie topór wojenny i bierzcie się do roboty. Co udało się wam ustalić?

– Znamy imię i adres ofiary, a także miejsce jej pracy. Staramy się dowiedzieć, czy miała krewnych – odpowiedziała.

– I?

– Pracuje w radzie miasta. Detektywi Kirby i Lynch zabezpieczają jej dom do czasu przybycia kryminologów.

Corrigan patrzył na nią bez słowa.

– To wszystko, sir. Kiedy zorganizuję centrum koordynacyjne, pojedę do biura rady, by nakreślić portret ofiary.

– Nie chcę żadnych cholernych obrazków! – ryknął. – Macie rozwiązać tę sprawę szybko. Za godzinę udzielam wywiadu cholernemu Cathalowi Moroneyowi z telewizji RTE, a ty mi chcesz malować jakieś portrety!

Lottie patrzyła w jego oczy, przybierając spokojny wyraz twarzy, którego nauczyła się w trakcie dwudziestoczteroletniej służby.

– Zorganizuj centrum koordynacyjne, zbierz zespół, przydziel kogoś jako sekretarza i wyślij mi szczegóły e-mailem. Zwołaj konferencję na jutro rano, będę na niej.

– O szóstej rano?

Skinął głową.

– A jeśli się czegoś dowiecie, chcę wiedzieć pierwszy. Do roboty!

Tak zrobiła.

Godzinę później z satysfakcją stwierdziła, że każdy z jej ludzi wie, co ma robić. Funkcjonariusze zaczęli chodzić od domu do domu, przepytując mieszkańców. Śledztwo ruszyło. Nadszedł czas dowiedzieć się czegoś więcej o Susan Sullivan.

Lottie wyszła na dwór. Padał śnieg.

## ROZDZIAŁ 4

Biura rady miejskiej mieściły się w nowoczesnym budynku w centrum Ragmullin. Aby tam dotrzeć od posterunku, potrzeba było pięć minut spacerowym krokiem. Jednak marsz Lottie trwał nieco dłużej, ponieważ chodniki były oblodzone.

Popatrzyła na wielką szklaną budowę, wyglądającą jak ogromne akwarium pełne ryb. Spoglądając w górę, dostrzegła ludzi pracujących przy biurkach lub przemieszczających się korytarzami między trzema piętrami szklanej kuli. Weszła wahadłowymi drzwiami do ciepłego holu. Recepcjonistka była pochłonięta rozmową przez telefon. Lottie nie miała pojęcia, z kim powinna rozmawiać ani czy do pracowników dotarła już wiadomość o śmierci Susan Sullivan.

Młoda ciemnowłosa dziewczyna skończyła rozmowę i uśmiechnęła się.

– W czym mogę pani pomóc?

– Chciałabym porozmawiać z przełożonym pani Susan Sullivan. – Lottie beznamiętnie odwzajemniła uśmiech.

– To pan James Brown. Kogo mam zaanonsować?

– Detektyw inspektor Lottie Parker. – Wyciągnęła legitymację służbową. Wyglądało na to, że nikt jeszcze nie wiedział o losie Sullivan.

Dziewczyna wykonała telefon, po czym skierowała Lottie do windy.

– Trzecie piętro. Pan Brown będzie na panią czekał przed drzwiami.

\*\*\*

James Brown ani trochę nie przypominał swojego imiennika, amerykańskiego króla muzyki soul. Ten James Brown miał bladą cerę, a jego rude włosy były zaczesane do tyłu. Był niski, na oko miał metr sześćdziesiąt wzrostu. Nosił nienaganny prążkowany garnitur.

Lottie przedstawiła się i wyciągnęła dłoń, którą Brown mocno uściskał. Zaprosił ją do biura i wysunął krzesło zza okrągłego stołu.

– Czym mogę pani służyć, pani inspektor?

Czy to w języku radnych oznaczało: *Dlaczego, do cholery, przerywasz mi*

pracę? Do jego zestresowanej twarzy był przyklejony uśmiech.

– Chciałabym zadać kilka pytań o Susan Sullivan.

Brown uniósł brew. Rumieniec rozlał się na jego policzkach.

– Czy miała przyjść dzisiaj do pracy? – spytała.

Zerknął na iPada.

– O co chodzi, pani inspektor? – zapytał, stukając palcem w ikonę.

Lottie milczała.

– Jest na urlopie od dwudziestego trzeciego grudnia – odparł. – Ma wrócić do pracy trzeciego stycznia. Mogę wiedzieć, dlaczego to panią interesuje? – Był spanikowany.

Lottie ponownie zignorowała pytanie.

– Jakie pełniła obowiązki?

Długa i nużąca odpowiedź szefa Sullivan ujawniła, że zmarła zajmowała się zagospodarowaniem przestrzennym.

– Kwestie sporne były kierowane do dyrektora generalnego hrabstwa – powiedział.

Zerknęła do notatek.

– Czyli do Gerry’ego Dunne’a?

– Tak.

– Wie pan, czy ma rodzinę lub znajomych?

– Nie przypominam sobie, żeby miała krewnych, a tym bardziej przyjaciół. Susan jest zamknięta w sobie, nie rozmawia ze współpracownikami, sama jada posiłki, nie udziela się towarzysko. Nie przyszła nawet na firmowe przyjęcie świąteczne. Jest dziwna, jeśli mogę tak powiedzieć. Sama by się do tego przyznała. Jednakże z obowiązków wywiązuje się znakomicie.

Lottie zauważyła, że Brown mówił o Susan w czasie teraźniejszym. Czas przekazać złą wiadomość.

– Susan Sullivan została znaleziona martwa dziś rano – oznajmiła, zastanawiając się, jak, jeśli w ogóle, Brown na to zareaguje – w podejrzanych okolicznościach.

Bez potwierdzenia patologa nie mogła ogłosić, że to morderstwo. Urzędnik zbladł.

– Susan? Martwa? Mój Boże, to okropne. Okropne.

Na jego czole błyszczały kropelki potu. Głos mu się podniósł i drżał na całym ciele. Lottie obawiała się, że zemdleje.

– Co się stało? Jak zmarła?

– Nie mogę nic powiedzieć na ten temat. Czy pana zdaniem ktoś mógł chcieć skrzywdzić panią Sullivan?

– Co? Oczywiście, że nie! – Wykręcał sobie nerwowo dłonie.

– Czy mogę porozmawiać z kimś, kto wie coś o życiu Susan?

A przynajmniej więcej, niż chcesz mi powiedzieć, pomyślała. Miała przeczucie, że nie był z nią do końca szczery.

– To szokująca wiadomość, trudno mi się skupić. Susan jest... była bardzo skrytą osobą. Może pani porozmawiać z jej asystentką, Beą Walsh.

Brown przestał się trząść, a jego głos odzyskał normalny ton. Wyciągnął chusteczkę i zaczął ocierać sobie czoło.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałabym porozmawiać z nią teraz – rzekła inspektor. – Chyba pan rozumie, że czas jest w tej sprawie bardzo ważny.

Brown wstał.

– Zawołam ją.

– Dziękuję. Jeszcze wrócimy do naszej rozmowy. Jeśli coś pan sobie przypomni, proszę się ze mną skontaktować. Oto moja wizytówka.

– Oczywiście, pani inspektor.

– Jeśli byłby pan łaskaw – powiedziała, czekając, aż wskaże jej drogę.

Poprowadził ją korytarzem do innego, choć identycznego biura.

– Pójdę po Beę. Tak przy okazji, to gabinet Susan.

Kiedy wyszedł, usiadła przy biurku i rozejrzała się. Gabinet był nieskazitelny. Wszystko stało na swoim miejscu; na blacie znajdował się jedynie telefon i komputer. Kalendarz wskazywał datę 23 grudnia. Pod datą widniało motto: *Co czynimy w tym życiu, będzie nam przeznaczone w następnym*. Lottie zastanawiała się, czy Susan zebrała żniwo tego, co zrobiła lub czego nie zrobiła.

Do gabinetu weszła zapłakana około sześćdziesięcioletnia drobna kobieta, wygładzając drżącymi rękami niebieską, zapinaną na guziki sukienkę. Lottie wskazała, by usiadła.

– Nazywam się Bea Walsh, jestem asystentką pani Sullivan. Pan Brown powiedział mi,

co się stało. Pani Sullivan była taka zajęta, dopiero co sprzątnęłam jej biurko i przygotowałam bieżące dokumenty na jej powrót. To straszne.

Zaczęła płakać.

– Czy wie pani, kto mógłby chcieć wyrządzić krzywdę pani Sullivan?

– Nie mam pojęcia.

– Potrzebuję pani pomocy oraz wszystkich, których może pani wskazać. Chcę stworzyć profil pani Sullivan i jej życia, zwłaszcza ostatnich kilku lat. Z kim się spotykała, gdzie chodziła? Chcę poznać jej zainteresowania, upodobania, wrogów albo ludzi, którym zaszkodziła.

Przerwała, na co Bea spojrzała na nią wyczekująco.

– Pomoże mi pani?

– Zrobię, co w mojej mocy, pani inspektor, ale obawiam się, że niewiele wiem. Większość z tego, co do mnie dotarło, to plotki.

Lottie sporządziła krótką notatkę, uświadamiając sobie, że niełatwo będzie się dowiedzieć, kim była Susan Sullivan oraz kto i dlaczego ją zabił.

\*\*\*

James Brown otarł czoło z potu. Nie mógł uwierzyć, że Susan nie żyje. Sądząc po informacji, którą usłyszał od inspektora Parker, została zamordowana.

– Boże jedyny – jęknął.

Myślał, że Susan nigdy nie umrze, gotowa wspierać go za każdym razem, kiedy ich wspólna przeszłość go przygniatała.

– Susan... – Jego przerażająco smutny głos odbił się od pustych ścian.

Zamknął oczy, zastanawiając się, czy śmierć Susan była skutkiem tego, że zaczęli odkopywać stare tajemnice.

Próbował uporządkować myśli. Musiał zadbać o siebie; wdrożyć plan obmyślony na właśnie taką okoliczność. Był przygotowany, choć nie sądził, aby Susan była równie zaradna. Miał dość rozsądku, by wiedzieć, że mają do czynienia z przebiegłymi i niebezpiecznymi ludźmi. Udokumentował wszystko od samego początku. Otworzył szufladę, z której wyciągnął teczkę. Włożył ją do koperty, na której napisał wiadomość, po czym umieścił ją w jeszcze większej kopercie. Zaadresowaną i zamkniętą wrzucił do kosza na korespondencję. Odbiorca zdecyduje, czy ma ją otworzyć, czy odesłać zgodnie z instrukcją.

Uspokoił się i wyciągnął telefon komórkowy. Nie mógł zrobić nic innego, jak tylko zadzwonić.

Drżącymi palcami wystukał numer.

– Musimy się spotkać – powiedział. Jego głos był silny i stanowczy, mimo

że serce tłukło mu się w piersi. Przeszłość nie dawała o sobie zapomnieć.

\*\*\*

**1971**

*Ministranci przebierali się w swoje ubrania, kiedy wysoki mężczyzna z gęstymi czarnymi włosami wszedł do pomieszczenia. Był wściekły.*

*Najmłodszy chłopiec miał najjaśniejszą cerę i włosy. Wyglądał jak chart stojący na dwóch nogach. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy spojrzał w górę, jakby chciał poprosić, aby mężczyzna go zignorował. Miał na sobie sweter założony na wyblakłą, pogniecioną koszulę, którą zapiął pod szyję.*

*Koścista, żyłasta dłoń wskazała na niego.*

*– Ty.*

*Chłopiec poczuł, jak jego ośmioletnie ciało zapada się w sobie. Zaczęły mu drżeć wargi.*

*– Chodź ze mną do zakrystii. Mam dla ciebie zadanie.*

*– Ale... ja muszę wracać – zająknął się. – Siostra będzie mnie szukała.*

*Jego oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, a w ich kącikach zaczęły gromadzić się słone łzy. Serce zamarło mu ze strachu, a stojący przed nim człowiek zdawał się rosnąć w oczach. Dziecko stało w bezruchu, w jednym bucie. Mężczyzna podszedł do niego.*

*Chłopiec poczuł ucisk na ramieniu, gdy ów człowiek pociągnął go przez drewniane drzwi. Odwrócił się, patrząc błagalnie na pozostałych, ale oni szybko zabrali swoje ubrania i uciekli.*

*Rogi sufitu zakrystii zdobiły złoczone figurki aniołów. Pomiędzy nimi połyskiwały alabastrowe gargulce o zmęczonych twarzach. Chłopiec próbował ukryć się za mahoniowym stołem.*

*– Co my tu mamy, tchórze? Jesteś dziewczynką, marudna niedorajdo? – krzyczał mężczyzna.*

*Przerażony chłopiec wiedział, że nikt go nie usłyszy ani nie przyjdzie mu pomóc.*

*Czarne sutanny zakołysały się na stojaku, kiedy mężczyzna przeszedł obok nich i usiadł na krześle w rogu.*

*– Podejdź no tu.*

*Chłopiec nawet nie drgnął.*

*– Powiedziałem: do mnie!*

*Nie miał wyjścia. Podszedł jak po linie, noga za nogą, kuśtykając w jednym bucie. Krzyknął, kiedy silne ręce pociągnęły go między obnażone kolana.*

*– Cicho bądź! Będiesz grzeczną nedorajdą i zrobisz, co ci każę.*

*– Ppproszę nie robić mi krzywdy – pisnął, zalewając się łzami.*

*Nagle jego głowa została wepchnięta do otchłani, aż zaczął się dławić. Strach zmieszał się ze śniadaniem w jego żołądku, po czym uniósł się niczym fala i eksplodował żółtą flegmą.*

*Mężczyzna zerwał się, nadal trzymając go za włosy, po czym rzucił nim o ścianę. Przerażony chłopiec osunął się na podłogę jak szmaciana lalka. Kolejne ciosy lądowały na jego głowie. Głośno krzyknął, a potem się zmoczył.*

*Anioły wtopiły się głębiej w alabastrowe sklepienie, jakby i one były przerażone.*

## ROZDZIAŁ 5

Pub Cafferty's na ulicy Gaol Street znajdował się dwieście metrów od biurowca rady miasta. Lottie rozgrzewała się, popijając rosół. Boyd zjadł już połowę kanapki, która wykarmiłaby dwóch normalnych ludzi. Ale on nie był normalny. Mógł jeść wszystko, nie martwiąc się o nadwagę.

Było późne popołudnie. Kilku śmiazków, którzy stawili czoła pogodzie, siedziało teraz przy barze z kufkami piwa, obstawiając konie. W ściszym telewizorze transmitowano właśnie wyścig z Anglii. Tam nie padało.

– Bea Walsh mówi, że Susan mogła być lesbijką – oznajmiła Lottie.

– A ty byłaś kiedyś z kobietą? – zapytał Boyd, najwyraźniej nieświadomy, że surówka została mu na twarzy, tworząc nad jego wargą wąsy.

– Niestety nie. Ale gdybym była, to może zapomniałabym o tym, że spaliśmy ze sobą pół roku temu.

– Bardzo śmieszne – odparł, ale się nie śmiał.

Lottie próbowała zapomnieć o ich pijackim wybryku. Nie chciała się do tego przyznać, ale dobrze wspominała tamtą noc. Od tego czasu o tym nie rozmawiali.

– A tak poważnie, Adam nie chciałby, żebyś była sama – rzekł.

– Nie masz pojęcia, czego by chciał, a czego nie, więc się zamknij – podniosła głos, nienawidząc się za to, że dała się sprowokować.

Sierżant zamilkł i zajął się kanapką, co jakiś czas pomrukując pod nosem słowo „suka”.

– Słyszałam – powiedziała.

– Bo miałaś usłyszeć.

– Tak czy owak, Bea twierdzi, że to plotka. Susan była samotniczką, a ludzie uwielbiają zmyślać na temat takich jak ona.

– Czy to jest tak jak z niepraktykującymi katolikami? Byłem, widziałem, już mnie to nie interesuje?

– Wiesz, że nie jestem lesbijką, nawet niepraktykującą.

– Odkąd odszedł Adam, w ogóle nic nie praktykujesz.

Lottie wiedziała, że pożałował swoich słów, jak tylko je wypowiedział, dlatego milczała.



– Dobra zupa – rzuciła.  
– Tak, zmienimy temat.  
– Bea Walsh powiedziała mi, że Sullivan pochodzi z Ragmullin, ale pracowała w Dublinie. Dwa lata temu przenieśli ją tutaj. Według Walsh nikt nie potrafił zbliżyć się do Susan. Była karierowiczką. Na okrągło pracowała. Musiała, jeśli zaszła tak daleko w świecie mężczyzn. To słowa Bei, nie moje.  
– Ale przecież musiała mieć jakieś życie poza pracą – rzucił.  
– A ty?  
– Co ja?  
– Masz życie poza pracą? – zapytała, kończąc zupę.  
– Nie, nie mam. Ty zresztą też nie.  
– Czyli moje na wierzchu.  
– Wiesz, o co mi chodzi.  
– Kończ kanapkę, Sherlocku. Idziemy do Parkgreen, może Kirby i Lynch znaleźli coś ciekawego w domu Sullivan.  
– Przesłuchasz tę szychę z rady?  
– Kogo?  
– Dyrektora generalnego.  
– Gerry Dunne jest nieosiągalny do jutra rano.  
– Niezbyt ci to pasuje, co?  
– Myśl sobie, co chcesz.  
– Zależy o kim.  
– Czy ty nigdy nie dorosisz? – zirytowała się.  
Boyd miał rację. Nie pasowało jej to. Chciała porozmawiać z dyrektorem jak najszybciej. Spojrzała na sierżanta z wyrzutem, po czym zapłacili za posiłek i wyszli.

\*\*\*

Szli ulicą, niemalże przytulając się do siebie, by nie zmarznąć. Ich oddechy unosiły się i tworzyły jeden obłok.

Światło latarni odbijało się w śniegu i rzucało cienie na sklepowe witryny. Było przeraźliwie zimno. Kiepska pogoda – tak brzmiało hasło przewodnie dnia. Lottie i Boyd mijali przechodniów, których smagane wiatrem twarze były ukryte pod kapturami.

Przed posterunkiem wsiedli do samochodu Boyda. Lottie rozcierała ręce,

próbując przywrócić w nich krążenie.

– Włącz ogrzewanie – nakazała.

– Nie zaczynaj – warknął i ruszył, ślizgając się niebezpiecznie blisko ściany.

Wolno mu, ma odznakę, pomyślała, spoglądając przez szybę na przysypane śniegiem miasto, które powoli ogarniał zmrok.

\*\*\*

Susan Sullivan mieszkała w domu z trzema sypialniami na osiedlu w „tej lepszej części miasta”, jeśli w ogóle można było tak powiedzieć.

Okolica zdawała się być spokojna. Kilkoro dzieci na rowerach stawiało czoła pogodzie, jeżdżąc w kółko po oblodzonej ulicy i zerkając na dwa wozy patrolowe zaparkowane pod domem Sullivan.

Dwóch mundurowych stało na straży przed wejściem. Stojący na podjeździe samochód przykrywała tygodniowa warstwa śniegu. Taśma policyjna wisiała luźno na drzwiach, odstrasząc ciekawskich. Inspektor miała ochotę wsiąść do samochodu i wrócić do domu.

Detektyw Maria Lynch powitała ich przed drzwiami.

– Masz coś dla nas? – zapytała Lottie.

Czasem nie wiedziała, co sądzić o piegowatej Marii Lynch, o jej wścibskich oczach, długich włosach związanych w kucyk i nienagannym ubiorze. Służyła w policji od piętnastu lat i mimo że wyglądała jak nastolatka, miała trzydzieści pięć lat. Lottie wiedziała, że Lynch zżera ambicją, ale nie zamierzała wdawać się w kobiecą rywalizację. Musiała jednak docenić stabilizację, jaką udało osiągnąć się jej podwładnej. Lynch była mężatką, najwyraźniej szczęśliwą. Podobno jej mąż gotował, sprzątał, a przed pójściem do pracy odprowadzał dwójkę ich małych dzieci do szkoły.

– To istny śmietnik. Nie wiem, jak ta kobieta mogła tu mieszkać – oznajmiła Lynch, strzepując pył z niebieskich spodni.

Lottie uniosła brew.

– To nie pasuje do profilu, który nakreśliłam po wizycie w jej gabinecie i rozmowie ze współpracownikami.

Weszła z Boydem do zatłoczonego mieszkania. Dwóch kryminologów było zajętych pracą, a okrągły tyłek detektywa Kirby’ego kołysał się, podczas gdy ten przeszukiwał kosz na śmieci.

– Sam szajs – mruknął Kirby, przeżuwając niezapalone cygaro. Krzaczasta czupryna sterczała na czubku jego głowy jak antena.

Wyszczrzył zęby do inspektor, która odwzajemniła jego uśmiech, marszcząc brwi. Larry Kirby był rozwodnikiem i obecnie próbował poderwać dwudziestoletnią aktorkę mieszkającą w mieście. Niech mu szczęście sprzyja, pomyślała Lottie, mając nadzieję, że w końcu przestanie posyłać jej zalotne spojrzenia. Mimo wszystko wśród współpracowników uchodził za uroczonego drania.

– Schowaj cygaro – rozkazała.

Kirby poczerwieniał. Schował cygaro do kieszeni na piersi i niemiłosiernie stękając, otworzył lodówkę, by ją przeszukać.

– Popytajcie sąsiadów – dodała. – Musimy wiedzieć, kiedy widziano Sullivan po raz ostatni.

– Tak jest – przytaknął Kirby, zamykając lodówkę, i wyszedł wydać rozkaz komuś innemu.

Lottie szybko zrozumiała, co Lynch miała na myśli. Brudne naczynia wystawały ze zlewozmywaka; na stole stał garnek częściowo obranych ziemniaków; paczka chleba była otwarta; w słoiku z pleśniejącym dżemem tkwił nóż. W tym bałaganie znalazło się też miejsce na miskę zaschniętej owsianki. Brudną podłogę pokrywała warstwa kurzu.

– Zajrzyj do salonu – powiedziała Lynch. – Tam jest gorzej.

Lottie podążyła w kierunku wskazanym przez koleżankę i stanęła w drzwiach pokoju.

– Jasna cholera – zdziwiła się.

– Dobry Boże – dodał Boyd.

– Niezły syf, co? – skwitowała Lynch.

Każdą możliwą przestrzeń wypełniały sterty gazet. Leżały na podłodze, na krześle, kanapie i telewizorze. Niektóre były pożółkłe, a inne wyglądały na zjedzone przez myszy. Pokój był zakurzony. Lottie podniosła jedną z najbliższych sterty. Dwudziesty dziewiąty wrzesnia. Sullivan układała gazety według dat od najstarszej. Inspektor w myślach zaczęła je liczyć.

– Góry śmieci. Pewnie są tu gazety sprzed co najmniej dwóch lat.

– Ta kobieta miała nierówno pod sufitem – stwierdziła Lynch, ale Lottie potrząsnęła głową.

– To nijak nie pasuje do czystości w jej gabinecie. Jakby to były dwie różne osoby. – To na pewno ten dom? – zapytał Boyd.

Odpowiedziały mu dwa gniewne spojrzenia.

– Tylko pytam – mruknął i powlókł się schodami na piętro.

– Szukajcie dalej – nakazała Lottie. – Musimy mieć jej telefon. Nie zauważyłam laptopa albo komputera.

– Pójdę poszukać. Kryminolodzy już prawie skończyli. – Detektyw Lynch wróciła do kuchni.

Inspektor poszła na górę. W łazience zastała Boyda.

– Miała tutaj wszystko. Od pigułek na sraczkę po środki przeciwbólowe – poinformował.

Brzmiał jak jej matka. Lottie odepchnęła go i zajrzała do szafki z lekami. Sullivan powinna być pod obserwacją, pomyślała, podczas gdy jej wzrok powędrował na opakowania Prozacu, Xanaxu i Temazepamu.

– Chyba nie brała swoich leków – skonstatowała, tłumiąc chęć podwędzenia kilku listków Xanaxu. Na tym mogłaby działać przez trzy miesiące.

– Dlatego że tyle ich tu jest? – spytał Boyd.

– Tak. Ma też Oxycontin.

– Co to?

– Morfina – odrzekła, przypominając sobie swoją szafkę na leki przed śmiercią Adama. Sprawdziła dane na receptach i zapisała nazwę apteki. Rozejrzała się po łazience: była brudna. Precisnęła się obok Boyda i weszła do sypialni.

– Mam coś.

Sierżant dołączył do niej.

– Niesamowite.

– Co się działo w głowie tej kobiety? – spytała zdziwiona.

Sypialnia była wysprzątana i sterylna. Łóżko starannie zasłane, z czystą pościelą, wypolerowany parkiet lśnił.

– W podłodze można się przejrzeć. – Lottie otworzyła jedną z szuflad kredensu. Wszystkie ubrania były równo ułożone. Zamknęła szufladę. – Ta kobieta to zagadka.

– Mieszkała sama – oznajmił Boyd, zaglądając do drugiej sypialni.

Inspektor zerknęła mu przez ramię. Pokój był pusty. Potrząsnęła głową. Susan Sullivan była niezmiernie tajemnicza.

Lottie zeszła na dół i rozejrzała się ponownie po domu. Miała przeczucie, że coś jej umknęło. Nie mogąc się skupić, wyszła na dwór.

\*\*\*

Wkrótce dołączył do niej sierżant, z papierosem pomiędzy palcami.

– Dokąd teraz? – zaciągnął się.

Ziewnęła, delektując się dymem.

– Muszę wracać do domu nakarmić dzieciaki.

– To nastolatki. Wiedzą, jak o siebie zadbać – skwitował.

– Sam musisz o siebie zadbać.

To stwierdzenie nie wymagało komentarza. Miała rację.

– Muszę pomyśleć nad sprawą. Chcę poukładać fakty, które udało nam się zebrać. Może nabiorą sensu. Poza tym potrzebuję przestrzeni.

– Znajdziesz to wszystko w domu?

– Nie wymądrzaj się.

Boyd denerwował ją, ale z drugiej strony chciała, aby ją przytulił. Wiedziała jednak, że gdyby to zrobił, odtrąciłaby go. Tak wyglądał świat Lottie Parker, której nastrój dorównywał zmiennej pogodzie.

– Więcej już dzisiaj nie zdziałamy. Idę do domu. Do jutra. Pamiętaj, zespół zbiera się o szóstej. Corrigan wpadnie z wizytą, więc nie spóźnij się. – Nie muszę mu tego mówić, pomyślała. Boyd nigdy się nie spóźnia.

Ruszyła oblodzonym chodnikiem w samotną drogę do domu.

## ROZDZIAŁ 6

Dom gubernatora, dziewiętnastowieczny gmach stojący przy nowej siedzibie rady miasta, dawniej był częścią miejskiego więzienia. W podziemiach zachowały się lochy, które obecnie służyły jako sale konferencyjne. Niewielu odważyło się tam schodzić. Skazańcy czekający na śmierć spędzali w lochach ostatnie godziny życia; podobno dało się tam poczuć obecność potępionych dusz.

Historia budynku nie była obca mężczyznom zebranych w jednym z lochów. Stali w kręgu jak więźniowie oczekujący na egzekucję.

– Dzisiaj dyrektor Wydziału Zagospodarowania Przestrzennego, Susan Sullivan, zginęła w tajemniczych okolicznościach – oznajmił urzędnik. – To wielka tragedia. To będzie trudny czas dla nas. Policja zapewne przeszuka jej dokumenty, więc musicie mieć świadomość, że wasze nazwiska mogą wypłynąć w toku śledztwa. Najprawdopodobniej zostaniecie przesłuchani.

Przerwał, spoglądając na trzech mężczyzn stojących przed nim.

– Jeśli to, co robimy, wyjdzie na jaw, możemy zostać oskarżeni o morderstwo – dodał.

– Przynajmniej to, co wiedziała, zabrała do grobu – oznajmił deweloper. – Ale śledztwo postawi nas w niekorzystnej sytuacji.

Bankier drżał. W lochu było bardzo zimno.

– Jest jeszcze kwestia tego Jamesa Browna.

– Bez Sullivan ma słowo przeciw słowu – rzekł urzędnik. – Ale masz rację. Myślę, że powinniśmy zabezpieczyć się na okoliczność przesłuchań. Musimy utrzymywać, że działaliśmy osobno. Może nie wpadną na trop naszych działań. – Potarł ręce, próbując je rozgrzać.

– Miejcie się na baczności – ostrzegł deweloper. – Będą bardzo skrupulatni, ale my musimy być lepsi. Jeśli inspektor Lottie Parker prowadzi śledztwo, to trzeba zachować ostrożność.

– Znasz ją? – zapytał bankier.

– Słyszałem o niej. Kilka lat temu rozwiązała sprawę morderstwa karawaniarza. Parła naprzód pomimo gróźb i zastraszania i dorwała mordercę. Mówię wam, ona nie odpuści.

Duchowny milczał. Urzędnik wiedział, że w myślach analizuje całą sytuację.

Otulili się płaszczami, zerkając na siebie.

– Panowie, stawką są miliony euro. Musimy zachować ostrożność. Więcej się tu już nie spotkamy. Powodzenia.

Urzędnik zakończył spotkanie i otworzył drzwi lochu. Wyrzął na zewnątrz. Tylko jedna lampa oświetlała opuszczony prywatny parking.

Odeszli jeden po drugim, podejrzliwie spoglądając na siebie.

Któryś z nich mógł być przecież mordercą.

## ROZDZIAŁ 7

James Brown zaparkował czarną Toyotę Avensis na podwórzu przed domem. Wyłączył światła, wyjął kluczyki i znieruchomiał, wsłuchując się w dźwięk stygnącego silnika. Zazwyczaj uwielbiał wracać do domu po pracy. Cisza i spokój wsi oraz widok polan rozciągających się za jego ogrodem poprawiały mu samopoczucie. Czuł tutaj wolność, której rzadko zaznawał. Ale nie teraz. Tego wieczoru czuł gniew i przygnębienie. Było mu bardzo przykro z powodu Susan, a złość budził w nim człowiek, z którym rozmawiał przez telefon. Brown zadzwonił do niego, by sprawdzić, czy wie coś o śmierci Susan. Ale jak tylko zaczął mówić, ten drugi rzucił słuchawką. Może powinien zadzwonić do kogoś innego. Zacisnął dłonie na kierownicy i zaczął walić w nie głową. Susan nie żyła. Uratowała go przed demonami z jego przeszłości, a teraz ją zawiódł.

Nie chciał wysiadać z samochodu. Czuł się w nim bezpiecznie. Myślał o tych wszystkich chwilach spędzonych w ramionach Susan, kiedy szeptała mu słowa otuchy, a on łkał jak zagubiony kociak. Wspominał, jak uczyła go słać łóżko, składać ubrania i myć podłogę. Pomyślał o tym, co oboje widzieli i o czym nie rozmawiali, i zapłakał nad jej losem. Wiedział, że teraz musi być silny, dla niej.

W końcu zmusił się, aby wysiąść z samochodu, w którym zaczęło być już zimno. Zabrał neseser z tylnego siedzenia i wyszedł na pokryte śniegiem podwórko. Księżyc rzucał blade światło na ziemię.

Nagle Brown zauważył dziwny cień. Spojrzał w górę, spodziewając się zobaczyć przesłaniającą księżyc chmurę. Ale to nie była chmura. Przed nim stała wysoka postać w masce narciarskiej.

Brown skoczył do tyłu, opierając się o samochód. Upuścił neseser, po czym przypomniał sobie, że telefon został w wozie. Było już za późno.

– Czego... czego ode mnie chcesz? – Głos uwiązł mu w gardle. Strach spływał mu po twarzy wraz z kroplami potu. Dokąd mógł uciec? Trudno było mu się skupić.

– Po co się wtrącaliście? – powiedział mężczyzna niskim, pełnym groźby głosem.



James rozejrzał się, nie mogąc zrozumieć, dlaczego wcześniej nie zobaczył samochodu tego człowieka. Dostrzegł go teraz, zaparkowanego pod dębem.

– Co takiego? – szepnął James, szorując butami po zamarzniętym śniegu, podczas gdy ogromna postać zawisała tuż nad nim. Oślepiło go światło latarki.

– Ty i twoja przyjaciółka narobiliście sporo zamieszania. Zresztą nie po raz pierwszy.

– O kim mówisz? – spytał, ale wiedział, że chodzi mu o Susan.

Mężczyzna zaśmiał się, złapał go za łokieć i pociągnął za sobą. James czuł jak flegma podchodzi mu do gardła, a oddech przyspiesza. Niebo zasnuły chmury, z których zaczął padać śnieg.

– Czego chcesz? – Strach Jamesa szybko przerodził się w przerażenie, utrudniając koncentrację. Musiał działać, odzyskać kontrolę nad sytuacją. Zawołałby o pomoc, gdyby nie to, że głos uwiązł mu w gardle. Wiedział też, że nikt go nie usłyszy. Następny dom był ponad trzy kilometry stąd. Może mógłby się jakoś wyrwać i uciec? Napastnik był wyższy, masywniejszy i wyglądał na o wiele silniejszego. James czuł się jak owad uwięziony w pajęczej sieci.

Ogarnęła go panika. Zatrzymał się po kilku krokach, nie mogąc iść dalej. Odnosił wrażenie, że ma tylko jeden but. Mężczyzna też się zatrzymał, wyciągając z kieszeni linę. Tego było już za wiele. James rzucił się do ucieczki. Mężczyzna puścił go, zaskoczony, i upadł na kopiec śniegu. Ślizgając się ku frontowym drzwiom, James przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu klucza. Za nim zachrząścił lód. Klucz był już w zamku, kiedy napastnik zarzucił ramię na jego szyję i przyciągnął go do siebie. James walczył, oswobadzając się z uścisku, ale nieznajomy wymierzył mu cios w potylicę. Głowa Browna eksplodowała bólem.

– Nie powinienesz być tego robić!

James pomyślał, że rozpoznał głos mężczyzny, ale nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należał. Odwrócił się, gotów do ucieczki, ale lina oplótła mu szyję. To ostatnia szansa. Ugodził łokciem nieznajomego, ale cios odbił się od jego masywnego brzucha. Ból rozdarł ramię Jamesa. Napastnik poluzował linę, a Brown osunął się na ziemię. Obrócił się i podniósł na kolana. Musiał uciekać, ale nie mógł wstać. Zaczął więc krzyczeć tak głośno, jak tylko potrafił.

– Ratunku! Pomocy! – Jego głos odbijał się echem wśród drzew.

Lina zacisnęła się ponownie. James próbował stawić jej opór. Chciał

krzyczeć, ale napięty sznur ściskał jego szyję. Co mógł zrobić? Mówić, pomyślał. Muszę go zmusić do gadania. Przestał się opierać, a mężczyzna napiął linę.

– Za mną – nakazał.

Poprowadził Jamesa do dębu, którego gałęzie rzucały na ściany domu przerażające cienie. Pod drzewem stały dwa przysypane śniegiem krzesła.

– Co ty robisz? – zapytał James, kiedy uścisk liny lekko zelżał. Mężczyzna rzucił jeden z jej końców w powietrze, oplatając ją wokół gałęzi. James modlił się o chmury, które skąpałyby ogród w totalnej ciemności. Jego umysł podsuwał mu irracjonalne myśli i obrazy, w tym jego matki, której nie pamiętał. Zginę tutaj, pomyślał. On mnie zabije i nic na to nie poradzę. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Potrzebował Susan, ona zawsze wiedziała, co zrobić. Napastnik odwrócił się i James spojrzał w jego dzikie oczy, które teraz rozpoznał. Nigdy nie zapomnialby tych oczu.

– To ty... Susan... ty... – wyjąkał. – Znam cię. Pamiętam...

Próbował się wyrwać, ale każdy ruch powodował napinanie liny. Teraz sobie przypominał, być może za późno. Zaczął więc mówić, aby grać na zwłokę.

– Noc świec... pasek...

– Myślisz, że jesteś taki sprytny, co? Nie zawsze tak było. Wtedy ta dziewczyna cię broniła. Teraz już tego nie robi.

Głos napastnika był tak ostry, że można by nim kroić lód. Jego oczy znieruchomiały.

James w panice szarpał linę, ciągnąc ją i wykręcając, próbował wsunąć pod nią palce. Wierzgał nogami, wzbijając w powietrze tumany śniegu. Musiał przeżyć. Miał przed sobą całe życie. W akcie desperacji opadł bezwładnie na ziemię, myśląc, że napastnik nie da rady go podnieść.

– Właż! – rozkazał mężczyzna, jednym ruchem zrzucając warstwę śniegu z krzesła.

James wstał jak zahipnotyzowany. Ciepło ciała napastnika zagłuszało jego zmysły. Silne ramiona otoczyły Browna i postawiły go na krześle. Zanim zdążył zeskoczyć, napastnik pociągnął linę, oplatając ją ciśniej wokół gałęzi.

Śnieg sypał coraz mocniej. James kołysał się na krześle, podczas gdy mężczyzna wszedł na drugie i związał linę.

– Najlepiej by było, gdybyś zawisł na jabłoni. Ale jej gałęzie są za słabe. Dąb jest lepszy.

Padający śnieg przesłonił księżyc, ale jego słabe światło nadal rzucało blask na podwórko. Obciążone gałęzie trzeszczały, kiedy James poruszał bezgłośnie ustami, błagając o życie.

Zanim zdołał cokolwiek zrobić, mężczyzna kopnął krzesło, które przewróciło się na śnieg.

James przekrwionymi oczami patrzył na księżyc i gwiazdy rozświetlające nocne niebo, podczas gdy do jego płuc przestało dopływać powietrze, a spuchnięty język wychylił się z sinych ust. Kiedy kołysał się na gałęzi, pomyślał, że czuje zapach świeżych jabłek, a jego zwieracze puściły. Zanim białe światło na niebie spowiła czerwień, usłyszał oddalające się kroki, a potem zapadła ciemność.

Potężna zamieć rozpełtała się na dobre, a pozbawione życia ciało falowało w jej rytmie.

## ROZDZIAŁ 8

Kiedy Lottie weszła do domu, przywitała ją głośna muzyka rap. Dlaczego pozwalała dzieciom słuchać tego szajsu? Bo wiedziała, że gdyby im zabroniła, słuchałyby tego gdzieś indziej. Poza tym nie mogła kontrolować tysiąca piosenek na ich iPodach, telefonach czy tych, których słuchały w Internecie. Wyznawała zasadę „żyj i daj żyć innym”.

– Już jestem! – zawołała, przekrzykując hałas.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

W kuchni widać było ślady młodzieżowego gotowania. Puste opakowania po zupkach chińskich, lepiące się od brudu widelce i niedopita butelka coca-coli stały tam pewnie od śniadania, które jej dzieci jadały koło południa. Pod drzwiami leżało wszelkiego rodzaju obuwie. Na stole piętrzyły się nieprzeczytane kartki świąteczne, a te, które przeczytała, leżały na parapecie. Choinka stała w salonie, poza zasięgiem jej wzroku. Nie chciała jej w domu, ale Sean nalegał. Teraz będzie musiał sam posprzątać tę krzywą zbieraninę bombek i anielskich włosów.

Lottie cieszyła się, że sztuczne dekoracje wkrótce trafią na strych. Nie znosiła – nie, nienawidziła – świąt Bożego Narodzenia, odkąd ponad trzy lata temu zmarł Adam. Święta to czas dla rodziny, ale jej rodzina już nie istniała.

Często mile wspominała te święta, kiedy razem z Adamem próbowali złożyć zabawkową kuchnię, opróżniwszy przed tym butelkę likieru Baileys. Albo jak czekała na niego w świąteczny poranek, aż wróci ze służby w koszarach. Adam wślizgiwał się do domu zanim dzieci wstały, a ona upewniała się według listy, czy żaden prezent nie został na strychu jej matki. Pewnego razu zostawili tam Action Mana i Adam musiał gnać do teściowej o drugiej w nocy. Nazwał wtedy Lottie tchórzem. On nigdy nie bał się jej matki. Lottie zresztą też nie, ale nie lubiła dawać jej kolejnych powodów do kłótni. Czasem myślała, że mąż kochał Rose bardziej niż ona. Jego rodzice zmarli w tym samym roku, kiedy miał osiemnaście lat. Może dlatego bardziej doceniał to, co Rose robiła dla nich i dzieci. Ale Lottie wiedziała, że matkę dręczyło poczucie winy i choć bardzo chciała, nie mogła się go pozbyć.

Każda rozmowa, którą odbyły po śmierci Adama, kończyła się kłótnią.

Padwały ostre słowa, obie wypominały sobie dawne urazy, a na koniec trzaskały drzwi.

Lottie nie widziała się z nią od kilku miesięcy – chociaż wiedziała, że Rose podczas jej nieobecności w domu wpadała, by zobaczyć dzieci.

Lottie starała się ze wszystkich sił, aby stworzyć dzieciom pozory normalności, ale nie przykładała do tego serca. Podobnie jak do innych spraw. Kiedy odszedł Adam, wraz z nim odeszła część Lottie. Banał, ale prawdziwy. Gdyby nie dzieci... Cóż, miała ich trójkę. Życie toczyło się dalej. Musiała sobie poradzić także z innymi, którzy dawno opuścili jej życie – ojciec zmarł w tajemniczych okolicznościach, z czego wyniknął cały ten dramat z jej bratem. Długo obwiniała wszystkich dookoła, ale strata męża przyćmiła blaknące wspomnienia o innych.

Sean wszedł do kuchni, trzymając w ręce kij do hurlingu. Uwielbiał ten sport, który był jedną z najbardziej energicznych dyscyplin narodowych. Lottie martwiła się, że jest dla niego zbyt niebezpieczny. Miał trzynaście lat i był wzrostu Adama. Jego zmierzwione włosy opadały na czoło, a długie rzęsy dodawały mu uroku. Kochała syna tak mocno, że czasem doprowadzało ją to do łez. Po śmierci męża musiała chronić Seana i jego siostry. Świadomość tego obowiązku była czasem nie do zniesienia.

– Co zjemy na kolację, mamó? – zapytał.

– Jezu, Sean. Dopiero weszłam do domu. Jest dziewiętnasta. Nie mogliście sami coś ugotować choć raz w życiu?

– Uczyłem się.

– Nieprawda. Nie otworzyłeś nawet plecaka.

– Przecież mamy wolne.

Przez chwilę wyleciało jej to z głowy. Od tygodnia mieli wolne. Szkoła zaczynała się dopiero za kilka dni.

Chloe weszła do kuchni.

– Cześć, matko. Co zjemy na kolację?

Chloe zawsze mówiła do Lottie „matko”. Tak samo w obecności dzieci zwracał się do niej Adam. Podejrzewała, że córka chce w ten sposób podtrzymać pamięć o ojcu.

Sean czmychnął schodami na górę, uderzając kijem o każdy stopień. Po chwili w domu rozległ się jeszcze głośniejszy hałas. Sean włączył Eminema.

Chloe miała na sobie spodnie od dresu i podkoszulkę, która przylegała do jej małych piersi. Długie, farbowane na blond włosy, zaplecione na czubku

głowy, zdobila spinka w kształcie motyla. Piękna Chloe odziedziczyła po ojcu oczy, te same, w których przed laty zakochała się Lottie. Była „środkowym dzieckiem” i często zarzucała matce faworyzowanie rodzeństwa.

– Masz szesnaście lat. W szkole chodzisz na zajęcia z gospodarstwa domowego. Nie przyszło ci do głowy, żeby coś ugotować?

– Nie, po co? Przecież i tak powiedziałaabyś, że wszystko zrobiłam źle.

Miała rację.

– Gdzie Katie?

– Wyszła. Jak zwykle. – Nastolatka otworzyła kuchenną szafkę, szukając czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia.

Lottie podeszła do lodówki. Niestety nie było w niej wina. Zmarszczyła czoło, bo w takie dni jak ten najbardziej brakowało jej alkoholu. Na szczęście już nie piła, a przynajmniej nie tyle, co wcześniej. Przestała nawet palić, poza okazjonalnym papierosem do drinka. Była pełna sprzeczności. Mogła pożyczyć trochę Xanaxu od Susan Sullivan. Ale nigdy by tego nie zrobiła. Tak przynajmniej myślała. W nocnej szafce miała zapas leków, a awaryjną dawkę przykleiła taśmą do spodu szuflady biurka w pracy. Mówiła sobie, że to na wszelki wypadek. Ale jej zapasy topniały z dnia na dzień.

– Wstaw wodę, skarbie. Miałam paskudny dzień.

Chloe przełknęła herbatnik i włączyła kuchenkę. Pusty czajnik zaczął syczeć.

– Na miłość boską – westchnęła ciężko Lottie.

Ale Chloe już zniknęła za drzwiami.

Lottie nalała wody do czajnika, włączyła elektryczny kominek i usiadła w fotelu, odchylając oparcie. Zamknęła oczy, zapadając się w kurtkę, i głębokimi oddechami uciszyła brzęczenie w uszach.

## ROZDZIAŁ 9

- James Brown nie żyje.
- Co? – wymamrotała do telefonu Lottie.

Siedząc przy elektrycznym kominku, który ogrzewał jej stopy, zerknęła na zegar kuchenny. Dwudziesta trzydzieści. Spała ponad godzinę. Obudziła się, kiedy zadzwonił telefon. Dobrze, że któreś z jej dzieci odstawiło czajnik i wyłączyło kuchenkę.

– James Brown nie żyje – powtórzył Boyd. – Lepiej wracaj na posterunek. Corrigan dostał szału. Telewizja Sky News ponoć jest w drodze.

- Co ja bym oddała za spór między karawaniarzami – biadoliła.
- Podwiozę cię – zaproponował. – Pada od kilku godzin.
- Nie, dzięki. Spacer mnie obudzi.
- Jak chcesz.

Zakończyła rozmowę i rozejrzała się za kurtką, którą wciąż miała na sobie.

– Chloe, Sean, muszę wracać do pracy – zawołała w stronę schodów.

Nie otrzymała odpowiedzi.

- Będziecie musieli sami ugotować kolację.
  - Och, mammo! – odpowiedział jej chóralny jęk.
  - Zostaw nam kasę na coś na wynos – krzyknęła Chloe.
- Lottie położyła pieniądze na stole i wyszła z domu.

\*\*\*

Nadinspektor Corrigan przemierzał korytarz tam i z powrotem, schylając się pod drabinami i rzucając przekleństwami. Jego twarz miała swój naturalny, bordowy kolor. Kiedy się odwrócił, Lottie stanęła jak wryta.

- Gdzieś ty była? – mruknął.
- Szefie, właśnie skończyłam dwunastogodzinną zmianę. Byłam w domu.

Odwrócił się na pięcie i poszedł do gabinetu. Boyd i Lynch, którzy nadal mieli na sobie kurtki, stali nieruchomo. Kirby'ego nigdzie nie było.

- Na co się gapicie? – warknęła inspektor. – Co mamy?
- Pół godziny temu przyszło zgłoszenie – oznajmiła Lynch, zakładając

czapkę. – James Brown został znaleziony na drzewie w swojej posesji. Mundurowi twierdzą, że to samobójstwo.

– Akurat. – Lottie skrzywiła się. – Tego samego dnia, w którym ginie jego współpracowniczka. Boże, nie pamiętam, kiedy ostatnio mieliśmy tu morderstwo, a tym bardziej dwa.

Boyd, „człowiek-leksykon”, pamiętał.

– Trzy lata temu. Przyskrzywiłaś Jimmy’ego Coyne’a za zabójstwo brata, Timmy’ego.

– To było pytanie retoryczne – mruknęła. – Gdzie jest Kirby?

Rozejrzała się. Centrum operacyjne tętniło życiem. Nagie ściany pokrywały teraz mapy miasta, na biurkach piętrzyły się raporty, a detektywi wisieli na telefonach.

– Pewnie spotkał się ze swoją aktoreczką na parkingu za Centrum Sztuki – odpowiedział Boyd, zapinając kurtkę.

– Zazdrościsz mu? – spytała inspektor.

– Pójdę rozgrzać samochód, pewnie zamarznął na amen. – Lynch wybiegła na zewnątrz.

– Wyglądasz okropnie – rzucił.

– Ja też cię kocham – odrzekła Lottie. – A teraz chodź.

\*\*\*

Sześć kilometrów za Ragmullin drogę rozświetlały niebieskie światła dwóch radiowozów. Trasa była niemal nieprzejezdna i wciąż padał śnieg. Karetka pogotowia i wóz strażacki blokowały dojazd do domu Browna.

– Wóz strażacki? – Lottie pokręciła głową.

Lynch tylko wzruszyła ramionami.

Boyd zaparkował samochód i ruszyli piechotą w dalszą drogę, zapadając się po kolana w śniegu.

W jednym z radiowozów, w obszarze odgrodzonym taśmą policyjną, siedział mizernie wyglądający mężczyzna. Przesłuchiwało go dwoje mundurowych. Inspektor pochwaliła podjęte środki ostrożności. Pozorne samobójstwo mogło w rzeczywistości być czymś zupełnie innym.

– Derek Harte – oznajmiła funkcjonariuszka Gillian O’Donoghue, wskazując na człowieka w samochodzie. – To on znalazł zwłoki. Jest w ciężkim szoku.



– Porozmawiaj z nim, Lynch – nakazała Lottie. – Dowiedz się, kim jest i co tu robił. Jeśli to nie samobójstwo, to nasz główny podejrzany.

– Obok samochodu leży neseser – poinformowała O'Donoghue.

– Niech kryminolodzy go sprawdzą, a potem zabiorą na posterunek. – Lottie ruszyła w głąb podwórka z Boydem przy boku. Reflektor rzucał światło na drzewo. Na chwilę odwróciła wzrok, koncentrując się na sanitariuszu stojącym przy pokrytym śniegiem samochodzie.

– Nie odcieliście go?

– Nie. Wiedziałem, że nie żyje. Człowiek, który go znalazł, powiedział, że ofiara znała kobietę zamordowaną w katedrze. Pomyślałem, że lepiej po was zadzwonię, tak na wszelki wypadek.

– Oglądasz *Kryminalne Zagadki*? – spytała Lottie, a kiedy sanitariusz poczerwieniał, dodała: – Nie musisz odpowiadać.

– Zadzwoniłem po strażaków, żeby przywieźli reflektor. W nocy jest tu cholernie ciemno.

– Dlaczego przyjechali wozem strażackim?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział sanitariusz. – Mogę zapalić?

– Nie – odparli równocześnie Lottie i Boyd.

Inspektor spojrzała na oświetlone reflektorem ciało Jamesa Browna.

– Miałam przecucie, że Brown nie był do końca ze mną szczerzy. Może gdybym go przycisnęła, odkryłabym coś, co ocaliłoby mu życie.

– Może zamordował Sullivan, a potem z poczucia winy się powiesił.

– On miałby zamordować Sullivan? Popatrz na niego. Takie chuchro nie skrzywdziłoby muchy.

– Dostał napadu szału? – zasugerował Boyd.

– Czasem pieprzysz bez sensu, wiesz? – burknęła, posyłając mu gniewne spojrzenie.

Ciało kołysało się na chłodnym wietrze. Głowa martwego Browna przechylona była na bok, w kierunku Lottie.

Odwróciła się od zwłok i pomaszerowała przez śnieg.

– Co ci jest? – zapytał sierżant. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Może i zobaczyłam – odparła.

Zatrzymała się i rozejrzała po miejscu zbrodni. Przewrócone krzesło było częściowo zakopane w śniegu. Neseser leżał obok samochodu. Zauważyła klucz w zamku drzwi frontowych. Funkcjonariuszka O'Donoghue spisywała zeznania sanitariusza. Lottie wątpiła, czy na tak zdeptanym miejscu zbrodni

kryminolodzy znajdą coś użytecznego.

– Zostawił list pożegnalny? – zapytała.

O'Donoghue wzruszyła ramionami.

– Rozejrzałam się, kiedy tu przyjechałam. Nic nie znalazłam. Jezu, w życiu nie widziałam tyle śniegu.

– Czy ten Harte wchodził do środka? – Lottie wskazała na klucz w drzwiach.

– Nie wiem, wydaje mi się, że nie – odpowiedziała O'Donoghue.

Wtedy do Lottie podeszła Lynch.

– Harte mówi, że jest przyjacielem Browna. Kiedy usłyszał o śmierci Sullivan, przyjechał się z nim zobaczyć.

– Skąd dowiedział się o Susan?

– Brown do niego zadzwonił. Kiedy przyjechał, zobaczył ciało i natychmiast wezwał karetkę. Gapił się na Browna, kiedy podjechał pierwszy radiowóz. – Lynch zmiotła z notesu śnieg. – Jest w okropnym stanie. Chcesz go przesłuchać czy mam mu załatwić transport do domu?

– Nie mam siły wymyślać pytań. Przesłuchamy go rano – odparła inspektor. Zauważyła alarm nad drzwiami. – Zapytaj go, czy zna kod.

– Ja też mam się zgłosić rano? – spytał sanitariusz, rozpromieniony od ucha do ucha.

– Funkcjonariuszka O'Donoghue spisała twoje zeznania – odpowiedziała Lottie. – Dzięki za pomoc.

– Prawie bym zapomniał – rzekł. – To leżało pod drzwiami.

Lottie spojrzała na małą zieloną latarkę, którą trzymał w ręku.

– Podniosłeś ją?

– No jasne – odpowiedział. Oczy mu się rozszerzyły. – Oj... przepraszam. Może powinienem ją zostawić?

– Może i powinieneś – warknęła, wkładając latarkę do plastikowego worka. – Była włączona?

– Tak, ale ją wyłączyłem. Żeby oszczędzić baterie.

Chciała mu przyłożyć, ale odwróciła się, zanim wprowadziła zamiar w czyn.

– Kretyn – mruknął Boyd, kiedy sanitariusz się oddalił.

– Ktoregoś dnia usłyszysz cię ktoś poza mną i dostaniesz w zęby. Każ kryminologom kończyć robotę.

Telefon Lottie zawibrował. Dzwonił Corrigan.

– Szef chce nas widzieć za kwadrans – oznajmiła. – Czy on ma w ogóle pojęcie o tym, jaka jest pogoda?

\*\*\*

Kiedy wrócili, Boyd zapalił przed posterunkiem papierosa. Śnieg nie padał już tak intensywnie i dym uniósł się w nocne niebo. Lottie marzyła o tym, by się zaciągnąć, ale na tym by się nie skończyło. Nie wiedziała, co to umiar. Jej matka zawsze twierdziła, że jest bardzo podatna na uzależnienia.

Wchodząc do ciepłego holu, Lottie sprawdziła telefon. Nie otrzymała żadnych wiadomości. Zadzwoiła do domu. Odebrała Chloe.

– Cześć, matko. Kiedy wracasz?

– Nieprędko. Mam spotkanie z szefem, nie wiem, jak długo potrwa – odpowiedziała, ignorując poczucie winy. Co miała zrobić? Musiała pracować, często w różnych godzinach.

– Nie martw się, zajmiemy się domem. – Chloe chciała ją pocieszyć.

– Katie już wróciła? – Lottie martwiła się o najstarszą córkę.

– Chyba jest u siebie.

– Upewnij się, proszę.

– Jasne.

– I powiedz Seanowi, żeby wyłączył PlayStation.

– Jasne. Narka. – Chloe odłożyła słuchawkę.

Kiedy wróć do domu, dzieci będą już spać. Dadzą sobie radę, pomyślała. Ale nie do końca była tego pewna.

Boyd stanął przy niej, strzepując śnieg z ramion.

– Chodź – powiedział. – Corrigan czeka na nas. Już jesteśmy spóźnieni.

\*\*\*

– Nie spieszyło się wam. – Nadinspektor maszerował po biurze jak żołnierz. – To samobójstwo czy co? – Nie dał im jednak czasu na odpowiedź. – Nieważne, na razie to samobójstwo. Mieliśmy już dość morderstw na jeden dzień. Cokolwiek to jest, trzeba szybko rozwiązać sprawę. Nie chcę, żeby odebrały nam ją jakieś ważniaki z Dublina, więc ruszcie dupy. Trzeba przepytąć więcej osób, obsadzić telefony, zorganizować briefing dla prasy.

Jesteś w swoim żywiole, pomyślała Lottie.

- Nie sądzę, żeby James Brown popełnił samobójstwo.
- A na czym opierasz tę teorię? – parsknął Corrigan.
- Myślę... myślę, że to zbyt proste. Rozumie pan?
- Nie, nie rozumiem – odparł. – Oświeć mnie.

Przygryzła wargę. Jak mogła wyjaśnić przeczucie? Corrigan myślał tylko o karierze i działał według podręcznika. Jego ulubione motto w czasie śledztwa brzmiało: „Po mojemu albo wcale”. Lottie wolała działać po swojemu. W każdym razie jej przełożony nie czekał na odpowiedź.

– Nie obchodzi mnie, co sobie *myślisz*, inspektor Parker. Spójrz na materiał dowodowy, na okoliczności. Facet wisiał na drzewie w środku cholernej wsi, do tego w pieprzoną śnieżycę. To musi mieć coś wspólnego z jakimiś machlojkami w radzie miejskiej. Zapewne z tego powodu Brown zabił Sullivan, ale nie mógł znieść poczucia winy, więc się powiesił. Teraz musimy zaplanować tryb postępowania.

Lottie milczała. Była zbyt zmęczona, aby spierać się z Corriganem.

– Nie chcę, żeby Dublin przysłał tu jakichś ważniaków. Sami damy sobie radę. Macie jak najszybciej rozwiązać sprawę morderstwa Susan Sullivan – powtórzył.

– Ale... sir – wtrącił Boyd – jeśli mamy do czynienia z dwoma morderstwami, nie powinniśmy poprosić o wsparcie z zewnątrz?

– Detektywie sierzancie Boyd! Powiedziałem już ostatnie słowo w tej kwestii. Jak na razie mamy jeden zgon w tajemniczych okolicznościach i podejrzenie samobójstwa. Koniec dyskusji.

Oczy nadinspektora zwęziły się. Patrzył wyzywająco na Lottie, która odwzajemniła jego spojrzenie, po czym założyła kurtkę.

– Prześpijcie się – doradził. – Chcę was widzieć jutro o szóstej rano.

Opuścili gabinet Corrigan i ruszyli korytarzem.

– Do diabła! – krzyknął Boyd, nagle się zatrzymując.

Spojrzała na niego. Wszedł prosto na jedną z drabin i rozciął sobie czoło. Lottie wybuchła śmiechem.

– To nie jest śmieszne – wysyczał, przeklinając przez całą drogę do wyjścia.

– Wiem – przytaknęła, ale nie mogła przestać się śmiać.

## ROZDZIAŁ 10

Lottie uśmiechnęła się, otwierając drzwi swojego domu. Kije Seana stały wciśnięte w kąt werandy, a na drewnianej tabliczce obok dzwonka widniał napis „Penny Lane”. Tak Adam nazwał ich dom. Każda z czterech sypialni nosiła imię któregoś z Beatlesów. Wtedy wydawało się to zabawne, ale teraz już nie.

Mieszkała w jednym z trzydziestu domów wielorodzinnych, położonych w środku przypominającego podkowę osiedla, które znajdowało się blisko stadionu. Co wtorek i czwartek można było usłyszeć okrzyki dopingujące ścigające się charty. Ale Lottie nigdy nie chodziła na tor. Adam zabrał tam kilka razy dzieci, ale nie były zachwycone chudymi psami i ich otyłymi właścicielami. Zimą okolica była spokojna, wyścigi zaczynały się na wiosnę.

W domu panowała cisza. Głośna muzyka towarzyszyła Seanowi w wirtualnym świecie. Miał na uszach słuchawki. Lottie odwiesiła kurtkę. Po osiemnastu godzinach pracy jej ciało odmawiało posłuszeństwa, choć umysł był nadal pobudzony.

W kuchni znalazła dwa kawałki pizzy i liścik od Chloe: „NAPRAWDĘ cię kochamy”.

Włożyła pizzę do mikrofalówki i nalała sobie szklanek wody. Kochała swoje dzieci, ale zazwyczaj nie miała czasu im tego powiedzieć. Tak rzadko widywała dziewiętnastoletnią Katie, która codziennie dojeżdżała na uczelnię do Dublina. Ale nawet w święta nie przyjeżdżała do domu. Była oczkiem w głowie ojca i od jego śmierci zrobiła się humorzasta. Lottie nie wiedziała, jak sobie z nią poradzić.

Zjadła rozmiękłą pizzę i weszła po schodach do sypialni, nazwanej imieniem Johna Lenona. Chloe i Sean już spali. Zamknęła ich drzwi i zajrzała do pokoju Katie. Był pusty. Jutro muszę z nią porozmawiać, pomyślała.

\*\*\*

Katie Parker położyła się obok swojego chłopaka.

Jego włosy łaskotały ją w nos. Próbowwała powstrzymać kichnięcie. Chyba tego nie zauważył, bo był zajęty paleniem skręta, którego trzymał pomiędzy długimi chudymi palcami. Kiedy dym wypełnił jego płuca, podał jointa Katie. Nie lubiła marihuany, ale bardzo chciała zaimponować Jasonowi. Jej matka dostałaby szału, gdyby ją teraz zobaczyła. Trudno, mamó, pomyślała. Zawsze prawiałaś kazania o szkodliwości używek, może sama powinnaś się do nich zastosować.

Wzięła zwiniętą bibułkę do ust, zaciągnęła się i... nigdy w życiu nie doświadczyła takiej przyjemności.

– To jest niesamowite – westchnęła.

– Tylko nie przesadz – rzucił Jason, opierając się na łokciu. – Nie chcę, żebyś mnie obrzygała.

Zmrużyła oczy, wpatrując się w gwiazdy na suficie. Przypuszczała, że są namalowane, bo w innym wypadku byłyby efektem halucynacji.

– Masz na suficie gwiazdy?

– Tak. Pozostałość po fazie na Harry’ego Pottera.

– Kocham Harry’ego Pottera. – Na ustach Katie zagościł uśmiech. – Całą tę magiczną otoczkę. Kiedyś marzyłam, żeby przenieść się do innego świata, zwłaszcza kiedy odszedł tata.

Jason zaśmiał się. Dziewczyna spojrzała na niego. Był obłędnie przystojny i nosił modne dzinsy i bluzy od Abercrombiego. Miała szczęście, że na niego trafiła. Dziś, kiedy ją zaprosił do siebie, niemalże umarła ze szczęścia. Jej dom był rozmiarów salonu Jasona. Cieszyła się, że jego rodziców nie było w pobliżu, bo nie miałyby pojęcia, jak się przy nich zachować. Jego pokój również był fantastyczny. Tak wielki jak pokój Katie i jej rodzeństwa razem wzięte.

Pierwszy rok na studiach był nudny, ale na szczęście Jason to właśnie ją wybrał spośród innych dziewczyn. Była w siódmym niebie.

– Podaj mi skręta, łakomczuchu – zagadał.

Oddała mu go i mimo że jej głowa opierała się o jego ramię, czuła miękkość poduszki. Tak, zdecydowanie odlatywała.

Gdyby matka ją zobaczyła w takim stanie, na pewno by się wściekła.

– Lepiej już pójdę, jest po północy – powiedziała, próbując usiąść.

– A ty co, Kopciuszek? – parsknął śmiechem. – Jeśli cię nie odwiozę do domu, to zamienię się w dynię?

– Ja mówię poważnie – odpowiedziała, szukając kurtki.

– No dobrze, marudo. Zabiorę cię do domu.  
Katie pocałowała go w usta. Czuła się, jakby miała skrzydła.

\*\*\*

Sean widział przez okno sypialni swoją siostrę tulącą się do chłopaka na zaśnierzonym podjeździe. Widział, jak całują się w świetle latarni, oraz uśmiech na twarzy Katie.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz jego ponura siostra wyglądała na tak szczęśliwą.

\*\*\*

Lottie położyła się na łóżku. Wymacała ręką katalog firmy Argos, którego używała, aby pościel nie zsuwała się z tej strony łóżka, po której sypiał Adam. Kiedyś kładła tam książkę telefoniczną, ale katalog był lepszy.

Leżała, nie mogąc zasnąć. Myślała o Susan Sullivan i Jamesie Brownie, zastanawiając się, co takiego kosztowało ich życie.

Kiedy usłyszała Katie przekręcającą klucz w zamku, natychmiast zapadła w sen.

## ROZDZIAŁ 11

Mężczyzna rozcierał skórę mocnymi ruchami.

Zrobił to, co należało, aby bronić tajemnic i siebie. W ten sposób ochraniał także innych, choć oni o tym nie wiedzieli.

Namydlił ciało, próbując zmyć z siebie zapach śmierci. Szorował się powoli, od czubka głowy po zadbane place stóp. Wyszedł spod prysznicą i dokładnie się wytarł ręcznikiem.

Kiedy był już suchy, przeszedł nago do sypialni położył się na białej pościeli i przez resztę nocy wpatrywał się w sufit.

\*\*\*

### 1974

*Wiedziała, że to, co robił, było złe, ale za bardzo się bała, aby komukolwiek o tym powiedzieć. Prawie codziennie po szkole zabierał ją w odosobnione miejsce. W dni wolne od nauki zmuszał ją do odwiedzin co najmniej raz w tygodniu, a czasem przychodził do niej do domu.*

*Jej mama była zachwycona wizytami księdza. Częstoowała go herbatą i ciastkami na najlepszych porcelanowych talerzach, jakie miała. A kiedy mama była zajęta przygotowywaniem herbaty, on brał jej rękę i wpychał ją sobie tam. Gdy to robił, zbierało jej się na wymioty. To było niewiele lepsze od innych rzeczy, do których była zmuszana.*

*Któregoś razu mama prawie ich nakryła. Przyszła spytać, czy może zamiast ciastek życzyłby sobie razowego chleba. Odwrócił się szybko do okna, mówiąc, że patrzy, czy chuligani nie rysują mu auta.*

*Nie widziała go potem przez miesiąc i myślała, że to już koniec. Ale to był dopiero początek prawdziwego koszmaru. Zasugerował jej mamie, że ma dla córki pracę na plebanii, wieczorami. Do jej obowiązków należałoby zamiatanie i odkurzanie, za które dostawałaby kilka groszy. Mama była przeschczęśliwa.*

*Wtedy mała dziewczynka już wiedziała, że będzie przeżywać horror codziennie.*



*Czasem podpijała whiskey swojego taty, którą znalazła w szafce pod telewizorem. Napój palił w gardło, ale po kilku minutach rozgrzewał jej brzuch i pomagał przez chwilę zapomnieć o rzeczywistości, w której żyła. Za dużo jadła. Mama ciągle dogryzała jej z powodu nadwagi. Nie raz chciała jej odpowiedzieć, żeby „spieprzała”. Usłyszała to od dziewczyn w szkole i wiedziała, że to brzydkie słowo. Czasami ksiądz mówił brzydkie słowa, kiedy w nią wchodził. Nienawidziła go. Była obolała i krwawiła. Wcale jej się to nie podobało, ale było za późno, aby to powstrzymać. Kto by jej uwierzył?*

*Dziewczyny w szkole mówiły na nią pulpet. Pulpet to, pulpet tamto. Kiedy patrzyła na siebie w lustrze, nie poznawała własnego odbicia. Wyglądała jak pan Kinder, sąsiad z piwnym brzuchem wystającym spod śmierdzącej koszuli.*

*Czasami płakała tak długo, aż zmorzył ją sen. Nienawidziła siebie i tego, czym się stała. W co on ją zmienił. Obiecała sobie, że kiedyś za to zapłaci. Nie wiedziała, kiedy ani jak, ale któregoś dnia jego czas nadejdzie, a ona będzie gotowa. Nie okazał jej litości, tylko pogardę. Odwdzięczy mu się tym samym.*

*– Nosił wilk razy kilka – powiedziała do odbicia w lustrze.*

# **DZIEŃ DRUGI**

**31 grudnia 2014**

## ROZDZIAŁ 12

Jakimś cudem samochód Lottie odpalił bez większych problemów. Ktoś tam na górze jednak mnie kocha, powiedziała do siebie. Było rano, ale na dworze nadal panowała ciemność. Musiała pozbierać myśli, dlatego udała się do pracy okrężną drogą.

Jadąc ulicą Ardvale Road, skręciła w prawo na rondzie i minęła nieczynną fabrykę tytoniu. Pamiętała unoszący się w powietrzu ostry zapach, zanim fabryka przekształciła się w centrum dystrybucji. Tęskniła za tą wonią, bo zdawała się nadawać sens miejscu, w którym mieszkała. Niestety ten zapach odszedł, jak wszystko inne.

Kiedy stała na światłach na moście Dublin Bridge, napawała się panoramą zasypanego śniegiem Ragmullin, położonego pomiędzy dwoma jeziorami. Najwyższymi punktami w krajobrazie miasta były wieże katedry po prawej stronie i pojedyncza wieża kościoła protestanckiego po lewej. Między nimi znajdował się czteropiętrowy apartamentowiec, który wystawał ponad niskie okoliczne budynki.

Ragmullin było kiedyś miastem-fortecą, ale obecnie koszary stały się wylegarnią wandalii. Mówiło się, że mają je przekształcić w obóz dla uchodźców i azylantów. Zbudowano je w najwyższym punkcie miasta, za kanałem i torami kolejowymi. Jedenastowieczni mnisi, którzy osiedlili się tu jako pierwsi, pewnie byliby dumni, że ulice nadal noszą ich imiona. Resztą nie ma co się chwalić, pomyślała Lottie.

Zanim zmieniły się światła, zlustrowała ponownie linię horyzontu, patrząc na wyrastające ponad drzewa wieże. Jej zaciśnięte na kierownicy dłonie zbieleły. Pomyślała o tym, jaką ogromną władzę w przeszłości miał nad ludźmi Kościół, oraz o wpływie, jaki księża mieli na jej własną rodzinę. Nie można było przed tym uciec. Kościół i państwo, dwie plamy w historii Ragmullin, a także jej własnej.

Żelazny dzwon w jednej z wież wybił szóstą rano, sprawiając, że szyby w aucie zaczęły drżeć.

Wzięła kilka głębokich oddechów, podczas gdy światło uszkodzonej sygnalizacji zmieniło się na zielone. Wcisnęła pedał gazu, a samochód niemal

otarł się o jadącą przed nią czerwoną Micrę. Przejechała przez most i ruszyła dalej dziurawą, opuszczoną ulicą. Za sklepowymi witrynami było jeszcze ciemno. Zastanawiała się, ile sekretów skrywają i czy w Ragmullin znalazłby się ktoś, komu chciałoby się je odkrywać.

\*\*\*

Trzydzieści osób tłoczyło się w małym centrum operacyjnym.

Niektórzy siedzieli na chwiejących się krzesłach, podczas gdy inni stali ramię w ramię, głośno rozmawiając. Zapach ludzkich ciał mieszał się w pomieszczeniu z wonią perfum, wody kolońskiej i świeżo parzonej kawy. Lottie nie znalazła wolnego miejsca, więc oparła się o ścianę z tyłu pokoju. Patrzyła, jak stojący przed zebranymi detektywami Corrigan przerzuca kartki. To ona powinna tam stać.

Boyd zauważył ją i wyszczerzył zęby. Odwzajemniła jego uśmiech. Czasem tak na nią działał, nawet kiedy nie miała ochoty się uśmiechać. Wyglądał świetnie, zresztą jak zwykle. Był ubrany w szary garnitur i koszulę, na którą nałożył dodatkowo niebieski sweter. Lottie pomyślała, że może dziś mogłaby być dla niego miła. A może jednak nie.

Wypiła czarną kawę, odganiając zmęczenie. Corrigan skinął na nią, więc poszła na środek sali i odwróciła się twarzą do zespołu. Kirby miał przekrwione oczy, zapewne po nocy spędzonej z butelką. Maria Lynch była jak zwykle radosna, niczym skowronek. Boyd przestał się uśmiechać i przybrał poważny wyraz twarzy. Zespół był gotowy do działania. Ona też.

– Dobrze – oznajmił nadinspektor Corrigan, a w pomieszczeniu zapadła cisza – inspektor Parker przybliży nam szczegóły śledztwa.

Twarze zebranych wyczekująco wpatrywały się w Lottie. Miała dobry zespół, który wierzył w nią i w samych siebie. Wiedziała, że nie może ich zawieść. I nie zawiedzie.

Postawiła kubek na biurku i zsuwając rękawy koszulki – to był nawyk, którego nie mogła się pozbyć – przedstawiła detektywom wydarzenia minionego dnia i nocy oraz przydzieliła zadania.

Kiedy skończyła, rozległ się odgłos odsuwanych krzeseł. Zebrani zaczęli opuszczać pomieszczenie. Wkrótce rozbrzmiał gwar rozmów.

– Do roboty! – zawołał Corrigan, przekrzykując detektywów.

Lottie mogłaby przysiąc, że usłyszała, jak Boyd zamruczał: „Tak jest,

kapitanie”. Odepchnęła go, złapała kurtkę i ruszyła pieszo do katedry. Miała świadka do przesłuchania.

\*\*\*

Ksiądz Joe Burke czekał na inspektor przed bramą. Niebo nadal było ciemne i ponure. Lottie nie mogła się doczekać końca zimy.

Padający śnieg przesłaniał otoczoną policyjną taśmą katedrę. Pomimo złej pogody kilku ludzi przystawało, aby się przeżegnać i położyć kwiaty. Dwóch zmarzniętych funkcjonariuszy stojących przed miejscem zbrodni tupąło z zimna nogami. Lottie czuła się tak samo.

Uścisnęła dłoń księdza przez grubą rękawiczkę.

– Zapraszam do środka na herbatę – powiedział ciepło.

– Dziękuję, chętnie się napiję – odparła. Zerknęła na jasnoniebieską kurtkę narciarską księdza Joe i dodała z uśmiechem: – Wygląda ksiądz jak agent KGB.

Poprowadził ją wzdłuż ściany katedry na plebanię.

\*\*\*

W środku było ciepło. Stare grzejniki bulgotały w ciszy. Wysokie mahoniowe szafki rzucały cienie na wykafelkowane ściany korytarza, którym ksiądz Burke prowadził Lottie.

– Kawę czy herbatę? – zapytał, otwierając drzwi do pokoju o wystroju podobnym do tego w korytarzu.

– Herbatę, proszę. – Musiała czymś zabić smak kawy z posterunku.

Ksiądz zwrócił się do niskiej zakonnicy, która pojawiła się za nimi. Siostra odeszła, by zaparzyć herbaty.

– A zatem, inspektor Parker, czym mogę pani służyć? – spytał, siadając w zdobionym fotelu.

– Potrzebuję informacji, proszę księdza. – Powiedziała. Zdjęła kurtkę i usiadła naprzeciwko kapłana.

– Proszę mi mówić Joe. Nie musimy silić się na formalność, prawda?

– Dobrze. W takim razie możesz mi mówić Lottie.

Wiedziała, że nie powinna sobie na to pozwolić. Był podejrzanym. Pojawił się na miejscu zbrodni zaraz po pani Gavin i przebywał w katedrze w czasie,

gdy dokonywano morderstwa. Jednak czasem swoboda sprawiała, że ludzie tracili czujność.

– Zauważyłam, że macie monitoring w środku i na zewnątrz katedry. Muszę mieć dostęp do nagrań.

– Oczywiście, ale obawiam się, że niewiele się z nich dowiesz. Kamery na zewnątrz nie działają, odkąd przed świętami temperatura drastycznie spadła. A te w środku są nakierowane na konfesjonały.

– Dlaczego? – zapytała, w duchu przeklinając ślepy trop.

– Biskup Connor kazał zainstalować je, w razie gdyby ktoś chciał nas zaatakować.

– Trąci ironią, co nie? – Podniosła wzrok, kiedy do pokoju wróciła zakonnica, grzechocząc filiżankami na srebrnej tacy.

– Kamera internetowa też nie działa. Zazwyczaj nagrywamy msze, wyświetlając na żywo na stronie parafii. Przez święta nie udało nam się znaleźć nikogo, kto by ją naprawił.

Kolejna bezwartościowa informacja, pomyślała.

Ksiądz Joe postawił tacę na stole i podziękował zakonnicy, która wyszła bez słowa. Nalał herbaty, a inspektor dołała sobie mleka. Oboje zaczęli saczyć ciepły napój z delikatnych porcelanowych filiżanek.

– Muszę cię zapytać o wczoraj – rzekła inspektor, otrząsając się i przybierając formalny ton.

– Czy to oficjalne przesłuchanie? Powinienem wezwać adwokata?

Lottie zdziwiło to pytanie, ale zauważyła, że Joe się uśmiecha.

– Na tym etapie śledztwa adwokat nie będzie księdzu... eee... tobie potrzebny – zaczęła się jąkać. – Muszę tylko ustalić kilka faktów.

– Jestem cały twój.

Poczuła, że się rumieni. Czy on z nią flirtował? Niemożliwe.

– Odprawiłem mszę o dziesiątej rano, sprzątnąłem ołtarz, potem zamknąłem kielichy i Najświętszy Sakrament w tabernakulum – oznajmił. – Katedra była pusta. Zazwyczaj kilka osób zostaje dłużej, żeby się pomodlić, ale myślę, że zła pogoda wygrała z religią. Kościelny skończył o dziesiątej czterdzieści pięć i poszedł do domu. Przyszedłem tutaj, żeby napić się czegoś ciepłego. Godzinę później wróciłem do zakrystii, aby napisać kazanie na następną niedzielę. Pani Gavin przyszła chwilę później i zaczęła sprzątać. Właśnie skończyłem odmawiać Anioł Pański, kiedy usłyszałem jej krzyki.

Ksiądz przerwał. Wyglądał, jakby się modlił.

– Co zrobiłeś potem? – Odnotowała w pamięci, by zlecić komuś przesłuchanie kościelnego. Pewnie to kolejny ślepy trop, skoro wyszedł z kościoła przed morderstwem.

– Pobiegłem zobaczyć, o co chodzi, i wpadłem prosto na panią Gavin. Biedaczka dostała hysterii. Złapała mnie i zaciągnęła do pierwszej ławki. Zobaczyłem tam ciało... kobiety. Nachyliłem się, żeby wyczuć, czy oddycha, ale wiedziałem, że nie żyje. Zadzwoiłem na numer 112, zaprowadziłem panią Gavin do ołtarza i czekałem tam z nią na policję.

Na tle czarnego swetra jego twarz wydawała się jeszcze bledsza.

– Dotykałeś ofiary albo czegośkolwiek w jej pobliżu? – spytała.

– Oczywiście, że nie. Chciałem sprawdzić puls, ale ona wyglądała na martwą.

– Mimo to będziesz musiał złożyć na posterunku próbkę DNA – rzekła, po czym dodała: – Żeby wykluczyć cię z dalszego śledztwa.

– Czyli jednak *jestem* podejrzany. – Joe splótł palce pod brodą.

– Każdy jest podejrzany, dopóki nie zdecydujemy, że jest inaczej – stwierdziła, bezskutecznie próbując odczytać coś z oczu księdza. – Znałeś Susan Sullivan?

Obserwowała jego reakcję.

– To ona była ofiarą?

Kiwnęła głową. Wyraz twarzy Burke'a pozostawał niewzruszony.

– Nie przypominam sobie, żebym ją kiedyś spotkał – zamyślił się na chwilę. – Wiele osób przychodzi do katedry, ale nie zostaje na mszy. Modlą się chwilę albo zapalają świeczkę. Parafia Ragmullin liczy piętnaście tysięcy osób.

– Składasz wizyty duszpasterskie?

– Nie, chyba że jakiś chory sobie tego zażyczy. Chodzę do szpitali. Jestem też kapłanem w liceum dla dziewcząt. Odprawiam tam msze i spowiadam, chociaż teraz rzadko kto przychodzi wyznać grzechy. – Potrząsnął głową. – Poza tym to udzielam chrztów, ślubów, pogrzebów i bierzmowania.

– To dużo pracy?

– Każda czynność osobno, czy wszystkie? – Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

Lottie milczała. Przypomniała sobie wizytę księdza, kiedy przyszedł namaścić Adama przed śmiercią. Raczej zapamiętałaby Joe Burke'a, chociaż z drugiej strony jej mąż był tak ciężko chory, że mogła nie zwrócić uwagi na księdza.

– Co robiłeś przez całe wczorajsze popołudnie?

– Odprowadziłem panią Gavin do domu. Zaczekałem, aż jej mąż wróci, a potem udałem się na plebanię. Czytałem do późnego wieczora. W życiu nie widziałem takiej śnieżycy.

– Czyli nigdzie nie wychodziłeś?

– Nie, pani inspektor, nie wychodziłem. Po co te pytania?

Pomyślała przez chwilę, po czym zdecydowała powiedzieć prawdę.

– Doszło do kolejnego tajemniczego zgonu. To mogło być samobójstwo, ale na razie niewiele wiemy.

– Zeszłej nocy miałem wolne i nigdzie mnie nie wzywano. Co się stało? Powinienem wiedzieć, o kogo chodzi?

– O Jamesa Browna. Pracował z Susan Sullivan.

– Nazwisko nic mi nie mówi. Niech Bóg ma w opiece jego rodzinę. – Ksiądz Joe złożył ręce i pochylił głowę.

– Jeszcze nie udało nam się namierzyć żadnych krewnych. Tak samo jak w przypadku Susan. Zupełnie jakby oboje pojawili się znikąd.

– Popytam wśród parafian. Ktoś przecież musi ich znać.

– Dziękuję, to nam bardzo pomoże – westchnęła ciężko. Nie mogąc znaleźć innych powodów, by przedłużyć wizytę, wstała i powiedziała: – Przyślę kogoś po nagrania z monitoringu. Przyjdź, proszę, na posterunek jeszcze dzisiaj. Pobierzemy twój wymaz z jamy ustnej i weźmiemy odciski palców. W miarę postępów śledztwa wrócimy do naszej rozmowy.

Założyła kurtkę.

– Nie mogę się doczekać kolejnej wizyty – odparł, pomagając jej z rękawem. Tym razem Lottie zauważyła błysk w jego oczach.

– Gdybyś sobie coś przypomniał, tu jest mój numer telefonu komórkowego – dodała, podając mu wizytówkę.

– Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało. Szkoda, że w takich okolicznościach.

– Dzięki za herbatę. – Lottie założyła kaptur na głowę.

Kiedy zamknął za nią drzwi, stała przez chwilę nieruchomo, oślepiona bielą śniegu. Próbowwała zrozumieć, co zaszło pomiędzy nią i księdzem Joe Burke'em.



## ROZDZIAŁ 13

Boyd zaciągnął się papierosem i ciężko westchnął.

– Jesteśmy w kropce.

Zmierzali do budynku rady miejskiej. Lottie modliła się, by się zamknął. Nikt nie musiał jej przypominać, że nie wpadli na żaden trop.

– Przeszukamy jej dokumenty – powiedziała. – To wszystko musi mieć coś wspólnego z ich pracą. Oboje pracowali w Wydziale Zagospodarowania Przestrzennego. Mogli narobić sobie wrogów. Poza tym nie łączy ich nic. Przynajmniej na razie.

Boyd wziął głęboki wdech.

– Może mieli romans?

Inspektor zatrzymała się i spojrzała na partnera. Potem ruszyła dalej, kręcąc głową.

– No i co? Z tego, co wiemy, oboje byli singlami.

– Czyli to ma coś wspólnego z ich pracą – rzekł Boyd.

– No raczej – użyła słynnego powiedzenia Homera Simpsona. – Zobaczymy, co uda nam się znaleźć.

Sierżant zgasił na śniegu papierosa i wraz z inspektorem wszedł do przypominającego akwarium budynku.

\*\*\*

W środku panowała nienaturalna cisza. Kilku pracowników przemierzało korytarze, pochylając głowy. Noworoczna atmosfera gdzieś się ulotniła. Członkowie zespołu detektyw Marii Lynch przesłuchiwali personel w pokoju na drugim piętrze. Lottie z niecierpliwością czekała na odpowiedzi, które mieli nadzieję uzyskać.

W gabinecie Sullivan technikowi udało się zalogować do komputera. Inspektor mogła zrobić to sama. Na spodzie klawiatury znalazła przyklejoną kartkę z hasłem. Usiadła i zaczęła przeglądać foldery. Zatrzymała kursor na jednym z nich, zatytułowanym „prywatne”. Wyczuła sierżanta, czającego się za jej plecami.

– Może sprawdzisz, co jest w komputerze Browna? – zaproponowała.

To było chamskie, ale Boyd ją wkurzał. Chyba jednak dzisiaj nie będzie dla niego miła. Po godzinie przeglądania plików oderwała wzrok od komputera. W drzwiach stał sierżant, który pokręcił głową.

– Nie znalazłam nic nadzwyczajnego – oznajmiła. – W prywatnym folderze miała zwroty podatku i ubezpieczenie medyczne. Jest tu jednak kilka ciekawych rzeczy. Na przykład protokoły za spotkań związanych z grupą „Mieszkańcy przeciw osiedlom-widmo”. Zapiski z co najmniej roku.

Lottie przeciągnęła się.

– Znalazłeś coś u Browna?

– Nic, co miałoby dla mnie sens.

– Biegły będzie musiał rzucić na to okiem i sprawdzić, czy nie ma tam nic podejrzanego – rzekła. – Porozmawiam z dyrektorem generalnym.

– Mam jechać z tobą?

– Skompiluj te pliki, czy jak to się tam nazywa, i prześlij je na posterunek. Przydasz się na coś.

Wyszła z gabinetu, ignorując jego odpowiedź.

\*\*\*

Gerry Dunne miał czterdzieści cztery lata i był drugim najmłodszym dyrektorem generalnym w kraju.

Zarządzał milionowym budżetem dochodowym i kapitałem, którego wartość spadła od czasu, kiedy kryzys uderzył w rozwój infrastruktury. W okresie „celtyckiego tygrysa”<sup>1</sup> nadzorował wielomilionowe inwestycje, takie jak autostrada ciągnąca się przez cały kraj. Nie pomogło to kierowcom, pomyślała Lottie, kartkując roczny raport rady przed gabinetem Dunne’a. Ludzi nie było stać na benzynę ani na samochody. Ledwie udawało im się płacić podatki, a niektórzy mieli problem z kupieniem porządnego jedzenia. Gerry Dunne nadal zarabiał krocie i Lottie była przekonana, że co roku zmieniał samochód. Lektura jego życiorysu była dla niej interesująca, a kiedy pomyślała o swoich topniejących środkach finansowych, przeszedł ją dreszcz.

Chwilę później sekretarka zaprosiła ją do środka. Gabinet Dunne’a był dwukrotnie większy niż Browna. W pomieszczeniu panował chłód. Na parapecie za oknem piętrzył się śnieg, a szybę pokrywały namalowane przez

mróz obraży. Na biurku dyrektora stały jedynie komputer i telefon.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc, pani inspektor – rzekł dyrektor. Jego twarz była naznaczona stresem, zaciskał usta. Miał czarne włosy, przyprószone za uszami siwizną. – Te zgony to dla nas wielki szok – oznajmił. Jego oczy zdawały się patrzeć przez Lottie na wylot. Współczuła mu, jeśli mógł zobaczyć, co ją gnębi. Kiedyś takie rozmowy spływały po niej jak po kaczce, ale czasy się zmieniły i ona także. – Dwoje szanowanych członków rady ginie jednego dnia. Aż strach o tym myśleć.

– Czy coś związanego z pracą Susan mogło doprowadzić do jej śmierci? Albo Jamesa? Na chwilę obecną sądzimy, że popełnił samobójstwo.

Na twarzy Dunne’a nie pojawiła się żadna reakcja.

– Oboje zajmowali się wnioskami projektowymi. Od czasu do czasu zdarzały się naciski ze strony polityków i deweloperów. Zaręczam, pani inspektor, że moi pracownicy przestrzegali wszelkich zasad etyki pracy.

Mówił powoli i spokojnie, jakby przygotował mowę już wcześniej.

– Czy kiedykolwiek padały pod ich adresem groźby? – zapytała.

– O tak. W okresie „celtyckiego tygrysa” deweloperzy wydawali na działki miliony euro. Zdobyć pozwolenia na budowę dużych osiedli, centrów handlowych, dzielnic przemysłowych gwarantowało zyski. Przynajmniej tym, którzy byli pierwsi. Ci, którzy się spóźnili, stracili wszystko.

– W jaki sposób im grożono? – Wydzwaniano do nich, przychodziły listy... – Dunne wzruszył ramionami. – Kiedyś otrzymałem nabój w małej trumnie.

Lottie przypomniała sobie to zdarzenie.

– Wszystkie incydenty były zgłaszane?

– Tak, oczywiście. Policja powinna mieć dane na ten temat.

– Na pewno tak jest. Sprawdzę to.

– Koniecznie, pani inspektor – uciał przez zaciśnięte wargi.

Czy on ją pouczał? Weź się w garść, kobieto, ostrzegła się Lottie. Dunne’a trudno było rozgryźć. Corrigan przynajmniej krzyczał i powarkiwał, dając do zrozumienia, gdzie według niego jest jej miejsce.

– Muszę przejrzeć bieżące wnioski Susan i Jamesa. Pewnie powie pan, że to dane poufne...

– Wręcz przeciwnie – przerwał jej. – Wszystkie wnioski projektowe są własnością publiczną. Udostępnię je pani. Czy to wszystko?

– Gdzie pan był wczoraj około południa?

– Wróciłem rano do domu z żoną, Hazel. Spędzaliśmy urlop na Lanzarote. Był to chyba ostatni lot, zanim zamknęli lotnisko z powodu pogody. Potem nigdzie nie wychodziłem.

– Pańska żona to potwierdzi?

Uśmiech uwydatnił wybielone zęby dyrektora, ale oczy miał nieruchome.

– Z pewnością.

Jezu, rekin w prążkowanym garniturze. Niech Bóg ma w opiece ryby w jego akwarium, pomyślała Lottie i poszła poszukać Boyda.

\*\*\*

Uśmiech spłynął z twarzy Gerry'ego Dunne'a, jak tylko inspektor opuściła jego gabinet. Spojrzał na zamarzną rzekę pod oknem gabinetu.

Nie był głupi. Wiedział, że oceniała go przez cały czas. Pewnie jej się nie spodobał, ale nie dbał o to. Sam nie za bardzo za sobą przepadał.

Zginęło dwoje jego pracowników. Zainteresowanie policji było mu teraz wyjątkowo nie na rękę.

Maska, którą przybrał, rozpadła się na drobne kawałki. Usiadł za biurkiem, próbując wziąć się w garść. Ukrył twarz w dłoniach, żałując w duchu, że nie został na Lanzarote.

---

<sup>1</sup> Celtycki tygrys – przydomek nadany Irlandii w okresie gwałtownego wzrostu gospodarczego w tym kraju w latach 90. XX wieku i na początku XXI wieku (2001-2002).

## ROZDZIAŁ 14

Boyd z trudem utrzymał kontrolę nad samochodem. Lottie musiała przyznać, że był doskonałym kierowcą. Dobra robota, pomyślała.

– Dwadzieścia dwa – obwieściła, rozcierając sobie czoło zimnymi palcami.

– Co? – zdziwił się.

– Drzewa z lewej strony alei.

– I co to ma niby oznaczać? – zapytał, zatrzymując samochód.

– Tylko tak mówię – odparła. Dlaczego się stresowała? Było jeszcze wcześniej. Wsiadła z samochodu.

Van techników, radiowóz i dwa inne pojazdy stały zaparkowane na podwórzu przed domem Jamesa Browna. W świetle dnia inspektor dostrzegła, że to kamienna chata, po której ścianach piął się przyprószony śniegiem bluszcz. Na środku podwórka stało pozbawione liści drzewo, wokół którego usypano kopiec z kamieni. Znajdujący się po jej prawej stronie dąb, na którym już nie wisiało ciało, rzucał ponury cień. Patolog już opuściła miejsce zbrodni.

Założyli odzież oraz obuwie ochronne i weszli do chaty. Korytarz, którym podążyli do salonu, był wyłożony czarno-białymi kafelkami. Sufit podtrzymywały drewniane belki. Ściany były puste i wyblakłe. Na środku stał okrągły drewniany stół z czterema krzesłami. Kremowa kanapa zwrócona była do kominka, którego czerwone cegły rozciągały się aż do okna. Całe pomieszczenie raziło czystością, chociaż przed kominkiem leżały porzucane świece o różnym stopniu zużycia. Lottie przyłożyła jedną z nich do nosa, nie miała zapachu.

W pokoju było tłoczno. Poza inspektor, sierżantem i kryminologami znajdowało się tam jeszcze dwóch mundurowych. Wszystko zdawało się być na swoim miejscu, bez śladów walki.

– Skończyliśmy – powiedział Jim McGlynn do Boyda, ignorując Lottie.

– Dupek – mruknęła, odbierając jego zachowanie za brak szacunku.

– Słyszałem to – szepnął Boyd.

– Znaleźliście coś, o czym powinniśmy wiedzieć? – zapytała.

– Zdjęliśmy odciski palców i zebraliśmy próbki do porównania –

odpowiedział McGlynn. – O ile będzie je z czym porównać. Nie zostawił listu pożegnalnego.

Kiwnęła głową i weszła do małej kuchni. Otworzyła lodówkę pełną organicznej papki, wśród której trudno było odnaleźć jedzenie. Zamknęła drzwiczki i spojrzała na blat. Pusta umywalka, miska po płatkach, na suszarce kubek i łyżka. Brown nie miał mikrofalówki. Kuchnia była czysta i zadbana, z pewnością nie dobierały się do niej nastoletnie dzieci.

Boyd stał w drzwiach sypialni, zerkając do środka. Lottie dołączyła do niego.

– Co u licha? – zdusiła westchnienie.

– Dokładnie to samo pomyślałem – odrzekł Boyd.

– A wydawał się taki porządny, kiedy z nim wczoraj rozmawiałam.

Lottie weszła do niewielkiej sypialni. Duża szafa, komoda i łóżko z baldachimem sprawiały, że było w niej bardzo ciasno. Każdy centymetr ścian pokrywały plakaty podnieconych, nagich mężczyzn.

– McGlynn mógł nas ostrzec – stwierdziła.

Spojrzała w górę i skinęła na sierżanta, by zrobił to samo. Nad łóżkiem wisiało kwadratowe lustro, przymocowane łańcuchami do sufitu.

– Hugh Hefner mógłby mu buty czyścić. – Boyd aż otworzył usta.

Na łóżku leżał otwarty laptop, częściowo przykryty jedwabną pościelą. To musiał być prywatny laptop Browna. Inspektor nacisnęła klawisz długopisem, otwierając ekran. Pojawiła się na nim strona pornograficzna. Zmarły najwyraźniej nie spodziewał się, że ktoś obcy będzie grzebał w jego laptopie. Zawartość strony była drastyczna, ale znajdowały się na niej dzieci, tylko dorośli. Lottie widywała już gorsze rzeczy.

– Spójrz, jakie ten gość ma jaja. – Boyd gapił się na fotografię.

Czuła się niezręcznie, naruszając prywatność zmarłego. Zamknęła laptop i wzięła go pod pachę. Technicy sprawdzą jego zawartość. Sierżant był zajęty przeszukiwaniem szuflad. Inspektor wyszła z sypialni i udała się do małej łazienki.

Na półce nad umywalką stała woda kolońska, a na parapecie szklanka z pastą do zębów i szczoteczką.

Wkrótce Lottie dołączyła do Boyda.

– Masz coś?

– Sporo – odparł. – Ale nic, co wskazywałoby na motyw, chyba że ktoś nie lubił gejów. Nadal uważam, że sam się zabił.

– To wszystko jest za proste – potrząsnęła głową. – Jak na razie wspólnym mianownikiem obu ofiar jest miejsce pracy. Sullivan i Browna musi łączyć coś jeszcze.

Sierżant wzruszył ramionami. Wyszli na zewnątrz i zdjęli odzież ochronną.

– Chcesz prowadzić? – spytał, powstrzymując ziewnięcie.

– A jak myślisz? – Uśmiechnęła się, siadając na miejscu pasażera. – Włącz ogrzewanie, bo zamarznię.

– A myślisz, że ja nie?

Uruchomił silnik i cofając, wjechał w zderzak jednego z radiowozów.

– Co ci jest? – zdziwiła się. – Znalazłeś tam coś fajnego?

Nie odpowiedział.

Lottie zamknęła oczy i oparła głowę o szybę. Może powinna napisać do Chloe, żeby włączyła ogrzewanie? Chociaż nie, jak dzieciakom będzie zimno, to same wpadną na to, co zrobić. Problem w tym, czy będą pamiętały, by je wyłączyć.

Zadzwoił telefon Lottie.

– Pani inspektor, znaleźliśmy telefon w neseserze Browna – zakomunikował Kirby.

– Tak, mów dalej.

– Sprawdziliśmy spis ostatnich połączeń.

– Znaleźliście coś niezwykłego, jakieś powtarzające się telefony? – Miała nadzieję, że wpadli na jakiś trop. Potrzebowała tego, i to szybko.

– Przed śmiercią rozmawiał z Derekiem Harte'em. Ciekawsze jest to, z kim rozmawiał wcześniej.

– Słucham.

– Rozmowa trwała trzydzieści siedem sekund.

– Nie marnuj mojego czasu, Kirby. Do kogo dzwonił Brown?

– Do Toma Rickarda.

Zamyśliła się na chwilę.

– Tego od Rickard Construction? To nazwisko pojawiło się w plikach odnośnie „osiedli-widmo” w komputerze Susan Sullivan. Pamiętam, że kilka lat temu dostał pozwolenie na zburzenie banku przy ulicy Main Street i postawienie tam siedziby firmy. Była z tego niezła afera.

– Z tego, co napisała pani w raporcie, wynika, że Brown zadzwonił do Rickarda jakieś cztery minuty po rozmowie z panią.

– Dzięki, Kirby. – Lottie zakończyła rozmowę.



- Czyli następny przystanek to Tom Rickard? – skonstatował Boyd.
- Sama się nim zajmę.
- Może powinienem pojechać z tobą.
- Znam się na takich jak on. Lepiej będzie, jak spotkam się z nim sama.

Poza tym muszę wziąć wydruk bilingu z posterunku.

Widoczność pogarszała się i sierżant miał problem z utrzymaniem samochodu na drodze.

– Niezły sposób na spędzenie Sylwestra – rzuciła, pochylając się, by włączyć ogrzewanie.

Zamknęła oczy, kiedy Boyd zaklął.

## ROZDZIAŁ 15

– Panie Rickard, mogę zabrać panu chwilę?

Lottie podążyła za mężczyzną. On natomiast minął ją, zmierzając w kierunku szklanej windy.

– Pan Tom Rickard, prawda? – spytała.

– Czego pani ode mnie chce? – mruknął.

Inspektor założyła ręce na piersi. Nie miała zamiaru się ruszać.

– Musi się pani umówić na spotkanie – odburknął i grubym palcem wcisnął przycisk otwierania drzwi.

Lottie wyciągnęła legitymację służbową i machnęła mu nią przed nosem. Rickard uśmiechnął się drwiąco.

– Mogłem się domyślić, że to pani, inspektor Parker. Wygląda pani inaczej niż na zdjęciach w prasie.

– Mam do pana kilka pytań.

Rickard wcisnął przycisk z numerem trzy. Drzwi zamknęły się powoli i winda ruszyła w górę. Jego biuro zdawało się zajmować większą część trzeciego piętra.

Wbrew sobie Lottie doceniła jego gust. Wnętrze było nowoczesne i przestronne. Jasne kolory idealnie pasowały do osoby, która przed nią teraz stała.

Rickard zdjął kaszmirowy płaszcz i powiesił go na wieszaku. Usiadł za biurkiem, wskazując inspektor krzesło. Nie wiedziała zbyt wiele na temat mody, ale uznała, że jego płaszcz kosztował co najmniej tyle, ile wynosiła jej tygodniowa pensja, może nawet dwie. Pod tym względem dzieliła ich przepaść.

Miał na sobie szary garnitur i dwurzędową kamizelkę, która ciasno opinała jego brzuch. Wyglądał na ponad pięćdziesiąt lat i miał jakiś metr osiemdziesiąt siedem wzrostu. Jego rude włosy były starannie uczesane, a zęby tak lśniące, że na pewno musiały być wybielane. Niebieska koszula i ciemnoszary krawat nadawały mu styl człowieka na wysokim stanowisku. Był przystojny. Jego szczeka i niebieskie oczy przypominały wygląd Roberta Redforda.

– Jestem bardzo zajęty – pochylił się, opierając ręce na biurku. – W czym mogę pomóc?

– Panie Rickard – mówiła powoli, nie zważając na napięty grafik rozmówcy – słyszał pan o wczorajszym tajemniczym zgonie w katedrze?

– Widziałem w wiadomościach wczoraj wieczorem. Ogromna tragedia. – Usiadł w fotelu, zwiększając odległość między sobą a inspektor. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Czy ktoś może potwierdzić, co robił pan wczoraj od jedenastej rano do około ósmej wieczorem?

Lottie obserwowała go. Miał nieodgadniony wyraz twarzy, który przypominał jej zmieniającego kolory kameleona.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie znałem ofiary.

– Na pewno?

– Nie wiem. Spotykam wiele osób w ramach swojej pracy. Nie sposób zapamiętać ich wszystkich.

– Pytam jeszcze raz. Czy ma pan alibi na wczoraj, zwłaszcza między jedenastą a dwudziestą?

Zaczynało jej się to podobać. Może i chwytła się brzytwy, ale zmiany w jego języku ciała podpowiadały jej, by naciskała dalej.

– Sprawdź w kalendarzu – odparł po chwili namysłu.

– Chodzi mi o wczorajszy dzień, nie zeszły rok. Na pewno pamięta pan, gdzie był oraz co i z kim robił?

– Podróżuję po całym kraju, czasem świecie. Wczoraj mogłem być na Wall Street.

Grał na zwłokę czy próbował wkręcić jej jakąś bajkę? Nie miała wątpliwości, że idealnie pasował do stylu Wall Street.

– Proszę nie marnować więcej mojego i swojego czasu – rzekła. – Lotnisko w Dublinie było zamknięte od wczorajszego poranka. Proszę wymyśleć coś innego.

Rickard włączył iPada i stuknął w ikonę kalendarza. Palcem wskazującym wybrał wczorajszą datę. Inspektor pochyliła się nad biurkiem, próbując odczytać odwrócone litery.

Oboje unieśli głowy w tym samym momencie, patrząc na siebie.

– Byłem poza firmą. Asystentka odwołała moje spotkanie w Dublinie z powodu złej pogody. Odwiedziłem kilka placów budowy.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Potwierdzić? – zaśmiał się.

– Powiedziałaś coś zabawnego?

– Nie, pani inspektor? Czy jestem podejrzanym?

– Próbuję określić wiarygodność pańskiego alibi.

– Hmm... na placach nie było nikogo innego, z powodu pogody.

Potwierdzić? – powtórzył. – Wątpię.

– Potrzebuję listy miejsc, w których pan był.

Wzruszył ramionami.

– Coś jeszcze?

– Wczoraj późnym popołudniem ktoś do pana zadzwonił – oznajmiła, zmieniając temat rozmowy.

Rickard poruszył się na krześle.

– O czym pani mówi?

– O Jamesie Brownie, z którym rozmawiał pan tuż przed jego śmiercią.

– On nie żyje? – osłupiał. Wyglądał, jakby się zamyślił. – Nie znam żadnego Jamesa Browna. Na pewno do mnie nie dzwonił.

– Akurat.

Wyciągnęła z kieszeni wymiętą kartkę papieru i rozłożyła ją na biurku. Podniosła srebrne pióro i zakresliła nim przedostatni numer telefonu. Reszta strony była zamazana na czarno. Spojrzała na niego i zapytała:

– Czy to pański numer?

– Możliwe.

– To jest pański numer. Dobrze pan o tym wie. Czego chciał od pana James Brown, zanim najprawdopodobniej powiesił się na drzewie przed domem?

Nawet nie drgnęła mu powieka.

– Nie przeczę, w przeszłości miałem do czynienia z Brownem. Żałuję, że zginął, ale nie miałem z tym nic wspólnego, pani inspektor.

– Wcale tego nie powiedziałam. Zadałam panu proste pytanie.

– Sam nie wiem, może zadzwonił przez pomyłkę – odpowiedział.

– Rozmowa trwała trzydzieści siedem sekund.

– I co z tego?

– Zdobędę nakaz uzyskania pańskich billingów telefonicznych.

– Proszę bardzo. A teraz przepraszam. Mam dużo pracy.

Zaczął trzaskać szufladami biurka, dając jej do zrozumienia, że ma się wynosić.

- Jeszcze tu wrócę, panie Rickard – oznajmiła, wstając.
- Nie wątpię – stwierdził. – Na pewno znowu się spotkamy.
- Do siego roku – rzuciła przez ramię i opuściła pokój, zanim zdążył jej odpowiedzieć. Wchodząc do windy, przeczuwała, że zalazła mu za skórę, co pewnie oznaczało dla niej kłopoty.

\*\*\*

Tom Rickard w ciszy wpatrywał się w zamknięte drzwi. Przyciągnął do siebie kartkę z zaznaczonym numerem telefonu i długo się w niego wpatrywał. Były tam, czarno na białym, data, czas i długość trwania połączenia.

Pociągnął nosem, zmiął kartkę i wrzucił ją do kosza.

Miał za dużo do stracenia. Muszą mu udowodnić rozmowę z Brownem. Będzie zaprzeczał aż do końca.

Odsapnął, po czym wcisnął klawisz automatycznego wybierania numeru telefonu.

– Znowu musimy się spotkać.

## ROZDZIAŁ 16

– Brown mógł być szantażowany. Sama widziałaś, co miał w sypialni – stwierdził Boyd, kiedy inspektor wróciła na posterunek.

Była zbyt zdenerwowana, by siedzieć, więc stała.

– Daj spokój! Zdjęcia nagich facetów na ścianie to żaden powód do szantażu.

Spacerowała tam i z powrotem. Nawyki Corrigan zaczęły się rozprzestrzeniać.

Wysłała laptop Browna do techników i zleciła jednemu z detektywów sprawdzenie gróźb, które otrzymywał zmarły. Czekają ją jeszcze przesłuchanie Dereka Harte'a, który znalazł ciało. Zastanawiała się, kim był ten człowiek i co robił przed domem Browna. Kazała Lynch go znaleźć, kiedy ten nie stawiał się na dziesiątą na posterunku.

– Niech ktoś, nieważne kto, załatwi nakaz wydania billingów Toma Rickarda – poleciła. – Sprawdźcie też, kiedy odbędzie się następne posiedzenie sądu okręgowego. Musimy ruszyć z miejsca.

– Usiądziesz wreszcie? Działasz mi na nerwy – mruknął Boyd.

Lottie usiadła.

Zadzwoił telefon na biurku.

– Dzień dobry, pani inspektor. – W słuchawce odezwał się głos patolog. – Może pani wpaść do Tullamore? Wiem, że pogoda jest koszmarna, ale muszę pani coś pokazać.

– Oczywiście.

– Sporządziłam wstępny raport.

– Może mi go pani przesłać e-mailem?

– Naprawdę muszę pani coś pokazać.

– Będę za pół godziny.

– Jakież wieści? – zapytał Boyd.

– Daj spokój – machnęła ręką. Wiedziała, że słyszał każde słowo. – Tęsknię za własnym biurem – dodała, zakładając kurtkę.

– Pomarzyć sobie to dobra rzecz – stwierdził.

Z każdym dniem coraz bardziej przypominał jej matkę. Szybko zapięła

kurtkę, niemal zacinając sobie gardło.

– A ty dokąd?

Nie odpowiedziała. Wyszła, trzaskając drzwiami.

– Kobiety – burknął.

– Słyszałam! – zawołała.

Wróciła chwilę później, kiedy zobaczyła, że pogoda jest paskudna.

– Boyd?

– Tak, pani inspektor?

– Podwieziesz mnie do Tullamore?

## ROZDZIAŁ 17

Mężczyzna wracał właśnie do biura, kiedy zobaczył nastolatka zmierzającego do baru Danny's. Musiał pójść za nim. W środku panował półmrok, dlatego udało mu się pozostać niezauważonym. Patrzył, jak młodzieniec przeciska się w stronę jakiejś dziewczyny, całuje ją w usta i zdejmuje kurtkę.

Mężczyzna zamówił Guinnessa, usiadł przy barze i odchylił się, by dobrze widzieć parę. Chłopak przewiesił kurtkę przez ramię i objął wąską talię swojej wybranki. Mężczyznę nie interesowała dziewczyna. Poluzował krawat i nadal wpatrywał się w nastolatków.

– Zamierzasz wypić to piwo czy chcesz je komuś postawić? – Barman wyszczerzył zęby.

Mężczyzna uniósł brew, upił łyk z kufła, po czym skupił wzrok na delikatnych rysach twarzy chłopca. Wsunął nogi głębiej pod blat, ukrywając twardej części w spodniach członka. Miał mnóstwo do roboty, ale na razie chciał tylko siedzieć i patrzeć. I wyobrażać sobie, co by zrobił, gdyby dostał młode ciało chłopaka w swoje ręce.



## ROZDZIAŁ 18

Patolog Jane Dore powitała Lottie i Boyda w Trupiarni. Jej ciemnozielone oczy spoglądały na nich znad wąskich okularów. Elegancka granatowa spódnica przylegała do jej drobnego ciała, a niebieska bluzka zapięta była pod szyję. Nosiała buty na bardzo wysokim obcasie. Inspektor wiedziała, że nieodpowiednio się ubrała. Miała na sobie kurtkę, dzinsy i koszulę z długim rękawem, nałożoną na kamizelkę termoochronną. Drogę do Tullamore, oddalonego czterdzieści kilometrów od Ragmullin, spędziła w milczeniu, podczas gdy Boyd fałszował, próbując śpiewać piosenki z radia. Irytował ją, ale nic nie powiedziała. Czasami milczenie było najlepszą metodą na radzenie sobie z sierżantem.

– Witam w Trupiarni. – Jane Dore wyciągnęła drobną dłoń, którą inspektor uścisnęła.

– Proszę, mów mi Lottie. Skąd ta nazwa? – spytała.

– Pozostałość po starych czasach. Proszę za mną. – Patolog poprowadziła ich wąskim korytarzem.

Lottie ruszyła za nią. Zastanawiała się, czy zapach środka dezynfekującego zabije odór śmierci. Boyd dreptał za nimi.

Patolog pchnęła drzwi i wprowadziła ich do pomieszczenia od podłogi do sufitu pokrytego białymi kafelkami. Pośrodku stały trzy metalowe stoły. Na dwóch leżały ciała przykryte białymi prześcieradłami. Były to ciała Susan Sullivan i Jamesa Browna. W metalowych szafkach odbijało się całe pomieszczenie, więc wzdrygnęła się na widok swojego zniekształconego wizerunku.

Jane Dore usiadła na wysokim stołku i włączyła komputer.

– Miną wieki, zanim to dziadostwo ożyje – narzekała.

– Dobrze, że tylko komputer tutaj powraca do życia – zażartowała Lottie, próbując rozładować atmosferę. Boyd uniósł brew, po czym odwrócił się bez słowa, krzyżując ręce na piersi.

Patolog bębniła o blat pomalowanymi na czerwono paznokciami. Lottie przysunęła sobie drugi stołek i czekała.

– Znalazłaś coś? – zapytała, kiedy Jane Dore wprowadziła hasło.

Najwyraźniej nie potrzebowała karteczek pod klawiaturą.

– W obu przypadkach przyczyną zgonu było niedotlenienie mózgu przez uduszenie – odpowiedziała. – Na ciele Sullivan nie ma śladów walki. Na palcach Browna znalazłam otarcia i sińce wokół szyi, jakby próbował zerwać linę z szyi. Pod paznokciami znalazłam niebieskie nylonowe włókna. Wysłałam je wraz z włosami do laboratorium. Mają też linę. U podstawy czaski jest niewielkie stłuczenie. Nie wiem, skąd się wzięło, i dopóki nie będę miała wyników badań, nie mogę w stu procentach stwierdzić, czy zabił się sam.

Lottie pochwaliła swoje przeczucie. Od samego początku była przekonana, że Brown nie popełnił samobójstwa. Guz z tyłu głowy oznaczał, że ktoś był z nim zeszłej nocy.

– Z Sullivan było kiepsko... – Dore umilkła w pół zdania, poprawiając okulary. – Być może urodziła dziecko. Nie będę miała pewności, dopóki nie przeprowadzę szczegółowej analizy pobranych tkanek.

– Dlaczego nie jest pani pewna? – zaciekała się inspektor.

– Ma zmasakrowany układ rozrodczy. Późne stadium raka jajników. Na obu znalazłam guzy wielkości mandarynek. Choroba zajęła też macicę.

– Również podejrzewałam, że może mieć raka – odparła Lottie, przypominając sobie tabletki OxyContinu w łazience ofiary.

– Mogła pomylić symptomy z objawami menopauzy – oznajmiła Jane.

– Wiedziała, co jej jest – stwierdziła stanowczo Lottie.

– Rak jajników to cichy zabójca. Objawy pojawiają się dopiero w zaawansowanym stadium choroby. Zostałoby jej najwyżej kilka tygodni życia, gdyby ktoś nie dopadł jej wcześniej.

Lottie wróciła pamięcią do dnia, w którym zdiagnozowano chorobę Adama. Czy Susan przerobiła ten sam okropny scenariusz? Czy przyjęła wiadomość ze spokojem i godnością jak Adam, czy wrzeszczała na lekarza, tak jak Lottie?

– Dobrze się czujesz? – Jane Dore spojrzała na inspektor z troską.

– Wszystko w porządku. Po prostu się zamyśliłam. – Opanowała się, narzucając sobie profesjonalny ton głosu. Chciała walnąć w komputer, żeby zaczął szybciej działać. Miała jednak poobgryzane i nierówne paznokcie, dlatego porzuciła ten zamiar.

– No... nareszcie – odetchnęła patolog, kiedy ekran komputerowy się rozświetlił. Wpisała imię i nazwisko ofiary. Na monitorze pojawiły się ikony

i kilka linijek tekstu. Kliknęła jedną z nich i na ekranie pojawiło się zdjęcie ciała Susan Sullivan.

– Tutaj widać głębokie wcięcie na skórze, pochodzące od kabla. Rana pasuje do znalezionych na szyi ofiary słuchawek iPod'a. Badania laboratoryjne potwierdzą, czy były one narzędziem zbrodni. Szybkie pociągnięcie, ucisk trwający piętnaście do dwudziestu sekund i ofiara jest martwa.

– Czy zabójcą musiał być mężczyzną?

– Niekoniecznie. Przy odpowiedniej technice mogła tego dokonać osoba dowolnej płci. Na szyi nie ma wielu otarć i sińców. Ofiara nie stawiała dużego oporu.

Lottie obserwowała kursor, który przesuwał się w dół zdjęcia i zatrzymał nad prawym udem Susan.

– Co to jest? – spytała, mrużąc oczy.

– To domowej roboty tatuaż. Atrament nakłada się na skórę, a potem wbija pod to miejsce igłę. Wygląda jak okrąg z liniami w środku. Nie jest zbyt wyraźny, za to głęboki. Jakby wykonano go nożem. Pokażę wam – powiedziała Jane Dore. – Załóżcie je.

Wyciągnęła z szuflady lateksowe rękawiczki i podała je Lottie i Boydowi. Zeszła ze stołka i eleganckimi krokami podeszła do najbliższego stołu. Zdjęła czarne prześcieradło, odsłaniając nagie ciało Susan Sullivan. Tors kobiety znaczyło grube nacięcie w kształcie litery Y, które zaszyto grubą nicią.

Lottie zadrzała. Czy taki sam los spotkał jej męża? Adam umarł w domu, a to oznaczało wizytę pracownika zakładu pogrzebowego, który umieścił jego ciało w stalowej trumnie i odwiózł do szpitala na sekcję zwłok. Była wtedy zbyt zrozpaczona, by zaprotestować. Teraz jednak nie miała czasu, żeby to rozpamiętywać. Skoncentrowała się na tym, co pokazywała patolog.

Jane Dore przesunęła jedną z nóg zmarłej i wskazała na jej udo.

– Widzicie? – wskazała na tatuaż.

Lottie przestąpiła z nogi na nogę, próbując ukryć dyskomfort, w jaki wprawiała ją ta sytuacja. Pochyliła się, by spojrzeć dokładniej. Łono Susan znajdowało się tuż przy jej twarzy.

– Tak, widzę – mruknęła, czując za plecami obecność Boyda.

– Teraz spójrz na to.

Na drugim stole, z którego Jane również zerwała płachtę, leżało ciało Jamesa Browna. Był blejszy niż kiedykolwiek. Szwy pokrywały mu pierś.

Patolog rozsunęła nogi nieboszczyka. Na jednej z nich Lottie dostrzegła znak podobny do tatuażu Sullivan. Ten był jednak bardziej owalny, jakby temu, kto go wykonywał, zadrżała ręka.

– Wysłałam próbki tuszu do laboratorium. Analiza trochę potrwa.

– Założę się, że to nie jest jeden z rytuałów inicjacyjnych rady miejskiej – oznajmił Boyd.

– Nic mnie już nie zdziwi – odparła inspektor.

– Moim zdaniem te znaki wykonano trzydzieści lub czterdzieści lat temu.

Wskazują na to wzrost naskórka i wyblakły tusz.

Lottie już chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. To był ważny, poza ich pracą, fakt łączący Sullivan i Browna.

Jane Dore wydrukowała zdjęcia tatuaży.

– Pomyślnych łowów – powiedziała, wręczając je sierżantowi.

Oddychając głęboko, Lottie próbowała pozbyć się z nozdrzy zapachu zgnilizny. Zdjęła rękawiczki i wrzuciła je do kosza pod ławką.

Patolog wydrukowała wstępny raport z sekcji i przekazała go inspektor. Potem wróciła do oznaczania i pakowania zwłok oraz robienia wszystkich innych rzeczy, które były jej obowiązkiem przy kończeniu sekcji. Inspektor nie chciała o nich wiedzieć. Idąc za Boydem, przeglądała raport i zastanawiała się, czy Susan Sullivan mogła mieć dziecko.

– Dowiedz się, kto leczył Sullivan – nakazała.

Nagle usłyszała stukot szpilek i obróciła się. Stała za nią Jane Dore – tak blisko, że Lottie poczuła dreszcz. Bardziej przerażali ją ludzie żywi niż martwi. Weź się w garść, Parker.

– Właśnie idę coś zjeść. Może dołączycie?

– Bardzo mi przykro, ale musimy wracać do Ragmullin. Może następnym razem?

– Obyśmy się już więcej nie spotkały. Proszę za mną.

Lottie uśmiechnęła się. W ten sposób patolog chciała dać do zrozumienia, że ma poczucie humoru.

## ROZDZIAŁ 19

Światło było włączone, do budynku nie wpadały promienie słoneczne i trudno było stwierdzić czy to dzień, czy noc. Wnioskując z burczenia w brzuchu, Lottie uznała, że było wczesne popołudnie. Pospiesznie opuścili Tullamore. Miała już dość Trupiarni.

Derek Harte siedział w dusznym, pozbawionym okien pokoju przesłuchań. Był po trzydziestce, miał krótkie brązowe włosy i gładko ogoloną twarz. Jego zielone oczy, niczym wypalone węgle, były pozbawione życia, a twarz miała szary kolor. Wokół niego unosił się męski zapach i Lottie zastanawiała się, czy w ten sposób próbował ukryć kobiecy wygląd. Wyglądało na to, że używał wody kolońskiej na pokaz. Spod jego czarnej kurtki z polaru wystawał czerwony kaptur.

Na ścianach znajdowały się kamery i mikrofony. Nagrywarka DVD była włączona. Po dopełnieniu formalności Harte zaczął mówić:

– Poznaliśmy się z Jamesem w czerwcu zeszłego roku.

Zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Lottie wiedziała, co czuł. Przelotne wspomnienia mogły pojawić się w najmniej dogodnej chwili, wywołując uśmiech i łzy. Znała ten stan aż za dobrze.

– Gdzie pan go poznał?

– To bardzo delikatna sprawa – powiedział, podnosząc wzrok. Ich spojrzenia spotkały się na moment.

– Zareczam, że wszystko, co pan powie, zostanie zachowane w tajemnicy – zapewniła inspektor, nie do końca wierząc we własne słowa.

– Poznałem go przez Internet. Od jakiegoś czasu korzystałem z pewnego portalu towarzyskiego. Nie miałem odwagi do nikogo napisać, dopóki nie trafiłem na Jamesa. Był miły, niegroźny, jeśli mnie pani rozumie.

Kiwnęła głową, zachęcając, by mówił dalej.

– Wyglądał normalnie. Uczciwie. Poznałem to po fotografiach i opisie. Wysłałem do niego e-maila, zanim zdążyłem się rozmyślić. Odpisał, że chce się spotkać. Nie mogłem uwierzyć, że się mną zainteresował. – Harte spojrzał na Lottie, po czym mówił dalej: – Pracuję w szkole, sześćdziesiąt kilometrów stąd.

– Gdzie dokładnie?

– W Athlone.

– Tam się spotkaliście?

– Nie. Uznałem, że dyskretnej będzie spotkać się w hotelu w Tullamore.

– O czym rozmawialiście?

– Głównie o pracy. Jaka była stresująca, jak sobie z nią radziliśmy. Nie poruszaliśmy tematu naszej seksualności. Przynajmniej przez kilka pierwszych spotkań. Można powiedzieć, że były to randki, ale bardziej wyglądaliśmy na dwóch kumpli, którzy przyszli na drinka i obejrzeć mecz. Z tym że nigdy nie oglądaliśmy żadnego meczu.

– Jak rozwinął się wasz związek? – zapytała, kiedy zamilkł na dłuższą chwilę.

– James zaprosił mnie do siebie. Spędziliśmy razem cudowny wieczór. Ozdobił stół różami i świecami. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Zwracał uwagę na szczegóły. Potem jakoś się to wszystko potoczyło.

– Co ma pan przez to na myśli?

– Zostaliśmy kochankami. Planowaliśmy wspólną przyszłość. – Harte zamilkł i zamknął oczy. Kiedy znowu przemówił, w jego głosie brzmiała nuta stanowczości. – James był najcichszą, najżyczliwszą osobą, jaką znam. Nie rozumiem, dlaczego ktoś mógłby mu to zrobić. Zniszczyli jego przyszłość. Naszą przyszłość.

– Panie Harte, na tym etapie śledztwa nadal podejrzewamy, że było to samobójstwo.

– James nie miał powodu, by się zabić.

– Proszę mi opowiedzieć o zdjęciach w jego pokoju.

– To tylko plakaty – burknął, wzruszając ramionami. – Heteroseksualni mężczyźni wieszają kalendarze z nagimi kobietami. – Zarumienił się. – Przykro mi, ale tak jest. James lubił te plakaty. Prawo tego nie zabrania, prawda?

– Z tego, co wiem, to nie.

– Byliśmy szczęśliwą parą – odparł, a jego ramiona opadły.

– Zauważył pan tatuaż na udzie Jamesa?

– Tak – przytaknął.

– Pytał go pan, skąd go ma?

– Tak. Zrobił się bardzo spięty. Powiedział, że to nie moja sprawa. To dotyczy poprzedniego życia, tak powiedział. Poprzedniego życia.

– To wszystko? – spytała.

– Nie wiem, czego dotyczyło to wspomnienie, ale bardzo go gnębiło. Więcej o tym nie wspominałem.

Harte zamknął oczy i ciężko westchnął.

– Dobrze się pan czuje? Może podać panu coś do picia? Wody? Kawy?

– Nic mi nie jest.

– Spotkał się pan z Jamesem na święta? – Lottie zadała kolejne pytanie.

– Tak. James odwiedził mnie w Wigilię, mimo tej zamieci. Był zdenerwowany. Chciał wrócić na jakieś spotkanie tego samego wieczoru, ale pogoda była tak zła, że został ze mną.

– Miał umówione spotkanie w Wigilię?

– Nie mam pojęcia z kim. Ale spędziliśmy razem pierwszy dzień świąt – uśmiechnął się. – To były najszcześniejsze święta, jakie przeżyłem, odkąd przestałem wierzyć w Świętego Mikołaja.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Drugiego dnia świąt. Pojechał tego dnia do domu. Dwudziestego siódmego musiał być już w pracy.

– Ma pan klucz do jego domu?

– Nie. Ale wiem, gdzie jest schowany.

– To znaczy?

– Pod kamieniem obok jabłoni, na podwórku.

Lottie westchnęła. Czy wszyscy podchodzili do bezpieczeństwa domu równie nonszalancko jak ona?

– Czy wie o tym ktoś poza panem?

– Nie mam pojęcia.

– Czy znaleziony wczoraj w drzwiach klucz należał do Jamesa?

– Chyba tak. Nie podchodziłem do drzwi – odparł. Po chwili dodał łamiącym się głosem: – Kiedy zaparkowałem za samochodem Jamesa, zobaczyłem go wiszącego na drzewie.

– Widział pan kogoś jeszcze? Inne samochody? Ktoś minął pana na podjeździe albo na głównej drodze?

– Nie, nie widziałem nikogo, pani inspektor. Tylko Jamesa. Wisiał jak... jak... O Boże! – Zakrył usta dłonią i oparł łokcie na stole, dławiąc szloch.

Lottie zanotowała jego słowa. Wiedziała, że rozmowa jest nagrywana, ale musiała pozbierać myśli.

– Czy James miał małą zieloną latarkę?

Harte pokręcił głową.

– Nie wiem.

– Co pan robił u niego wczoraj w nocy?

– Mieliśmy się dzisiaj spotkać... na Sylwestra. Ale zadzwonił do mnie i powiedział o śmierci Susan Sullivan. Był bardzo przygnębiony.

– Nie zważając więc na zamieć, pojechał pan do niego?

– Tak, pani inspektor.

Lottie obserwowała go. Wydawało się, że był szczery.

– Czy w ostatnim czasie miewał zmiany nastrojów?

Zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Kilka miesięcy temu James powiedział mi, że u Susan zdiagnozowano raka. Chyba znał ją od dawna, ale nigdy nas sobie nie przedstawił. Kiedyś poprosiłem go o to, ale odmówił.

– Czy James opowiadał panu coś o Susan?

– Tylko tyle, że sporo w życiu przeszła. Mówił tak, jakby sam doświadczył tego, co ona. James taki właśnie był, współczujący. Czasem zdawało mi się, że miał na jej punkcie jakąś obsesję.

– Dlaczego?

– Pewnie chodziło o coś związanego z ich pracą.

– To znaczy?

– Denerwował się głosowaniem nad planem rozwoju rady. Powtarzał, że nie może uwierzyć, że coś przemieścili. Nie znam się na tych sprawach, ale na pewno łatwo się pani dowie, o co chodziło. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

– I w tym tkwi cały szkopuł – odparła Lottie, myśląc o wyrazie twarzy Kirby’ego, kiedy dowie się, że będzie musiał przekopać tony dokumentów. – Pamięta pan, kiedy to było?

– Może w czerwcu albo lipcu, naprawdę nie jestem pewien, pani inspektor. To pewnie nic takiego.

– Ja o tym zdecyduję – odpowiedziała. I tak jeszcze nic nie mieli. Od przybytku głowa nie boli.

– Żałuję teraz tylu rzeczy.

– Wiem coś o tym – powiedziała smutno. Pomyślała o wszystkich sprawach, z którymi nie mogła sobie poradzić. – Dziękuję, panie Harte. Na razie jest pan wolny – oznajmiła – ale jeszcze wrócimy do naszej rozmowy.

– Oczywiście – odrzekł Harte.



Wstał i podszedł do drzwi. Kurtka wyraźnie ciążyła mu na ramionach. Kiedy wyszedł, w pomieszczeniu pozostał jego zapach – gorzka woń straty. Lottie wiedziała, że nigdy się z nią nie pogodzi, ale pomimo to z jakiegoś powodu wątpiła w jego szczerłość.

## ROZDZIAŁ 20

– Usiądź, Tom, bo działasz mi na nerwy.

Tom Rickard, deweloper nieruchomości, krążył po marmurowej podłodze kuchni, co jakiś czas zerkając na swoją żonę, Melanie. Pluł sobie w brodę za to, że odebrał telefon od Jamesa Browna. Jeszcze bardziej irytowała go ta inspektor, bo wtykała nos w nie swoje sprawy. Melanie Rickard dopiła kieliszek Cabernetu, podeszła do zlewu i umyła kieliszek. Wolą białe wino, więc dlaczego odkorkowała czerwone? Zachowywała się jak ostatnia suka, była zła, bo bez zapowiedzi odwołał ich noworoczne plany.

Rickard miał gdzie spacerować. Ich kuchnia była tak wielka, jak cały parter niejednego domu. Ale ich dom nie był taki jak inne. Nic nie było normalne, jeśli chodziło o Melanie Rickard, z którą był żonaty od dwudziestu jeden lat.

– Co się z tobą w ogóle dzieje? – Wytarła kieliszek, nadal stojąc do niego plecami.

Nie odpowiedział. Wiedział, że odpowiedź jej nie interesuje. Melanie zadawała pytania, bo myślała, że tego się od niej oczekuje. A on był pewien, że przestał ją obchodzić wiele lat temu.

Wiszący na ścianie zegar odliczał kolejne wieczorne minuty, potęgując zamęt panujący w jego głowie. Melanie chciała urządzić przyjęcie. Marzyła o kolejnych wakacjach. Jej szafa uginała się od drogich markowych ubrań. Chciała wszystkiego i dostawała, co sobie zażyczyła. Był na jej każde skinienie. Ale to było kiedyś. Wszystkie pieniądze utopił w nowym projekcie, który ciągnął go na dno jak żelazna kula u nogi. Na szyi miał stryczek, spleciony z długów nie do spłacenia. A do tego dwie osoby nie żyły.

Nie wiedział, co robić, więc krążył dalej po kuchni.

Kiedy podniósł wzrok, jego żony już nie było.

Musiał z kimś porozmawiać. Potrzebował swojej bratniej duszy, z którą czuł się tak dobrze. Tą bratnią duszą nie była Melanie.

Włożył płaszcz, schował telefon do kieszeni i owinąwszy się kaszmirowym szalikiem, opuścił ciepłą kuchnię i ruszył w mroźną noc.

## ROZDZIAŁ 21

Lottie stała przed domem Susan Sullivan. Taśmy policyjne nadal trzepotały na lodowatym wietrze. Pozdrowiła mundurowych siedzących w radiowozie. Czekwała ich długa, zimna noc, więc miała nadzieję, że wzięli coś ciepłego do picia. Wcześniej nakazała dwudniową obserwację domu Susan, na wypadek gdyby ktoś się tu pojawił.

Dom tonął w ciemnościach. W okolicznych budynkach paliło się światło, niektóre nadal były ozdobione świątecznymi dekoracjami. Mieszkańcy właśnie mrozili szampana na powitanie Nowego Roku. Dom Sullivan był pusty i ciemny, w żalobie. W okiennych szybach odbijał się iskrzący śnieg.

Zanim opuściła posterunek, poinformowała zespół dochodzeniowy o tym, czego dowiedziała się od patolog i Dereka Harte'a. Powierzyła Boydowi rolę sekretarza, a Kirby był zajęty porównywaniem raportów z rozmów z sąsiadami. Jak dotąd nic nie znaleźli. Nikt nic nie widział. Czy wszyscy w Ragmullin byli głusi, ślepi i niemi? Co się stało z wszystkimi wścibskimi oczami wyglądającymi przez okna? Ponadto policja nadal nie odnalazła prywatnego telefonu i laptopa zamordowanej.

Podczas gdy członkowie zespołu mamrotali z niezadowoleniem o przyjęciach sylwestrowych, które przeszły im koło nosa, Lottie opuściła posterunek. Potrzebowała powietrza. Poszła do domu Susan, który z jakiegoś powodu ją przywoływał. Doświadczenie podpowiadało jej, że skrywał w sobie jakąś wskazówkę. Musiała ją tylko znaleźć.

Schyliła się pod taśmą policyjną i otworzyła drzwi. Włączyła światło na korytarzu, wsłuchując się w skrzypienie desek i grzechot starego kaloryfera na piętrze. Wkrótce odgłosy ucichły. W domu było ciepło. Termostat, pomyślała. Kiedy weszła do kuchni, ciszę zakłócał tylko szum lodówki.

Lottie rozejrzała się, rozmyślając, co spowodowało, że Susan zostawiła kuchnię w tak opłakanym stanie, tymczasem gdy jej sypialnia lśniła czystością. Wyglądało to tak, jakby w domu mieszkały dwie różne osoby. Czy Susan miała schizofrenię lub chorobę dwubiegunową? A może to miało związek z jej dzieciństwem?

Otworzyła lodówkę, której jasne światło spowiło pomieszczenie.

Wyciągnęła szufladę zamrażarki, gdzie znalazła kilka pudełek lodów Ben & Jerry's. Były równo ułożone i nietknięte.

Zamknęła zamrażarkę i spojrzała na pozostałą zawartość lodówki. Połowa kostki sera, który zaczął już twardnieć na brzegach. Mleko i resztki czerwonej cebuli. Nieotwarta paczka krojonej szynki i dwie tabliczki czekolady. Za mlekiem stał karton soku pomarańczowego. W pojemniku na warzywa leżały dwie zielone papryczki i pół główki kapusty.

Zanim zamknęła lodówkę, jeszcze raz zajrzała do zamrażarki. Wyjęła z niej lody, pod którymi leżał woreczek ryżu. Znajdowało się w nim coś jeszcze. Lottie nałożyła rękawiczki i wyciągnęła zamrożony woreczek. Poza ryżem były w nim pieniądze. Pierwszy banknot miał nominał pięćdziesięciu euro. Były tam same pięćdziesiątki. W środku musiało być około dwa tysiące euro, a może więcej. Dlaczego Susan Sullivan trzymała pieniądze w zamrażarce? Na wakacje? Ale dlaczego miałyby się na nie wybierać, skoro była umierająca?, zastanawiała się. Chciała przeliczyć pieniądze, ale musiała poczekać, aż worek się rozmrozi.

Ech... ci Kirby i Lynch! Jak mogli to przeoczyć? Co jeszcze im umknęło? Rozejrzała się za czymś, w co mogłaby włożyć zamrożony woreczek. Po chwili jednak stwierdziła, że zostawi go tak, jak znalazła. Zajmą się nim technicy.

Włożyła woreczek z ryżem i pieniędzmi do lodówki i zamknęła ją. Zaciągnęła okienną roletę i zapaliła światło. Zajrzała do wszystkich szafek, które pokrywała warstwa tłuszczu. Nie znalazła tam nic ciekawego, więc zgasła światło, wyszła z kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Zajrzała do salonu. Zdusiła w sobie pragnienie przejrzania piętrzących się w nim gazet. Pewnie nie znalazłaby w nich nic przydatnego dla śledztwa. Były jedynie zbieraniną śmieci, objawem obsesji. Rozejrzała się po pokoju. Telewizor, dwa fotele i kominek. Wtedy dotarło do niej, co zaniepokoiło ją, kiedy po raz pierwszy weszła do tego domu.

Był jak pocztówka – z jednej strony ładny obrazek, a z drugiej pustka. Skorupa pozbawiona duszy. W domu brakowało książek, fotografii, płyt CD czy DVD, perfum. Jednym słowem – nie było tu nic, co zdradziłoby, jaka była Susan Sullivan. Jej dom był jak puste płótno, dokładnie odzwierciedlające to, co wiedzieli o mieszkającej w nim kobiecie. Czyli nic.

Nie weszła ponownie na górę. Stwierdziła, że przyśle detektywów Kirby'ego i Lynch, którzy będą musieli jeszcze raz wykonać swoją robotę.

Nie tolerowała niekompetencji. Wiedziała, że jej ludzi stać na więcej. Poza tym telefon Sullivan nadal nie został odnaleziony. Ich system namierzania GPS zawiódł.

Zamknęła za sobą frontowe drzwi i ruszyła w stronę swojego domu.

\*\*\*

Wiał mroźny wiatr. Lottie ostrożnie stawiała kroki. Wokół niej w powietrzu wirował śnieg. Chciała zadzwonić po Boyda, ale się rozmyśliła. Było już późno i jej partner pewnie świętował koniec starego roku. Zdecydowała się pójść na skróty przez dzielnicę przemysłową, by uniknąć pijanych biesiadników opuszczających okoliczne puby z kieliszkami i papierosami w dłoniach.

W pustych magazynach huczał wiatr, a kable elektryczne wisiały niebezpiecznie nisko. Lottie szła szybko, przeklinając napierającą na nią nawałnicę.

Pierwszy cios napastnika trafił ją w zębra. Osunęła się na kolana, nie mogąc złapać tchu. Próbowwała utrzymać równowagę, ale ból w lewym boku przeszył całe jej ciało. Co się stało? Przez wyjący wiatr nie słyszała, że ktoś się do niej zbliżał.

Drugi cios, tym razem w plecy, powalił ją na ziemię. Rozłożyła ręce, by czegoś się chwycić, ale na próżno. Uderzyła głową o lód i poczuła, że ktoś ją przygniata. Sznurek od kaptura kurtki zacisną się wokół jej szyi. Próbowwała walczyć, ale napastnik jej nie puszczał. Dusił się. Przed jej oczyma mignął obraz dzieci. Wiedziała, że musi stawić opór temu mężczyźnie.

Nie mogła oprzeć się na łokciach. Napastnik był zbyt ciężki. Czuła w ustach dławiący metalowy posmak.

Wraz z bólem narastał w niej gniew. Napastnik nadal ciągnął za sznurek. Zacisnęła zęby i zamachnęła się łokciem do tyłu. Uścisk zelżał i Lottie zaczęła łapczywie wdychać mroźne powietrze.

Zauważyła zbliżające się z oddali światła. Samochód, pomyślała. Mężczyzna napał na nią ponownie, przyciskając do pokrytego krwią lodu. Poczuła smród potu, kiedy szeptał jej do ucha:

– Proszę pomyśleć o dzieciach, pani inspektor – zagroził.

Zadał jej kolejny cios w głowę, a kiedy spróbowała się odwrócić, uderzył po raz kolejny.

Światła nadjeżdżającego samochodu mrugnęły raz, potem drugi. Poczowała, że napastnik zwolnił uchwyt. Usłyszała zatrzymujące się auto i otwieranie drzwi.

- Wszystko w porządku, proszę pani? Chyba wystraszyłem gościa.
- Niech mnie pan zabierze do domu – stęknęła.

## ROZDZIAŁ 22

- Nie odbiera komórki – powiedziała Chloe.
- Gdybym wiedziała, że będzie tak długo pracować, to poszłabym na imprezę. – Katie była zdenerwowana. – Zresztą potrzebujecie jej tylko wtedy, kiedy zabraknie wam pieniędzy na jedzenie.
- Nie, mądralo – burknęła Chloe. – Chociaż dzisiaj chcę poczuć, że jesteśmy rodziną.
- Zadzwoń na posterunek – zaproponował Sean. – I przestańcie się kłócić, bo pójdę do łóżka. – Wyłączył telewizor.
- Oglądam to – zaprotestowała Katie, podnosząc głowę.
- Możecie się zamknąć? – westchnęła Chloe.
- Sean, chodź tutaj. – Lottie stała w przedpokoju i wpatrywała się w swojego syna. Dzieci były w domu, w Sylwestra. Nawet Katie.
- Mamo! Co ci się stało? – Sean podbiegł do niej.
- Lottie wzięła go za rękę i pozwoliła odprowadzić się do salonu. Usiadła przy kominku. Ogrzewanie szło na pełnych obrotach, ale nie dbała o to.
- Matko? Właśnie chciałam dzwonić na posterunek – rzekła Chloe z troską. Ona i Katie wpatrywały się w Lottie.
- To nic takiego. Ktoś napadł mnie przy magazynach. – Potarła ręką nos. Na dłoni została jej krew.
- Zadzwonię po karetkę. – Chloe zaniepokoiła się.
- Lottie drżącymi palcami wytarła krew z twarzy.
- Nic mi nie będzie. Chyba nie mam żadnych złamań. – Miała nadzieję, że jej nos był cały. Jeśli było inaczej, ból będzie nie do zniesienia.
- Na twarzach jej dzieci pojawił się niepokój.
- Naprawdę, wszystko gra. Muszę się tylko umyć.
- Wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby taksówkarz akurat tamtędy nie przejeżdżał. Powiedział, że widział jedynie plecy napastnika, znikające pomiędzy starymi wagonami, które stały na nieużywanej trakcji kolejowej. Chciał iść za nim, ale ubłagała go, by zabrał ją do domu. Do dzieci.
- Zrobię ci herbaty – powiedziała Chloe.
- Ja pomogę – dodała Katie.

Sean przycupnął na podłokietniku fotela.

Lottie cieszyła się, że miała przy sobie dzieci. Były bezpieczne i ona też, przynajmniej na razie.

– Żadnej herbaty – odparła. – Muszę się przespać. Zamówcie sobie coś do jedzenia.

Rozejrzała się dookoła. Nie miała torebki. Napastnik uciekł, ale nie z pustymi rękami. Nie obłowił się tej nocy. Dzięki Bogu, że nie zabrała pieniędzy z zamrażarki Susan Sullivan. Szczęście w nieszczęściu.

– W słoiku w kuchni jest parę drobnych – oznajmiła i podniosła się z fotela.

Powoli weszła po schodach do sypialni, ignorując stertę ubrań na podłodze i otwarte drzwi szafy. Zdjęła ubranie i poszła pod prysznic. Gorący strumień ukoił jej ból i oczyścił zadrapania.

Osuszając się ręcznikiem, dokonała oceny odniesionych obrażeń. W najgorszym wypadku miała złamane żebro, w najlepszym – tylko stłuczone. Jej nos przecinała głęboka rana, ale nie był złamany. Kolejna, drobniejsza rana znajdowała się pod lewym okiem. Jutro będę nieźle wyglądać, pomyślała.

Bolały ją ramiona i gardło. Skóra na szyi zaczęła pokrywać się purpurą. Prawie ją udusił. Ale walczyła. Więc dlaczego Susan Sullivan nie zrobiła tego samego? Jane Dore powiedziała, że na jej ciele nie było żadnych ran, które mogła odnieść, broniąc się przed atakiem. Jaki człowiek nie walczy o własne życie? Lottie nie mogła tego pojąć.

Zrzuciła ubrania z łóżka na podłogę i delikatnie opadła na poduszki. Musiała z kimś porozmawiać, ale nie z Boydem. Przesunęła placem po liście kontaktów, szukając numeru Anabelle O’Shea, swojej przyjaciółki, której dawno nie widziała. Różniły się jak dzień i noc. Anabelle chodziła na siłownię, trenowała jogę i uprawiała inne wydumane sporty. Lottie nie miała czasu, by zajmować się sobą.

Nagranie automatycznej sekretarki poleciło zostawić wiadomość, ale nie zrobiła tego. Rozłączyła się, naciągnęła kołdrę na obolałe ciało, modląc się o sen.

Długo nie mogła zasnąć. Trzymała rękę na katalogu Argos, rozmyślając o Jamesie Brownie i jego wypełnionej pornografią sypialni, a także o Susan Sullivan, której salon wypełniały gazety, w lodówce mroziły się pieniądze, a dom kompletnie nic o niej nie mówił. Pomyślała też o nieznanym, który



ją zaatakował. W jej głowie nadal dźwięczały słowa: „Proszę pomyśleć o dzieciach”. Nie wiedziała dlaczego, ale stała się celem.

Po raz pierwszy od wielu lat poczuła pod skórą dreszcz przerażenia.

\*\*\*

Boyd do późna czytał raport patolog Jane Dore. Za jedyne towarzystwo służył mu dźwięk katedralnego dzwonu, który obwieszczał nadejście Nowego Roku.

Otworzył dostępne w sieci dokumenty projektowe i porównywał je z dokumentami na temat osiedli-widmo. To była żmudna i ciężka praca, ale był w niej dobry. Pomagała mu nie myśleć o pewnych sprawach, pewnych osobach. Zwłaszcza o jednej osobie.

Niestety nic nie znalazł, więc poszedł do domu i wypocił frustrację na rowerze treningowym. Adrenalina pompowała mu krew tak długo, że prawie stracił oddech.

Kiedy przestał pedałowac, zapalił papierosa. Jego pokój rozświetlały migoczące fajerwerki, eksplodujące na nocnym niebie. A on był sam.

\*\*\*

O czwartej rano do Lottie przyszedł SMS. Zerknęła na ekran telefonu, ale nie rozpoznała numeru nadawcy.

Wiadomość miała następującą treść: Niech Nowy Rok przyniesie ci pokój.

Lottie odpisała: Kto to?

Kika sekund później nadeszła odpowiedź. Książd Joe.

Uśmiechnęła się i ponownie zapadła w niespokojny sen. Śniły jej się niebieskie oczy, krzyże w okręgach i lina zaciskająca się wokół jej szyi. Obudziła się zlaną potem. Wstała z łóżka i weszła pod prysznic. Stała chwilę pod gorącą wodą, po czym, owinięta w ręcznik, wróciła pod kołdrę. Ale sen nie nadszedł.

\*\*\*

## **Pierwszy stycznia 1975**

*Dziewczynkę zbudził ogromny ból brzucha.*

*Zsunęła się z łóżka, wrzeszcząc za każdym razem, kiedy fala bólu*

*przeszywała jej ciało.*

*– Matko Boska. O Jezu Chryste! – krzyczała.*

*– Co to za zamieszanie? – zapytała jej matka, wchodząc do pokoju.*

*Stanęła jak wryta na widok krwi i wód płodowych płynących po nogach córki. Przeżegnała się, chwyciła ją i położyła na łóżku.*

*– Coś ty zrobiła?*

*Dziewczynka zawyła z bólu.*

*Matka patrzyła z przerażeniem, podczas gdy jej córka jednym jedynym parciem wydała na świat dziecko.*

*Zaczęło płakać.*

*Matka i córka również.*

*Nie wiedziały, co począć, więc płakały dalej.*

*– Wezwę położną – powiedziała matka. – I księdza. Będzie wiedział, co robić.*

*– Nie! – wrzasnęła z przerażenia dziewczynka.*

# **DZIEŃ TRZECI**

**1 stycznia 2015**

## ROZDZIAŁ 23

– Szczęśliwego Nowego Roku – mruknęła do siebie Lottie, odsłaniając kuchenne rolety.

W szybie odbijała się jej potłuczona twarz. Przeczesała palcami włosy. Pomyślała, że powinna je ściąć i przefarbować. Orzechowy kolor tracił swój blask, a na czubku głowy pojawiły się szare odrosty. Ale kiepska fryzura była na szarym końcu listy jej zmartwień. Przecież wyglądała, jakby przetrwała dziesięć rund z lokalnym mistrzem boksu.

Przejrzała telefon, z którego odczytała nocną wiadomość od księdza Joe Burke'a. Nie odpisała mu. I dobrze zrobiła. Był przecież podejrzanym.

Zaczęła sprzątać kuchnię, zgniatając plastikowe butelki po coca-coli. Puste pudełko pizzy wrzuciła do kosza na recykling. Jej dzieci jadły niezdrowe jedzenie przez dwa wieczory z rzędu. Tak nie mogło być. Musiała iść do supermarketu. Miała nadzieje, że Tesco będzie otwarte, chociaż był pierwszy styczeń. Otworzyła szafki i zanotowała w pamięci wszystko, co musiała kupić. Wszystko.

Potem przypomniała sobie, że nie miała portfela, kart płatniczych, niczego.

Włożyła do miski ostatnie dwa płatki Weetabix i usiadła przy stole, zastanawiając się, kim był człowiek, który ją zaatakował. Czy to on zamordował Sullivan i Browna? Czy chciał zabić i ją? Odrzuciła tę myśl. Musiała pamiętać o dzieciach.

Chloe miała problemy z nauką. Nad Katie wisały egzaminy w college'u i na dodatek odcięła się od niej po śmierci Adama. A Sean spędzał całe dni przy konsoli. Inspektor była w rozpacz. Jak miała sobie poradzić z dziećmi i pracą jednocześnie? Może powinna zadzwonić do matki, poprosić ją, by zajrzała do wnuków? Ale ich ostatnie stracie było nadal zbyt świeże.

Lottie głośno wypuściła powietrze z ust, zalewając płatki mlekiem, po czym naląła sobie kawy. Płatki wypłynęły na powierzchnię, tworząc dwie zbite grudy. Piła czarną kawę, mimo że jej kwaśny zapach przyprawiał ją o mdłości. W miarę jak ból głowy narastał, pomyślała, że dobrze by jej zrobił papieros. Otworzyła szufladę w poszukiwaniu tabletek przeciwbólowych, ale znalazła tylko Xanax, który natychmiast połknęła. Obejmując obolałe zębra,

modliła się, by ból ustąpił.

Dzieci będą pewnie spać do południa. W przyszłym tygodniu czekała ich brutalna pobudka, czyli powrót do szkoły. A dla niej – powrót do pracy w domu.

\*\*\*

Kiedy dotarła na posterunek, była w podłym nastroju, równie kiepskim jak pogoda.

– Kirby, Lynch – warknęła, ściągając kurtkę.

Detektywi odwrócili się do niej, spojrzeli na siebie, a potem znowu na Lottie.

– Do mojego gabinetu!

Cholera, przecież już w nim byli, pomyślała.

Jej partner rozmawiał przez telefon. Popatrzył na nią, potem na Kirby’ego i Lynch stojących na baczność. Kirby oklepywał kieszenie w poszukiwaniu cygara, którego i tak nie mogliby zapalić w budynku. Jego głowa wyglądała, jakby miała eksplodować od kaca. Lynch związała włosy w kucyk. Inspektor dała Boydowi do zrozumienia, że ma się wynosić. Szybko więc zakończył rozmowę.

– Jezu, co ci się stało? – zapytał.

– Nic takiego – odpowiedziała. Rzuciła kurtkę na oparcie krzesła, usiłując za wszelką cenę uniknąć jego spojrzenia.

– To nie wygląda na nic takiego. Wpadłaś na drabinę w korytarzu czy co?

– Później ci powiem.

– Nie chciałbym być w skórze tego drugiego.

– Daj już spokój, Boyd. Przy magazynach napadł mnie jakiś dupek. Pewnie ćpun. Zabrał mi torebkę.

– Nic ci nie jest? Zgłosiłaś napaść? – dopytywał sierżant. – Domyślam się, że nie.

– To naprawdę nie było nic poważnego.

– Powiedz, gdzie cię napadnięto. Poślę kogoś, żeby poszukał twojej torebki – zasugerował, siadając na krawędzi biurka.

Lottie dała za wygraną.

– Zeszłej nocy byłam w domu Susan Sullivan. Chciałam się tam jeszcze raz rozejrzeć. Znalazłam coś, co chcę omówić z tą dwójką na osobności.

Kiedy wracałam do domu przez dzielnicę magazynową, ktoś mnie napadł.

– Dlaczego tego nie zgłosiłaś?

– Przecież właśnie to robię.

Opowiedziała Boydowi wszystko, co pamiętała, i dała mu wizytówkę taksówkarza, żeby mógł go przesłuchać.

– Zapytaj też mundurowych, którzy pilnowali domu Susan. Może coś widzieli.

– Niedługo wrócę – odparł, chwytając kurtkę.

W kącie brzęczała kserokopiarka, wypluwając z siebie kolejne kartki papieru. Lottie wyłączyła ją i zwróciła się do Marii Lynch i Larry'ego Kirby'ego.

– Te rany wyglądają paskudnie. Na pewno nic ci nie jest? – zapytała Lynch z troską.

– Na pewno – odparła chłodno, po czym założyła ręce na piersi i stanęła przed podwładnymi.

– Jak dokładnie przeszukaliście dom Susan Sullivan?

– Bardzo dokładnie – odpowiedzieli chórem.

Lottie spojrzała najpierw na Lynch, potem na Kirby'ego.

– Chyba jednak nie *bardzo*. Kto sprawdzał zamrażarkę?

– Ja – odrzekł Kirby. Na jego twarzy widać było zaniepokojenie, a kropelki potu spłynęły mu po czole. Jego oddech śmierdział tak, że Lottie musiała zrobić krok do tyłu.

Lynch opadły ramiona, a wargi zacisnęły się, tworząc prostą linię.

– Zgadnijcie, co w niej znalazłam. Ani słowa – warknęła inspektor, kiedy Kirby otworzył usta, by coś powiedzieć. – Pieniądze. Całkiem sporo pieniędzy. Były zamrożone. Co wy na to?

– Ktoś musiał je tam włożyć po przeszukaniu – zaczął wolno Kirby. – Widziałem tam tylko lody.

– A sprawdziłeś co było pod nimi? Wyciągnąłeś lody z zamrażarki?

– Nie.

Detektyw zaczął szurać brudnym butem po podłodze.

– Rozczarowaliście mnie. – Potrząsnęła głową. – Oboje.

Ostry ból przeszył jej zębra. Musiała usiąść. Gniew zaczął ustępować. Była zbyt obolała, aby niepotrzebnie się złościć.

– To ma się nigdy więcej nie powtórzyć, jasne? Chyba nie muszę wam tego mówić. Nie akceptuję byle jakiego przeszukiwania miejsca zbrodni.

– Tak jest, inspektor – mruknęła Lynch, przygryzając wargę. Jej oczy płonęły z wściekłości.

Lottie wiedziała, że Lynch nie chciała żadnych plam na swojej nieskazitelnej reputacji. To mogło dla niej oznaczać kłopoty w przyszłości, ale do zadań inspektora należało upominanie pracowników za naganne zachowanie. Miała za dużo na głowie, żeby martwić się ambicjami Marii Lynch.

Kirby milczał i zwiesił głowę z miną zbitego psa. Lottie zrozumiała, dlaczego udało mu się poderwać dwudziestolatkę – pewnie było jej go żal. Kazała obojgu odejść, co uczynili w pośpiechu.

Boyd wrócił, rzucając na jej biurko paczuszkę z apteki.

– Nie bierz wszystkich na raz – doradził. – Masz szczęście, że Boots był dzisiaj otwarty. – Zanim usiadł, włączył z powrotem kserokopiarkę.

– Jesteś wielki. – Szybko połknęła trzy tabletki przeciwbólowe. – Nie masz przypadkiem nic do roboty? – spytała, logując się do komputera.

– Tak, mam – odrzekł i zaczął głośno bębnić w klawiaturę.

Oparła podbródek na dłoniach i obserwowała go, wsłuchując się w dźwięk kserokopiaraki. Nagle poczuła potrzebę przytulenia się do kogoś. Chciała, aby Boyd trzymał ją mocno w ramionach, uśmierzając ból. Już prawie go o to poprosiła, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

## ROZDZIAŁ 24

Ragmullin huczało od plotek, ale Cathal Moroney, dziennikarz państwowej telewizji RTE, nie potrafił znaleźć nic wartego uwagi. Przerzucał puste kartki notesu. Potrzebował nowych informacji związanych z morderstwem i podejrzanym samobójstwem.

Rozmawiał z kilkoma współpracownikami ofiar, ale niczego się od nich nie dowiedział. Potrzebował ludzkiej historii. Takiej, która pobudziłaby jego znudzoną widownię.

Moroney zadawał sobie te same pytania, co wszyscy. Czy zgony miały coś wspólnego z pracą ofiar? Czy Browna również zamordowano? Gdyby tak było, to czy po mieście grasował seryjny zabójca? Ta myśl przyprawiła go o dreszcz podniecenia. To byłaby całkiem niezła historia.

Dziennikarz siedział w McDonalddie, ogrzewając dłonie kubkiem porannej kawy i podsłuchując plotkujących klientów. Wszyscy wyrażali swoje opinie na temat ostatniego morderstwa i zagadkowego samobójstwa. Zdaniem Moroneya były pewnie gównem warte.

Zauważył grupkę policjantów, siedzących w rogu, niedaleko toalet. Wszyscy go tutaj znali, ale ci funkcjonariusze byli najwyraźniej tak zajęci rozmową, że go nie zauważyli. Podszedł do słabo oświetlonego kąta i przysłuchiwał się im, siorbiąc kawę. Usłyszał coś nowego. To mógł być materiał, na który tak czekał. Musiał tylko zdobyć oficjalny komentarz.

Moroney wyjął telefon i wybrał numer do swojego informatora.

\*\*\*

Lottie położyła nogi na biurku i oparła głowę na splecionych dłoniach. Tabletki przeciwbólowe przyniosły ulgę jej obolałym zębom. Na rozcięty nos przykleiła plaster.

Wstępny raport techników nie dawał powodów do radości. W pobliżu ciała Sullivan znaleziono kawałeczek naskórka i włosy. Zostały skatalogowane i były gotowe do analizy porównawczej. Niestety na otrzymanie wyników trzeba było poczekać kilka tygodni, a może nawet jeszcze dłużej.



Raport na temat Jamesa Browna jeszcze nie przyszedł, więc Lottie przeglądała wstępną analizę patologa. Może rzeczywiście popełnił samobójstwo, pomyślała, ziewając. Ale w takim razie skąd wzięły się obrażenia na dłoniach i potylicy?

Ból osłabił jej stawy, więc zsunęła nogi na podłogę i wstała, żeby rozprostować kości. Była głodna. Może Kirby przyniosłby zestaw Happy Meal? Zerknęła na ponuraka siedzącego na drugim końcu biura. Może jednak nie, stwierdziła.

Zadzwonił telefon.

– Pani inspektor?

– Tak, Don? – odpowiedziała dyżurnemu sierżantowi.

– Cathal Moroney z RTE przyszedł zapytać o oświadczenie. Nadinspektor Corrigan się dziś spóźni, więc może pani mogłaby z nim porozmawiać?

Nie, nie mogłabym, chciała odpowiedzieć.

– Zaraz będę – ciężko westchnęła do słuchawki, po czym zeszła do recepcji.

\*\*\*

– Pani inspektor. – Moroney oślepił ją telewizyjnym uśmiechem. – Czy mógłbym zająć pani chwilkę?

– Obawiam się, że dysponuję wyłącznie chwilką, panie Moroney.

– Proszę mi mówić Cathal – rzekł, bez pytania łapiąc Lottie za rękę. Operator stojący za nim ustawił obiektyw kamery i skierował go na inspektor.

– Co mogę dla pana zrobić? – mruknęła, cofając rękę tak szybko, jak pozwalała na to uprzejmość. Powstrzymała się przed wytarciem jej o spodnie. Pomimo rozbrajającego uśmiechu i pozytywnego nastawienia, było w nim coś nieprzyjemnego. Lottie nie wiedziała do końca co, ale miała wrażenie, że był jakiś dziwny.

– Inspektor Parker, co może pani powiedzieć na temat pogłosek, jakoby James Brown był groźnym pedofilem?

Oszołomiona pytaniem, zamrugła ze zdziwieniem.

– Ja... że co? O czym pan mówi?

– O tym, że Brown był nihilistycznym sadystą o skłonnościach do...

– Dość tego – warknęła. – Wyłącz tę kamerę. Natychmiast.

– Może zechce pani skomentować dużą sumę pieniędzy znalezioną w...  
– Wyłącz kamerę. Ja nie żartuję.  
– Dobra, dobra. – Mężczyzna opuścił obiektyw.  
– Nie wiem, w co pan pogrywasz, *panie* Moroney – wycelowała palec w bezczelną twarz dziennikarza – ale od teraz będziesz pan czekał na oficjalne oświadczenia prasowe jak wszyscy.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

– Droga pani inspektor?

Stanąła z ręką na klamce.

– Czego?

– Może komentarz odnośnie pani twarzy?

– Tak. – Odwróciła się do niego. – Obyś prędko jej nie zobaczył.

Opuściła pokój i pomknęła korytarzem. Była wściekła na siebie, Corrigan, Moroneya, na wszystkich. Mimo że informacje, które posiadał dziennikarz, były niedokładne, któryś z jej ludzi miał za długi język. Świetnie, pomyślała, w policji był cholerny kapuś.

## ROZDZIAŁ 25

Kiedy Lottie weszła do centrum operacyjnego, usłyszała szum przekleństw i postękiwań. Odwołano wszystkie urlopy i policjanci musieli przyjechać do pracy.

Niektórzy rozmawiali przyciszonymi głosami przez telefon. Inni mówili głośno, nieświadomi naruszania osobistej przestrzeni swoich kolegów. Wszyscy zdawali się być niczym łódki pływające na morzu chaosu. Tak wyglądał jej zespół – skupiony na zadaniu, zbierający informacje, szukający poszlak, czegokolwiek. Miała tylu podwładnych, że przecieki przeinaczane przez media były nieuniknione. Wygłosiła więc krótką przemowę, pouczając ludzi, by trzymali języki za zębami.

– Mamy coś w sprawie tych pieniędzy? – zapytała Lottie Kirby’ego.

– Są teraz u techników. Dwa i pół kawałka. W zasranej zamrażarce!

– Potrzebujemy wyciągów bankowych Sullivan. W grę może wchodzić większa kwota.

– Mam wyciągi znalezione w obu domach – wtrąciła Lynch. Wzięła teczkę i wyjęła z niej papiery. – To wyciąg bankowy Jamesa Browna. Chwileczkę. – Z kolejnej teczki wyciągnęła inny dokument. – A ten należy do Susan Sullivan. – Triumfalnie położyła dokumenty na biurku Lottie.

– Ten sam bank – zauważyła inspektor. Pokazała papiery Boydowi.

– Zadzwoń do Mike’a O’Briena, to mój znajomy – rzekł sierżant. – Jest dyrektorem banku.

– Dobrze – przytaknęła. – Kirby, sprawdź jeszcze raz telefon Browna. Chcę wiedzieć, ile razy dzwonił do dewelopera, Toma Rickarda. Ten dupek mi się nie podoba. I gdzie jest nakaz wydania jego billingów?

– Musimy mieć jakiś logiczny powód.

– Brown dzwonił do niego przed śmiercią. Mnie to wystarcza.

– Jak sobie pani życzy – odparł Kirby z nutą powątpiewania w głosie.

– Rickard siedzi w czymś po szyję – stwierdziła inspektor. – Jeśli nie chodzi o morderstwo, to jestem pewna, że macza palce w jakichś szemranych interesach, więc zamierzam go powstrzymać, zanim zanurzy w nich całą rękę.

– Pociągniesz go za rękaw? – spytał Boyd.

Lottie zignorowała go i zwróciła się do Lynch.

– Wiemy coś o tych tatużach?

– Zeskanowałam zdjęcia do bazy danych, próbowałam też znaleźć je w Internecie. Na razie nic nie mam. Jutro otwierają sklepy, więc przejdę się do salonu tatuażu w mieście.

– Co z laptopem Browna?

– Same strony porno – wtrącił Kirby. – Nie znaleziono żadnych treści pedofilskich. Przeszukujemy jego e-maile. Nadal nie ma śladu po laptopie i telefonie Sullivan. Równie dobrze mogą być na dnie rzeki.

– Szukajcie dalej – rozkazała Lottie, po czym zerknęła na sierżanta. – Czy w aptece wiedzieli, kto jest lekarzem Susan?

– Sprawdzę to – odparł, przeklinając cicho.

– Chcę też wiedzieć, skąd miała te pieniądze.

– Wiesz, że jesteśmy zawaleni papierkową robotą, prawda? – mruknął.

– Tak, wiem o tym. Wiem też, że do tej pory nic nie mamy – zasyczała. – Zupełnie nic.

Zanim opuściła centrum operacyjne, łypnęła spode łba na troje detektywów. Musiała znaleźć miejsce, gdzie mogłaby ochłonąć. Niech szlag trafi Cathala Moroneya i jego rysztockowe dziennikarstwo. Może i była trochę niesprawiedliwa, ale mieszkała w swoim rodzinnym mieście, a mimo to nie wiedziała, co się tutaj dzieje.

Stała na schodach posterunku, wdychając zimne styczniowe powietrze. Olbrzymia katedra stała po drugiej stronie oblodzonej drogi. Kiedyś jej drzwi były otwarte. Zachęcały, aby wejść do środka. Teraz budowla była zamknięta i odgradzona zakazem wstępu. Lottie wzięła kolejny głęboki oddech, aż rozboleły ją zębra. Wróciła do środka, strząsając z ramion śnieg i zmęczenie.

Potrzebowała kawy.

\*\*\*

Nadinspektor Corrigan przemierzał korytarz tak szybko, jak pozwalały na to porozstawiane wszędzie drabiny. Wpadł do biura, trzymając w ręku telefon.

– Inspektor Parker, ruszcie tyłek do domu biskupa Connora.

Ślina z jego ust ochlapała Lottie, która miała w ręku kubek z kawą. Co

znowu?

– Tak jest, sir – odpowiedziała, wcale nie czując się jak detektyw prowadząca śledztwo w sprawie morderstwa.

– Jak ci poszło z Moroneyem?

– Dobrze. Krótko.

– Doskonale. – Corrigan spojrział na Lottie. – Co jest z twoją twarzą?

– Napadnięto mnie.

– Nie trzeba tego zaszyć? – spytał, zerkając na krzywo przyklejony plaster na jej nosie.

– Nie, nie trzeba. Wszystko w porządku.

– Nie przekonałaś mnie. – Odwrócił się do wyjścia.

– Sir, dlaczego mam rozmawiać z biskupem? – Inspektor z trudem włożyła kurtkę.

– Zostaniesz poinformowana na miejscu.

Corrigan wyszedł.

– Wszystko w porządku? Poczekaj tylko, kiedy szef zobaczy twój wywiad – zarechotał sierżant.

– Nie wszystko naraz, Boyd. Chodź, podwiesz mnie. – A co ja jestem, szofer?

– Wiesz co? Idź do diabła! – Lottie wypadła z biura, zostawiając partnera, który zawołał za nią:

– Co ja takiego powiedziałem?

## ROZDZIAŁ 26

Zbudowany osiem lat temu dom biskupa stał na brzegu jeziora Ladystown, sześć kilometrów od Ragmullin. Budynek zaprzeczał obowiązującym w mieście zasadom. Lottie zastanawiała się, jak duchownemu udało się zdobyć pozwolenie na budowę w takim pięknym miejscu.

Inspektor przyglądała się właśnie, jak sądziła, oryginalnemu obrazowi Picassa wiszącemu nad marmurowym kominkiem. Dom był bardzo bogato urządzony.

Po dziesięciu minutach niecierpliwego czekania poszła za milczącym młodym księdzem, który poprowadził ją marmurowym korytarzem do połączonych drzwi. Ksiądz zamknął je za nią, kiedy weszła do środka.

– Inspektor Parker, prawda? – Nie podnosząc głowy, Biskup Connor przemówił. Miał krótkie czarne włosy. Siedział przy biurku, zapisując coś złotym piórem. Czy on farbuje włosy?, zastanawiała się. Biskup był po sześćdziesiątce, ale wyglądał bardzo zdrowo.

– Tak – odparła. Stała z rękami w kieszeniach, podczas gdy biskup nadal coś zapisywał.

– Proszę usiąść – polecił. – Zaraz się panią zajmę.

Usiadła, zaciskając pięści, żeby mu nie odpyskować.

Biskup wykonał zamaszty podpis i spojrzał na nią spod przerzedzonych brwi.

– Znam pani matkę. Urocza kobieta. – Odwrócił kartkę i położył na niej długopis.

Lottie nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Każdy znał Rose Fitzpatrick.

– Ten przykry incydent sprzed lat, samobójstwo pani ojca...

– Tak, bardzo przykry – przerwała mu.

– Czy wie pani dlaczego?

– Nie.

– A pani brat? Jakież wieści?

– Chciał mnie ksiądz widzieć? – Lottie zignorowała jego wścibskie pytania. Jej rodzinne problemy nie powinny go obchodzić.

– Gram w golfa z Mylesem, to znaczy z nadinspektorem Corriganem. Jeśli dopisze pogoda.

Lottie milczała. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Dziękuję, że przyszła pani tak szybko – rzekł.

– Nadinspektor Corrigan twierdzi, że sprawa jest pilna. W czym mogę pomóc?

– Obawiam się, że ksiądz Angelotti zaginął – mruknął duchowny z poważną miną.

– Kto taki?

– Przyjechał do nas z wizytą.

– Rozumiem. A skąd dokładnie?

– Z Rzymu. Przyjechał w grudniu.

– A teraz zaginął?

– Tak, pani inspektor – odparł, odchylając się w fotelu i składając ręce na piersi. – Zaginął.

– Może ksiądz wyjaśnić okoliczności jego zaginięcia?

– Niewiele mogę pani powiedzieć na ten temat. Wiem tyle, że go tutaj nie ma i nie wrócił do Rzymu.

– Kiedy biskup zdał sobie sprawę, że ksiądz Angelotti zaginął? – Zastanawiała się, o co tutaj chodzi. Wyciągnęła z kurtki notes, ale nie mogła znaleźć długopisu.

– Nie widziałem go od świąt.

Lottie uniosła brew.

– I dopiero teraz ksiądz to zgłasza?

– Nie wiedziałem, że zaginął. Jeden z wikariuszy zaniepokoił się, kiedy nie mógł go znaleźć, i poinformował o tym policję. Sam postąpiłbym inaczej, ale co się stało, to się nie odstanie.

– Ktoś zaginął, a ksiądz biskup miał zamiar tego nie zgłaszać?

– To był dla mnie ogromny szok.

– Nie wiem, jaki priorytet możemy nadać teraz sprawie zaginięcia. Mamy sporo pracy. – Przez jej głowę przemknęły wszystkie niedogodności związane z prowadzeniem dwóch spraw równocześnie.

– Myles dopilnuje, by ta sprawa została potraktowana z należytą dokładnością – wycedził z naciskiem biskup.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Jestem pewien, że tak będzie. Bardzo dziękuję za pomoc, pani inspektor.

Wskazał w kierunku wyjścia, dając do zrozumienia, że powinna się zbierać. Ale nie miała takiego zamiaru. Chwyciła długopis biskupa i zapisała nazwisko zaginionego. – Muszę księdza biskupa o coś zapytać.

– Słucham.

– Czy znał ksiądz Susan Sullivan?

– Kogo?

– Kobietę zamordowaną w katedrze.

Biskup Connor spojrział na Lottie swoim zimnymi zielonymi oczami.

– To straszna tragedia – zasmucił się. – Biedna kobieta. Przykro mi, pani inspektor, ale nie znałem jej. Jestem zwierzchnikiem dużej diecezji. Jak pani wie, parafia Ragmullin liczy piętnaście tysięcy wiernych. Osobiście znam bardzo niewielu z nich.

Niewielu? Masz na myśli swoich kumpli od golfa?

– Myślałam, że... może grała w golfa czy coś – bąknęła.

– Naprawdę? Czyżbym słyszał sarkazm w pani głosie? – zapytał.

– Nie, skądże – skłamała. – Po prostu trudno jest mi dotrzeć do kogokolwiek, kto by ją znał. Zginęła w parafii należącej do diecezji księdza biskupa. Pomyślałam, że jej zabójstwo może być w jakiś sposób powiązane z zaginięciem księdza Angelottiego.

– Nie widzę powodu, by wysnuwać taki wniosek.

– Proszę mi o nim opowiedzieć. Dlaczego przyjechał do Ragmullin?

– Przysłano go tu na urlop. Miał jakieś problemy osobiste.

– Problemy?

– Kryzys tożsamości albo coś takiego. Nie znam szczegółów.

– Czy coś łączyło go z Ragmullin? – Stuknęła długopisem o blat biurka.

Sądząc po nazwisku, to pewnie nie.

– Nie wiem, pani inspektor.

– W takim razie dlaczego go tu przysłano?

– Może Ojciec Święty wybrał to miejsce przypadkowo?

Lottie spojrzała na niego z politowaniem.

– Przepraszam – odparł biskup. – Ta uwaga była nie na miejscu. Ksiądz Angelotti zaufał mi, a teraz nie mogę go znaleźć.

– Proszę mi go dokładnie opisać. Zobaczę, co da się zrobić.

– Ma irlandzkie korzenie, trzydzieści siedem lat i pracuje w Rzymie. Robi doktorat w Irish College. Od kilku miesięcy zaczął wątpić w swoje powołanie, seksualność, te sprawy. Przełożeni uznali, że potrzebuje wakacji



i przysłali go tutaj.

Inspektor szybko zapisała słowa biskupa, po czym podniosła wzrok znad notesu.

– Kiedy przyjechał do Ragmullin?

– Piętnastego grudnia.

– Jak się zachowywał?

– Nie mówił wiele. Z tego, co wiem, większość czasu spędzał w pokoju.

– Mogę tam zajrzeć?

– Gdzie?

– Do pokoju księdza Angelottiego.

– A w czym to pomoże? – Źrenice biskupa rozszerzyły się podejrzliwie.

– To normalna procedura, kiedy ktoś zaginie. – Zmiana wyrazu twarzy Connora nie uszła jej uwadze.

– Musi to pani zrobić teraz?

– Nie ma co zwlekać – odpowiedziała inspektor.

Biskup Connor podniósł telefon i wcisnął jeden klawisz. Po chwili do pokoju wszedł młody ksiądz.

– Eoinie, zaprowadź, proszę, inspektor Parker do pokoju księdza Angelottiego.

– Dziękuję – rzekła, podnosząc się z krzesła.

– Mam nadzieję, że mogę liczyć na pani dyskrecję.

– Proszę się nie martwić, jestem profesjonalistką.

Chyba że Cathal Moroney złapie mnie ze spuszczoneymi spodniami, zganiła się w duchu.

Biskup wstał i uścisnął jej dłoń.

– Z niecierpliwością będę oczekiwał wiadomości.

– Jeśli tylko coś odkryję, ksiądz biskup dowie się o tym pierwszy – powiedziała sarkastycznym tonem.

\*\*\*

Pokój księdza Angelottiego był dosyć duży. Ściany pokrywała farba w kolorze jasnego beżu, a pod świętym obrazem przedstawiającym cierpiącego Jezusa o gorejącym sercu paliła się czerwona lampka.

Inspektor nałożyła lateksowe rękawiczki i rozejrzała się. Na łóżko narzucono brązowy koc. W pokoju znajdowała się jeszcze jedynie szafa

i toaletka. W łazience znalazła kosmetyczkę, a w niej maszynkę do golenia, szczoteczkę i pastę do zębów, szampon i żel pod prysznic oraz grzebień. W szafie wisiała jedna marynarka, pięć czarnych koszul, dwa swetry i dwie pary spodni. Nie zamierzał zostać na długo, pomyślała. W szufladach toaletki była tylko bielizna. W powietrzu dało się wyczuć delikatny zapach tytoniu. Na blacie toaletki leżał laptop. Był wyłączony.

Młody kapłan stał w drzwiach, obserwując każdy jej ruch.

– Proszę księdza?

– Słucham.

– Znał ksiądz zaginionego? – zapytała, pakując grzebień. Przyda się do badań DNA. Po tym, co się ostatnio wydarzyło, nie mogła sobie pozwolić na niedbalstwo.

– Nie. Bardzo mało się odzywał. Większość dnia spędzał w pokoju.

– Miał telefon komórkowy?

– Tak.

– Nie ma go tutaj. Kiedy ostatnio ksiądz widział Angelottiego?

– Nie pamiętam. Był zwolniony z pełnienia jakichkolwiek obowiązków. Przez przygotowania do bożonarodzeniowych obrzędów nie miałem z nim styczności.

– Wie ksiądz, gdzie Angelotti może się teraz znajdować? – naciskała inspektor.

– Nie mam pojęcia.

– Czy to ksiądz zgłosił zaginięcie?

Zarumienił się.

– Po prostu pomyślałem, że to dziwne – odparł. – Wspomniałem o moich obawach biskupowi Connorowi, ale je zlekceważył.

– Dlaczego był ksiądz zaniepokojony?

– Po zabójstwie tej kobiety, Susan Sullivan... zastanawiałem się, gdzie mógł się podziać – mruknął, otwierając drzwi. – Skończyła już pani? Mam sporo zajęć.

– Chce mi ksiądz o czymś powiedzieć?

– Nie, to tylko nerwy. Nic więcej.

Lottie podniosła laptop księdza Angelottiego.

– Czy mogę go wziąć?

– Oczywiście – przytaknął, kierując ją w stronę drzwi.

## ROZDZIAŁ 27

Po powrocie na posterunek inspektor Parker zleciła analizę zawartości laptopa księdza Angelottiego i na wszelki wypadek wysłała grzebień do analizy DNA.

Usiadła przy biurku i otworzyła dolną szufladę, z której wyciągnęła poźółkłą teczkę, ukrytą pod stertą innych dokumentów. Wzięła głęboki oddech i zajrzała do środka. Na wyblakłej fotografii nadal było widać dołek w jego brodzie, duże oczy i rozczochraną czuprynę. Za każdym razem, kiedy patrzyła na to zdjęcie, myślała, że temu chłopcu przydałaby się wizyta u fryzjera. Szkolne zdjęcie wykonano podczas jednego z nielicznych dni, kiedy był na lekcjach.

– Co tam masz? – zaczepił ją Boyd, stawiając kawę obok jej łokcia.

Zamknęła teczkę i postawiła na niej kubek.

– Nie odpowiedziałś mi – nalegał, opierając się o brzeg jej biurka.

Dwa długopisy spadły na podłogę, kiedy odłożyła teczkę na miejsce i zatrzasnęła szufladę. Upiła łyk kawy.

Boyd podniósł długopisy i ułożył je równo na klawiaturze.

– To ten dzieciak, który zaginął w latach siedemdziesiątych, prawda?

– Masz mnóstwo pracy, nie marnuj czasu na szpiegowanie mnie.

– A ty nie powinnaś go marnować na odkopywanie starych spraw. Dlaczego tak cię to gnębi?

– Nie twój interes – warknęła, ciskając długopisami przez biurko. Zauważyła, że jeden z nich należał do biskupa.

– Powinnaś odesłać tę teczkę do muzeum. Jest tak wymięta, że można się nią już tylko podetrzeć.

– Spieprzaj – burknęła, posyłając mu wściekłe spojrzenie.

Boyd wrócił do swojego nienagannego biurka. Lottie szybko posprzątała na swoim, układając te czki z dokumentami i zgarniając pogniecione papiery do śmietnika. Szybko napisała na komputerze raport ze spotkania z biskupem Connorem i stworzyła nowy plik dla sprawy zaginięcia księdza Angelottiego. Skopiowała go do bazy danych na temat zabójstwa Susan Sullivan. Te sprawy mogły być powiązane. Oby niczego nie przeoczyła. Opowiedziała

Boydowi o zaginięciu Angelottiego.

– Myślisz, że coś łączyło go z naszą ofiarą? – zapytał.

– Będziemy musieli to ustalić – stwierdziła. I już wiedziała, kto może im pomóc.

– Prawie bym zapomniał – powiedział Boyd. – O’Donoghue to znalazła.

W rękę trzymał poobdzieraną skórzaną torebkę.

– Gdzie? – Lottie złapała ją i przejrzała zawartość.

– W tunelu obok zakładu recyklingu opon. Niedaleko miejsca, w którym cię napadnięto – oznajmił. – Portfel i karty są w środku, ale chyba ukradł ci gotówkę.

– Nie miałam żadnej gotówki.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Za dobrze mnie znasz. – Przewróciła oczami, po czym wzięła kurtkę i bez słowa opuściła posterunek.

\*\*\*

Siedząc w fotelu na plebani księdza Joe przy tańczącym w kominku ogniu, Lottie nieco się odprężyła.

– Nie widywałem Angelottiego zbyt często – rzekł Joe, który usiadł w fotelu naprzeciwko niej. Był małomówny. Dobrze znał angielski. Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Wydawał się bardzo zagubiony.

– Jeśli wierzyć słowom biskupa, to teraz naprawdę się zagubił.

– Dlaczego tak mówisz?

– Rozmawiałam z tym człowiekiem przez pięć minut. To wystarczy, by wyrobić sobie opinię. Może się mylę, ale nie przypadł mi do gustu.

– W tym świecie trzeba pewnego rodzaju... charakteru, by zająć tak daleko jak on. Często prowadzi to do utraty człowieczeństwa. – Joe przerwał i spojrzał prosto na nią. – Też go nie lubię.

– Czy to przypadkiem nie bluźnierstwo? – zaśmiała się.

– Może trochę. Ale ja często mówię to, co myślę. – Odgarnął kosmyk z czoła. – Z tego, co wiem, Watykan wysłał tu Angelottiego, by się „odnalazł”. To znaczy, by zdecydował, czy nadal chce być księdzem. Przechodzę to samo niemal codziennie, więc chyba rozumiem, dlaczego oddelegowano go tutaj. Chociaż mogę się mylić.

– Czy mógł istnieć inny powód?

– Nie wiem. – Błękitne oczy Joe zaiskrzyły w świetle ognia. – Mogę spróbować się tego dowiedzieć.

– Byłabym wdzięczna. – Lottie nachyliła się ku niemu.

– Kościół broni swoich sekretów, więc niczego nie obiecuję.

– Mimo to spróbuj, proszę.

Joe uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz.

– Czego mówić? – spytała zdziwiona.

– Co ci się stało w twarz.

– Napadnięto mnie. Normalka w tym zawodzie.

– Skoro tak twierdzisz. – Ksiądz dał za wygraną. – Jesteś bardzo interesującą kobietą, inspektor Parker. Nie obraż się, ale te blizny dodają ci tajemniczości.

Na twarzy Lottie rozlał się nieproszony rumieniec.

– Rzeczywiście mówisz, co myślisz – parsknęła śmiechem.

Ich rozmowę przerwała wibracja telefonu Lottie. Dzwonił Corrigan. Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

– Muszę już iść – powiedziała.

– Nie odbierzesz?

– Nie muszę. Domyślam się, o co chodzi.

\*\*\*

– Jesteś idiotką, wiesz o tym?

Nadinspektor Corrigan nie krzyczał. Mówił powoli i spokojnie. To nie był dobry znak.

– Cathal Moroney ma niesprawdzone informacje – mruknęła.

– A skąd je wziął? No... słucham.

– Przy tak dużym zespole operacyjnym trudno uniknąć przecieków.

– Kiepska wymówka.

– Tak jest.

– To twój cholerny zespół. Kto donosi Moroneyowi?

– Dowiem się.

– Oby.

– Tak jest, sir. Biorę na siebie całą odpowiedzialność, ale proszę zrozumieć, że pracujemy pod ogromną presją.

– Wszyscy jesteśmy pod presją, ale w takich chwilach musimy dawać z siebie sto procent.

– Tak jest. Nie musi mi pan przypominać. Wiem, że mogłam dać plamę.

– Żadne „mogłam”. Musisz się bardziej postarać. Musimy mieć media po naszej stronie. Sami zdecydujemy, kiedy i jak je wykorzystać. Nie daj się więcej osaczyć Moroneyowi. Na przyszłość: kontakty z prasą zostaw mnie.

– Nie, sir – odparła. – To znaczy, tak jest. – Inspektor Parker nie wiedziała już, co mówi. Dostała taki ochrzan, że czułaby się lepiej, gdyby na nią nawrzeszczał. Spokój, z jakim mówił, wytrącił ją z równowagi.

Nienawidziła tego.

Zastanawiała się, kto mógł donosić mediom. Na myśl przyszła jej Maria Lynch. Nie spodobały jej się ostre słowa, które usłyszała razem z Kirbym po spaaranym przeszukaniu domu Susan Sullivan. Czyżby czyhała na posadę inspektor Parker?

\*\*\*

Zanim poszła do domu, zajrzała do centrum operacyjnego.

– Laptop jest czysty – stwierdził Kirby.

– Jaki laptop?

– Tego zaginionego księdza. Nic na nim nie ma.

– Skąd to wiesz?

– Jeden z techników rzucił okiem. Powiedział, że nie ma na nim nic, zero, zupełnie, kompletnie... – zakomunikował Kirby, wykorzystując swoje bogate słownictwo.

– Dzięki, już rozumiem – westchnęła Lottie.

– Ciekawe, dlaczego ktoś go wyczyścił?

– Ksiądz Angelotti zaginał, a na jego laptopie nic nie ma. Może kiedy go znajdziemy, rozwiążemy całą tajemnicę.

– Sądysz, że to ma coś wspólnego ze śmiercią Susan Sullivan i Jamesa Browna? – zapytał Kirby.

– Nie wiem. – Inspektor zamyśliła się. – Ale nie podoba mi się to, że jedyne osoby, które miały dostęp do laptopa, mieszkają w domu biskupa.

– Mam ich przesłuchać?

– Na razie nie. – Ruszyła do wyjścia, ale po chwili się odwróciła. – Kirby?

– Tak, szefowo?

– Dzięki.

– Jasna sprawa.

– Już po siódmej. Mam dość, idę do domu. Ty też powinienes.

Zostawiła Kirby'ego, który drapał się po głowie, jakby nie wiedział, co ma teraz ze sobą zrobić.

Dobrze znała to uczucie.

## ROZDZIAŁ 28

Pomimo że było jeszcze wcześniej, impreza rozkręciła się na dobre. Uczestnicy ocierali się o siebie, a w powietrzu unosił się zapach marihuany. Katie Parker polizowała wąski tatuaż na szyi Jasona. Przepuściła tegoroczne sylwestrowe przyjęcia, ale to było lepsze niż tamte wszystkie razem wzięte.

Jestem zakochana, pomyślała, kiedy Jason odchylił jej głowę i włożył skręta do ust. Dym wypełnił jej płuca. Nie protestowała, kiedy zabrał jej jointa i się zaciągnął. Czowała, że lewitują, złączeni w miłosnym uścisku. W głowach grała im ich własna muzyka.

– Wpadniesz do mnie potem? – zapytał Jason.

Katie patrzyła na niego przez dym.

– Muszę wracać do domu. Moją matkę napadnięto wczorajszej nocy. Będzie się o mnie martwić.

– A jak cię ładnie poproszę?

– No dobra – zaśmiała się. W tej chwili jej matka mogła iść do diabła.

\*\*\*

Inspektor Parker usiadła z filiżanką herbaty w dłoni, zamykając oczy, aby nie widzieć sterty brudnych naczyń w zlewie. Kiedy w końcu znalazła chwilę, by odpocząć, niemal natychmiast zadzwonił jej telefon.

– Lottie?

– Boyd, jestem w domu. Czego chcesz?

– Zgadnij, czego się dowiedziałem.

– Jestem zmęczona.

– Wiem, kto leczył Susan Sullivan.

– Ale jak, skąd?

– Zadzwoń do jej apteki.

– Najwyższy czas.

– Nigdy nie zgadniesz.

– Powiedz.

– No weź, chociaż spróbuj.



– Odkładam słuchawkę, Boyd.

– Maruda.

– Dobranoc...

– Doktor Annabelle O'Shea.

Odstawiła filiżankę na podłogę. To była jej przyjaciółka.

– Jesteś tam jeszcze, Lottie? Chcesz porozmawiać z...

– A jak myślisz?

– W takim razie zostawiam to tobie. Dobranoc.

– Boyd?

– Tak?

– Dzięki.

Zakończyła rozmowę i spojrzała na zegar. Była dwudziesta czterdzieści pięć. Nie za późno na telefonowanie, pomyślała.

\*\*\*

Doktor Annabelle O'Shea siedziała przy narożnym stoliku w barze hotelu Brook, sącząc z kieliszka czerwone wino.

Wyglądała świetnie, a Lottie poczuła się, jakby miała sto lat. Nie mogła powstrzymać ukłucia zazdrości, kiedy zdjęła kurtkę, mając nadzieję, że jej T-shirt był czysty. Westchnęła ciężko, kiedy zdała sobie sprawę, że wyprała go razem z czarnymi jeansami Seana.

– Co ci się stało? – zapytała Annabelle na jej widok.

– Moja własna głupota. Jakiś gnojek mnie napadł. – Inspektor położyła kurtkę na krześle obok. – Dzięki, że zgodziłaś się spotkać.

– Wybacz, że wczoraj nie odebrałam. – Ostry głos Annabelle był lustrzanym odbiciem jej wyglądu. – Napijesz się czegoś?

– Wody gazowanej. Jak zwykle wyglądasz przepięknie.

Doktor O'Shea skinęła na barmana.

Granatowy spodniom Annabelle ciasno przylegał do białej koszuli. Jej szyję zdobił przykuwający uwagę srebrny naszyjnik. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami w parze botków Jimmy'ego Choo, wyglądała jak modelka. Blond włosy zaplecione w wysoki kok zdawały się być naturalnego koloru, choć w rzeczywistości takie nie były.

– Mądrała – zaśmiała się. – Wyglądasz okropnie.

– Dzięki. Wiesz, dlaczego chciałam się spotkać?

– Żeby przeprosić za to, ile razy mnie wystawiłaś przez ostatnie kilka miesięcy? – zażartowała doktor.

– Mam napięty grafik.

– Co u dzieci?

– W porządku. A jak twoje? – Lottie nie znosiła pogaduszek.

– W czasie świąt powtarzały materiał do egzaminów końcowych.

Inspektor westchnęła ciężko. Dlaczego wszyscy wokół mieli rozgarnięte dzieci, podczas gdy jej własne pociechy marnowały czas, słuchając muzyki i grając na PlayStation?

– To pewnie zasługa ich supertaty. – Wiedziała, że Cian O’Shea to ideał męża, choć Annabelle była innego zdania.

– Znasz Ciana. Bóg mi go zesłał – jęknęła, nawet nie próbując ukryć sarkazmu.

– Och, daj spokój. Gdyby nie pracował w domu i do tego go nie sprzątał, przepadłabyś z kretesem.

– W tym cały problem. Cian jest zawsze w pobliżu. Nie mam chwili spokoju. Nie mogę nawet wziąć wolnego i spędzić dnia na kanapie, bo Cian cały czas poprawia poduszki albo obija ściany odkurzaczem. A jeśli nie sprząta, to siedzi przed komputerem w słuchawkach na uszach, projektując te swoje gry i śpiewając na całe gardło.

Lottie uśmiechnęła się krzywo. Czego by nie dała, żeby choć przez chwilę usłyszeć głos Adama.

– Ale dość już o mnie. Co u ciebie?

– Nie pogardziłabym receptą na coś uspokajającego.

– Pora stawić czoła rzeczywistości, kochanie.

Krew napłynęła inspektor do twarzy. Nie miała ochoty na wykład.

– Chciałam cię spytać o Susan Sullivan.

– Później – rzekła doktor O’Shea, obracając się do przyjaciółki.

– Nie mam na to czasu – odparła.

– Czy zmiany nastrojów przeszkadzają ci w pracy? – spytała, puszczając jej słowa mimo uszu.

– Nie.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że tak.

– Co na to ankiety? – mruknęła inspektor, ale wiedziała, że nonszalancją wiele nie zdziała. – Tak szczerze, to nie wiem – dodała.

– Mówiłam ci sto razy, potrzebna ci terapia.

- Odwal się – warknęła, nie do końca żartując.
- Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, to pomyśl chociaż o dzieciach. Nie poradzisz sobie z ich problemami, jeśli najpierw nie rozwiążesz swoich.
- Z dziećmiakami wszystko w porządku – upierała się. Jakimi problemami? Zamknęła na chwilę oczy. – Nie, nie są w porządku. Ze mną nie jest w porządku. Tak samo z domem. Poza tym nie rozmawiam z matką.
- Annabelle zaśmiała się.
- Znowu? Dobrze. Zawsze uważałam ją za wariatkę.
- Nie bądź okrutna.
- Od zawsze cię kontrolowała.
- Teraz mam przewagę. Nie odzywa się do mnie od miesiący.
- To tylko chwilowe zwycięstwo. Myślisz, że jak długo to potrwa.
- Nie chcę o niej rozmawiać.
- Ani o jej sekretach, ani o tym, co spotkało twojego ojca i brata...
- Przyszłam tu porozmawiać o Susan Sullivan – przerwała jej. Nie miała ochoty wracać do przeszłości.
- Od śmierci Adama nie jest z tobą dobrze.
- Mówisz w sensie mentalnym?
- Emocjonalnym – odparła Annabelle i wzięła łyk z kieliszka.
- Lottie odstawiła szklanekę, po czym znowu ją podniosła.
- Czyli co, mam depresję?
- Żal po stracie utrudnia ci ocenę tych, którzy żyją, jak i tych, którzy odeszli. Potrzebujesz odpocząć.
- Minęły już trzy lata. Wszyscy myślą, że mi przeszło.
- Mają rację? – Annabelle uniosła brew. – Nigdy do końca ci nie przejdzie. Ale musisz zacząć sobie z tym radzić, jeśli chcesz dać z siebie sto dziesięć procent w pracy. Potrafisz tego dokonać?
- Dam z siebie sto dziesięć procent, choćbym miała iść za to do piekła.
- Annabelle głośno wypuściła powietrze z ust.
- Dobrze, wypiszę ci receptę. Odbierz ją w tygodniu w moim gabinecie. Ponadto masz zrobić sobie badania i odpuścić z lekami.
- A dopiszesz mi parę pigułek na sen? – poprosiła inspektor.
- Nie przeginaj.
- Jak tylko zamknę tę sprawę, zrobię sobie wszystkie badania.
- A terapia?
- Potrzebuję tylko tabletek. – Tupnęła. – Sama zdecyduję, kiedy będzie

potrzebować terapii.

Dzięki tabletkom mogła trzeźwo myśleć. Dzień po dniu, tabletki po tabletkach, robiła wszystko, byleby tylko wytrzymać do wieczora.

– No dobrze – dała za wygraną doktor O’Shea.

Lottie ulżyło, bo w końcu mogła nakierować rozmowę na właściwy temat.

– Opowiedz mi o Susan Sullivan.

– Boże, nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Zamordowana! Ale dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi?

– Próbuję to ustalić.

– Nie wiem, czy to, co mogę o niej powiedzieć, w jakikolwiek sposób ci pomoże.

– Po prostu chcę stworzyć jej profil. Na tym etapie śledztwa każda informacja może się przydać.

– Skoro nie żyje, to chyba nie obowiązuje mnie tajemnica lekarska – stwierdziła Annabelle.

– Kiedy zdiagnozowano u niej raka? – zapytała, drżąc na sam dźwięk tego słowa i związanych z nim wspomnień.

– Była moją pacjentką od roku. Skarżyła się na bóle brzucha, więc zleciłam tomografię komputerową. Badanie wykazało zmiany w obu jajnikach, a biopsja potwierdziła zaawansowany nowotwór. Powiedziałam jej o tym w czerwcu.

– Jak zareagowała?

– Biedna kobieta. Po prostu przyjęła to do wiadomości.

Jak Adam, pomyślała Lottie, kurczowo trzymając szklanekę, by ukryć drżenie palców.

– Było mi jej żal, tyle w życiu przeszła – kontynuowała Annabelle, powoli sącząc wino.

– Naprawdę?

– Poradziłam jej wizytę u psychologa, ale odmówiła. Kiedy zaoferowałam, że ją wysłucham, odrobinę się przede mną otworzyła.

– Co takiego ci powiedziała?

– Kiedy była dzieckiem, zaszła w ciążę. Jej matka była okropną kobietą, zmusiła ją do oddania dziecka do adopcji. Susan miała obsesję, chciała odnaleźć to dziecko. Próbowała nawet... – Doktor O’Shea odwróciła wzrok, przygryzając wargę.

– Czego próbowała? Mów dalej – naciskała inspektor.

– No, skoro Susan nie żyje, to mogę ci powiedzieć. Rozmawiała z twoją matką.

– Że co? – Lottie wytrzeszczyła oczy. Nie widziała Rose od prawie czterech miesięcy. Była ostatnią osobą, którą posądziłaby o związek z tą sprawą. – Ale dlaczego?

– Twoja matka przyjęła jej dziecko na świat.

Inspektor wyprostowała się, nieco zbита z tropu. No jasne. Jej matka, emerytowana położna, była obecna przy narodzinach wielu dzieci w Ragmullin i okolicach. Uznała, że Susan pochodziła z tego miasta.

– A to ciekawe – mruknęła Lottie. – Powiedziała ci, jak ją znalazła?

– Może sama spytaj o to swoją matkę.

– Może tak zrobię – nerwowo mruknęła. – Czy Susan miała jakichś krewnych?

– Jej matka zmarła kilka lat temu. Poza nią chyba nie miała nikogo.

Lottie pograżyła się w myślach. W telewizorze za barem transmitowano właśnie mecz piłki nożnej. Dźwięk był wyciszony. Podobna cisza panowała w jej umyśle.

– Czy Susan zdradziła ci, jak zaszła w ciążę? Kto był ojcem dziecka?

Jej przyjaciółka milczała.

– Możesz mi powiedzieć? – spytała z nadzieją w głosie, odrywając kawałki papierowej podstawki pod szklankę. – To może pomóc odkryć, dlaczego została zamordowana.

– Miała może ze dwanaście lat, kiedy zaszła w ciążę. Zdradziła mi tylko, że od dziecka systematycznie ją gwałcono.

– Może to jej ojciec?

– Nie mam pojęcia, kto jej to zrobił. Nie chciała mi powiedzieć.

– Kazałaś jej to zgłosić?

– Tak, ale nie chciała o tym słyszeć. Powiedziała, że to było dawno temu i że ma dość problemów do rozwiązania w czasie, który jej został. Nie dałam rady jej przekonać.

– Nie potrafię zrozumieć, jak Susan żyła z tym wszystkim, i to przez tyle lat.

– Nie zawsze nosiła to imię – odparła doktor O’Shea

– Co? – Inspektor odstawiała z brzękiem szklankę. – Co?

– Nie wiem, jak brzmiało wcześniej. Sądzę, że zmieniła je, by odciąć się od przeszłości. – Anabelle uśmiechnęła się smutno. – Ale to nie uśmierzyło

jej bólu. Susan nosiła go ze sobą każdego dnia. Myślę, że mogła przyjąć diagnozę z ulgą.

– A potem ktoś zdecydował przyspieszyć jej odejście na tamten świat – odparła Lottie. Nagle zrobiło jej się duszno.

– No właśnie.

– Moja w tym głowa, żeby dowiedzieć się, kto i dlaczego. – Inspektor przetwarzała w głowie nowe dane.

– Dasz sobie radę, Nancy Drew. Wiesz, że tak przezywałam cię w szkole?

– Tak, zawsze to wiedziałam.

Chciała porozmawiać z przyjaciółką o starych, dobrych czasach. Przynajmniej tak je zapamiętała. Wspomnienia to dziwna sprawa. Lottie doświadczyła na własnej skórze, że potrafią czasem wypaczać przeszłość.

– Przykro mi, że nie mogę ci bardziej pomóc.

– Dałaś mi punkt zaczepienia. – Odstawiła szklankę i spojrzała przyjaciółce w oczy. – Co zrobisz z Cianem?

– Ten facet doprowadza mnie do szału, mam go dość.

– Błagam cię, Annabelle! Dlaczego?

– Cholera wie – wzruszyła ramionami. Rzadko przeklinała i zawsze puszczano jej to płazem. Annabelle O’Shea wszystko uchodziło na sucho.

– Założę się, że masz kogoś na boku.

– Odkąd poznałam... – urwała. – Odkąd go poznałam, jestem inną osobą.

– Zawsze byłaś kochliwa. Kto to taki?

– Jesteś moją przyjaciółką, ale lepiej, żebyś o tym nie wiedziała.

– Twój kochaś raczej nie będzie ostatni na liście rzeczy, o których nie wiem.

## ROZDZIAŁ 29

Katie oplotła rękami szyję Jasona i przyciągnęła go do siebie.

– Zimno mi.

– Jak tylko wejdziemy do łóżka, to cię rozgrzeję.

– Zbok – zaśmiała się. Przytulił ją mocniej i poczuła motyle w brzuchu, kiedy musnął wargami jej szyję.

Za jego plecami głośny tłum ustawiał się w kolejkach do taksówek.

– Nie patrz teraz. Pamiętasz tego starego dziada, który gapił się na nas wczoraj?

– A co?

– Stoi tutaj, w kolejce.

– Ma prawo, to wolny kraj. – Jason odwrócił się i rozejrzał. – Gdzie on jest?

– Mówiłam: nie patrz! – Katie pociągnęła go za ramię. – Już sobie poszedł.

– Niewidzialny człowiek – zaśmiał się Jason.

– To nie jest śmieszne. On jest przerażający.

– Powiedz mi, jeśli znowu go zobaczysz.

Katie objęła mocniej Jasona i czekała z nim na taksówkę. Z jakiegoś powodu wcale nie czuła się bezpiecznie.

\*\*\*

Mężczyzna, kiedy znalazł się za rogiem, przyspieszył kroku. Naprawdę niewiele brakowało. Był pewien, że dziewczyna go zauważyła. Na przyszłość musi być ostrożniejszy. Ale warto było zaryzykować, choćby dlatego, że znów mógł zobaczyć tego chłopaka.

\*\*\*

Lottie znowu nie mogła zasnąć.

Rozmowa z Annabelle wciąż odbijała się echem w jej głowie, dolewając jedynie oliwy do ognia panującego w nim chaosu. Myślała o matce, jedynej osobie, która potrafiła przywołać okrutne wspomnienia.

Zamknęła oczy, ale pod powiekami nadal widziała twarz Rose Fitzpatrick. Jutro będzie musiała się z nią spotkać.

Narzuciła na pościel elektryczny koc. Sztuczne ciepło pomogło jej zapaść w niespokojny sen.

Obudziła się dziesięć minut później z potężnym bólem w żebrach i gorączką. Połknęła dwa środki przeciwbólowe, ale nie przyniosły jej ulgi.

Wydarzenia minionego dnia dręczyły ją w nocy. Przeszłość wdzierала się do terażniejszości.

Musiała się napić.

Naprawdę musiała się napić.

I to dużo.

Zwinęła pościel. Nie chciała znowu być potworem, w którego zmieniała ją śmierć Adama. Nie chciała wrócić do czasów, które spędzała na dnie butelki wina, przez co prawie oszalała. Rok temu rzuciła picie, ale czasem tęskniła za nieświadomością. Ta rządza zabijała w niej cały rozsądek i utrudniała powrót do normalności. Teraz znów toczyła wewnętrzną walkę, przewracając się z boku na bok, by w końcu przegrać z kretesem.

Wyskoczyła z łóżka jak z procy.

Włożyła na piżamę bluzę z kapturem, naciągnęła buty na bose stopy i na palcach podreptała na dół. Wybiła właśnie pierwsza trzydzieści rano. Zdjęła kluczyk z haczyka na kuchennych drzwiach i wyszła do pokrytego śniegiem ogrodu. Podeszła do szopy, strzepnęła warstwę śniegu z kłódki. Była zamarznęta. Może to znak, że powinna wracać do łóżka? Chuchnęła na mosiężny zamek. Przerwała, prawie dając za wygraną. Kiedy spróbowała po raz drugi, kłódka puściła.

Włączyła światło i zdjęła skrzynię na narzędzia. Otworzyła ją. W środku była jedna butelka wódki. Lottie zamknęła wieko i usiadła na zimnej podłodze.

Przygryzła paznokieć, po czym, po kilku minutach walki z samą sobą, znów otworzyła skrzynię i wyjęła z niej alkohol. Zamknęła wieko, wzięła butelkę pod pachę i pobiegła do domu. Otwarte drzwi szopy kołysały się na wietrze.

\*\*\*

**1 stycznia 1975**



*Nie mogła w to uwierzyć.*

*Siedział w jej salonie na kanapie w kwiaty i patrzył na nią, podczas gdy mama krzątała się w kuchni, przygotowując herbatę. Tata pociągał z fajki, wypełniając pokój dymem.*

*Dziewczynka wytrzeszczała oczy w niemym akcie protestu. Mówili o jej „problemie” tak, jakby jej tam nie było. W ramionach trzymała małe dziecko, podczas gdy niewielki ręcznik w jej majtkach powoli nasiąkał krwią. Zastanawiała się, jak mogła nie wiedzieć, że miała w sobie dziecko. Uśmiechnęła się. Według niej było idealne, chociaż ksiądz powiedział, że to „grzech z rękami i nogami”. Jak mógł siedzieć tutaj i wygadywać takie rzeczy?*

*Bardzo chciała im powiedzieć. Mamie, która stała z połączonym imbrykiem w dłoni. Tacie, który siedział jak ostatni idiota i odkrajał scyzorykiem kawałki tytoniu. Chciała im powiedzieć, że to wszystko wina księdza.*

*Ale milczała. Jej serce pękło na tysiąc kawałków. Stała więc tak bezradnie, trzymając w ramionach swoje dziecko, owinięte jedynie w ręcznik.*

*Chciała też powiedzieć o tym wtedy tej kobiecie, położnej, która miała gładką twarz i kręcone włosy. Przecięła pępowinę, osłuchała dziecko, upomniała krzyczącą mamę, a potem wyszła tak szybko, jak przyszła.*

*A teraz dorośli dyskutowali, co zrobić, jakby dziewczynka była niewidzialna. Dziecko zakwiliło, a jej niewielkie sutki, mokre teraz od mleka, poplamiały jej koszulę. Zaczęła płakać, a wtedy wszyscy zwrócili na nią uwagę.*

*Przycisnęła dziecko do piersi, czując ogromny strach o siebie i swoje maleństwo.*

*– Dom św. Angeli – zdecydował ksiądz. – Tam nauczą ją manier.*

# **DZIEŃ CZWARTY**

**2 stycznia 2015**

## ROZDZIAŁ 30

Leżała w łóżku, a jej ciało przygniatała noga mężczyzny.

Kim był? Gdzie ona była? Obróciła się, ale nie mogła zobaczyć jego twarzy, ponieważ leżał na brzuchu. Kiedy uniosła się na łokciach, zaboląły ją żebra i wtedy przyszło olśnienie.

Cholera. Kurwa. Niech to szlag. Piłam.

Poczuła, jak w jej kącikach oczu zbierają się łzy, a nienawiść do samej siebie rosła w siłę. Było jej niedobrze.

Lottie wierzgnęła, strącając nogę śpiącego mężczyzny, zsunęła się z łóżka i pobiegła do łazienki. W ostatniej chwili zdążyła pochylić się nad sedesem i zwymiotowała.

Zgniły zapach alkoholu wypełnił łazienkę. Zanim opadła na podłogę, zwymiotowała jeszcze raz. Ukryła bolącą głowę w dłoniach i tak siedziała, nie dbając, że ma na sobie jedynie źle dobraną bieliznę. Obchodziło ją wyłącznie to, że straciła panowanie nad sobą w najgorszym możliwym czasie.

Kątem oka zauważyła w drzwiach cień, a potem łazienkę zalało światło, oślepiając ją.

– Zapalisz?

To był Boyd.

W tym momencie rozkleiła się na dobre. Nie mogła nic na to poradzić. Czują do siebie odrazę.

– Co ja zrobiłam? – zapytała, nie patrząc na niego.

Sierżant usiadł obok niej na zimnych kafelkach. Miał na sobie jedynie bokserki.

– Byłaś pijana. Zadzwońiłaś po mnie, więc przyjechałem. Błagałaś mnie, żebym cię tu przywiózł, a potem mi się zaoferowałaś.

Zapalił dwa papierosy i wsunął jednego pomiędzy jej drżące palce.

– Nie przyjąłem twoich zalotów. Byłaś w takim stanie, że nadawałaś się tylko do spania, ale przed zaśnięciem próbowałaś mnie rozebrać.

Lottie zaciągnęła się dymem. Jej policzki oblały się pełnym wstydu rumieńcem.

- Co się z tobą dzieje? – spytał, puszczając kółka z dymu.
- Nie mam pojęcia.
- Potrzebujesz pomocy.
- Nie, muszę po prostu wziąć się w garść.
- Sama nie dasz rady.
- To patrz – mruknęła.
- Patrzę i nie podoba mi się to, co widzę.
- O czym ty mówisz?

Boyd zaciągnął się. Oboje chwilę milczeli.

- Płakałaś przez sen – powiedział w końcu.
- Nic mi nie będzie – odparła.

Siedzieli i palili, słuchając cichego plusku wody w toalecie. Potem sierżant zgasił niedopałki pod wodą w kranie, wrzucił je do lśniącego kosza na śmieci i odprowadził inspektor do łóżka. Przykrył ją, ucałował w czoło, zmierzwił ręką włosy i położył się obok niej. Lottie przesunęła się na brzeg łóżka, tworząc między nimi niewidzialną barierę, i zasnęła.

\*\*\*

Obudziła się i usiadła na łóżku. Była sama. Obróciła zegarek na nocnej szafce, by sprawdzić, która godzina. Była szósta trzydzieści osiem. Opadła z powrotem na poduszkę. Ulżyło jej, że to Boydowi narzucała się w alkoholowym upojeniu, a nie jakiemuś poznanemu w barze facetowi. Nagle przypomniała sobie o dzieciach i wyskoczyła z łóżka jak oparzona. Musiała wrócić do domu, zanim wstaną.

Boyd wszedł do sypialni ubrany w czarne spodnie i białą koszulę. Podał jej kubek kawy. Silny aromat uderzył ją w nozdrza. Spojrzała na niego pytająco.

– Nie martw się. Umiem być dyskretny. A teraz napij się. Przed nami długi dzień.

- Dobry z ciebie człowiek – westchnęła. – Dziękuję.
- Masz pięć minut, żeby się umyć i ubrać – nakazał i wyszedł z pokoju.
- Sadysta – zamruczała.
- Swój pozna swego – odkrzyknął sierżant.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

Włożyła ubranie. Na szczęście miała wczoraj w nocy dość rozumu, by zmienić piżamę na spodnie i bluzkę. W tylnej kieszeni jeansów znalazła

pokruszoną tabletkę Xanaxu, którą natychmiast połknęła i popiła dwoma łykami kawy. Potrzebowała spokoju, by zmierzyć się z przeciwnościami dnia.

Podniosła paczkę papierosów i schowała ją do kieszeni. Paliła tylko wtedy, kiedy piła. Nie idź tą drogą, ostrzegła się w duchu i wyszła z sypialni.

Na dworze deszcz zacinał w jej poranioną twarz i z trudem wgramoliła się do samochodu.

– Odwieź mnie najpierw do domu – poprosiła. – Muszę sprawdzić, co z dziećmi, i się przebrać.

Ciszę w samochodzie zagłuszał jedynie odgłos wycieraczek. Lottie i Boyd nie mieli sobie w tej chwili nic do powiedzenia. Myśleli o rzeczach, które lepiej przemilczeć.

Sierżant zatrzymał się przed jej domem. Wysiadła z samochodu.

– Dzięki.

– Co mam powiedzieć Corriganowi, jeśli o ciebie zapyta?

– Że sprawdzam poszlakę.

– Jaką?

– Powiem ci, jak ją znajdę.

Zamknęła z trzaskiem drzwi samochodu. Czas wrócić do dawnej formy, zanim będzie za późno, pomyślała.

## ROZDZIAŁ 31

Chloe Parker siedziała przy stole. Makijaż rozmazał się na jej wilgotnych policzkach. Lottie zawahała się, stojąc w drzwiach. Wejść czy uciekać?

– Chloe, tak bardzo mi przykro – powiedziała, wchodząc do kuchni.

Dziewczyna zignorowała ją. Wstała, podeszła do kosza na śmieci, z którego wyciągnęła częściowo opróżnioną butelkę wódki. Odkręciła zakrętkę, wylała pozostały w butelce alkohol do zlewu, wrzuciła ją z powrotem do kosza i pobiegła po schodach do pokoju.

Lottie opadła na krzesło. Wiedziała, że będzie musiała porozmawiać z córką.

Zadzwoniła do matki, mając nadzieję, że kąc ułatwi jej zbliżającą się konfrontację. Rose ucieszy się, że to nie ona pierwsza musi przerywać milczenie.

\*\*\*

Rose Fitzpatrick przejechała przez miasto w dziesięć minut. Teraz stała nad deską do prasowania, z żelazkiem w ręku.

– Lottie Parker, musisz częściej być w domu. Twoje biedne dzieci zawsze chodzą głodne i nie mają co na siebie włożyć – narzekała, trzymając bluzę Seana.

Lottie chciała ją poinformować, że sportowych ubrań nie trzeba prasować, ale powstrzymała się od komentarza. Rose przejęła kontrolę nad domem, gdy tylko przekroczyła jego próg. Taka właśnie była – wścibska i apodyktyczna, a przede wszystkim bardzo kochała wnuki.

Rose Fitzpatrick była wysoka. Nie miała zmarszczek poza kilkoma kreskami koło oczu, a jej krótkie srebrne włosy lśniły. Kiedyś co miesiąc je farbowała, ale porzuciła ten zwyczaj pięć lat temu, po przekroczeniu siedemdziesiątki. Jednak nadal chodziła do salonu fryzjerskiego na cotygodniowe mycie i suszenie.

– Zrobić herbaty? – Lottie siliła się na grzeczność.

– To twoja kuchnia – mruknęła Rose, przejeżdżając żelazkiem po parze

jeansów. – Napijesz się? – zapytała, po czym napełniła czajnik.

– Weź prysznic – odpowiedziała i zwinęła kabel żelazka. – Śmierdzisz. Potem porozmawiamy o tym, dlaczego po mnie zadzwoniłaś.

Lottie wybiegła z kuchni. Rose nawet nie zapytała, skąd ma na twarzy sińce. Rozebrała się i stanęła pod gorącym strumieniem wody, aż zaczęły ją piec rany. Miała sine żebra i bolała ją głowa, ale przynajmniej po prysznicu była czysta. Włożyła kamizelkę termoochronną i koszulkę z długim rękawem oraz jeansy. Poczowała, że jest gotowa stawić czoła matce.

Zanim do niej zeszła, zajrzała do pokoju Chloe. Nastolatka leżała na łóżku, a na uszach miała ogromne słuchawki. Kiedy zauważyła Lottie, odwróciła się do ściany.

Pokój Katie był pusty. Chciała zapytać Chloe, czy wie, gdzie jest jej siostra, ale nie zrobiła tego. Sean siedział w swoim pokoju i grał na PlayStation. Pewnie nie spał całą noc.

Rose zajęła miejsce przy kuchennym stole z filiżanką herbaty w dłoni. Deska do prasowania była schowana, ubrania równo ułożone. W garnku gotowały się ziemniaki, a w piekarniku skwierczał kurczak. Nie było nawet dziesiątej rano. Parkerowie ostatni porządny posiłek jedli w pierwszy dzień świąt. Czy w ten sposób matka chciała wzbudzić w Lottie poczucie winy? Inspektor wysiliła się na uśmiech.

– Dzięki za... – wskazała na wysprzątaną kuchnię.

– Od tego są matki, prawda? – odparła Rose. – Ich zadaniem jest sprzątać bałagan, który narobiły dzieci.

Uśmiech spełzył z twarzy Lottie.

– To o czym chciałaś ze mną porozmawiać? – zapytała Rose.

– O Susan Sullivan – oznajmiła bez ogródek, po czym naląła sobie filiżankę herbaty.

– Tej zamordowanej? O co chodzi?

– Rozmawiałam z Annabelle i powiedziała mi, że Susan kontaktowała się z tobą.

– To prawda.

– Widziałaś się z nią?

– Tak, kilka miesięcy temu. Może w październiku, listopadzie. Nie pamiętam dokładnie.

– Mów dalej.

– Chciała odnaleźć dziecko, które jej odebrano...

- Co to ma wspólnego z tobą? – przerwała jej.
- Mam ci opowiedzieć czy nie?
- Przepraszam. Kontynuuj.
- Matka Susan nie chciała jej nic powiedzieć na temat dziecka. Ale dwa lata temu, tuż przed śmiercią, zdradziła jej moje nazwisko.
- No i...
- Powiedziała Susan, że pomogłam przy porodzie. Co było kłamstwem, bo zjawiłam się krótko po nim. Nie mogłam jej pomóc ani wtedy, ani kiedy mnie odnalazła.
- Lottie zamieszała łyżeczką w filiżance.
- To musiało być jakieś dwadzieścia pięć lat, od kiedy...
- Od kiedy byłam położną? Tak, ale to było dawniej. W latach siedemdziesiątych. Ta dziewczynka miała zaledwie jedenaście albo dwanaście lat. Biedaczka. Wtedy nazywała się Sally Stynes.
- Naprawdę? Wiesz coś więcej na ten temat? – Lottie przestała bezmyślnie mieszać w filiżance. Teraz, gdy znała prawdziwe imię i nazwisko Susan, może uda się jej dowiedzieć czegoś nowego.
- Niewiele.
- Co stało się z jej dzieckiem?
- Kiedy do mnie zadzwoniła, obudziła stare wspomnienia – odparła Rose, marszcząc czoło. – Jej matka wezwała księdza. Nawyrażniej to on zasugerował odesłać Susan z dzieckiem do Domu św. Angeli. Wiesz, to ten stary budynek przy cmentarzu. Teraz jest już zamknięty.
- Lottie kiwnęła głową. Dom św. Angeli. Jak mogła zapomnieć? Nigdy o tym nie rozmawiały. Ale teraz Rose przerwała milczenie.
- W zamyśle miał to być sierociniec prowadzony przez zakonnice, potem połączyli go z domem dla panien. Oczywiście dorastało tam kilkoro niechcianych dzieci. Siostry przyjmowały też krnąbrnych chłopców.
- Dom dla niegrzecznych dzieci – mruknęła Lottie. – Można też nazwać to miejsce inaczej, matko.
- Rose zignorowała uwagę córki.
- Susan podejrzewała, że jej dziecko zostało adoptowane. Pamiętała czas, który spędziła w Domu św. Angeli, ale nie mogła uzyskać żadnych informacji na temat swojego dziecka. Niestety ode mnie też nie dowiedziała się niczego nowego – rzekła chłodno Rose.
- Wiesz, kto był ojcem dziecka?



– Nie mam pojęcia. Kiedy byłam w ich domu, matka wyzywała ją od puszczalskich zdzir. Bardzo przygnębiające, ale jeśli rzeczywiście taka była, to ojcem mógł być ktokolwiek – stwierdziła, zakładając ramiona na piersi.

Ton Rose sprawił, że Lottie zemdliło. Zastanawiała się nad tym, co od niej usłyszała. Miała nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej na temat Susan, czy raczej Sally Stynes. Zbiegiem okoliczności jej matka posiadała kilka wartościowych informacji. Mieszkańcy miasteczek całe życie noszą w sobie sekrety. Ponadto Rose znała wszystkich i wiedziała o wszystkim. Lottie piła herbatę. Bardzo chciała porozmawiać też o dręczącej ją przeszłości.

– Myślisz czasem o Eddiem? – To była odpowiednia chwila, by zadać pytanie o brata.

Rose wstała, opłukała i wytarła kubek, po czym odstawiła go na miejsce w szafce.

– Eddiego już nie ma. Nie ma o czym rozmawiać.

Odrzuca wspomnienia, pomyślała Lottie, ale nie odpuściła.

– A o tacie? Możemy o nim porozmawiać?

– Kurczak będzie gotowy za pół godziny. Pilnuj ziemniaków, żeby nie wykkipiały. – Rose założyła płaszcz i kapelusz. – Potem możesz je sobie podgrzać w mikrofalówce na obiad.

– Czyli nie będziemy o nich rozmawiać – stwierdziła cierpko Lottie.

– Brakuje ci mężczyzny. – Rose położyła dłoń na kłamce.

– Co takiego? – zapytała, zupełnie zbita z tropu.

– Boyd? Tak mu na imię? Ten dryblas. Wydaje się miły.

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Wpadnij z dziećmi do mnie w odwiedziny.

Lottie nie zabraniała dzieciom wizyt u babci, same podjęły decyzję, że nie chcą jej widzieć.

Stojąc w progu, Rose powiedziała:

– Widziałam twój wywiad w telewizji.

– I co?

– Nie zrobiłaś dobrego wrażenia, moja droga. – Wykrzywiła twarz. – Mogłaś ukryć sińce pod makijażem.

Jak zwykle ostatnie słowo należało do matki.

Lottie zatrzasnęła drzwi. Wyłączyła kuchenkę, odcedziła ziemniaki i wyrzuciła je do kosza na śmieci. Za nimi powędrował także kurczak.

Pomyślała, że prędzej umrze z głodu, niż weźmie do ust cokolwiek przyrządzonego przez matkę.

Bardzo bolała ją głowa, ale musiała iść do pracy.

## ROZDZIAŁ 32

Śnieg przestał padać i temperatura niespodziewanie wzrosła.

– Słyszysz? – zapytała funkcjonariuszka Gillian O’Donoghue.

– Co? – odparł policjant Tom Tierney.

– Śnieg się topi.

O’Donoghue i Tierney stali przed domem Jamesa Browna.

– Przyjemnie ciepło – zamruczał funkcjonariusz. – Wolę choć jeden stopień powyżej zera od tych sylwestrowych mrozów.

– Idę na spacer. Moje stopy nadal są w stanie zamarzniętości – powiedziała O’Donoghue.

– Jest w ogóle takie słowo?

– A co za różnica? – parsknęła śmiechem i ruszyła wzdłuż ścieżki do ogrodu za domem, oczarowana zielenią, która przebijała się przez śnieg. Biały puch był uroczy przez kilka pierwszych dni, ale później zaczął sprawiać problem. Wdychała chłodne powietrze i słuchała odgłosów odwilży.

Kiedy się odwróciła, jej wzrok przykuł dziwny kształt pod drzewem. Podeszła tam, po czym szybko odskoczyła i zawołała:

– Tom, Tom!

Ze śniegu wystawała dłoń w czarnym rękawie.

O’Donoghue sięgnęła po radio przypięte do jej piersi.

\*\*\*

Kiedy inspektor Parker i sierżant Boyd przybyli na miejsce, w ogrodzie było pełno ludzi.

Lottie zastękała. Przez te trzy dni mieli więcej pracy niż w ciągu dwóch ostatnich lat. Nie miała nawet czasu przemyśleć tego, czego dowiedziała się od matki. Spotkała Boyda i Marię Lynch na schodach posterunku. To oni przekazali jej najnowsze wieści i wszyscy razem przyjechali do domu Jamesa Browna tak szybko, jak pozwalało na to pokrywane drogi błoto.

Inspektor poszła wraz z Lynch za dom. Obie czujnie rozglądały się za

jakimikolwiek dowodami. Natomiast sierżant rozmawiał w tym czasie z mundurowymi.

Zauważyła szefa zespołu kryminologów, Jima McGlynn, który obdarzył ją drwiącym uśmiechem.

– Sukinsyn – warknęła.

– Kto? – zapytała Lynch.

– McGlynn.

Nabijał się z niej. Miał szczęście, że nie był jej podwładnym. Wtedy kazałaby mu przesiewać świński gnój w poszukiwaniu niewidocznych dioksyn do końca jego kariery zawodowej.

Ogród był mały. W patio na lewo od tylnych drzwi znajdowała się szopa i drewniany stół z krzesłami. Po obu stronach zakończonego murem ogrodu rosły drzewa. Dalej rozciągały się zaśnieżone pola. McGlynn był zajęty odgrzebywaniem ciała ofiary spod warstw śniegu.

Inspektor Parker czekała. W końcu udało im się odkopać ciało. Był to mężczyzna, leżał twarzą do ziemi. Miał na sobie czarną kurtkę i spodnie. Ręka, która wystawała ze śniegu, należała do młodej osoby. Na jednym z palców błyszczał srebrny pierścień. Dookoła ciała rozsiane były odłamki szkła i czarnego plastiku. McGlynn zbierał je z ziemi pincetą i umieszczał w plastikowym woreczku.

– Telefon? – zapytała.

– Rozwalony na kawałki – odrzekł. – Nie sądzę, żeby nawet najlepsi technicy coś w nim znaleźli.

– Od jak dawna ciało tutaj leży?

– Czekam na patologa – burknął szef kryminologów.

– Dupek – szepnęła.

Jane Dore pojawiła się na miejscu zbrodni ubrana w kombinezon ochronny. Powitała Lottie skinieniem.

– Ktoś chyba myśli, że nie mam nic lepszego do roboty.

– Święte słowa. – Inspektor ciężko westchnęła. Stanęła z boku, podczas gdy patolog rozpoczęła wstępne oględziny.

– Wygląda to na uduszenie – stwierdziła. – Na szyi ma widoczny ślad. Śnieg zamarzył pod ciałem, więc możemy założyć, że zginął w ciągu ostatniego tygodnia. Mróz zachował ciało w idealnym stanie.

Idealnym poza faktem, że to zwłoki, pomyślała Lottie. Nadal miała kaca i zbierało jej się na wymioty.

– Został zabity tutaj? – zapytała, zdając sobie sprawę, że jeśli ciało spoczywa tu od tygodnia, to ten człowiek zginął przed Sullivan i Brownem.

– Po sekcji będę wiedziała więcej.

– Proszę sprawdzić, czy ma tatuaż.

– Oczywiście – przytaknęła patolog, po czym opuściła miejsce zbrodni.

Lottie coraz bardziej bolała głowa. Liczba zgonów wciąż rosła. Corrigan wrzał z gniewu. Mieszkańcy miasta byli przerażeni, a jej zespół nie wpadł jeszcze na żaden trop. Podrapała się po głowie. Niech to szlag trafi.

– Dobrze się czujesz? – Boyd stanął przy jej boku.

– Kto to jest? – zapytała.

– Skąd mam wiedzieć?

Powstrzymała kąśliwą uwagę i spojrzała na partnera. Jego twarz była jeszcze bardziej wychudzona, jeśli to w ogóle możliwe.

– To było pytanie retoryczne. Bardzo prawdopodobne, że ofiara zginęła przed Sullivan i Brownem.

Ciało odwrócono na plecy. Inspektor przyjrzała się poczerńiałej i napuchłej twarzy.

– Ma na oko jakieś trzydzieści parę lat – rzekła, obserwując kryminologów, którzy włożyli ciało do worka i zabrali je z miejsca zbrodni.

McGlynn uniósł mały woreczek z dowodami.

– Niebieskie włókno – zauważyła.

– Znalezione na szyi – dodał.

– Dzięki – skinęła głową. Na podobnym sznurze zawisł James Brown.

– Żadnego portfela ani innego dowodu tożsamości. Ale znaleźliśmy dwa niedopałki – powiedział McGlynn, podnosząc jeden z nich pincetą.

– To ofiary?

– Albo zabójcy. – McGlynn wrzucił niedopałek do woreczka.

Lottie obserwowała go jeszcze przez kilka minut, po czym weszła do domu.

– Zwłoki pasują do opisu księdza Angelottiego – stwierdził Boyd.

– Nie da się rozpoznać twarzy. Nie wiemy też, czy miał jakieś znaki szczególne – odparła Lottie. – Będziemy musieli zaczekać na oficjalną identyfikację albo na wyniki badań DNA.

– Ktokolwiek to jest, ktoś musi go szukać.

– Nie miał samochodu – zauważyła. – Jak się tutaj znalazł?

– Może zabójca go tu przywiózł albo przyjechał taksówką – zasugerował.

– Kolejne pytanie brzmi: co tutaj robił?

– I czy Brown go znał?

– Za dużo tych pytań bez odpowiedzi.

– Dowiedz się wszystkiego, co możliwe.

– Może byli kochankami. Brown sprowadził go tutaj i zabił w szale zazdrości – zastanawiał się sierżant.

– Pewnie zaraz powiesz, że Brown uśmiercił tego człowieka, udusił Sullivan, a potem sam się powiesił, tak? – Inspektor potrząsnęła głową z poirytowaniem.

Nie odpowiedział. Wyciągnął kolejnego papierosa i wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić. Lottie poszła za nim. Jej buty grzęzły w błocie, a w głowie miała mętlik.

W tej chwili najchętniej sięgnęłaby po drinka.

Odrzuciła myśl o alkoholu, przyjmując w zamian papierosa od Boyda, a następnie opowiedziała mu o ostatnich rozmowach z doktor Annabelle O’Shea i swoją matką.

## ROZDZIAŁ 33

Na posterunku detektywi dodali to, co wiedzieli o nowej ofierze, do danych umieszczonych na tablicy. Inspektor Parker uważała, że lepiej jest mieć wszystko przed oczami. W komputerowej bazie danych łatwo coś przeoczyć lub pominąć. Nie mieli jednak z czym pracować.

Przydzieliła jednemu z detektywów zadanie odszukania informacji o Sally Stynes, znanej też jako Susan Sullivan. Zastanawiała się również, gdzie mogłaby znaleźć dokumenty dotyczące Domu św. Angeli. Im więcej wiedzieliby o tej instytucji, tym bliżej byłoby poznania sekretów Susan Sullivan. Lottie ponownie skupiła uwagę na nowej ofierze.

– Gdyby śnieg nie padał tak intensywnie – powiedziała – to znaleźlibyśmy ciało...

– Tydzień temu – dokończył Boyd.

– Może chciał, abyśmy znaleźli zwłoki.

– Chyba tak. Wcale nie próbował ukryć ciała.

– Było tylko pod śniegiem.

– Gdyby nie padało... – zaczął Boyd.

– Ale padało. Czyżby zabójca chciał skierować podejrzenie na...

– Jamesa Browna? Kiedy ciało nie zostało odnalezione, z jakichś powodów zabił Sullivan i Browna. – Boyd urwał, ale po chwili mówił dalej:

– Nadal uważam, że Brown mógł być sprawcą.

– Ta teoria nie ma sensu – rozłożyła ręce.

Zerknęła na tablicę i zauważyła, że nie ma na niej fotografii księdza Angelottiego. Wyjęła z kieszeni telefon, zadzwoniła, po czym zabrała płaszcz i wybiegła z budynku, mijając Boyda.

\*\*\*

– Dzień dobry, proszę siostry. Przyszłam do księdza Burke'a. Oczekuje mnie.

Zakonnica zaprowadziła ją do pokoju, w którym rozmawiała z Joe pierwszym dnia śledztwa. Krążyła wśród mahoniowych mebli, przyglądając

się portretom zmarłych biskupów. Bój się Boga, nie ma co, pomyślała.

– Sprawiają, że zaczynasz bać się Boga, prawda? – Ksiądz Joe wszedł do pokoju.

– Tak – **uśmiechnęła** się do niego. Czytał w jej myślach?

– Herbaty? Siostra Anna ci zaparzy.

– Nie, dziękuję.

– Czym mogę służyć? Przez telefon mówiłaś, że to pilne.

– Potrzebuję zdjęcia księdza Angelottiego – powiedziała. Tak naprawdę wcale go nie potrzebowała. Do analizy porównawczej DNA mogli wykorzystać jego grzebień.

– Jeszcze nie udało ci się go odnaleźć? – Joe wydrukował zdjęcie z komputera znajdującego się w kącie pokoju. Sama mogła to zrobić. Czy przyszła tu tylko po to, by zobaczyć się z Joe? Nie powinna była. Jej emocje toczyły walkę z racjonalnym myśleniem.

Zmarszczyła nos, oglądając zdjęcie. Ciało w ogrodzie Browna mogło rzeczywiście należeć do Angelottiego.

– Czy ksiądz Angelotti pali? – zapytała, przypominając sobie zapach zwietrzałego tytoniu w jego pokoju i niedopałki na miejscu zbrodni.

– Nie wiem – odrzekł Joe. – Ale zaczekaj chwilę.

Chwycił za telefon i zadzwonił, zadając to samo pytanie.

– Według księdza Eoina, sekretarza biskupa Connora, Angelotti rzeczywiście pali. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Zbieram tyle informacji, ile się da – wyjaśniła, po czym zmieniła temat.

– Wiesz coś na temat Domu św. Angeli?

– Niestety niewiele. Przestał być domem dziecka na początku lat osiemdziesiątych. Zanim zamknęli go na dobre, mieszkały tam emerytowane zakonnice. Kilka lat temu dom sprzedano.

– Co stało się z archiwami?

– Chyba gdzieś je przeniesiono – powiedział. – Skąd ta ciekawość?

– Do kogo mam się zwrócić, jeśli chciałabym odnaleźć te archiwa? – Lottie zignorowała pytanie.

– Nadal jesteś bardzo tajemnicza, pani inspektor. Zostaw to mnie. Powęszę tu i ówdzie.

Zauważyła szelmowski błysk w jego oczach i pomyślała, że taki właśnie był, zanim założył koloratkę. Wstała i uścisnęła mu dłoń. Zdawało jej się, czy naprawdę trzymał ją dłużej, niż to było konieczne?



– Masz mój numer telefonu. Daj mi znać, jeśli uda ci się cokolwiek znaleźć – poprosiła.

– Oczywiście.

\*\*\*

Ksiądz Joe usiadł za komputerem i wpisał nazwę: „Dom św. Angeli”. Na ekranie pojawił się napis: „Brak dostępu”.

Zadzwoił więc do księdza Eoina.

– Mam problem z odnalezieniem bazy danych archiwów diecezjalnych – powiedział.

– Biskup Connor zlecił przemodelowanie naszej sieci wewnętrznej. Zażądał lepszych zabezpieczeń.

– Ale chyba jako księża mamy dostęp do tych archiwów?

– Spróbuj użyć mojego hasła. Może ci się uda. Biskup na pewno nie będzie miał nic przeciwko.

– Ratusz mi życie, przyjacielu.

Rozłączył się i wprowadził nowe hasło. Tym razem zadziałało. Popatrzył na kursor migający na tle pustego ekranu. Nie było żadnych danych dotyczących Domu św. Angeli.

Joe ponownie chwycił za telefon.

## ROZDZIAŁ 34

– Że co? – ryknął Boyd, kiedy inspektor powiedziała mu, gdzie była. – Kompletnie ci odbiło?

– O co ci *chodzi*? Na pewno ma dojścia, o których nie wiemy. – Nie rozumiała, dlaczego w ogóle musiała się tłumaczyć.

– Nadal jesteś pijana – stwierdził. – To jedyne wytłumaczenie.

– Może jeszcze głośniej? – syknęła, sprawdzając, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Lynch i Kirby siedzieli z pochylonymi głowami.

– Jest podejrzany o morderstwo Sullivan. – Boyd krążył od ściany do ściany. Dzięki długim nogom przemierzał całą drogę w trzech krokach.

Migrena dawała Lottie o sobie znać z każdym jego dudniącym krokiem.

– Nie powiedziałam mu, jakich danych szukam i po co mi one. Muszę wiedzieć, czy istnieją i gdzie ich szukać.

– Powiedzmy, że jest zabójcą. Teraz już wie, że chcesz znaleźć te archiwa i pewnie je zniszczy.

– Pieprzysz bez sensu. – Wysunęła krzesło i oparła się na nim.

– Do czego są ci w ogóle potrzebne te dane? – zapytał, podchodząc do niej.

– Nie wiem. – Lottie chciała wrócić do swojego biura. Tam przynajmniej mogłaby pomyśleć w spokoju. – Te archiwa mogą nie mieć nic wspólnego z naszą sprawą. To tylko przeczucie. Szukam, gdzie się da.

– Skoro mowa o szukaniu, czy rano przypadkiem nie znalazłaś mojej zapasowej paczki papierosów? – spytał, wyrzucając puste opakowanie do kosza.

Wyjęła papierosy z kieszeni i rzuciła je Boydowi, który złapał je i ruszył w kierunku drzwi.

– Lynch?

– Tak, inspektorze?

– Wychodzę na chwilę.

\*\*\*

Inspektor była przekonana, że cmentarz Ragmullin był najzimniejszym miejscem w Irlandii. Lodowaty wiatr dął ze wszystkich stron, a słońce rzucało zimne promienie na nagrobki. Przerazające monolity stały obok wysokich sosen, rzucając cienie na groby i spowalniając odwilż. Śnieg przymarzał do świątecznych wieńców, dodając okolicy mistycznej atmosfery.

Wiatr wzmógł się i zdmuchnął plandekę z krzewu poinsecji. Zwiędnięte czerwone kwiaty oznaczały, że ktoś odwiedził to miejsce, by zostawić coś dla tych, którzy żyli już tylko w pamięci bliskich.

Na grobie Adama znajdował się wielki granitowy krzyż. Mąż Lottie żył tylko czterdzieści lat. Nie odwiedzała jego grobu już od jakiegoś czasu, nie przyszła nawet na święta. Chłód, cisza i samotność otulały ją niczym wytarty stary szal. Wzięła głęboki oddech i przeprosiła Adama.

– Tu jest zbyt samotnie – wyznała kamiennemu krzyżowi. – Zawsze będziesz w moim sercu.

W oddali zabrzmiał dzwon, a po jej plecach przebiegły dreszcze. Pora iść. Miała sporo tajemnic do odkrycia i zabójcę do schwytania.

Kiedy przeszła przez otwartą bramę cmentarza, spojrzała na stojący za polem Dom św. Angeli, niecałą milę od miejsca, w którym się zatrzymała. Budynek otaczała szara mgła. Jakie sekrety skrywały jego ściany? Ile ludzkich losów zostało w nim przekreślonych? Pomyślała o Susan i jej dziecku. Przypomniała sobie też inne dziecko, które zaginęło dawno temu. Czy on nie żył? Czy spoczywał gdzieś na tym cmentarzu? Czy ten zaginiony chłopiec był prawdziwym powodem, dla którego chciała odnaleźć stare archiwa? Sama nie była pewna motywów własnych działań. Ale wiedziała, że nigdy nie zapomni tego chłopca. Nie było go już tak długo, że inni dawno wyrzucili go z pamięci. Ale nie ona. Często zaglądała do akt jego sprawy, nie tylko po to, by ćwiczyć pamięć, ale też – by zakotwiczyć go w swoim umyśle. W dniu, w którym idąc w ślady ojca, dołączyła do policji, Garda Síochána<sup>1</sup>, przyrzekła sobie, że odnajdzie tego chłopca. Do tej pory nie udało jej się dotrzymać obietnicy.

Wróciła do samochodu, zanim przeszłość zdążyła jeszcze bardziej obciążyć jej sumienie.

---

<sup>1</sup> Garda Síochána – „straż pokoju”. Policja w Irlandii, która została powołana w lutym 1922 roku przez Rząd Tymczasowy Republiki Irlandzkiej (przyp. red.).

## ROZDZIAŁ 35

Inspektor Parker i sierżant Boyd siedzieli przed biurkiem dyrektora banku, Mike'a O'Briena. Lottie znienawidziła go od momentu, w którym usiadł w fotelu, nie racząc nawet powiedzieć „dzień dobry”. Ale to był znajomy jej partnera. Chodzili razem na siłownię i razem trenowali tutejszą juniorską drużynę hurlingu. Zastanawiała się, czy O'Brien trenował Seana. Wiedziała, że Boyd tak.

– Przekazałem wam wyciągi z kont Browna i Sullivan – powiedział O'Brien – więc czego jeszcze ode mnie chcecie?

Małe oczy dyrektora, ciemne i podejrzliwe, przypominały fretkę, którą jej syn przyniósł kiedyś do domu. Wyczuła, że O'Brien chciał ją onieśmielić, wypinając pierś w desperackiej próbie udawania ważniejszego, niż w istocie był. Nie przekonywał jej. Na ramionach jego czarnego garnituru piętrzył się łupież, spadający z przydługich siwych włosów. Diamentowe spinki do mankietów lśniły w świetle lamp fluorescencyjnych. Dyrektor bezskutecznie starał się wyglądać młodziej, ale kiedy prowadził ich do swojego gabinetu, Lottie zauważyła, że miał szybki, energiczny chód. Niektórym opłacało się spędzać godziny na siłowni. Gdybym tylko miała czas, mruknęła do siebie.

– Sierżant Boyd przeanalizował wyciągi z kont ofiar – odparła inspektor.

– Chcemy wiedzieć, skąd przychodziły pieniądze – dodał jej partner.

– To znaczy? – O'Brien wpatrywał się w detektywów.

– Przez ostatnie sześć miesięcy na konta Sullivan i Browna regularnie przychodziło nie mniej niż pięć tysięcy euro – oznajmił Boyd.

– To niemal trzydzieści tysięcy – powiedziała. – Kto im je przekazywał?

– To nie wasza sprawa. – Dyrektor miał arogancki ton głosu.

– Ja o tym decyduję – odrzekła. – Sullivan i Brown nie żyją, a pieniądze przelewano do nich z jednego konta. Musi nam pan powiedzieć, kto jest jego właścicielem.

– Nie – odpowiedział, poprawiając spinki na mankietach.

– Słucham? – Lottie podniosła głos.

– Nie, nie mogę wam tego powiedzieć. – O'Brien poprawił krawat. Łupieżu na jego ramionach było coraz więcej, a spod spoconych pach

dochodził okropny zapach.

– Ci ludzie są martwi! – krzyknęła, waląc pięścią w stół. – Proszę ujawnić te informacje albo...

– Albo co, pani inspektor? – Po twarzy O'Briena przemknął drwiący uśmiech.

– Zdobędę nakaz sądowy – warknęła, wstając z miejsca.

– Proszę bardzo, zdobywaj sobie. – Dyrektor odsunął fotel i również wstał. Był od niej niższy i o wiele starszy.

– To jeszcze nie koniec, O'Brien – ostrzegła go.

– Macie wyciągi z ich kont. W niczym innym nie mogę wam pomóc. Muszę przestrzegać prawa.

– Nie waż się mnie pouczać.

– Nie miałem takiego zamiaru.

Inspektor Parker podeszła do O'Briena i zmierzyła go wzrokiem.

– Zaczynam podejrzewać, że to miasto pełne jest utrudniających wszystko *małych* zasrańców – wycedziła przez zęby.

– Do zobaczenia na siłowni – powiedział, machając do Boyda i kompletnie ignorując Lottie.

– Zobaczymy – odparł, zbierając się do wyjścia.

– Cholerny cuchnący dupiek – mruknęła, wychodząc za partnerem.

– Proszę uważać na słowa, pani inspektor – rzekł sierżant.

– Nie mogę uwierzyć, że chodzisz z nim do siłowni.

– Jest też trenerem juniorów.

– Dzięki Bogu, że Sean gra teraz w kategorii U-16.

– O'Brien nie jest taki zły – zaśmiał się.

– Nie byłabym tego taka pewna.

Ruszyła różnym krokiem, zostawiając Boyda za sobą.

## ROZDZIAŁ 36

Zapadał zmrok. Odwilż ustąpiła miejsca lodowatej mgłę. Nawet bez nieustannej szarości za oknem atmosfera w centrum operacyjnym była już dość ponura.

Sierżant Boyd zaczął kompletować dokumenty potrzebne do zdobycia nakazu sądowego, a Lottie wyszła na chwilę, by się przejść po sklepach na końcu ulicy. Kupiła gazetę i paczkę chrupek.

Pierwszą stronę zdołała jej niewyraźne zdjęcie opatrzone nagłówkiem: „Pedofil zamordowany?”.

Wywiad Moroneya z Lottie został wydrukowany dla wszystkich, którzy przeoczyli go w telewizji. Nie miała zamiaru go oglądać, ale partner poinformował ją, jak wyglądało jej pięć minut sławy. Corrigan nazwał to wizerunkową katastrofą, dodając to tego określenia kilka przekleństw. O tym też dowiedziała się od Boyda. Jedyne, co znaleźli w domu Browna, to pornografia w komputerze. Nie oznacza to jednak, że był pedofilem. Dla Lottie było jasne, że Moroney podsłuchiwał strzępy niesprawdzonych informacji i wysmażył z nich historyjkę, na której korzystał tylko on sam. Niech go szlag, pomyślała.

Potrzebowała przełomu. Czegoś, czym mogłaby udobruchać Corrigan. Tylko gdzie tego szukać? Miała nadzieję, że Jane Dore znalazła coś ciekawego.

Wzięła kluczyki od dyżurnego sierżanta, wsiadła do samochodu zaparkowanego przed posterunkiem i pojechała przez zamglone miasto.

\*\*\*

W Trupiarni Jane Dore zagotowała wodę w czajniku i zalała dwie filiżanki rumianku.

– Proszę powiedzieć, że odkryła pani coś istotnego – rzekła z nadzieją inspektor. Gorący wywar napełnił ją przyjemnym ciepłem. Czterdziestokilometrowa podróż do Tullamore ostudziła jej nerwy, ale nie osłabiła migreny.

- Nie przeprowadziłam jeszcze sekcji zwłok znalezionych w ogrodzie. Jednakże wstępne testy włókien wykazały, że to ta sama lina, na której znaleziono Jamesa Browna.
- Świetnie. Mamy dowód, że morderstwa są powiązane. Coś jeszcze?
- Na wewnętrznej stronie pierścienia ofiary wygrawerowano *Pax*. Po łacinie to słowo oznacza „pokój”.
- Czy to obrączka ślubna?
- Byłaby na innym palcu, ale to nic nie znaczy.
- Na obrączce byłoby słowo „miłość” albo imię małżonka – stwierdziła Lottie, obracając na palcu swoją z imieniem Adama.
- Nie byłam mężatką, więc co ja mogę wiedzieć. – Jane Dore uśmiechnęła się smutno. – Nie, żebym nie próbowała. Nigdy nie spotkałam faceta, który zaakceptowałby różne godziny mojej pracy i jej charakter.
- To pewnie ten zaginiony ksiądz – oznajmiła inspektor, odstawiając filiżankę. Wyciągnęła zdjęcie Angelottiego i pokazała je patolog.
- Taka sama budowa kostna – stwierdziła Jane i pokazała Lottie ciało. Porównały napuchniętą twarz z tą widoczną na zdjęciu.
- To może być on – powiedziała Lottie, odwracając się od zwłok.
- Wygląda na to, że tak – przytaknęła patolog. – Ale to tylko moje zdanie.
- Grzebień księdza jest w laboratorium. Wyniki badań DNA potwierdzają jego tożsamość – odparła Lottie.
- Trochę to potrwa, ale powiadomię cię, kiedy przyjdą wyniki.
- Przypuszczalny czas zgonu?
- Biorąc pod uwagę pogodę i stan ciała, powiedziałabym, że zginął w Wigilię albo wcześniej. Na pewno nie później, bo wtedy zaczęło padać na dobre.
- Dobry punkt zaczepienia.
- Lottie położyła dłoń na burczącym brzuchu.
- Muszę wracać do Ragmullin, no i coś zjeść.
- Najlepsze lekarstwo na kaca – rzuciła patolog, pijąc rumianek.
- Aż tak źle wyglądam?
- Tak. – Jane uśmiechnęła się. – Zjadłabym z tobą, ale muszę zacząć sekcję. Ten twój nadinspektor Corrigan dyszy mi w kark z niecierpliwości.
- A ja próbuję go unikać – oznajmiła Lottie i opuściła kostnicę.

\*\*\*



Mgła zelzała, a drogę omiatały cienie, kiedy Lottie wracała do Ragmullin. Trawa rosnąca po obu stronach drogi pokryła się szronem. Temperatura znowu spadła poniżej zera.

Lottie włączyła zestaw głośnomówiący i zadzwoniła do biskupa Connora.

– Chyba znalazłam księdza Angelottiego – rzekła.

– Dzięki Bogu. Czy nic mu nie jest? – zapytał biskup.

– On nie żyje – odpowiedziała Lottie, zaciskając kciuki. Małe kłamstewko mogło pomóc go złamać.

– Co...? To okropne. Gdzie... jak?

– Czy ksiądz biskup ma jakiś pomysł, dlaczego ktoś chciałby zamordować księdza Angelottiego?

– Zamordować? O czym pani mówi?

– Proszę mnie oświecić. Co naprawdę Angelotti robił w Irlandii?

– Pani inspektor, to dla mnie ogromny szok. Nie podobają mi się insynuacje, jakobym nie mówił całej prawdy.

– Ja niczego nie insynuuję. – Lottie uśmiechnęła się, słysząc uniesiony głos biskupa. Czyżby wpadał w panikę?

– Odniosłem inne wrażenie – odparł. – Będę musiał porozmawiać z pani przełożonym.

– Proszę się ustawić w kolejce – rzuciła i rozłączyła się.

\*\*\*

Biskup Terence Connor zamknął oczy i wsłuchiwał się w dźwięk sygnału na swoim telefonie. Miał nie lada kłopoty.

Otworzył oczy i podszedł do okna. Partia golfa dobrze by mu teraz zrobiła, ale upłyną tygodnie, zanim pola będą nadawały się do użytku. Golf był jego ucieczką od rzeczywistości. Uwielbiał zatracać się w grze, chodzić po trawie, wyliczać średnią uderzeń. W taką pogodę mógł jedynie w zamian pojechać do Galerii Narodowej, by zobaczyć wystawę dzieł Turnera. Uwielbiał sztukę. Ponadto gustował w wykwinnych winach i jedzeniu. Jako biskup mógł sobie pozwolić na luksusowe hobby.

Angellotti nie żył. Jego ciało zostało znalezione. To dobrze, prawda? Ten ksiądz sprawiał kłopoty od chwili, w której przekroczył próg domu biskupa. Connor domyślił się, że Watykan go obserwuje. Chcieli mu zamydlić oczy historyjką o „młodym księdzu szukającym siebie”, ale on nie był głupi.

Wiedział, że Angelottiego przysłano tu w konkretnym celu.

Biskup Connor wiedział, że w świetle wydarzeń ostatnich kilku dni śmierć Angelottiego była poważniejszym problemem niż topniejące fundusze parafialne czy sprawy sądowe o nadużycia. Wolałby, żeby inspektor Lottie Parker nie grzebała w sprawach, które jej nie dotyczą.

Dlatego właśnie musiał zadzwonić do nadinspektora Corrigan.

## ROZDZIAŁ 37

Inspektor Parker wróciła do domu po siódmej wieczorem.

Weszła do posprzątananej kuchni, a po chwili dołączył do niej Sean.

– Wszystko dobrze, mam? – zapytał. Objął czule matkę, co rzadko mu się zdarzało.

– Mam dużo pracy – westchnęła, ściskając syna.

– Chloe cały dzień się boczy – mruknął.

– Nie przejmuj się nią – powiedziała czule. – Muszę z nią porozmawiać.

– Zaczynasz znowu gotować? Tak jak kiedyś?

– Co masz na myśli? – spytała. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa.

– No wiesz, normalne jedzenie. Jak wtedy, kiedy żył tata.

Serce zamarło jej w piersi.

– Dlaczego tak mówisz?

– Uwielbiałem tamte obiady. Prawdę mówiąc, jestem teraz cholernie głodny.

– Nie używaj takich słów w tym domu.

– Ty ich używasz – zauważył, cofając się.

– Wiem. Nie powinnam tego robić, a ty tym bardziej.

– Przepraszam, mam.

– Ja też.

– Nie, przepraszam, że wspomniałem o tacie.

– Och, Sean. Nie musisz za to przepraszać. – Poczula, jak do oczu napływają jej łzy. – Powinniśmy częściej o nim rozmawiać. – Przełknęła ślinę. – Czasem jest mi ciężko, więc próbuję odciąć się od przeszłości.

– Wiem. Ale ja myślę o nim codziennie.

– To dobrze.

– Tęsknię za nim.

Sean miał łzy w oczach. Lottie przytuliła go mocno i pocałowała w czoło.

– Jesteś do niego taki podobny.

– Naprawdę?

Odsunęła się, by mu się przyjrzeć.

– Jak cholera.

– I kto tu teraz przeklina?

Zaśmiali się jak za starych, dobrych czasów.

– No dobrze, zaraz coś ugotuję – rzekła, żałując, że wyrzuciła jedzenie, które rano przygotowała Rose.

– Tak jest! – wykrzyczał radośnie Sean i przybił matce piątkę.

Lottie znów się zaśmiała. Wiedział, jak owinąć ją sobie wokół palca. Zupełnie jak Adam.

– Gdzie jest Katie? – zapytała. – Mogłaby mi pomóc, skoro Chloe się dąsa.

– W salonie, ze swoim chłopakiem.

– Z kim?

Sean wybiegł z kuchni bez odpowiedzi, po czym wszedł po schodach do swojego świata gier.

Lottie poszła do salonu. Drzwi były zamknięte. Nasłuchiwała przez chwilę, a kiedy nic nie usłyszała, weszła do środka. W pokoju było ciemno. Wymacała ręką włącznik światła.

– Sean, ostrzegałam cię. Wynocha! – krzyknęła Katie.

– Katie Parker!

– A... to ty, mamó – mruknęła Katie, wyplątując się z objęć chłopaka.

Lottie rozpoznała zapach, który unosił się w powietrzu.

– Czy ty palisz trawkę?

– Daj spokój, mamó.

– Nie będziesz paliła tego świństwa w moim domu.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Co ta smarkuła kombinowała?

– Nie przedstawisz mnie swojemu koledze? – Założyła ręce na piersi tak ciasno, że rozboleły ją zębra.

– To Jason. – Katie podniosła się, poprawiając sweter. Usiadła na kanapie i zaplotła włosy. Chłopak wstał, ledwie trzymając się na nogach. Z podartych jeansów wystawały mu markowe majtki Calvina Kleina. Wyciągnął rękę w kierunku Lottie.

– Dobry wieczór, pani Parker.

Był wzrostu Katie. Miał sięgające ramion czarne włosy. Koszulka Nirvany w tym samym kolorze ciasno opinała jego tors. W uchu miał drewniany kolczyk, co tylko potęgowało jego niedbały wygląd.

– Katie, pomóż mi z kolacją – poprosiła Lottie i wyszła z salonu, nie czekając na odpowiedź. Nie wiedziała, jak poradzić sobie z tą sytuacją.

Musiała być bardzo, bardzo ostrożna.

Katie wtoczyła się leniwie do kuchni.

– Daruj sobie wykład – jęknęła.

– Jesteś już na tyle dorosła, by wiedzieć, czym grozi palenie tego gówna. Poza tym posiadanie go jest nielegalne. Mogę cię za to aresztować.

Katie zachichotała. Jej źrenice rozszerzyły się pod wpływem narkotyku.

– Kim on w ogóle jest? – zapytała Lottie. Wrzuciła ziemniaki pod bieżącą wodę. Ze zlewu unosił się zapach wódki. Inspektor zaczęła wściekle obierać warzywa.

– Ma na imię Jason.

– To już wiem. Jak ma na nazwisko?

– Nie znasz go.

– A jego rodzice? Może ich znam.

– Nie sądzę – stwierdziła Katie, powstrzymując ziewnięcie.

– Skąd wzięliście narkotyki? – zapytała, wrzucając ziemniaki z chlupotem do garnka.

– My tylko paliliśmy trawkę.

Lottie odwróciła się do córki.

– Trawka to narkotyk. Skurczy ci się od niej mózg. Skończysz w szpitalu psychiatrycznym, waląc głową w ścianę. Masz się jej pozbyć, młoda damo, i to szybko.

– Nie mogę. To jest trawka Jasona.

– W takim razie pozbądź się jego! – krzyknęła, dobrze wiedząc, że zaczyna mówić od rzeczy.

– To mój chłopak.

– Martwię się o ciebie – westchnęła ciężko Lottie.

– Nie ma takiej potrzeby, mam, wszystko jest okej. Moi znajomi też palą trawkę. Nie jestem głupia.

Lottie zrozumiała, że rozmowa z córką w tym stanie nie ma sensu. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek uda im się porozmawiać normalnie. Ale znalezienie dilera Jasona stało się jedną z rzeczy, którymi musiała się zająć.

– Pokrój to – nakazała, wyciągając z szafki trzy papryczki.

– Co gotujesz?

– Nie mam pojęcia.

\*\*\*

Katie i Jason zebrali się do wyjścia, zanim kolacja była gotowa.

– Jedliśmy wcześniej – powiedziała dziewczyna.

– Dokąd idziecie? – zapytała Lottie.

– Na zewnątrz.

Drzwi zatrzasnęły się, ucinając dalszą dyskusję. Lottie rozpyliła w salonie odświeżacz powietrza. Martwiło ją tempo, z jakim traciła kontrolę nad dziećmi. Jedno było pewne, od teraz musiała baczniej obserwować, w jakim towarzystwie obraca się Katie. Na samą myśl o dodatkowych obowiązkach dopadło ją zmęczenie.

Tęskniła za poduszką, ale przez wydarzenia ostatniej nocy bała się iść spać. Nalała sobie szklankę wody i usiadła na kuchennym krześle. Włączyła iPada i zalogowała się na Facebooku. Od tygodni do niego nie zaglądała.

– Jezu Chryste – chwyciła się za głowę, kiedy ekran eksplodował informacjami. Miała sto czternaście powiadomień. Pewnie wszyscy życzyli jej „Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku”. Nie miała wielu przyjaciół, nie mówiąc już o ponad setce. Dostała też jedną prywatną wiadomość i jedno zaproszenie do grona znajomych, które otworzyła najpierw.

– Co jest...? – Zamrugła. Odstawiła szklankę na podłogę i wyprostowała się na krześle. Susan Sullivan. Nie było zdjęcia profilowego, tylko nazwisko. Zerknęła na datę zaproszenia. Piętnasty grudnia. Czy to mogła być ta sama kobieta, którą zamordowano w katedrze?

Nie znała Susan Sullivan. Przed morderstwem nigdy o niej nie słyszała, ale Susan spotkała się z jej matką. Czy Rose wspomniała o córce? Możliwe, że tak. Ale w takim razie, dlaczego Susan nie skontaktowała się z nią na posterunku?

Kliknęła ikonę „akceptuj zaproszenie” i weszła na profil Susan. Wciąż był aktywny i równie pusty jak baza danych policji na jej temat. Dołączyła do Facebooka pierwszego grudnia. Otworzyła listę znajomych, by sprawdzić, kogo znała Susan.

Była pusta.

Żadnych zmian statusu, żadnych polubień i udostępnień. Więc po jakie licho założyła to konto? Lottie podniosła z podłogi szklankę i powoli sączyła z niej wodę, marząc o wódce. Może mogłaby nawdychać się oparów ze zlewu?

Otworzyła wiadomości prywatne. Susan Sullivan napisała do niej. Lottie

z niedowierzaniem przeczytała krótką wiadomość.

*Pani inspektor, nie zna mnie pani i nic o mnie nie wie, ale czytałam o pani w gazecie i rozmawiałam z pani matką. Mam pewne informacje, które mogłyby panią zainteresować. Czekam na kontakt.*

Gapiała się na ekran iPada jeszcze przez kilka minut, zanim sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Boyda.

- Dostałam wiadomość od Susan Sullivan – oznajmiła.
- Znowu piłaś?
- Jestem trzeźwa, ani kropli alkoholu.
- Przecież ona nie żyje. Nie mogła do ciebie napisać.
- Wierz mi, Boyd, że mogła.
- Na pewno piłaś – stwierdził.
- Po prostu do mnie przyjeźdź. Przysięgam, jestem trzeźwa.

## ROZDZIAŁ 38

Sierżant Boyd siedział w kuchni inspektor i jadł zupkę chińską.

– Ciekawe, dlaczego nie skontaktowała się z tobą ponownie? – zapytał. – Albo nie przyszła na posterunek?

– To wszystko jest dziwne. Jestem bardzo ciekawa, co chciała mi powiedzieć. – Lottie pochyliła się nad ramieniem partnera. – To jedzenie śmierdzi.

– I jeszcze gorzej smakuje – odparł, odpychając od siebie puste opakowanie. – Może powinniśmy też poszukać na Facebooku profilu Jamesa Browna?

– Już próbowałam – krążyła niespokojnie po kuchni. – Wiesz, ile osób ma takie nazwisko?

– Dużo?

– Właśnie. Skoro już tam siedzisz, to sprawdź innych.

– Kogo? Zaginionego księdza Angelottiego?

Wpisał nazwisko, ale nic nie znalazł.

Lottie usiadła obok niego, wzięła iPada i zapytała:

– Masz konto na Facebooku?

– Na litość boską, Lottie – jęknął. – Ani mi się waż.

– Pewnie śledzisz swoją piękną byłą żonę Jackie i jej chłopaka.

– Jest kryminalistą. Poza tym w świetle prawa nadal jesteśmy małżeństwem.

– Musisz nadal coś do niej czuć, skoro jeszcze się nie rozwiodłeś. Dlaczego zwlekasz?

– Była imprezowiczką, ja nie. Ale kocham ją, to znaczy kochałem. Chyba po prostu nie mogłem dać jej tego, czego oczekiwała.

– I dostała to od Jamiego McGregora? Największego śmiecia w kraju? Gdzie są teraz?

– Z tego, co słyszałem, to na Costa del Sol.

– Czyli jednak ją śledzisz? – Poklepała go po dłoni, ale ją odtrącił.

– Wcale nie.

– Minęło tyle lat, Boyd. Zapomnij o niej.



– Nie zaczynaj.  
– Dobra, dobra. Spróbujmy wyszukać pana Fretkę.  
– Mike’a O’Briena? Daj spokój, to mój znajomy.  
– No i co? – Uniosła brew. – Rozbierał mnie wzrokiem.  
– Raczej nie zobaczył więcej niż ja wczoraj.  
– Zamknij się. – Wpisała nazwisko O’Briena. – Nic nie ma.  
– Widziałem go wczoraj. Gadał jak najęty. Wiesz, jak na kogoś, kto wygląda jak on, jest w niezłej formie.  
– Właśnie podsunąłeś mi obrzydliwy obraz.  
– Jaki?  
– O’Brien w legginsach.  
– Ohyda – skrzywił się Boyd. – Wpisz Toma Rickarda.  
Lottie wykonała polecenie.  
– To zbyt popularne nazwisko. I przez tydzień go nie odnajdziemy.  
– Rickard Construction?  
– Tak. Jest tutaj. – Inspektor zjechała w dół strony. – Głównie oferty dla klientów. To jego strona firmowa.  
– Kto ją polubił?  
– Jezu, setki ludzi. Pewnie firmie dobrze się powodzi.  
Przejrzała listę nazwisk.  
– Zabiję ją – zdenerwowała się.  
– Kogo?  
– Katie.  
– Twoją Katie?  
– Tak, moją Katie. – Wskazała na zdjęcie. – Jason Rickard.  
– Brzydki, co nie? – zauważył sierżant. – To pewnie syn i dziedzic rodzinnej fortuny. Co ma wspólnego z Katie?  
– To jej chłopak! Gówniarz siedział w moim salonie i palił trawkę.  
– Jaja sobie robisz? – zdziwił się.  
– Mówię poważnie – warknęła, wpatrując się w niego ze złością.  
– Aresztuj tego małego gnojka.  
– Po pierwsze, nie jest już taki mały. Po drugie, to syn jednego z naszych podejrzanych. – Lottie nie mogła znieść myśli, że Katie umawiała się z synem Rickarda.  
– Przecież wiesz, jakie są małe miasteczka. Każdy zna tu każdego. Ludzie wiedzą o sobie wszystko.

Inspektor dobrze znała realia panujące w Ragmullin. Nie chciała, aby jej córka znalazła się w środku całego tego zamieszania.

– Dlaczego zawsze dowiadujemy się ostatni?

– Masz na myśli rodziców czy policję?

– Jedno i drugie.

– Jesteś wykończona. Odłóżmy to na jutro. – Boyd przeciągnął się i ziewnął.

– Nie chcę iść spać. W głowie mi buzuje. – Spojrzała na niego. – I nie chcę słuchać o tym, że mnie zamęczasz.

– Jutro zbadamy tę wiadomość dokładniej.

– O ile nikt nie będzie rzucał nam kłód pod nogi.

– Idę do domu – powiedział sierżant. – Chyba że chcesz, żebym został?

– Idź – odparła Lottie.

Nie spojrzała na niego. Nie chciała widzieć bólu w jego oczach.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, ponownie otworzyła wiadomość od Susan Sullivan.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – zapytała.

\*\*\*

## **Drugi stycznia 1975**

*Chłopiec wyglądał przez okno. Chłodne powietrze w korytarzu przyprawiało go o dreszcze.*

*Zobaczył dziewczynę wychodzącą z samochodu. Za nią szła wysoka chuda kobieta, która trzymała w ramionach małe zawiniątko. Dziewczyna była blada i zmęczona. Chłopiec ukrył się, kiedy spojrzała w stronę okien. Jej przymrużone ciemne oczy przypominały mu przerażonego chłopca, którego kiedyś widział. Ona wyglądała tak samo. Szła powoli i niechętnie, jakby pchała ją jakaś niewidzialna siła. W żółtej cortinie siedział mężczyzna. Nie zgasił silnika.*

*Siostra Immaculata zbiegła po schodach. Wzięła zawiniątko i poprowadziła dziewczynę za sobą. Kobieta – pewnie matka – odeszła bez pożegnania do samochodu, który po chwili odjechał.*

*Chłopiec stał w oknie, słuchając gwizdzącego wiatru. Kiedyś się go bał, ale teraz wiedział, że w Domu św. Angeli są straszniejsze rzeczy niż przeciąg w korytarzach. Myślał o tej nowej i zawiniątku. Wiedział, że było w nim*

*dziecko, jej dziecko.*

*Był świadkiem wielu takich sytuacji, ale nieprzytomny wzrok dziewczyny wzbudził w nim niepokój. Niektóre dzieciaki przybywały tu na krótko, inne zostawały na dłużej. Tak jak on. Sądził, że był w tym domu od zawsze. Kiedyś pewnie sam był jak to zawiniątko – mroczny sekret, który należało gdzieś ukryć. Czy jego matka była jak ta dziewczyna? Rzadko pozwalał sobie na takie rozmyślania, ale twarz nowej, pełna niepewności i strachu, poruszyła go. Nie znał innego domu niż ten, w którym teraz przebywał. Czy z tą dziewczyną będzie tak samo?*

*– Patrick, zjedź z okna. Ile razy mam ci powtarzać? Dostaniesz kataru. – Na korytarzu pojawiła się siostra Teresa.*

*Wyprostował nogi i dał się pogłaskać po głowie. Lubił siostrę Teresę, w przeciwieństwie do pozostałych zakonnice. Były inne, odkąd przybył nowy ksiądz. Ten z czarnymi oczami. Patrick go nie lubił, a wszystkie zakonnice były przy nim bardzo ostrożne. Bały się? Niezbyt go to obchodziło.*

*Szedł w kierunku kamiennych schodów, kiedy nagle wyrosła przed nim siostra Immaculata.*

*– Pora na herbatę, Patricku – oznajmiła. Jej czoło wybrzuszało podwikę długiego czarnego welonu. Chłopak wzruszył ramionami.*

*Schodziła powoli, wlokąc za sobą czarną spódnicę. Pachniała kulkami na mole. Patrick podążył za nią w milczeniu.*

*Ciekawe, jak wyglądałaby, gdyby zepchnął ją ze schodów? Nie po raz pierwszy się nad tym zastanawiał. Uśmiechnął się do siebie i poszedł umyć ręce.*

# **DZIEŃ PIĄTY**

**3 stycznia 2015**

## ROZDZIAŁ 39

Mieszkańcy Ragmullin przebudzili się z niespokojnego snu. Wieści o kolejnym morderstwie były głównym tematem plotek. O śmierci księdza zrobiło się głośno. Lottie zmarszczyła brwi. Mimo panującej zimy plotkarzom udało się zebrać obfite owoce.

Z rynien zwisały lodowe sople, które topniały wraz ze wzrostem temperatury. Od rana miasto spowijała gęsta mgła. Inspektor odwróciła wzrok od okna i rozejrzała się po centrum operacyjnym. Nadal nie udało się odnaleźć laptopa ani telefonu Susan Sullivan.

– Mogła korzystać z kafejki internetowej – zasugerował Boyd.

– Równie dobrze mogła przylecieć tu z Marsa – warknęła Lottie.

Miała wzdęcia od śniadania z McDonalda, które zjadła po drodze do pracy. Pochłaniała śmieciowe jedzenie za każdym razem, kiedy głód alkoholu stawał się nie do zniesienia. To śledztwo doprowadziłoby do szaleństwa każdego. Nie była święta, ale udało jej się przeżyć noc bez zagładania do butelki. Swój sukces przypłaciła bezsennością.

Technicy przeszukali wszystkie istotne strony na Facebooku, niestety bezskutecznie. Byli w kropce.

Lottie znów wyjrzała przez okno. Przed budynkiem kłębił się tłum dziennikarzy, rozstawiających kamery i szykujących notesy. Spojrzała na tablicę z danymi. Miała wrażenie, że morderstwa popełniał ktoś niewidzialny. Ale zabójca gdzieś tam był.

Inspektor odwróciła się do Boyda.

– Musimy szybko połączyć fakty. Kiedy to zrobimy, myślę, że sprawa jeszcze bardziej się skomplikuje.

– Już jest skomplikowana – odparł sierżant.

– Potrzebujemy przerwy. Jak tak dalej pójdzie, ugrzęźniemy w sprawach takich jak ta do końca życia.

– Mówisz językiem starożytnych bogów – rzekł Boyd.

– Co proszę? – Lottie była zajęta studiowaniem informacji wiszących na tablicy.

– No wiesz, hieroglify. Język znaków i symboli – wyjaśnił.

Lottie ciężko westchnęła. W tej chwili nie pogardziłaby znakiem wskazującym drogę do rozwiązania tej sprawy. Czymś, co wypełniłoby luki. Przyglądała się zdjęciom tatuaży Sullivan i Browna.

– Ciekawe, czy to są jakieś starożytne symbole? – dumiała.

– To kółka i krzyże – stwierdził Boyd.

– Nie, to nie krzyże. Może mają związek z jakimś rytuałem albo sektą. Może ofiara numer trzy, albo raczej numer jeden, też ma taki tatuaż?

Zadzwoiła na prywatny numer Jane Dore, która natychmiast odebrała.

– Czy ostatnia ofiara ma tatuaż? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Obejrzałam zwłoki. Nic nie znalazłam – odpowiedziała patolog. – Właśnie zaczynam sekcję. Niebawem prześlę wstępne wyniki.

– Co wiadomo w sprawie analizy DNA? Chcę potwierdzić, czy to na pewno ciało księdza Angelottiego.

– Mówiłam już, że to może potrwać. Nie róbcie sobie nadziei, tylko znajdźcie kogoś, kto zidentyfikuje zwłoki.

Kolejny ślepy zaułek. Lottie miała nadzieję, że ciało rzeczywiście należało do zaginionego księdza. W innym wypadku dostałaby po dupie za okłamanie biskupa.

Znowu spojrzała na tatuaż. Może ksiądz Joe będzie coś wiedział na jego temat. Prośenie jednego z podejrzanych o pomoc w rozwiązaniu sprawy nie należało do standardowych procedur policyjnych, ale co tam. I tak była już pogrążona.

\*\*\*

Inspektor po raz drugi nacisnęła dzwonek. W końcu drzwi uchyliły się i pojawiła się w nich sędziwa zakonnica.

– Dzień dobry, chciałabym rozmawiać z Joe. – Schyliła się do poziomu siostry.

– Nie jestem głucha – zaskrzeczała zakonnica. – I mówi się „z księdzem Burke’em”.

Lottie wyobraziła sobie siostrę w kwiecie wieku, siejącą postrach wśród uczniów.

Zakonnica rozmawiała z nią przez uchylone drzwi.

– Przepraszam, powinnam była tak powiedzieć – odparła Lottie. – Czy go zastałam?

– Już nie – odpowiedziała, zamykając drzwi.

Lottie wcisnęła stopę między drzwi a framugę, mając nadzieję, że staruszka nie zmiążdży jej kości.

– Co to znaczy „już nie”? Jeszcze wczoraj z nim rozmawiałam.

– Nie ma go. Wyjechał – oświadczyła.

– Czy ktoś wie, dlaczego musiał tak nagle opuścić plebanię? – Serce zamarło jej ze strachu. Ksiądz Joe był jednym z podejrzanych, choć wątpiła, że mógłby zrobić coś złego.

– Nie mogę pani pomóc. Proszę porozmawiać z biskupem Connorem.

Drzwi zatrzasnęły się przed jej nosem, po czym usłyszała dźwięk zasuwanego zamka. Zeszła więc ścieżką, ubolewając nad swoją porażką.

Boyd miałby niezły ubaw, pomyślała. *Koleś ci nawiał*, tak by powiedział. Przeczynała, że tutaj chodziło o coś więcej. Zadzwoiła na komórkę księdza, ale była wyłączona. Musiała go znaleźć.

Chuchnęła na zmarznięte dłonie. Marzyła o papierosie, co z kolei nakierowało jej myśli na palącą marihuanę Katie. Musiała zrobić coś konstruktywnego, a przede wszystkim poradzić sobie z krnąbrną córką.

## ROZDZIAŁ 40

Czterech mężczyzn siedziało przy stole z filiżankami kawy w dłoniach. Każdy z nich był zmartwiony, podejrzliwy i przestraszony.

Tom Rickard odezwał się pierwszy.

– No więc?

– Nie powinniśmy się spotykać. Ktoś mógł nas zobaczyć – powiedział Mike O'Brien, nerwowo strzepując łupież z ramion. – Muszę być z powrotem w banku, zanim ktoś zauważy, że wyszedłem.

– Zbliża się termin. Musimy zdecydować, co chcemy zrobić – rzekł Gerry Dunne. – Nie moglibyśmy rozmawiać otwarcie na zebraniu rady miejskiej.

– Chcę mieć pewność, że zatwierdzisz pozwolenie na budowę – warknął Rickard, celując palcem w Dunne'a. – Jeśli plan się nie powiedzie, będę bankrutem.

Dunne wyprostował się na krześle, wygładzając swoje nienagane spodnie w prążki.

– Wiem, ile ta sprawa znaczy dla nas wszystkich.

Rickard obserwował pozostałych i nie po raz pierwszy zastanawiał się, dlaczego dał się wciągnąć w ten interes. Dyrektor generalny Dunne dbał o pozwolenia, O'Brien prał pieniądze w swoich bankach, biskup Connor po sprzedaży działki miał zostać współwłaścicielem nowej nieruchomości.

– Rano doszły do mnie pewne pogłoski. O co chodzi z tym martwym księdzem? I to na podwórku Browna? – Rickard zwrócił się do biskupa. – Wiesz coś o tym?

– To nas nie dotyczy – odrzekł duchowny.

– Mam nadzieję. Za dużo możemy stracić – powiedział deweloper. – Dwa morderstwa i teraz jeszcze to.

– Trzeba jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca – dodał O'Brien.

– Możemy liczyć na to, że zadbasz o nasz wkład finansowy? – zapytał Rickard i zauważył drżenie rąk bankiera.

O'Brien uniósł szklanke, wypił szybko jej zawartość i zakrztusił się.

– Potrzebuję więcej wody – zakaszłał.

– A ja kolejnych wakacji. – Dunne przewrócił filiżankę z kawą.



– Wszyscy musicie się uspokoić – zganił ich biskup Connor.

\*\*\*

Lottie zatrzymała się przed willą z czerwonej cegły i wyłączyła silnik.

Obraz jej córki spędzającej czas ze swoim chłopakiem-ćpunem nawiedzał ją za każdym razem, gdy próbowała poukładać myśli. Nie chciała zatruwać sobie dnia zamartwianiem się ani domysłami na temat nagłego wyjazdu księdza Joe. Postanowiła więc porozmawiać z rodzicami Jasona o nałogu ich syna i wypytać o to, skąd wziął narkotyki.

Wysiadła z samochodu i zadzwoniła do drzwi. Podczas gdy dźwięk dzwonka niósł się echem wewnątrz domu, wychylające się zza chmur słońce oświetliło teren wokół niego. Wysokie drzewa otaczały budynek niczym ogromne parasole. Spod śniegu wychylały się pierwsze śnieżyczki. Trawnik przebijał się zielenią wśród białego puchu. Ktoś będzie miał na wiosnę sporo pracy, pomyślała. Na pewno nie będzie to rozpieszczony synalek.

Zza drzwi rozległy się kroki. Po chwili stanął w nich Jason Rickard.

– O... pani Parker – powiedział zaskoczony. Stał bosy na marmurowej posadzce.

– Czy zastałam twoich rodziców? – Wzrok inspektor przyciągnął wytatuowany ciąg liter pnący się po szyi chłopaka jak bluszcz.

Jason podszedł bliżej i oparł się o framugę drzwi, krzyżując ręce na wychudzonej klatce piersiowej.

– Nie, nie ma ich.

– W takim razie do kogo należą te samochody?

– Do nas.

– Jezu, to ile wy ich macie? – zdziwiła się. Za jej plecami stały cztery samochody i quad, równo ustawione przed potrójnym garażem.

– Quad i beemka są moje. Dwa pozostałe to wozy mamy i ojca. – Młody Rickard wciąż bronił dostępu do domu, a w jego głosie pobrzmiwała nadmierna pewność siebie.

BMW? Być może chłopak nie był takim menelem, na jakiego wyglądał, pani inspektor.

– Mówiłeś, że rodziców nie ma w domu?

– Mają też inne samochody – odparł.

Lottie wpatrywała się w niego podejrzliwie.

– Ile masz lat?  
– Dziewiętnaście.  
– Cóż, skoro masz zamiar spotykać się z Katie, to lepiej, żebym nie przyłapała cię na posiadaniu...  
– Pani córki? – dokończył z uśmiechem.  
– Słuchaj no, mądralo. Nie podobasz mi się. Nie wiem, co Katie w tobie widzi, ale potraktuj tę wizytę jako ostrzeżenie. Następnym razem przyjdę z nakazem przeszukania domu.

Zbliżyła się do szpary w drzwiach. Zauważyła, że oczy Jasona spochmurniały i zwęziły się.

Jaki ojciec, taki syn, pomyślała.

– Katie jest dorosła i wie, w co się pakuje – burknął, chcąc zamknąć drzwi.  
– A czy ty wiesz, w co się pakujesz? Nie sądzę. Wrócę tu porozmawiać z twoimi rodzicami – zagroziła.

Drzwi zamknęły się.

Lottie odmaszerowała wściekła jak osa. Dwa razy tego samego ranka odprawiano ją z kwitkiem. Czyżby traciła wyczucie? A te wszystkie samochody? Trzeba je sprawdzić. Zrobiła zdjęcie tablicom rejestracyjnym na wypadek, gdyby mały gnojek kłamał.

\*\*\*

Jason przeszedł korytarzem do kuchni z tyłu domu i nalał sobie wody.

Wyjrzał przez okno na podwórze, na którym były zaparkowane: białe audi jego ojca, granatowe BMW i dwa czarne mercedesy. Ojciec polecił Jasonowi dopilnować, by nikt nie przeszkadzał jego gościom. Chłopak wiedział, co ma robić.

Marzył mu się nowy samochód. Wolałby też, żeby matka Katie nie była taką zołąką.

Odwrócił się i zobaczył jednego ze znajomych ojca, stojącego w drzwiach kuchni.

– Wiesz może, gdzie znajdę jakąś szmatę? Coś nam się rozlało – powiedział. – Potrzebuję też dzbanka wody.

– Jasne, proszę. – Chłopak wręczył mu mały ręcznik. Jason był przekonany, że ich dłonie zetknęły się na dłużej niż to konieczne. Szybko cofnął swoją i wytarł ją o jeansy. Wyciągnął z szafki szklany dzban i napełnił

go. Znajomy ojca zabrał dzbanek i uśmiechnął się do niego, mierząc go wzrokiem.

– Wyrosłeś na wspaniałego mężczyznę – oznajmił i wyszedł z kuchni.

Jason zamarł w bezruchu. Czuł się tak, jakby jego serce przekłuła lodowata igła.

Z jakiegoś powodu poczuł się obnażony.

\*\*\*

Kiedy drzwi kuchni się za nim zamknęły, mężczyzna wziął kilka głębokich oddechów. Zwinął ręcznik w kulkę i próbował opanować drżenie rąk. Zamknął oczy, by lepiej zapamiętać szczupłą sylwetkę chłopca. Nadal czuł jego słodki młodzieńczy zapach. Był cudowny.

Od wielu lat nie czuł w ten sposób. Nie wiedział, dlaczego nieczyste myśli powróciły w ciągu ostatnich kilku tygodni. Pewnie to z powodu stresu związanego z projektem. A może dlatego, że Dom św. Angeli znów zaprzętał jego myśli? Głęboko wierzył, że nie był już tym samym chłopcem i nic nie mogło wskrzesić demonów z przeszłości. Ale teraz prześladowały go codziennie, każdego dnia. Wraz z nimi powróciły uczucia, które z takim trudem w sobie tłumił. Zadrzał, a z dzbanka wylało się trochę wody. Zapomniał, że trzyma go w ręku. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie się znajdował, ani kim teraz był.

Odetchnął głęboko i wrócił na spotkanie – z obrazem Jasona wyrytym w pamięci.

## ROZDZIAŁ 41

Bea Walsh przeglądała dokumenty zostawione przez Susan Sullivan. W Wydziale Zagospodarowania Przestrzennego przestrzegano ścisłego grafiku. Jeśli wniosek nie został sfinalizowany w ciągu ośmiu tygodni, zatwierdzano go automatycznie. Bea przeglądała bazę danych, dopasowując dokumenty rozłożone na biurku z listą w komputerze. Zgodnie z nią powinna mieć dziesięć teczek. Miała tylko dziewięć.

Przejrzała listę Jamesa Browna, mając nadzieję, że po prostu przeoczyła brakujący dokument. Ale Bea Walsh była dokładna i nie popełniła błędu. Nawet pomimo szoku spowodowanego morderstwami rzetelnie wykonywała swoją pracę.

Teczki naprawdę nie było.

Ponownie zerknęła na ekran komputera. Decyzja zatwierdzająca miała być podjęta do szóstego grudnia. Wiedziała, żeteczka mogła być teraz w wielu miejscach. Ale każde pole w bazie danych zostało odhaczone, co oznacza, że przedłożono wszystkie wymagane raporty. Po chwili przypomniała sobie, kiedy widziała teczkę po raz ostatni. W dniu, gdy Susan Sullivan i James Brown kłócili się w jego biurze, leżała między nimi na biurku. To było dzień przed tym, jak Sullivan poszła na urlop.

Bea zdjęła okulary i przetarła oczy.

Uświadomiła sobie, że od tego czasu nie widziała teczki.

\*\*\*

Lottie podłączyła telefon do komputera i wgrała zdjęcia samochodów sprzed domu Rickarda. Wpisała numery rejestracyjne do wyszukiwarki policyjnej bazy danych. Wszystkie samochody należały do tej rodziny. Bogate gnojki. Boyd zerknął przez jej ramię na monitor.

– Czego szukasz? – zapytał.

– Nie wiem, czegokolwiek – odparła, mając nadzieję, że zmusi tym komputer do ujawnienia jakiejś wskazówki. Opowiedziała partnerowi o wyjeździe księdza Joe.

– Koleś ci nawiał – rzucił sierżant.

Lottie zrobiła kwaśną minę. Boyd był niezawodny.

Nagle zadzwonił telefon.

– Muszę z panią porozmawiać, pani inspektor – w słuchawce zabrzmiał drżący głos Bei Walsh.

Nie spodziewała się telefonu od asystentki Susan Sullivan.

– Oczywiście. Przyjdę do pani biura.

– Nie. W pubie Cafferty's. Po pracy. Czy to nie problem?

– Skądże znowu.

– Będę o siedemnastej – uściśliła Bea i rozłączyła się.

– Ciekawe, o co chodzi. – Inspektor zwróciła się do partnera.

Boyd mruknął coś niewyraźnie.

Spojrzała na zdjęcia samochodów Toma Rickarda, szarpiąc dziurę w koszulce.

Nagle w drzwiach pojawiła się detektyw Lynch.

– Na dole czeka Derek Harte. Chciała pani z nim rozmawiać?

– Tak, chciałam – odpowiedziała.

## ROZDZIAŁ 42

– Czy James palił papierosy? – zapytała Lottie, zakończywszy formalności. Obok niej siedziała Maria Lynch z notesem przed sobą. Derek Harte, kochanek Jamesa Browna, wyprostował się w krześle.

– Nie, ale ja palę – odpowiedział. – Marlboro lights. Próbowałem rzucić, ale teraz to chyba nie ma sensu.

– Pozwoli pan na pobranie próbki DNA?

– A po co? – zjeżył się.

– Chcemy wykluczyć pana jako podejrzanego. To standardowa procedura. – Inspektor miała nadzieję, że uda im się dopasować jego DNA do śladów na niedopałkach znalezionych przy ciele w ogrodzie Browna.

Harte kiwnął głową bez przekonania.

– Czemu nie.

– Podczas ostatniego przesłuchania twierdził pan, że spędziliście Wigilię poza domem Jamesa Browna. Podtrzymuję pan tę wersję?

– Jak najbardziej. Śnieg sypał jak nigdy dotąd. Drogi były nieprzejezdne. Do czego pani zmierza?

– Czy James mógł zdradzać pana z kimś innym?

– Chodzi o to ciało, które znaleźliście w ogrodzie? – zaśmiał się.

– Pan pozwoli, że ja będę zadawać pytania – odparła ostro inspektor.

Harte wzruszył ramionami.

– Nie, James mnie nie zdradzał. Byliśmy sobie wierni. Zanim pani zapyta, nie mam pojęcia, skąd się wzięło to ciało.

– Czy James wspominał kiedykolwiek o księdzu Angelottim?

– Nie.

– Skąd ta pewność? – zapytała.

– Zapamiętałbym takie imię. – Oparł się na twardym krześle. Jego zachowanie zaczynało działać Lottie na nerwy.

– Co ksiądz mógł robić w jego domu?

– Nie mam pojęcia.

– Czy James wspominał kiedykolwiek o kontaktach z księżmi? – Lottie próbowała być uprzejma, ale czuła się, jakby waliła głową w mur.

– Nie.

– A o Susan Sullivan?

– Też nie, ale jeśli sobie przypomnę, to dam pani znać. – Wstał z krzesła. – To już wszystko?

– Detektyw Lynch pobierze próbkę DNA, potem jest pan wolny – poinformowała go.

Harte wyszedł z pokoju. Lottie była pewna, że nie powiedział jej całej prawdy. Mimo to był gotów oddać próbkę DNA. Co więc ukrywał?

\*\*\*

Inspektor Parker postawiła kubek kawy obok komputera sierżanta Boyda.

– Po co to? – zapytał.

– Kawę zazwyczaj się pije.

Podeszła do biurka, by spisać zeznania Harte'a.

Boyd wytarł mokrą plamę spod kubka i odstawił go na stos kartek samoprzylepnych.

– Ten cały Derek Harte zdaje się mówić prawdę – powiedziała, mieszając długopisem w kawie.

– Ale?

– Chyba jest inaczej.

– Jego partner nie żyje. W ogrodzie rzonego partnera znajdujemy ciało zaginionego księdza. To już dwa powody, by się zastanawiać.

– Chcę komplet danych na jego temat. Dlaczego nie pobrano od niego próbki DNA za pierwszym razem?

– Nie było powodu – wtrąciła detektyw Lynch. – Nadal traktowaliśmy śmierć Browna jak samobójstwo.

– Jestem pewna, że to morderstwo, które upozorowano na samobójstwo. Chcę mieć wyniki analizy DNA jak najszybciej – rozkazała Lottie. – Nie możemy niczego wykluczyć.

\*\*\*

Kirby dziarsko wkroczył, trzymając w rękach stos gazet.

– Dobre wieści? – zapytała inspektor Parker.

– Według prasy jesteśmy tymi złymi – oznajmił. – Robimy za mało, za

wolno, śledztwo tkwi w martwym punkcie albo zmierza donikąd. A w dodatku w mieście grasuje morderca.

– Mamy wyniki DNA z niedopałków? – spytała.

– Jeszcze nie – odparł, przeglądając dokumenty. – Wie szefowa, że to może...

– Potrwać tygodnie, tak. – Głośno wypuściła powietrze z ust. – Ktoś stał tam dość długo, by wypalić dwa papierosy. Obserwował?

– Pewnie czekał na Jamesa Browna – stwierdził Kirby.

– Który nie wrócił do domu, bo śnieżycy zatrzymała go w Athlone – dodała inspektor.

– Tak twierdzi Derek Harte – zauważył sierżant Boyd.

– Coś jeszcze, Kirby?

Detektyw rzucił gazety na podłogę i spojrzał na monitor komputera.

– Jak szefowa wie, matka Susan, pani Stynes, zmarła dwa lata temu w Dublinie. Rok przed nią odszedł pan Stynes. Nie znaleźliśmy innych krewnych.

Lottie złapała się za głowę.

– Ojciec umiera, matka umiera, Susan wraca do Raggmullin, a potem ginie. Kolejny ślepy zaułek.

Zajrzała do skrzynki odbiorczej. Jane Dore przysłała wstępny raport oględzin zwłok Angelottiego.

– Kocham cię, Jane! – krzyknęła uradowana.

– Wiedziałem – rzucił Boyd z zadowoleniem.

– Ej, zamknij się.

– Z czego tak się cieszysz?

– Jane wyświadczyła nam ogromną przysługę. Jej były chłopak pracuje w laboratorium, przyspieszył identyfikację DNA. – Lottie przeglądała raport.

– Próbkę ze zwłok pasuje do tej znalezionej w pokoju księdza Angelottiego.

– Zaginiony ksiądz się odnalazł – powiedział Boyd.

– Czy mamy pewność, że to jego grzebień? – spytał Kirby, nie podnosząc głowy. Bębnił zabarwionymi od tytoniu palcami w klawiaturę. Według najnowszych plotek młoda aktorka uciekła nocnym pociągami do Dublina, zostawiając Kirby'ego samego z cygarami i whiskey.

– Kirby – rzekła Lottie. – Co ty wyprawiasz?

– Nic.

– Tak myślałam.



– Technicy nie mogą nic zrobić z rozwalonym telefonem. – Kirby podniósł wzrok znad monitora.

– No jasne – odparła.

Pomyślała o Dereku Harcie. Przesłuchała go już dwukrotnie, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś przeoczyła. Czy to on był mordercą?

– W końcu jakiś postęp – zawołała detektyw Lynch. – Nakaz wydania danych kont bankowych ofiar.

– I tak mieliśmy do nich dostęp – rzekła Lottie – ale może uda nam się przycisnąć człowieka-łasicę.

\*\*\*

– Diamenty są wieczne – szepnęła swojemu partnerowi inspektor Parker.

Spinki O’Briena zamigotały, podczas gdy dyrektor banku otwierał dane kont bankowych na swoim komputerze.

– Są też najlepszymi przyjaciółmi kobiety – dodał Boyd równie cicho.

Bankier podał im wydruk.

– Co to jest? – zapytała Lottie, strzepując łupież z kartki.

Na stronie widniał numer z przypisanymi mu sumami pieniędzy. Z tego konta przychodziły pieniądze do Sullivan i Browna.

– To numer konta z banku w Jersey. Z powodu prawa do ochrony danych klienta nie mogę zdradzić nazwisk. Przykro mi.

– Nie wątpię – mruknęła inspektor.

– Daj spokój, Mike – jęknął Boyd. – Musisz dać nam coś więcej.

O’Brien potrząsnął głową.

– Możecie spróbować w Jersey, ale nie sądzę, aby tam wam pomogli.

Lottie wstała. Skóra świerzbiła ją ze złości. Znowu byli w kropce. Zmierzyła bankiera nienawistnym wzrokiem, zauważając mały kolczyk w jego uchu.

– Wie pan, panie O’Brien, diament jest piękny na zewnątrz, ale w środku to wciąż czarny węgiel.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Dyrektor potarł się mimowolnie po uchu. – Pora już na was.

Wstał, a z każdym ruchem na jego ramionach pojawiała się nowa porcja łupieżu.

– Idziemy – nalegał Boyd, popychając Lottie w kierunku drzwi.

\*\*\*

Kiedy wyszli na ulicę, sierżant zapytał:

– Czy ty musisz wkurwiać wszystkich naokoło?

– Taką mam pracę – odpowiedziała.

– Raczej osobowość.

– Ten bank musi być Jersey, co nie? – ruszyła przed siebie. – Jestem umówiona w barze Cafferty's.

– Nie za wcześnie na drinka? – Boyd zerknął na telefon. – Iść z tobą?

Lottie nie odpowiedziała. Szybko skręciła w ulicę Gaol Street, a Boyd mógł tylko odprowadzić ją wzrokiem.

## ROZDZIAŁ 43

Bea Walsh siedziała w pubie. Na stoliku przed nią stała szklanka z grzaną whiskey. Lottie zamówiła sobie kawę.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała inspektor, zerkając na zegarek.

– Dziękuję za spotkanie – odparła Bea.

– Nie ma za co. – Lottie uśmiechnęła się i usiadła.

Powietrze wypełniał zapach goździków i whiskey. W pubie panował półmrok. Lottie zauważyła tylko trzech innych gości siedzących przy barze. Barman Darren Hegarty przyniósł jej kawę.

– Jakies postępy w śledztwie? – zapytał.

– Pracuję nad tym – odpowiedziała, po czym odwróciła się do Bei.

Darren wytarł stolik i wrócił do swojej samotnej służby przy barze.

– Pani Sullivan często płakała – powiedziała Bea, ocierając nos wymiętą chusteczką. – Płakała, kiedy myślała, że nikt jej nie widzi. Wiedziałam, że coś ją gnębi.

Asystentka zaczęła cicho łkać.

– Wszystko w porządku? – spytała inspektor.

– To takie smutne. – Bea otarła oczy. – Miesiąc temu weszłam do damskiej toalety i zastałam tam panią Sullivan. Płakała. Wyglądała na skrupowaną, kiedy mnie zobaczyła. Zapytałam, czy mogę jakoś pomóc. Odpowiedziała, że już na to za późno. *Sprawy zaszły za daleko*, tak powiedziała. *Sprawy zaszły za daleko*. – Kobieta przymknęła powieki.

– Domyśla się pani, co mogła mieć na myśli?

– Zapytałam ją o to, ale tylko wytarła łzy i kazała mi o tym zapomnieć – odparła Bea, powoli sącząc whiskey. Lottie poczuła zapach goździków. – Pani Sullivan była pod ogromną presją w pracy.

– Czy to coś, o czym powinnam wiedzieć?

Asystentka zawahała się. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknęła.

– O co chodzi? – dociekała inspektor.

– To nic takiego.

– Na pewno? Myślałam, że chce pani coś dodać.

– Nie, nie mam nic do dodania.

Lottie zdecydowała, że nie będzie dopytywać.

– Czy Susan miała prywatnego laptopa?

– Nie, mówiła, że go nie potrzebuje.

– A telefon komórkowy? Z dostępem do Internetu? – Inspektor zastanawiała się, dlaczego tak późno zadaje to pytanie.

– Tak. Chyba iPhone’a.

– Wie pani, gdzie on jest? – Lottie z nadzieją zacisnęła kciuki.

– Niestety nie. Przykro mi.

Inspektor zmarkotniała. Telefon Susan nadal był poza ich zasięgiem. Ale powinni już mieć billing od operatora sieci. Muszę to sprawdzić, pomyślała.

– W komputerze Susan znalazłam dokumenty dotyczące „osiedli-widmo”. Co ją z nimi łączyło?

Bea znowu wypięła ze swojej szklanki. Jej policzki, rozgrzane alkoholem, pokryły się rumieńcem.

– To była raczej działka pana Browna. To okropne, że deweloperzy zostawili te osiedla niedokończone. Próbowaliśmy dociec, jak można by temu zaradzić.

Inspektor polubiła tę kobietę. Mimo że wyglądała na nieśmiałą, potrafiła wyrazić własne zdanie.

Asystentka mówiła dalej:

– Co gorsza, deweloperzy mają czelność porzucać puste osiedla i dalej robić to samo.

– Kto jest za to odpowiedzialny? – zapytała Lottie. Powinna baczniej śledzić bieżące wydarzenia.

– Nikt nie chce wziąć na siebie winy. Mówi się, że pozwolenie na zagospodarowanie przestrzenne nie powinno być im w ogóle przyznane. Według mnie to zwykła chciwość.

Inspektor zastanowiła się przez chwilę.

– Uważa pani, że w Ragmullin mogło dojść do podobnych nieprawidłowości?

Bea zawahała się, jakby nie była pewna odpowiedzi.

– Trudno mi cokolwiek wyrokować po tym, co spotkało panią Sullivan i pana Browna. Przedtem myślałam, że wszystko jest, jak należy. Teraz sama już nie wiem. – Jej głos wydawał się bardzo odległy, jak śpiew ptaka wśród zamieci.

– Czy może pani wskazać jakieś konkretne dokumenty? Mamy bardzo niewiele tropów i wszystko, co pani powie, choćby uważała to za nieznaczące, może nam pomóc. Nie twierdzę, żeby śmierć Sullivan i Browna miała związek z ich pracą, ale na razie to nasz jedyny ślad.

W końcu drobna kobieta postanowiła wyznać, dlaczego chciała się spotkać.

– Właśnie dlatego chciałam z panią porozmawiać, pani inspektor. Nie wiedziałam, co robić. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa, ale w tych okolicznościach moim obowiązkiem jest to zgłosić – urwała, a w jej oczach pojawiły się łzy, kiedy zaczęła mówić dalej. – Brakuje jednej teczki z dokumentami. Pani Sullivan nad nią pracowała, pan Brown także. Jest w bazie danych jako oczekująca na podpis. Termin upływa za kilka dni. Chodzi o to, że nigdzie nie mogę znaleźć fizycznej kopii. – Kobieta oparła się na siedzeniu, jakby ta przemowa bardzo ją zmęczyła.

– Czy to był dokument sporny? – zapytała Lottie.

– Tak sędzę. Ale do moich zadań należy sprawdzanie bazy danych i pilnowanie terminów raportów. Jeśli się spóźniają, zgłaszam to odpowiednim osobom. Ja tylko śledzę dokumenty, nie czytam ich. Ale podsłuchałam kiedyś, że tę działkę kupiono za bezcen i kilka miesięcy temu wypłynęły jakieś kontrowersje związane z planem deweloperskim.

– O jaki dokument chodzi?

– Chyba nie powinnam mówić. Głupio zrobiłam, że tu przyszłam.

Inspektor Parker wygrzebała z torebki długopis i notes i podała go Bei.

– Może pani to zapisać?

Kobieta znowu się zawahała.

– Proszę – dodała Lottie.

– To pewnie nic takiego. – Zaczęła pisać.

To musi być jednak coś ważnego, pomyślała inspektor, skoro Bea Walsh zadała sobie tyle trudu, by to zgłosić.

Przeczytała to, co przed chwilą kobieta zapisała w notesie. Nareszcie. Miała punkt zaczepienia.

Spojrzała na Beę, która kiwnęła twierdząco głową.

Posesja – Dom św. Angeli. Deweloper – Tom Rickard.

## ROZDZIAŁ 44

– Ktoś tu ma dobry humor – zauważył Boyd.

Inspektor Parker usiadła przy biurku i uśmiechnęła się.

– No już, wyduś to z siebie – ciągnął sierżant.

– Brown i Sullivan zajmowali się zagospodarowaniem przestrzennym po Domu św. Angeli. Zgadnij, kto jest właścicielem działki.

– Chyba nie Tom Rickard?

– Oczywiście, że Tom Rickard. – Lottie zalogowała się do komputera.

– Czyli te morderstwa są powiązane z bieżącymi wydarzeniami, a nie z przeszłością – stwierdził.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała. – Kirby, kiedy sprawdzałeś dokumenty rady miejskiej, czy znalazłeś coś na temat Domu św. Angeli? – Zerknęła na bajzel na biurku detektywa i przewróciła oczami. Kirby szybko rzucił pudełko po Happy Mealu pod biurko i spojrzał na nią z miną winowajcy.

– Nie miałem jeszcze czasu się tym zająć – mruknął, po czym szybko dodał: – Czego mam szukać?

– Gdybym to wiedziała, nie kazałbym ci szukać, prawda?

– Może jakaś podpowiedź?

– Jesteś detektywem, sam ją sobie znajdź.

Kirby zaczął przeklinać pod nosem.

– No dobrze – westchnęła. – Znajdź, co się da, na temat powiązań Toma Rickarda z Domem św. Angeli.

Kolejne dwie godziny spędziła na wertowaniu wszystkich dostępnych raportów. Bez skutku. Ale to nie osłabiło jej zapału. Zaczynała myśleć, że jest blisko przełomu w sprawie. Wpisała w wyszukiwarkę hasło „Dom św. Angeli”. Jej uwagę przykuło zdjęcie z ubiegłorocznego *Midland Examiner*. Biskup Terence Connor przekazywał klucze do budynku Tomowi Rickardowi. Podpis pod zdjęciem głosił, że na posesji miał stanąć hotel i pole golfowe. Złożono już nawet odpowiednie wnioski.

Lottie zerwała się z miejsca i poszła poszukać partnera. Znalazła go w kuchni parzącego kawę.

- Przejedziemy się?
- Dokąd?
- Zadajesz za dużo pytań. Idziemy.

\*\*\*

To był długi dzień, a teraz księżyc rozświetlał nocne niebo lśniąca poświatą. Boyd prowadził samochód. Inspektor Parker była zbyt zmęczona, by robić cokolwiek poza wskazywaniem mu drogi.

– Mam nadzieję, że nie będziemy włączyć się po cmentarzu w środku nocy – rzekł sierżant.

– Skręć w lewo, tchórze.

Samochód wjechał w wąską drogę pomiędzy drzewami i zatrzymał się przed bramą Domu św. Angeli.

– Wygląda złowieszczo – zauważył Boyd, wyłączając silnik.

Inspektor wysiadła z samochodu. Brama była otwarta. Lampy uliczne rzuciły blade, żółte światło. Dwieście stóp przed nimi, na końcu krętej alejki, stał czteropiętrowy budynek. Lottie spojrzała na dom. Przez jej kręgosłup przebiegł zimny dreszcz. Wiele razy widziała to miejsce z oddali. Ale teraz nie mogła powstrzymać rosnącego niepokoju. Próbując się uspokoić, zaczęła liczyć okna. Na najwyższym piętrze było ich szesnaście.

– Czemu się tak wpatrujesz w ten dom? – Boyd stanął obok niej.

– Tom Rickard złożył wniosek na zagospodarowanie tej działki – odrzekła.

– No i?

– James Brown dzwonił do Rickarda tego samego wieczora, kiedy go zamordowano. Rickard nie ma porządnego alibi – urwała, zastanawiając się, co deweloper mógł zyskać na tym zabójstwie. – Według Bei Walsh Brown i Sullivan zajmowali się wnioskiem, który gdzieś zaginął. Rickard kupił Dom św. Angeli od biskupa Connora, mającego teraz na głowie zamordowanego księdza. A w tej instytucji porzucono Susan, wtedy nazywała się Sally, wraz z jej nowo narodzonym dzieckiem.

Boyd milczał.

– Co ty na to? – zapytała.

– Ten cały Rickard mi się nie podoba – stwierdził ponuro, wpychając dłoń do kieszeni kurtki.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

– Chwilowo tak. Poza tym jest mi zimno. Chodźmy już stąd, wariatko – odparł i wrócił do samochodu.

Lottie zrobiła kilka kroków do przodu. Podmuch wiatru przyprawił ją o dreszcze. Próbowwała go zignorować, a wraz z nim odległe mroczne wspomnienie. Drżała na całym ciele, idąc za partnerem.

– Co ci jest? – spytał Boyd, zerkając przez ramię.

– To nic takiego. Jedźmy.

Wbiła wzrok w budynek, podczas gdy Boyd wskoczył do samochodu i zapalił silnik. Zastanawiała się, czy Dom św. Angeli miał rzeczywiście coś wspólnego z dwoma, a może nawet trzema morderstwami. Zauważyła okrągłą niszę w dachu, w której stała kamienna figura. Było zbyt ciemno, by mogła zobaczyć, co przedstawia. Wsiadła do samochodu, zostawiając za sobą kryjące się w domu duchy.

– Jutro przesłuchamy Toma Rickarda – powiedziała. – I włącz ogrzewanie.



## ROZDZIAŁ 45

- Głodna? – Boyd zatrzymał samochód przed posterunkiem.
- Nie, dzięki – odpowiedziała Lottie.
- No weź. Jest po dwudziestej pierwszej. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem. Mam ochotę na coś z kuchni indyjskiej. – Zawrócił na ręcznym i popędził w dół ulicy Main Street. Miasto było opustoszałe.
- Chryste, Boyd. Gdyby Corrigan to zobaczył...
- Nie ma takiej opcji.
- Dlaczego?
- Jest na balu charytatywnym w hotelu Park. Bal dla golfistów.
- Żartujesz?
- Nie.
- Ma tupet ten nasz szefunio.
- Nie rozumiem.
- Prowadzimy poważne śledztwo, a on sobie baluje. Media nie dają mu żyć.

Boyd zaparkował przed restauracją indyjską Sagaar's. Zaczął padać śnieg.

– Powinnam wracać do domu i nakarmić dzieci. Albo przynajmniej przywieźć im coś do jedzenia – zaprotestowała.

– To nie małe kociaki. Dadzą sobie radę. Jak dotąd jeszcze nie umarły z głodu, prawda? – zauważył.

Ma rację, pomyślała inspektor. Wysiedli z samochodu i weszli po schodach do restauracji na piętrze. Na sali rozbrzmiewała cicha muzyka. Białe światło wiszących na ścianach lamp zlewało się z karmazynowym wystrojem. Niektórym mogło się to wydawać romantyczne, ale Lottie przypominało dekoracje na Halloween.

Wybrała stolik przy oknie, z którego mogła obserwować ulicę, unikając tym samym wzroku Boyda. Przez chwilę wpatrywała się w śnieg topniejący na szybie.

– Muszę skorzystać z toalety – powiedziała. – Możesz dla mnie zamówić.

Wysikała się, umyła ręce i szybko pomalowała usta szminką Katie. No właśnie – Katie. Zmierzenie się z jej nałogiem nadal było na liście rzeczy,

którymi musiała się zająć. A ta lista z każdym dniem się wydłużała. Upewniła się, że jej koszulka jest na tyle czysta, by mogła zdjąć kurtkę. Musiała wystarczyć za strój wieczorowy.

– Już zamówiłem. – Boyd uśmiechnął się, kiedy wróciła do stolika.

– Przepraszam cię.

– Za co?

– No wiesz. Za to, że zadzwoniłam do ciebie pijana w środku nocy.

– Nic się nie stało. – Sierżant zajął się kartą win.

– Wiem, że tak myślisz. W tym właśnie problem.

– Dla mnie to nie jest problem – odparł. – Ale...

– Ale co?

– Mogłabyś do mnie zadzwonić, kiedy jesteś trzeźwa.

Kelner przyniósł butelkę wody gazowanej i nalał do szklanek.

– Zamów sobie wino – zaproponowała. – Odwiozę cię potem do domu.

– Na pewno?

– Przecież mówię.

Boyd poprosił o butelkę czerwonego wina.

– Nietrudno cię przekonać – zaśmiała się.

Zapadło milczenie, w czasie którego oboje wyglądali przez okno. Lottie pierwsza oderwała wzrok od szyby i spojrzała na partnera. Musiała przyznać, że na swój nieporadny sposób był nawet przystojny. Ostre kości szczęki podkreślały niebieskie oczy, które mocno lśniły. Jakaś jej część pragnęła bliżej poznać Marka Boyda. Bała się jednak tego, co mogłaby odkryć.

Po chwili przyszedł kelner, niosąc zamówione przystawki.

– Mam nadzieję, że nie są za ostre – mruknął Boyd.

– Odrobina ryzyka nie zaszkodzi – powiedziała, wdychając woń potrawy.

– Złożyłem ci ofertę.

– Wiem.

– Odmówiłaś.

– To też wiem – powtórzyła, polewając *chapati* miętowym sosem *chatni*.

Jedli w milczeniu.

– Chcesz porozmawiać o sprawie czy wolisz cieszyć się ciszą? – zapytał Boyd, kiedy kelner zabrał puste talerze.

– Tom Rickard siedzi w tym po uszy.

– Jedynym dowodem, który by to potwierdził, jest telefon od Jamesa Browna. Dodam tylko, że Rickard zaprzecza, że go otrzymał.

- Możemy mu to udowodnić.
- Prawda. Ale i tak się nie dowiemy, o czym rozmawiali.
- Brown pewnie poinformował go o śmierci Susan Sullivan – stwierdziła.
- Rickard musiał ich znać. Pewnie spotkał ich podczas składania wniosku na zagospodarowanie przestrzenne.
- No dobrze – mruknął Boyd. – Możemy przyjąć, że Rickard znał Browna i Sullivan. Ale dlaczego miałyby ich zabijać?
- Nie wiem. To milioner. Ma co najmniej cztery samochody. Może chodziło o pieniądze pojawiające się na kontach ofiar. – Spojrzała na partnera. – Ale dlaczego?
- Równie dobrze może być niewinny. Złożył wniosek na zagospodarowanie działki, ale pewnie składał też mnóstwo innych w całym kraju. Czym Dom św. Angeli miałyby się od nich różnić? Czy ukryto tam coś, za co warto zabić?
- Dobrze, od początku – rzekła inspektor. – Pierwsze dwie ofiary miały jakieś tajemnice.
- James Brown umawiał się z młodszym od siebie facetem. Susan Sullivan umierała na raka. Ponadto w wieku jedenastu lub dwunastu lat urodziła dziecko i została zamknięta w Domu św. Angeli. Zmieniła też nazwisko. Chciała się pozbyć duchów przeszłości? Na kupionej przez Toma Rickarda od biskupa Connora działce z dawnym sierocińcem ma stanąć hotel lub pole golfowe warte miliony. – Lottie wypięła łyk wody. – Ofiary, które zajmowały się wnioskiem, miały podobny tatuaż, nie wspominając o dwóch tysiącach euro w lodówce Susan i stosach gazet w jej salonie. To wszystko, co na razie wiemy. – Wzięła głęboki oddech. Mówiła za szybko. A sierżant znał te szczegóły.
- Nie zapominaj o zabitym księdzu w ogrodzie Browna – dodał.
- Mamy zwłoki, mnóstwo pytań i żadnej odpowiedzi – mruknęła, tarmosząc rękaw koszulki. Złapała za wystającą nitkę i zaczęła ją wypruwać.
- Czuję się, jakbym powtarzała to od wieków.
- Kelner pojawił się z daniem głównym. Unoszący się ze srebrnych mis aromat *kormy* z kurczaka łączył się z zapachem kokosów.
- Smacznego. – Inspektor posłała sierżantowi nieśmiały uśmiech.
- Odprężyła się podczas posiłku. Kiedy ich talerze zniknęły ze stolika, zamówiła zieloną herbatę. Boyd nalał sobie wina i wyjrzał przez okno.
- Pij – zachęcała. – O szóstej mamy konferencję z Corriganem.

- Pewnie będzie na kacu.
- Przyganiał kocioł garnkowi – zaśmiała się.
- No i proszę. Z uśmiechem na twarzy o wiele lepiej wyglądasz. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.
- Boyd dopił wino, zapłacili rachunek na pół i wyszli.

\*\*\*

Lottie odwiozła partnera do domu. Odprowadziła go do drzwi i wręczyła kluczyki do samochodu. Śnieg powoli przestawał padać.

- Dzięki za kolację. Chyba tego właśnie potrzebowałam – powiedziała.
- Wejdiesz na kawę?
- Nie mogę po niej zasnąć.
- To dobrze. – Po jego twarzy przemknął przebiegły uśmiech.
- Lepiej pójdę już do domu.

Zawahała się na moment, który sierżant wykorzystał, by położyć dłoń na jej policzku. Wodził kciukiem od kącika jej oka do ust.

- Nie rób tego – ostrzegła.
- Dlaczego nie? Tamtej nocy ci się to podobało. Pamiętasz?
- Nie lubię przypominać sobie o rzeczach, które robiłam, a o których nie pamiętam. – Odwróciła głowę.
- Bredzisz.
- Wszystko mi jedno.
- Wtedy też tak mówiłaś.
- Jesteś sadystą, Marku Boydzie – zaśmiała się.
- Pragnę cię – powiedział, przesuwając dłoń po jej szyi.
- Wiem o tym.

Delikatnie głaskał jej włosy. Pochylił się i ją pocałował. Na ustach poczuła smak wina i przypraw, a w żołądku trzepot. Pozwoliła sobie na chwilę przyjemności. Potem wyjęła dłonie z kieszeni i powstrzymała go.

- Przepraszam. – Spuściła głowę.
- Na Boga, Lottie, nie masz za co przepraszać – zapewnił ją, unosząc jej podbródek.
- Muszę iść.
- Rozumiem. – Delikatnie musnął wargami jej usta. – Powinnaś zająć się nosem. Zostanie ci blizna.

Pogładził ją po raz ostatni po policzku, a ona poczuła jego oddech we włosach, zanim przekręcił klucz w zamku, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Wiedziała, że teraz czeka, aż naciśnie dzwonek.

To takie proste. Zadzwoń do drzwi.

Ale nie zrobiła tego.

Założyła kaptur na głowę i poszła do domu, łapiąc językiem spadające płatki śniegu.

## ROZDZIAŁ 46

Kiedy wracał do domu, miasto było puste. Dlatego zdziwił się, widząc kobietę samotnie idącą przez śnieg. Już prawie zahamował, by zaoferować, że odwiezie ją do domu, ale wtedy reflektory samochodu oświetliły twarz inspektora Lottie Parker.

Jechał dalej przez kilka minut, zanim zatrzymał się przed zamkniętym garażem. Nie wypił za dużo, ale to nie miało znaczenia. Gdyby złapał go jakiś patrol, na pewno spisałiby go za prowadzenie pod wpływem alkoholu. Spojrzał we wsteczne lusterko, obserwując, jak inspektor skręca w boczną alejkę. Czyli tam mieszka, pomyślał.

– Dobrze wiedzieć. Nigdy nie wiadomo, kiedy będę musiał cię odwiedzić – mruknął, zdając sobie nagle sprawę, że mówi na głos. Co się z nim dzieje? Jedź do domu, człowieku, napij się, pomyślał. I oddaj się marzeniom o tym pięknym chłopcu, którego widziałeś rano.

Włączył silnik i wrzucił bieg. Wjechał na ośnieżoną drogę, zastanawiając się, jak długo uda mu się powstrzymać od działania.

## ROZDZIAŁ 47

– Czy to ona?

Melanie Rickard była pijana. Zrzuciła szpilki, które potoczyły się po kuchennej podłodze.

– O kim mówisz? – zapytał Tom Rickard.

– O tej dziwce, z którą sypiasz.

– O co ci chodzi? – mówił cicho. Wiedział, że nie przekrzyczy swojej żony.

– Nawet nie waż się zgrywać niewiniątka – zadrwiła. – Czy to ta zdzira, którą pieprzysz, a potem masz czelność wracać do domu, pachnąc jej perfumami?

– Jesteś pijana – mruknął, co było najgorszą rzeczą, jaką można powiedzieć wstawionej i wściekłej Melanie.

Wrzeszczała i waliła pięściami w kuchenny blat, zanim nie odzyskała spokoju, który okazywał się niebezpieczny.

– Myślisz, że nie zauważyłam? – wysyczała. – Gapiełeś się na jej dekolt!

Tom Rickard nie odpowiedział. Nie mógł przecież powiedzieć, że pochłaniał wzrokiem blondynkę siedzącą przy sąsiednim stoliku, że chciał dotykać jej szyi, całować usta. Tak jak zeszłej nocy. Pluł sobie w brodę, że dał się namówić na wizytę na balu dla golfistów. Wiedział, że *ona* też tam będzie, choć ze swoim pajacowatym mężem. Może podświadomie naprawdę chciał tam być? By porównać wyjątkowość kochanki do Melanie, która z każdym dniem stawała się coraz mniej atrakcyjna. Ale siedzenie obok nadinspektora Corrigan oznaczało kiepską zabawę, więc postanowił go upić. Wszyscy byli pijakami, a jego żona była najgorsza z nich. Zabrał ją z przyjęcia tak szybko, jak się dało.

– Nie tknąłbym jej kijem – stwierdził.

– Tym samym kijem, który chciał wyskoczyć ci ze spodni? Wiesz co, mam cię w dupie, Tom. – Melanie złapała butelkę Caberneta.

Bał się, że go uderzy. Ale jego żona odkorkowała trunek i naląła sobie do kieliszka, po czym wyszła boso z kuchni do salonu, gdzie zasnęła na ogromnym fotelu.

Stał sam w chłodnym pomieszczeniu i zastanawiał się, gdzie popełnił błąd.  
Nienawidził żony tak bardzo, że mógłby ją udusić.



## ROZDZIAŁ 48

Lottie zalogowała się na Facebooku.

W tle słyszała szum lodówki i odgłosy programu telewizyjnego, który oglądali Sean i Chloe. Katie znowu nie było w domu. Pewnie wyszła z Jasonem Rickardem.

Kiedy siedziała w kuchni, pijąc wodę, zauważyła, że otrzymała zaproszenie do grona znajomych. Od niechcienia stuknęła w ikonę. Zaproszenie przyszło od księdza Joe. Odstawiła szklanke i wyprostowała się. Szybko zaakceptowała i otworzyła okno wiadomości. Joe był aktywny.

\*\*\*

- Cześć.
- Gdzie jesteś?
- W Rzymie.
- Co ty tam robisz? Jesteś podejrzanym w sprawie o morderstwo.
- Zabawne.
- Nadinspektor Corrigan dostanie szau. Tak samo jak twój biskup.
- Mam nadzieję, że wrócę, zanim zauważą moją nieobecność.
- Jak chcesz to zrobić?
- Powiedziałem, że moja matka zachorowała i muszę odwiedzić ją w Wexford.
- Ale dlaczego pojechałeś do Rzymu?
- Bawię się w detektywa.
- Dobrze. Wiesz, że znaleźliśmy kolejne ciało?
- Tak. Obiło mi się o uszy.
- Wiesz, czyje to ciało?
- Nie.
- Księdza Angelottiego.

\*\*\*

Przez jakiś czas nie odpisywał. Według Facebooka był nadal aktywny. Po

chwili jednak odpisał.

\*\*\*

- To okropne. Jak to się stało?
- Jeszcze nie wiem. Możesz sprawdzić, czy ktoś w Rzymie wie, dlaczego przyjechał do Ragmullin?
- Zapytam. Lottie?
- Tak?
- Prosiłaś mnie, abym dowiedział się czegoś na temat archiwów z Domu św. Angeli.
- To prawda.
- Zajrzałem do archiwów parafialnych, ale nic nie znalazłem. Dane są dostępne tylko na papierze.
- Gdzie?
- Zazwyczaj przechowuje się je w diecezji. Ale sprawdziłem, czy archiwów Domu św. Angeli nie przekazano do archidiecezji dublińskiej, co jest normalną procedurą.
- No i?
- Archiwista powiedział mi, że kiedyś mieli te dokumenty, ale potem przekazano je do Rzymu.
- Kto je przekazał? Dlaczego? To nie jest normalna procedura, prawda?
- Nie, nie jest. Nie wiem, kto zażyczył sobie przekazania tych danych, i nigdy wcześniej nie spotkałem się z taką sytuacją, ale będę szukał dalej.
- Kiedy je przeniesiono?
- Nie wiem, ale się dowiem.
- Obyś nie miał przez to kłopotów.
- Nie będę. Mam nadzieję, że uda mi się coś znaleźć.
- Dziękuję.
- Sprawdzę też, czy ktoś wie coś na temat księdza Angelottiego.
- Dziękuję, proszę księdza.
- Mam na imię Joe.
- No dobrze. Joe. Dobranoc.
- Ciao, jak mówią Włosi.

\*\*\*

Oboje się wylogowali.

Joe był w Rzymie. Lottie zastanawiała się, co to wszystko miało znaczyć. Dlaczego ktoś miałby przynosić archiwa Domu św. Angeli wbrew standardowym procedurom?

Wyciągnęła długopis i zeszyt A4 z plecaka Seana. Wyrwała z niego parę kartek i zapisała wszystko, co do tej pory wiedziała. Nic nie miało sensu. Wpatrywała się w wypisane nazwiska, próbując połączyć je ze sobą w spójną całość. Nagle usłyszała otwieranie drzwi wejściowych.

– Gdzieś ty się włóczyła o tej porze? – warknęła Lottie.

Jej najstarsza córka weszła do kuchni, ściągając przemoczoną kurtkę.

– Co to? – zapytała, spoglądając na rozłożone na stole kartki.

– Moja praca – odburknęła matka.

– Przecież widzę. Dlaczego masz tu zapisane imię taty Jasona?

– Czyli już wierzysz, że go znam? – zadrwiła, obserwując bacznie córkę.

Jej oczy, choć podkreślone czarną kredką, były jasne i czyste.

– Jason powiedział mi, że odwiedziłaś go rano.

– A ty gdzie byłaś?

– W jego pokoju. Zabronił mi wychodzić, bo jego ojciec miał jakieś spotkanie biznesowe.

Ten mały gnojek mnie okłamał, pomyślała inspektor.

– Kto brał udział w tym spotkaniu? – zapytała.

– Skąd mam wiedzieć? Miałam „areszt”. – Katie otworzyła lodówkę i przejrzała jej skromną zawartość. – Po co w ogóle tam poszłaś?

– Bo chcę się dowiedzieć, dlaczego bierzesz narkotyki. To poważna sprawa.

– Matko! Ja nie jestem dzieckiem.

– Właśnie, że jesteś. Jesteś moją córką i nie chcę znaleźć cię w jakiejś norze z igłą w żyle. Jestem też pewna, że Jason Rickard zostawi cię, jak tylko się tobą znudzi.

– Gadaj sobie, co chcesz! Idę do łóżka! – wykrzyczała Katie, chwytając paczkę żółtego sera w plastrach.

– Jadłaś coś dzisiaj?

Dziewczyna machnęła serem i wybiegła z kuchni, zanim jej matka zdążyła ją jeszcze bardziej zganić.

Lottie siedziała sama przy stole, próbując dociec, kto poza Rickardem uczestniczył w tym tajemniczym spotkaniu. Dlaczego zorganizował je u siebie w domu? W centrum miasta miał przecież wielkie biuro. Czyżby próbował coś ukryć?

Zebrała kartki i wepchnęła je do torebki. Usiadła na krześle i zamknawszy oczy, zapadła w niespokojny sen, w którym prześladowały ją kruki krążące nad krwawiącym posągiem kobiety. Figura miała niebieską linię zaciśniętą na szyi. Jeden z ptaków zniżył lot i dziobem uchwycił zawiniątko z łkającym niemowlęciem.

Lottie zerwała się nagle, czując stróżki potu ściekające pomiędzy piersiami.

\*\*\*

## **Drugi stycznia 1975**

*Sally spojrzała na chłopca w oknie, a potem podążyła za zakonnicej po schodach. Za sobą słyszała odgłos odjeżdżającego samochodu.*

*Korytarz był zimny, a podłoga pachniała woskiem. Kiedy zakonnica zniknęła z jej dzieckiem, dziewczynka bała się, że ulegnie ogarniającej ją panice. Nagle trzasnęły drzwi. Podreptała więc za ich odgłosem.*

*Usłyszała płacz. Zastanawiała się, czy rozpoznałaby łkanie własnego maleństwa. Wcale nie była tego pewna. Ruszyła naprzód, stawiając stopy na drewnianych listwach parkietu. Po jakimś czasie podłoga się zmieniła; drewno zastąpiła różnokolorowa mozaika. Zatrzymała się przed drzwiami z ręką na gałce. Jej majtki były mokre od krwi, która spływała po nogach, barwiąc czerwienią śnieżnobiałe skarpetki. Z jej obolałych maleńkich piersi wyciekało z mleko. Chciała wrócić do swojego łóżka i umrzeć.*

*Przekręciła gałkę w drzwiach i otworzyła je.*

*W pomieszczeniu znajdowało się piętnaście stalowych kołysek, ustawionych w trzech rzędach po pięć. W każdej z nich leżało dziecko. Stojący pośrodku sali mężczyzna odwrócił się i rozłożył szeroko ramiona. Dziewczynka była ciekawa, w której z kołysek leży jej maleństwo. Wszystkie wyglądały jak lalki zamknięte w klatkach.*

*– To wszystko szatańskie pomioty, zrodzone w grzechu z diabelskiego nasienia – zachrypiła zakonnica.*

*Sally upadła na kolana. Między jej nogami spływała krew.*

Przed jej oczami zatrzepotała czarna szata. Pachniała jak szuflada zmarłej babci. Większość sióstr w szkole nosiło krótsze spódnice. Niektóre pozwalały sobie na wyjęcie kosmyka włosów spod welonu. Ta była odziana w staromodny habit, przepasany poplamionym fartuchem. Była wysoka, a płowa skóra na jej groźnej twarzy była niemal przezroczysta.

– Gdzie jest moje dziecko? – zapytała Sally, niepewnie rozglądając się po kołyskach, ale zakonnica zasłaniała jej widok. Wszystkie maleństwa leżały teraz cichutko. Niektóre spały. Inne wpatrywały się stęsknionymi oczami w sufit.

– Ono nie jest już twoje – warknęła siostra. – Należy teraz do diabła.

Dziewczynka zebrała w sobie resztki sił i odepchnęła zakonnice. Pobiegła wzdłuż rzędów kołysek, szukając swojego dziecka, ale nie wiedziała, które nim było.

– Gdzie jest moje maleństwo? – załkała. – Powiedzcie.

Wirowało jej w oczach. Smród brudnych pieluch i kwaśnego mleka zatykał nos. Niemowlęta zaczęły płakać, zbudzone jej krzykiem.

Kiedy upadła na podłogę, zobaczyła niebiesko-białą figurę Maryi Panny.

Brzuch figury oplatał wąż, odbierający życie nienarodzonego jeszcze dziecka.

# **DZIEŃ SZÓSTY**

**4 stycznia 2015**

## ROZDZIAŁ 49

Uczestnikom porannej konferencji dobrze zrobiłby sok pomidorowy.

Nadinspektor Corrigan miał kaca, Boyd miał kaca, Kirby tak samo. Inspektor Parker i detektyw Lynch były w potrzasku.

Poprzedniej nocy Lottie miała koszmary. Obudziła się o piątej rano, zlana potem. Ucieszyła ją konieczność przyjscia na poranną odprawę. Musiała na czymś skupić myśli, by odpędzić przerażające sny.

Przedstawiła postępy dokonane w śledztwie, po czym spojrzała podejrzliwie na Corrigan.

– Porozmawiam dzisiaj z Tomem Rickardem – oznajmiła.

– Porozmawiasz?! – zagrzmiał Corrigan, po czym dodał nieco ciszej: – Co to znaczy? Jak porozmawiasz?

– Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o jego planach dotyczących Domu św. Angeli. Na razie to nasz jedyny trop. Może prowadzi donikąd, ale mimo to musimy go sprawdzić.

– Nie brnij w żadne ślepe zaułki. Narobisz tylko kłopotów. Rickard to mój znajomy. Wczoraj z nim rozmawiałem. Wspaniały człowiek. Nie chcę dostać od niego telefonu, że go nękaś. Zwłaszcza dzisiaj. – Przesunął dłonią po łysinie, nadając jej większego połysku.

– Oczywiście, sir. – Lottie też nie miała nastroju na kłótnie.

Dyżurny sierżant wsadził głowę przez szparę w drzwiach.

– Złapaliśmy wczoraj pijaka. Obudził się i wrzeszczy na cały posterunek. Chyba powinna pani go przesłuchać, inspektor Parker.

– Jestem zajęta.

– Mówi, że znał Susan Sullivan.

– No, dobrze – rzuciła, zbierając dokumenty. – Zaprowadź go do pokoju przesłuchań. Zaraz przyjdę.

– Tylko że on jest trochę sponiewierany – ostrzegł sierżant.

– Jak my wszyscy – mruknął Kirby

Zebrani odwrócili się w jego stronę. Zmieszany detektyw zwiesił głowę.

– Już idę – odrzekła Lottie.

\*\*\*

W powietrzu unosił się zapach zgniłej cebuli.

Inspektor Parker starała się nie zwrócić zawartości żołądka. Siedzący obok niej sierżant Boyd dałby się pokroić za papierosa.

Spojrzała na pijaka siedzącego po drugiej stronie stołu i sprawdziła jego nazwisko w protokole z zatrzymania.

Patrick O'Malley wyglądał okropnie. Jego twarz była pokryta pryszczami i nieustannie oblizywał spuchniętym językiem spierzchnięte wargi. Jego dłonie w rękawiczkach bez palców drżały. Pod połamanymi paznokciami widać było resztki ostatniego posiłku. Miał na sobie stary wełniany płaszcz, narzucony na co najmniej dwie bluzy z kapturem. Było widać, że wiele w życiu przeszedł.

– Panie O'Malley – rzekła w końcu inspektor. – Dziękuję, że zgodził się pan z nami porozmawiać. Ta rozmowa jest nagrywana.

O'Malley nie patrzył na nią. Z tęsknotą spojrział w stronę drzwi, po czym pochylił głowę.

– Napije się pan czegoś? Herbaty? – zapytała.

Mężczyzna podniósł wzrok i Lottie zdała sobie sprawę, że trząśł się nie tylko z powodu przepicia. On się bał.

– Nie, psze pani – wydusił w końcu, niskim, łamiącym się głosem. – Nic mi nie trzeba.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Miał pan ciężką noc, prawda?

– Ano miałem – stęknął, ukradkiem rozglądając się po pokoju.

– Ostatnio ja też je miewam – rzuciła.

Mężczyzna zaśmiał się ochryple.

Lottie uznała, że jest już dość spokojny, by mówić o tym, co wykrzykiwał w celi.

– Wspomniał pan moim kolegom, że znał pan Susan Sullivan. Co mi pan chce powiedzieć?

– Można tak to ująć – stwierdził. – Chociaż, z drugiej strony, nie można.

Inspektor zdusiła westchnienie. Miała nadzieję, że to nie będzie jedno z tych przesłuchań, po którym zostanie im wyłącznie bełkot pijanego faceta. Bała się, że obrzyga O'Malleya zanim skończy mówić. Nie miała pojęcia, jak



Boyd radzi sobie ze smrodem, ani odwagi, by na niego spojrzeć.

– Ja se tylko leżałem w drzwiach sklepu elektrycznego, żeby ciepło było. Ciężko w taką pogodę z takim tylko byle jakim płaszczem. Ale pani chyba nie ma o tym pojęcia, co, inspektorko?

Lottie pokręciła głową.

– Tak myślałem. Porządna z pani babka. Pewnie jakiś facet ogrzewa panią w nocy – zarechotał, natychmiast się niemal krztusząc. Z ust wypłynęła mu żółta flegma.

– Dobrze się pan czuje? – Inspektor rozejrzała się za chusteczkami. Znalazła pudełko za plecami i podała je O'Malleyowi. Wyciągnął kilka i wepchnął do kieszeni, nie wycierając sobie ust.

– Przyniosę wody – rzucił Boyd i wybiegł z pokoju.

– Mam katar, pani widzi. Nie mogę się doleczyć – urwał. Jego płuca zachrzęściły.

Sierżant powrócił z dwoma kubkami i podał jeden z nich Patrickowi. Bezdomny wypił go jednym haustem.

– Proszę – powiedział Boyd, przesuwając swój kubek w kierunku O'Malleya.

– Dzięki, panie – mruknął i opuścił głowę.

– Słucham, panie O'Malley. – Lottie się niecierpliwiła. – Ma mi pan coś do powiedzenia.

– A... racja. Co to ja mówiłem?

Spoglądał na detektywów, jakby chciał sobie przypomnieć, nie tylko gdzie skończył opowieść, ale też w jakim miejscu się znajdował. Inspektor powoli traciła cierpliwość.

– Był pan przed sklepem elektrycznym – przypomniała mu.

– Chlapnąłem sobie troszkę, zanim mnie psy zgarnęły. A ja tylko pilnowałem swojego nosa. Nie zawsze byłem pijakiem bez dachu nad głową. Chociaż może i byłem. – Twarz O'Malleya zmarkotniała.

Jezu. On się zaraz rozplacze, pomyślała. Spojrzała na partnera, który zdawał się bardzo interesować punktem na ścianie ponad głową przesłuchiwanego.

– Pewnie jest pani bardzo zajęta. Tyle tych morderstw ostatnio. – Znowu się zakrztusił.

Uduszę go, pomyślała Lottie, ale uśmiechnęła się ciepło, próbując nakłonić O'Malleya, żeby się otworzył.

– Widziałem w *Wiadomościach*. Wczoraj w oknie sklepu, rozumie pani. Nie słyszałem, widziałem zdjęcia. Ona na nich była.

– Kto? – zapytała.

– Znałem ją.

– O kim pan mówi?

– Sally przynosiła mi zupę. Przynosiła zupę każdemu, kto spał pod gołym niebem. Była dla mnie dobra, jedna z niewielu.

Patrick zamilkł. Zamknął oczy i oparł brodę na piersi.

Sally? Czy miał na myśli Susan? Jeśli tak, to do listy rzeczy, które o niej wiedzieli, mogli dodać to, że nosiła jedzenie bezdomnym.

– A ta garkuchnia? Proszę o niej opowiedzieć.

O'Malley zakaszłał. Po chwili kontynuował.

– A co mam jeszcze powiedzieć? Przychodziła ze starą. – Łzy wezbrały w kącikach jego pozółkłych oczu.

– Kim była ta stara?

Wzruszył ramionami bez słowa.

– Czyli ta Sally to Susan Sullivan? – zapytała inspektor Parker.

– Kiedyś mówili na nią Sally. Potem zmieniła imię na Susan. Kiedy pierwszej nocy przyniosła mi zupę, spojrzałem jej w oczy. Miała takie spojrzenie... – Podrapał stół brudnym paznokciem. – Bała się. Jak wszyscy. Byliśmy dziećmi, nawet nie mieliśmy dwunastu lat. Siedzieliśmy u św. Angeli.

Spojrzenia Lottie i Boyda spotkały się niemal natychmiast. Dom św. Angeli!

\*\*\*

## **Drugi stycznia 1975**

*Tego wieczoru zobaczył ją na kolacji.*

*W refektarzu było głośno i śmierdziało. Siedziała przy stole z siostrą Immaculatą i dwoma chłopcami. Patrick chciał się o niej dowiedzieć czegoś więcej, więc do nich podbiegł.*

*– Usiądź, Patricku. Denerwujesz mnie – rozkazała siostra Immaculata.*

*Chłopiec głośno opadł na krzesło.*

*– To jest Sally. Zostanie z nami przez jakiś czas. Zadbaj, by poczuła się jak w domu.*

– Nienawidzę pieprzonego domu – krzyknęła dziewczyna, a po jej policzkach spłynęły łzy.

– Boże Przenajświętszy! Tutaj nie tolerujemy takiego słownictwa. Dostaniesz karę, ale najpierw zjesz. – Zakonnica podniosła widelec kościstą dłonią.

Patrick popatrzył na swoją kolację – jajecznicę z twardym chlebem. Sięgnął po szklankę, ale potrącił ją i zalał mlekiem zawartość talerza. Jajka i pieczywo zamieniły się w wilgotną papkę.

Siostra Immaculata wzięła zamach i uderzyła go w tył głowy.

Sally podskoczyła ze strachu.

– Możesz zjeść moją – pisnęła, podsuwając mu talerz. – Nie lubię jajek.

– Ty głupi chłopaku! – wrzasnęła zakonnica.

Patrick wyszczerzył drwiąco zęby. Miał szelmowski błysk w oczach. Uśmiechnął się do Sally, która wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

Zakonnica uderzyła go ponownie.

Kiedy siostra Teresa to zobaczyła, podbiegła do nich i złapała Patricka za rękę, odciągając go od rozjuszonej Immaculaty.

Opuszczając zatłoczony refektarz, chłopiec cały czas patrzył za siebie. Jego oczy były utkwione w Sally.

\*\*\*

– Nikt nie okazał mi tyle serca, co ona – westchnął O'Malley. – Nie zadawała się z innymi, więc się zaprzyjaźniliśmy. A potem po latach, kiedy rozdawała zupę, często ze mną rozmawiała. – Jego popękane usta zwężyły się. – Nie powinienem o tym gadać.

– Może mi pan zaufać – zapewniła Lottie. – Proszę mówić dalej.

– No dobra. Nie wiem, co to zmieni, skoro oboje nie żyją.

– Oboje? O kim pan mówi?

– Susan mówiła mi, że pracuje z Jamesem Brownem.

– Znał go pan?

– Był z nami w Domu św. Angeli.

Inspektor Parker wpatrywała się w O'Malleya. Odwróciła się do sierżanta Boyda, który wyprostował się na krześle. Mieli szczęście. Znaleźli w końcu ogniwo łączące Susan i Jamesa.

– James Brown był w Domu św. Angeli? – zapytała z niedowierzaniem.

– No przecież mówię, że tak.

– Nie wiedziałam o tym. – Poczuela, że opada jej szczęka. Przypomniała sobie tatuaże na nogach ofiar. – James i Susan mieli podobne znamiona na wewnętrznych stronach ud. Niewyraźne tatuaże. Wie pan coś o tym?

Mężczyzna milczał.

– Czy miały one związek z tym domem?

– Można tak powiedzieć – mruknął w końcu.

– To znaczy? – naciskała.

– Nie wiem. – Z twarzy O'Malleya nie dało się nic odczytać.

– Zrobiono im te tatuaże w Domu św. Angeli?

– No.

Lottie zastanawiała się przez chwilę.

– Pan też taki ma, prawda?

Bezdomny wpatrywał się w nią, jakby się zastanawiał, czy może jej o tym powiedzieć.

– Tak, mam, inspektorko.

– Co on oznacza?

Oblizwał usta i potrząsnął głową.

– Nie pamiętam.

Inspektor wiedziała, że O'Malley kłamał, ale nie naciskała. Nie chciała, żeby zamknął się w sobie.

– Proszę mi opowiedzieć o Susan i Jamesie.

– Trzymaliśmy się razem. W trójkę – uśmiechnął się. – Przyjaźniliśmy się z jeszcze jednym takim. Nie pamiętam imienia. Wie pani, wiele dzieciaków zmieniło potem imiona. Mnie się nie chciało. Jamesowi pewnie też nie.

– Jak długo mieszkała tam Susan? – spytała.

Mężczyzna spojrzał na nią pytająco.

– W Domu św. Angeli – dodała.

– Nie wiem. Może rok, może dłużej. Albo krócej. Prawdę mówiąc, sam nie wiem, ile tam spędziłem lat.

– Co robiliście w ciągu dnia? – Lottie zaczęła szybko robić notatki.

– Po porannej mszy szliśmy do szkoły. Jesienią zbieraliśmy jabłka w sadzie.

– Jabłka? – zdziwiła się.

– Siostry robiły konfitury.

– Do jedzenia?

– Na sprzedaż – odparł O’Malley. – Zbieraliśmy jabłka. Jak ktoś coś przeszkrobał, musiał wydlubować robaki i muchy. Kiepska sprawa, zwłaszcza gdy boisz się robactwa. – Zaśmiał się szorstko, ale inspektor zauważyła, że miał poważny wyraz twarzy.

– Konfitury – mruknęła, przypominając sobie słoiki obwiązane gumkami recepturkami. Matka podawała je na śniadanie.

– Tak, inspektorko. W roku, kiedy przyjechała Sally, było bardzo dużo jabłek w sadzie. Ale dla nas nie był to dobry czas.

\*\*\*

## **Sierpień 1975**

– Posortujcie jabłka w koszu, panie Brown – nakazał wysoki ksiądz, wskazując na stertę owoców.

– Błagam, proszę księdza, ja się boję robaków. Niech ktoś inny to zrobi – pisnął James.

Kapłan wyprostował się. Chłopiec zdrętwiał, czekając na chłostę.

– Niech mu ksiądz da spokój – prosiła Sally.

Patrick i Brian stali obok niej. Patrick trzymał w dłoni zepsute jabłko. Chciał rzucić nim w duchownego, ale tego nie zrobił. Bał się.

Ksiądz Con podszedł do Jamesa i sięgnął do kosza z jabłkami. Wyciągnął jedno z nich, obejrzał je i wyrzucił. Wyjął kolejne, na którym zaczęła pojawiać się pleśń, a w miąższu znajdował się robak. Kapłan wyciągnął zgniłe jabłko w kierunku Jamesa, który stał jak wryty z ramionami przyrośniętymi do boków.

– Jedz! – warknął, podtykając mu owoc przed nos. – Zjedz to!

– Niech go ksiądz nie zmusza – błagała Sally.

– Stul pysk – syknął kapłan.

Patrick złapał ją za rękę. Nie było sensu się kłócić.

– Powiedziałem: jedz!

James wyciągnął bladą aż po nadgarstek dłoń, ale nie mógł utrzymać jabłka. Upuścił je, odwrócił się na pięcie i uciekł.

– To twoja wina. – Ksiądz Con chwycił Sally za włosy.

Dziewczynka wrzasnęła. Patrick nie mógł się ruszyć. James dobiegł do końca sadu i skulił się pod murem.

Kapłan chwycił Briana za ramię.

– Poniesiesz karę za Browna – powiedział i przyciągnął Sally do siebie.  
– Dziewczyno, nakarmisz Briana tym jabłkiem. Ma je zjeść, całe – szepnął złowieszczo. – Będę patrzył.  
Patrick nie wiedział, co Sally zobaczyła w oczach księdza, ale musiało ją to przerazić tak bardzo, że zamilkła. Podsunęła jabłko do ust Briana.  
– Proszę – błagała, patrząc na chłopca. Łzy płynęły po jej policzkach.  
– Nie! – krzyknął Brian.  
Sally wepchnęła mu jabłko pomiędzy zęby.  
Kapłan mocniej pociągnął ją za włosy. James podbiegł do nich, a Patrick nadal stał w miejscu.  
– Jeszcze raz! – zawył ksiądz Con. – Jeszcze!  
Sally wcisnęła zgniłe jabłko głębiej. Spomiędzy zębów Briana wypełził czarny robak, a w jego oczach malowało się przerażenie. Dziewczyna opuściła rękę. Owoc utknął w jego ustach, tłumiąc płacz.  
Patrick nie poruszył się nawet wtedy, kiedy Sally spojrzała na niego, błagając wzrokiem o pomoc.  
Ale on nie mógł się ruszyć.

\*\*\*

O'Malley siedział z zamkniętymi oczami pogrążony we wspomnieniach.  
– To okropne. – Lottie wstrzymała oddech. Zadrzała na myśl o tym, co przeszedł jej rozmówca, i zacisnęła pięść.  
– Kim był ten ksiądz?  
– Kanalią, tym właśnie był – warknął mężczyzna, a jego oczy zapłonęły gniewem. – Zasraną plagą na ziemi – urwał na chwilę. – Pani wybaczy słownictwo, inspektorko.  
– Zna pan jego imię i nazwisko?  
– Nie. Wszyscy mówiliśmy na niego ksiądz Con.  
– Czy to Brian był tym przyjacielem, o którym pan wspomniał?  
– Brian się z nami nie przyjaźnił, inspektorko – zaśmiał się Patrick O'Malley.  
– I nie zna pan jego nazwiska?  
– Nie, psze pani. – Przez chwilę siedział w milczeniu. Kiedy znów zaczął mówić, jego głos był pełen bólu. Boże jedyny, pomyślała Lottie, co jeszcze miał im do powiedzenia?

– Sally i James – mruknął. – Wie pani, to nie oni pierwsi zostali zabici.  
Inspektor Parker utkwiła spojrzenie w bezdomnym, kiedy ten zaczął wspominać wydarzenie, o którym wolałby zapomnieć.

\*\*\*

## **Sierpień 1975**

*Najpierw Patrick usłyszał wrzask siostry Teresy. Potem wybuchło zamieszanie. Korytarzami biegały zakonnice. Dzieciaki wychodziły z pokoi. Nikt nie wiedział, co się stało. Jedno z niemowląt zaginęło.*

*Przerażenie kłuło go w pierś. Miał nadzieję, że nie chodziło o ośmiomiesięczne maleństwo Sally. Nikt nie wpuściłby jej do pokoju maluchów, nawet w odwiedziny.*

*Poszukiwania trwały godzinami. Zarówno dorośli, jak i dzieci przeczesywali każdy kąt, dopóki niemowlę nie odnalazło się w koszu pod jedną z jabłoni, z czerwonym sznurkiem od pizamy zawiązanym wokół szyi. Ciało było przykryte jabłkami.*

*Dzieciaki skuliły się wokół zapłakanej siostry Teresy, przytulającej do piersi przeraźliwie białe ciało. Ruszyła powoli przez milczący tłum, który rozstępował się przed nią niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.*

*Patrick i James trzymali Sally za ręce i patrzyli, jak zakonnica wchodzi po schodach do budynku.*

*– Kurczę blade – wykrztusił James.*

*– Cholerka – szepnął Patrick.*

*– Czy to moje dziecko? – zapytała Sally.*

*Nikt nie pozwolił jej spojrzeć na ciało. Nikt nic jej nie powiedział.*

*Patrick ścisnął jej dłoń. Odwzajemniła uścisk i chłopcy poprowadzili ją do środka.*

\*\*\*

*– Czy na miejsce wezwano policję? – zapytała inspektor Parker.*  
*– Policję? Odbiło pani? – odburknął O'Malley, wietrząc spuchnięty język.*  
*– Zapędzili nas do środka jak zwierzęta. Powiedzieli, że to był wypadek, kłamcy zasrani. Byliśmy przerażeni, więc siedzieliśmy cicho.*  
*– Co się potem stało? – Lottie nie mogła ukryć zdumienia.*

– Zakopali dzieciaka. Pod jabłonią.

– A Sally?

– Wmówiła sobie, że jej maleństwo ktoś już adoptował. Nikt nie chciał jej nic powiedzieć. Myślała, że jej dziecko jest już bezpieczne, pewnie tylko dlatego nie zwariowała.

– Czy wtedy podejrzewał pan, kto mógł zabić to niemowlę?

– A skąd, inspektorko – rzekł. – Może ksiądz. Może ten Brian. Koniec końców... Sally wepchnęła mu zgniłe jabłko do gęby. Tak czy owak, nie wiem. Najgorsze jest to, że obwinili o to innego chłopaka, takiego rudego rozrabiakę. Młodszego od nas.

– Jak się nazywał?

– Nie pamiętam. Po winie umysł mi trochę szwankuje, rozumie pani. – Pokazał na skrawek skóry pod okiem. – Pamiętam, że dziobnął mnie, o tu, widelcem. Mógł mnie oślepić, ale z jakiegoś powodu, trochę się zakumpłowaliśmy. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale chyba się szanowaliśmy. Trudno mi powiedzieć. – O'Malley wpatrywał się w ścianę. – Biedny sukinsyn.

Lottie huczało w głowie od natłoku nowych informacji.

– Jego też zabili – powiedział cicho.

– Co takiego? Kto kogo zabił? Kiedy? – Inspektor miała problem ze skupieniem się.

– To było kilka miesięcy później. W zimie. Zimno było jak jasny piorun. Zatłukli go, na miazgę. Pochowali obok tego dziecka w sadzie. – O'Malley zwiesił głowę.

Lottie zastanawiała się, czy tego wszystkiego nie zmyślił. Doszła jednak do wniosku, że był zbyt przybity jak na kłamcę. Co zaszło w Domu św. Angeli? Kto zabił niemowlę, a kto bezimiennego chłopca? Czy dziecko należało do Susan?

Patrzyła na Patricka O'Malleya, który chciał chyba przebić wzrokiem ścianę. Zwrócił na nią swoje brązowe oczy i poczuła, że wwiercają się jej w czaszkę.

– Nazywaliśmy to nocą Czarnego Księżyca.

– Czarny Księżyc – mruknął Boyd. – Chyba gdzieś o tym słyszałem.

– Zanim zabili tego chłopaka, byliśmy przerażeni. – Bezdomny mówił z trudem. – Ale mówię pani, prawdziwy strach nastął po jego śmierci.

– Na pewno pan go nie znał? – zapytała ponownie.



Potrząsnął głową.

– Pewnie to wyparłem albo coś.

– Proszę dać znać, jeśli pan sobie przypomni. – Kolejna niewiadoma. Zerknęła na Boyda, który miał kwaśną minę.

O'Malley kiwnął głową.

Inspektor spojrzała na imiona zapisane w notesie.

– Wie pan, gdzie obecnie znajduje się ksiądz Con?

– Mam nadzieję, że w piekle.

– A Brian, co się z nim stało?

– Nie lubiłem go. Podejrzywałem, że miał coś wspólnego ze śmiercią tego niemowlaka, więc mam nadzieję, że nie żyje.

\*\*\*

Lottie stała obok Boyda przed drzwiami posterunku. Patrzyli, jak zgarbiony bezdomny brnie przez śnieg w dół ulicy. Sierżant zapalił papierosa, którego mu zabrała. Zaciągnęła się dymem, podczas gdy jej partner odpalił kolejnego.

– To musiało być potworne miejsce – powiedziała ze smutkiem w głosie.

– Dom św. Angeli?

– Tak. Jezu, ciekawe ilu jeszcze osobom zniszczył życie?

– Wystarczy spojrzeć na O'Malleya. Biedaczysko.

– Takich jak on musi być więcej – stwierdziła. – Wspomnienia z tego miejsca musiały prześladować Susan przez całe życie. Jamesa pewnie też. Ale teraz jestem przekonana, że w tej sprawie chodzi o coś więcej niż pozwolenia na zagospodarowanie przestrzenne.

– Jesteś pewna, że ich śmierć ma jakiś związek z przeszłością? – Boyd miał wątpliwości.

– No pewnie, że ma – upierała się. Wiedziała, że jej partner nie był przekonany.

– Dwa podejrzane zgony, prawdopodobnie morderstwa, ponad cztery dekady temu – rzekł Boyd. – Nie sądzę, żeby miały coś wspólnego z naszym śledztwem.

– Nie wiem... – Lottie zgasiła papierosa.

– Ciekawe, kim jest ten ksiądz Con i gdzie teraz przebywa? – zastanawiała się.

- Jeśli mu szczęście dopisało, to siedzi.
  - Spróbuję go znaleźć w naszej bazie danych, ale bez nazwiska będzie to trudne – oznajmił.
  - Poszukaj też czegoś o tej garkuchni – poprosiła.
  - Podejrzewasz O’Malleya?
  - Żał mi go, ale jest w to jakoś zamieszany. W przeszłości zetknął się z Brownem i Sullivan. Lepiej mieć go na oku.
  - Wątpię, czy udałoby mu się wytrzeźwieć na tyle, by kogoś zabić – stwierdził sierżant, próbując uformować z dymu kółka, ale rozwiął je wiatr.
  - No tak... Zostawiłby tyle śladów, że laboratorium miałoby co robić przez tydzień – dodała, zerkając na katedrę. Podskoczyła, kiedy dzwon na wieży wybił dziesiątą.
  - Odwiedzę naszego znajomego dewelopera, Toma Rickarda – oświadczyła.
  - Potrząśnij nim. A nuż coś z niego wypadnie. – Boyd zgasił papierosa w śniegu.
  - Trzeba też sprawdzić, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla biskupa Connora.
  - Zapytaj swojego księdza, jak wróci.
  - Co?
  - Nie udawaj niewiniątka, Lottie Parker. Wiem, że robisz maślane oczy do księdza Joe.
  - Masz bardzo bujną wyobraźnię, Marku Boydzie. Mógłbyś pisać powieści.
- Lottie zapięła kurtkę i popędziła ulicą, zanim jej partner mógł zauważyć, że się czerwieni.

## ROZDZIAŁ 50

Tom Rickard trzaskał szufladami, szeleścił dokumentami na biurku i bębnił w klawiaturę komputera. Jednym słowem, dawał inspektor Parker do zrozumienia, że jest zajęty.

Marszczył się tak, że wyglądał, jakby miał zęza.

– Mam dość spraw na głowie bez pani nieustannych wizyt – mruknął, ściągając marynarkę, po czym podwinął rękawy koszuli.

Szykuje się do walki, pomyślała Lottie, zastanawiając się, jakim cudem udało mu się spłodzić potomka. Chociaż z drugiej strony – był bogaty. Pieniędźmi można nadrobić niedostatki urody.

– Dlaczego kupił pan Dom św. Angeli? – zapytała bez ogródek.

Złapała go tuż po jego przyjsciu do pracy w nadziei, że miał kaca jak wszyscy, których spotkała tego poranka. Rickardowi nie spodobało się, że zatrzymała go w drzwiach. Bardzo niechętnie zgodził się poświęcić jej odrobinę swojego cennego czasu.

– To nie pani sprawa – odburknął, przestając wiercić się w fotelu.

– Mam dwie ofiary, które zajmowały się wnioskiem na zagospodarowanie posesji, którą kupił pan od biskupa Connora. Nie żyje też pewien ksiądz. Nadal uważa pan, że to nie moja sprawa?

– Odpowiedź na pani pytanie jest prosta – odparł Rickard. – Kupiłem działkę, na której stoi Dom św. Angeli, ponieważ uważam, że to świetne miejsce na zabudowę. Włożyłem w ten projekt mnóstwo pieniędzy i mam zamiar na nim zyskać. Nie widzę przyczyn, dla których miałyby pani wtrącać się w moje interesy. – Trzasnął po raz ostatni szufladą i skrzyżował ramiona na piersi.

– Ja widzę, jeśli pomoże mi to schwytać mordercę. – Zrobiła efektowną pauzę, po czym kontynuowała: – Proszę powiedzieć, dlaczego James Brown kontaktował się z panem po zabójstwie Susan Sullivan.

– Czy pani ogłuchła? Już mówiłem, że z nim nie rozmawiałem.

– Połączenie trwało trzydzieści siedem sekund – upierała się. – Sporo czasu, by coś powiedzieć.

– Nie rozmawiałem z tym człowiekiem – odparł, błyskając licówkami na

zębach.

– Może zostawił panu wiadomość na poczcie głosowej? Sprawdzał pan?

– Powtarzam po raz ostatni: nie rozmawiałem z Jamesem Brownem – warknął, wykrzywiając z wściekłości usta.

– Ile kosztował pana zakup Domu św. Angeli? – Inspektor postanowiła zmienić podejście.

– To na pewno nie jest pani sprawa. – Tom Rickard walnął pięściami w stół.

Lottie uśmiechnęła się. Potrząsanie zaczynało przynosić efekty.

– Panie Rickard, udało mi się ustalić, że nabył pan tę posesję za mniej niż połowę wartości rynkowej – wykorzystała informację zdobytą od Bei Walsh.

– Coś takiego na pewno zainteresuje Bank Watykański. Słyszałam, że bardzo dba o to, kto i jak wykorzystuje jego pieniądze. Co pan o tym sądzi?

– Sądzę, że rzuca się pani na zbyt głęboką wodę, inspektor Parker. – Nozdrza Rickarda rozszerzały się w furii, a jego twarz poczerwieniała. Wyglądał teraz jak rozwścieczony byk. – Nadal nie rozumiem, w jaki sposób moje interesy miałyby wiązać się z prowadzonym śledztwem.

– Chyba jednak pan rozumie – stwierdziła ze spokojem. – Ludzi na pewno zainteresuje pański mały interesik. Zwłaszcza teraz, kiedy parafia tak cienko przedzie.

– Radzę więc poruszyć ten temat z biskupem Connorem.

– Taki mam zamiar.

Miała wrażenie, jakby byli uczniami, bijącymi się na szkolnym podwórku. Rickard miał smykałkę do interesów i odwracania kota ogonem. Nie lubił też zdradzać swoich sekretów. Inspektor Parker była bardziej bezpośrednia.

– Myślę, że istnieje inny powód, dla którego kupił pan Dom św. Angeli.

– Nic mnie to nie obchodzi – warknął.

– Kto brał udział we wczorajszym spotkaniu w pańskim domu?

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Zaprzecza pan, że spotkanie miało miejsce?

– Niczego nie zaprzeczam. Ani nie potwierdzam. – Znowu trzasnął szufladą.

– Był pan w Domu św. Angeli?

– Jasne, że tak, do cholery. Przecież jestem właścicielem posesji.

– Miałam na myśli, czy był pan tam w dzieciństwie jako chłopiec. Powiedzmy w latach siedemdziesiątych?

– Co? – Rickard nadał się. Jego twarz zmieniła kolor z karmazynu na ciemną purpurę.

– Proszę odpowiedzieć. – Zauważyła, że jego koszula zrobiła się wilgotna pod pachami.

– Nie, nie postawiłem stopy w Domu św. Angeli, dopóki nie postanowiłem kupić tej posesji.

– Hmm... – Lottie nie była przekonana, czy mówił prawdę. Ale na razie nie miała jak tego udowodnić.

– Może sobie pani mrużyć do woli – zadrwił.

Obdarzyła go najśłodszym z uśmiechów, na jaki mogła się zdobyć, i powiedziała:

– Chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Czy wie pan, że pański syn zażywa narkotyki?

– To, co robi Jason, nie powinno pani interesować.

– Wręcz przeciwnie, panie Rickard, ponieważ, choć z bólem to przyznaję, Jason jest chłopakiem mojej córki.

Wpatrywała się w dyrektora, który już otworzył usta, by jej odpowiedzieć, ale nie wypłynęło z nich żadne słowo. Jakby dopiero zdał sobie sprawę z tego, co usłyszał. Na jego twarzy zauważyła niepewność, a po kilku sekundach opadła mu szczeka. W końcu zbiła go z tropu.

– Z *pani* córką?

– Tak. Z moją córką Katie.

Rickard odwrócił się od niej. Zimowe słońce oświetlało jego opasłą postać, teraz zwiotczałą, ponieważ nie miał na sobie podtrzymującej brzuch kamizelki. Z oddali dało się słyszeć ruch uliczny.

– To, z kim mój syn spędza czas albo co wciąga w nos, nie ma nic do rzeczy. Proszę mnie uważnie posłuchać, pani inspektor. Nie miałem nic wspólnego z tymi morderstwami. Jeśli nadal będzie mnie pani nękać, złożę na panią zażalenie u nadinspektora.

Nie będziesz jedyny, pomyślała. Usłyszała już dość. Podniosła się z krzesła.

– Mam nadzieję, że nie wątpi pan w mój profesjonalizm. Zapewniam pana, że dojdę prawdy zgodnie z obowiązującymi mnie zasadami. Nie prowadzę działań tak jak pan prowadzi interesy.

– Co pani właściwie sugeruje?

– Dobrze pan wie co. Łapówki, obietnice składane na korytarzach. Może

pan sobie o mnie myśleć, co chce, ale nie radzę mnie lekceważyć.

Lottie obróciła się na pięcie, zabrała kurtkę i zostawiła prezesa, patrzącego przez okno.

Niemal pobiegła do windy. Była w dobrym humorze. Poprawka – w świetnym.

\*\*\*

Kiedy weszła do zatłoczonego posterunku wpadła na Boyda. Sierżant chwycił ją pod ramię i wyprowadził z powrotem na zewnątrz.

– Co jest? – Zaskoczona, próbowała nie upaść na schodach.

– Corrigan. Zadzwoił do niego Tom Rickard. Ponoć groziłaś jego rodzinie.

– Brednie – oburzyła się, wyrywając rękę. Obróciła Boyda twarzą do siebie. – To kompletne bzdury.

– Może i tak. Ale lepiej przez jakiś czas schodź Corriganowi z oczu.

Znów chwycił ją za ramię. Poddała się i poszła za nim do samochodu.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Do garkuchni.

– To jakaś nowa restauracja? – zadrwiła.

Boyd wycofał samochód.

– Dobrze wiesz, że Susan Sullivan pracowała tam jako wolontariuszka.

Lottie uspokoiła się, a jej partner włączył radio. Z głośników popłynęła piosenka jakiegoś rapera, co przypomniało jej o Seanie.

– Czy ja jestem złą matką?

– Nie, nie jesteś. A co?

– Od śmierci Adama nie panuję nad swoim domem. Całe dnie spędzam w pracy, a moje dzieci robią, co chcą. Boję się pomyśleć, co Sean i Chloe wyprawiają przez cały dzień. A Katie umawia się z ćpającym synem milionera. Chyba życie wymyka mi się spod kontroli, Boyd.

– Zawsze mogło być gorzej – uśmiechnął się.

– Jak to?

– Katie mogłaby się umawiać z ćpunem bez grosza przy duszy.

## ROZDZIAŁ 51

Do Mellow Grove, podmiejskiego osiedla z dwustu dziesięcioma ponurymi domami, nie trzeba było długo jechać. Boyd zaparkował przed numerem 202, znajdującym się na końcu drogi. Przy domu stała niewielka przybudówka.

Mały chłopiec, na oko pięcioletni, z jasnymi włosami wystającymi spod czapki Manchesteru United, stanął przed zderzakiem i wpatrywał się w detektywów.

– Czego pan tu szuka? – zapytał.

– Pilnuj swojego nosa – mruknął sierżant, otwierając zardzewiałą bramę.

– Pierdol się, ty ponura glizdo – krzyknął malec.

Lottie i Boyd spojrzeli na niego, potem na siebie i parsknęli śmiechem.

Przy ścianie stał jasnozielony Fiat Punto rocznik 1992. Na schodku przed drzwiami wylegiwały się dwa czarne koty i owczarek niemiecki.

Pulchna kobieta, która im otworzyła, miała kręcone siwe włosy. Krzywo zapięty kardigan narzuciła na sukienkę z czarnego poliestru. Na spuchniętych nogach miała elastyczne rajstopy i znoszone kapcie w kratkę.

– Pani Joan Murtagh? – spytała inspektor Parker. – Dzwoniliśmy kilka minut temu.

– Naprawdę? – Kobieta spojrzała na legitymacje służbowe detektywów i zaprosiła ich do środka. – Pamięć mnie czasem zawodzi.

Przegoniła psa, który przeciągnął się i odszedł, zostawiając ślady łap na śniegu. Lottie poczuła zapach świeżego pieczywa. W kuchni zauważyła bochenek chleba, leżący na drucianym stojaku.

– Skusisz się, kochanie? – zapytała pani Murtagh i nie czekając na odpowiedź, pokroiła pół bochenka na kromki i zdjęła wieko z maselniczki. Na wbitym w ścianę kołku wisiała laska. Pani Murtagh poruszała się zadziwiająco sprawnie. Inspektor uznała, że musi być w wieku jej matki.

– Smacznego. – Kobieta uśmiechnęła się, zalewając dzbanek herbaty. – Oboje wyglądacie, jakbyście nie jedli od miesiąca.

– Dziękujemy – odparła Lottie, biorąc kęs do ust. – To jest pyszne. Spróbuj – zachęciła Boyda.

– Jestem na diecie. – Sierżant wyciągnął notes i długopis.

Pani Murtagh wybuchła gromkim śmiechem.

– Dieta, też mi coś – parsknęła, po czym spojrzała na Lottie. – Kobietom pewnie ciężko w policji, co? – Postawiła dzbanek na stole i usiadła.

Inspektor dotknęła pokiereszowanego nosa.

– Lubię swoją pracę.

– Na pewno jesteś w niej świetna – stwierdziła pani Murtagh, nalewając herbatę do trzech kubków.

– Kiedy po raz pierwszy spotkała pani Susan Sullivan? – zapytał Boyd, rozglądając się za mlekiem.

– Będziecie musieli mi wybaczyć. Zdarza mi się zapominać ważne rzeczy. Wczesne stadium Alzheimerera, tak mówi mój lekarz. Niech no pomyślę. To musiało być jakieś pięć albo sześć miesięcy temu. – Kobieta zaczęła przeżuwać chleb. W jej kącikach ust zostały okruchy. – Susan dowiedziała się o mojej działalności dla bezdomnych. Zbierałam fundusze na schronisko, chciałam je urządzić w dobudówce. Widzieliście ją na zewnątrz? Ned, mój zmarły mąż, ją zbudował. Napracował się, biedaczyna, nad tą rudera.

Lottie kiwnęła głową.

Pani Murtagh mówiła dalej:

– Rada miejska kazała mi wstrzymać pracę. Powiedzieli, że schronisko nie pasuje do okolicy. Ja wiem, że sąsiedzi wnieśli skargę. Skrzyknęli się przeciwko mnie. Ale i tak nie miało to znaczenia. Zabrakło mi środków na dalszą budowę.

– W jaki sposób się spotkałyście?

– Przyszła do mnie, chciała jakoś pomóc. Zaoferowała dziesięć tysięcy euro. Z góry i w gotówce. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, prawda? Odnowiłam dobudówkę i zainstalowałam kuchenkę, jak w restauracji. Miałyśmy nowoczesne wyposażenie. No i tak to się zaczęło. – Pani Murtagh piła herbatę, z jej twarzy biła duma. – Oprowadzić was?

– Może później – odparła Lottie. – Jak ją prowadziłyście? – Widząc uniesioną brew gospodyni, dodała: – Waszą kuchnię.

– Ano gotowałyśmy rosół, nalewałyśmy do termosów i rozwoziłyśmy bezdomnym w mieście. Kilku z nich mieszka na ulicach, a reszta w starej dzielnicy magazynowej. Koczują wzdłuż kanału, za stacją kolejową. Wiecie gdzie, prawda?

Lottie wiedziała. Nadal bolały ją zębra.



– Czy Susan zdradziła pani, dlaczego to robi? – Posmarowała sobie kolejną kromkę. Boyda strata, skoro nie miał zamiaru jeść pysznego chleba.

– Chciała pomóc tym, którzy nie potrafili poradzić sobie w życiu. Mówiła, że martwią ją bezdomne dzieci. To, co się dzieje w tym kraju, woła o pomstę do nieba. Tyle domów stoi pustych, a biednych bez dachu nad głową wcale nie ubywa. – Walnęła pięścią w stół. Jej pełne gniewu i pasji oczy zdziwiły Lottie. Szkoda, że nie ma więcej ludzi jak ona, pomyślała.

– Susan w kółko narzekała na deweloperów, którzy budowali te pustostany. Nie mogła pogodzić się z tym, że rada miejska na to pozwala.

Detektywi wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Ale przecież ona też pracowała w radzie – zauważyła inspektor.

– No tak. Ale miała tam mało o gadania. Przynajmniej tak mi powiedziała.

– Czy wspominała kiedyś o Tomie Rickardzie? To deweloper.

– Jestem zapominalska, nie głupia. Znam go. Nadęta żoneczka, synalek ćpun, wszyscy oni patrzą na nas z góry. Mówię wam, mam więcej j w sercu niż Tom Rickard kiedykolwiek będzie miał na swoim koncie w banku, detektyw Dottie – zamknęła z trzaskiem maselniczkę.

– Miała z nim pani do czynienia? – zapytał sierżant.

Lottie zauważyła uśmiech na jego twarzy, kiedy pani Murtagh przekreśliła jej imię. Zignorowała go.

– Osobiście nie, ale znam takich ludzi – odparła kobieta. – Susan nie miała dla niego zbyt wiele czasu.

– Dlaczego? – zdziwiła się inspektor Parker.

– Chodziło o coś z prawem własności do Domu św. Angeli. To ten opuszczony sierociniec za miastem. Mówiła mi raz, że Rickard kupił sobie prawo do tej posesji. Nie wiem, co to znaczy, ale chyba się domyślam.

Lottie dopiła herbatę, a pani Murtagh natychmiast napełniła jej kubek.

– Ile osób pracuje w kuchni? – zapytał sierżant.

– Od śmierci Susan tylko ja. Nie wiem, jak długo uda mi się ją utrzymać. Środków mi nie przybywa.

Inspektor Parker miała przecucie, że gospodyni kontynuowałyby pracę w kuchni do śmierci, z pieniędzmi czy bez.

– Czy wie pani, dlaczego ktoś chciałby zabić Susan? – wtrącił Boyd.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Była poczciwą duszą. Nie mam pojęcia, dlaczego ją zamordowano. – Otarła łzy z oczu. – Wiele rzeczy w dzisiejszym świecie to dla mnie zagadka.

– Musiała mówić pani o swoim życiu. Bała się czegoś albo czymś martwiła?

– Powiedziała, że umiera. Nie spotkałam nigdy kogoś aż tak pogodzonego z losem, jak Boga kocham.

– Skąd miała te pieniądze?

– Pieniądze? – pani Murtagh zamilkła na chwilę, pogrążona w myślach. – Mówiła, że ktoś był jej coś winien, dawno temu. „Na końcu każdy musi zapłacić”, tak mi powiedziała. Dziwne, że pamiętam o takich drobiazgach. Mam przeczucie, że powinnam powiedzieć wam o czymś jeszcze, ale nie mogę sobie tego przypomnieć.

Lottie w milczeniu trawiła informacje.

– Czy ktoś miał do niej o coś żal? – Sierżant niecierpliwie stuknął długopisem w notes.

– Susan chciała tylko pomagać, nie wadziła nikomu. Nie wiem, kto chciałby ją skrzywdzić.

– Czy miała chłopaka albo partnera? – kontynuowała inspektor.

– Nie wiem.

– Wiedziała pani, że spędziła dzieciństwo w Domu św. Angeli?

Starza kobieta przez dłuższą chwilę milczała, kiwając głową.

– Powiedziała mi, że to było okropne miejsce. Żadna matka nie powinna porzucać swojego dziecka, tak jak zrobiła to matka Susan. Kościół katolicki w tym kraju ma wiele na sumieniu. – Potrząsnęła głową ze smutkiem.

– Wiedziała pani o tym, że szuka swojego dziecka? – spytała inspektor.

– Tak – odpowiedziała. – Kiedy odebrali jej maleństwo, złamali jej serce. Nigdy się nie dowiedziała, co z nim zrobili.

– Nie odnalazła go?

– Pukała do wszystkich drzwi, ale nikt nie otworzył. Kościół rzucał kłody pod nogi. Była nawet u biskupa, ale nic nie wskórała. – Oczy gospodyni zapłonęły gniewem.

– Spotkała się z Connorem? – Lottie szturchnęła partnera. Biskup twierdził, że nie zna Susan, ale wyglądało na to, że kłamał.

– Ano tak. Niech no pomyślę. – Pani Murtagh zamknęła oczy, po czym odpowiedziała: – Kiedy wróciła po tym spotkaniu, była bardzo zła. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego poszła do niego aż dwa razy.

– Dwa razy? Kiedy odwiedziła biskupa ponownie? Dlaczego? – Inspektor pomyślała, że musi jeszcze raz przesłuchać biskupa Connora.

– Nie wiem. Poradziłam Susan, by się z nim nie spotykała, ale była przekonana, że on coś wie. – Spuściła wzrok. – Biedaczka. Powiedział jej, że była zdziwą, I to pewnie za to zamknęli ją w Domu św. Angeli. Drań z niego, odpuść Boże. – Pani Murtagh znowu się przeżegnała.

Lottie trawiła w głowie to, co usłyszała. Dlaczego biskup przemilczał te fakty?

– Kiedy to było?

– Święta! Tak... przed świętami Bożego Narodzenia.

– A dokładniej?

– Susan była na urlopie. Wigilia, te sprawy. To było wtedy! Ugotowałyśmy trzy garnki z zupą. Pokazywałam wam kuchnię? Oczywiście, że nie. Przypomnijcie mi o tym. Zazwyczaj gotowałyśmy tylko dwa garnki. Dziwne, że to akurat pamiętam. Padało jak jasny piorun, a prognoza pogody zapowiadała minus dwanaście stopni czy coś takiego. Tak... jestem prawie pewna, że Susan odwiedziła biskupa w Wigilię.

Boyd zanotował słowa pani Murtagh.

– Jak jej poszło to spotkanie? – Inspektor pałaszowała kromkę chleba. Nie wiedziała, że była aż tak bardzo głodna.

– Chyba jej nie pytałam. Kiedy wróciła, załadowaliśmy termosy z zupą do samochodu i pojechaliśmy, w taką śnieżycę.

– Czy nastrój Susan zmienił się po powrocie?

– To znaczy?

– Martwiło ją coś? Albo była smutna?

– Była taka jak zawsze. Zmartwiona, i to bardzo.

Lottie pomyślała o biskupie Connorze i poczuła jeszcze głębsze współczucie dla Susan Sullivan. Krzywdzono ją przez całe życie, a im więcej inspektor się o niej dowiadywała, tym bardziej chciała, aby Susan zaznała sprawiedliwości, choćby i po śmierci.

– Kiedy ostatni raz widziała pani ofiarę? – zapytał sierżant.

– Noc przed śmiercią. – Pani Murtagh otarła kolejną łzę. – W czasie świąt rozwoziłyśmy zupę.

– Miała wolne – zauważyła inspektor – więc co robiła w ciągu dnia?

– Nie wiem. Była bardzo skryta.

– Mieszkała na drugim końcu miasta, a jej samochód wygląda na nieużywany od kilku tygodni. Wszędzie chodziła pieszo?

– Lubiała ćwiczyć. Zawsze chodziła z tym muzycznym czymś na uszach.

Jak to się nazywa?

– iPod.

– Kochała tę swoją muzykę. – Gospodyni miała smutny wyraz twarzy.

– Może nam pani coś jeszcze powiedzieć? – spytała Lottie.

– Dwie szklanki mąki, łyżeczka drożdży, łyżka stołowa masła, szczypta soli. Do piekarnika na dwadzieścia minut i gotowe.

– Niestety, pieczenie nie jest moją mocną stroną. – Lottie uśmiechnęła się.

– Nawet gdybym spróbowała, mój chleb nie byłby tak pyszny, jak pani.

Zastanawiała się, czy kobieta zmieniła temat celowo.

– Pochlebiasz mi, kochanie. Zawinę ci resztę bochenka w folię aluminiową. Będiesz miała na kolację.

Zawijając chleb, spojrzała na Boyda.

– A ty, chłopcze? Przydałoby ci się trochę domowych wypieków.

Sierżant uśmiechnął się, milcząc.

Lottie skierowała rozmowę na właściwy tor.

– Z tego, co wiem, w Domu św. Angeli stosowano wobec dzieci przemoc.

Czy Susan wspomniała coś na ten temat?

– Coś mi kiedyś mówiła. Ponoć nikt inny o tym nie wiedział. Zamordowano tam dziecko, a małego chłopca pobili na śmierć. – Pani Murtagh wykonała znak krzyża. – Według Susan to było „więzienie dla dzieci”, wszystkie noworodki leżały w stalowych kołyskach. Nie wiedziała, czy to nie jej dziecko padło ofiarą tego morderstwa, ale wmówiła sobie, że to nieprawda. – Gospodyni zamilkła, ponownie ocierając łzy z policzków. – Niepewność to okropna rzecz. Dręczyła biedactwo przez cały czas. Wiedzieliście, że kupowała codziennie gazety i przeglądała zdjęcia? Myślała, że zobaczy na którymś swoje dorosłe dziecko.

– W jej domu znaleźliśmy całe sterty gazet – oznajmił Boyd.

– Miała obsesję na tym punkcie. Przecież nie mogłaby po tylu latach rozpoznać swojego maleństwa. Próbowałam przemówić jej do rozumu, ale nie chciała mnie słuchać. Twierdziła, że będzie wiedziała, jak tylko na nie spojrzy.

Lottie była przekonana, że Susan nie miała najmniejszych szans na odnalezienie w ten sposób swojego utraconego dziecka.

– Patrick O'Malley. Słyszała pani o nim?

– Oczywiście. Dziwny człowiek. Przychodził do nas po zupę – odparła pani Murtagh. – Susan była dla niego bardzo życzliwa, ale nic mi o nim nie

mówiła. Znałam ją ledwie pół roku, a czuję się, jakby to było całe życie. To dla mnie okropna strata. Dlaczego takie rzeczy spotykają dobrych ludzi, a łajdaki żyją sobie jak pączki w maśle?

Detektywi milczeli.

Kobieta wstała, sprzątnęła kubki ze stołu i opłukała pod kranem. Odstawiła je na suszarkę i sięgnęła po laskę, którą wskazała na boczne drzwi.

– Chodźcie, pokażę wam kuchnię. Byłyśmy z niej takie dumne.

Inspektor Parker nie miała serca jej odmówić.

\*\*\*

Wrócili do samochodu, który stał nienaruszony na swoim miejscu. Złośliwy chłopiec najwyraźniej poszedł do domu.

– Nieźle się urządziły – mruknął Boyd, odpalając silnik.

– Susan włożyła w tę kuchnię wszystkie pieniądze, które nie wiadomo skąd otrzymywała. – Lottie położyła chleb pod fotelem. – Mam nadzieję, że pani Murtagh nie zapomniła powiedzieć nam czegoś istotnego.

– Musimy jeszcze raz przejrzeć jej bilingi.

– Jasne.

– Dokąd teraz? – zapytał sierżant. – Czy mam zgadywać?

– Odwiedzimy biskupa Connora – powiedziała. – Będzie nam musiał to i owo wyjaśnić.

## ROZDZIAŁ 52

– Widzę, że tym razem ma pani wsparcie, pani inspektor.

Biskup Connor wskazał Lottie i Boydowi krzesła przed swoim biurkiem.

Kiedy usiedli, zapytał:

– Jak długo mam czekać na wydanie zwłok księdza Angelottiego?

– Patolog jeszcze nie podjęła decyzji – odparła inspektor. – Czy ksiądz biskup wie coś, co pomogłoby w rozwiązaniu sprawy jego zabójstwa?

– To wielka tragedia. – Posmutniał. – Pomyśleć, że zginął kilka tygodni od przyjazdu do Ragmullin.

– Co robił w domu Jamesa Browna?

– Nie mam pojęcia.

– Czy wspominał księdzu, że zna Browna albo Susan Sullivan?

– Nie, pani inspektor. Prawie ze mną nie rozmawiał.

– Czy miał dostęp do samochodu?

– Gdyby była taka potrzeba, mógłby go otrzymać.

– Przed domem Browna nie było innych samochodów. Jak więc ksiądz Angelotti się tam dostał?

Connor zawahał się. Lottie dostrzegła ledwo zauważalny ruch jego oczu.

– Może taksówką? – zgadywał. – Proszę zapytać taksówkarzy.

– Moi ludzie już się tym zajmują – oznajmiła inspektor. Zapisała w pamięci, aby sprawdzić ten trop. – Powiedział ksiądz, że nie zna Susan Sullivan, zgadza się? – Upewniała się, wertując bezmyślnie notes. Spojrzenie zielonych oczu biskupa, którym próbował ją zastraszyć podczas pierwszej wizyty, teraz wydawało się błyskać podejrzliwością.

– Sadzę, że tak – odparł.

– Radzę się dobrze zastanowić nad odpowiedzią – ostrzegła go. – Wiem z pewnego źródła, że spotkał się ksiądz z Susan Sullivan co najmniej dwukrotnie.

– A co to za źródło? – Oczy Connora rozjarzyły się.

Lottie pozwoliła kontynuować Boydowi, który lepiej znał się na naginaniu prawdy.

– Dysponujemy bilingami, według których Susan Sullivan kontaktowała

się z księdzem. Ponadto w dzienniku elektronicznym zapisała dokładną datę spotkania. – Sierżant wiedział, jak blefować.

– Myślałem, że nadal nie odnaleźliście jej telefonu – mruknął biskup, z uśmiechem rozsiadając się w fotelu.

– Skąd ksiądz wie, co udało nam się znaleźć, a czego nie? – zdziwiła się inspektor.

– Mam doskonałe źródła.

– Nie aż tak doskonałe. Ksiądz mnie okłamał.

– Przyznaję, spotkałem się z Susan Sullivan, co nie zmienia faktu, że jej nie znałem. Powinna pani rozumieć tę różnicę. – Dotknął palcami gładko ogolonego podbródka.

– Miga się ksiądz od odpowiedzi. To grozi aresztowaniem za utrudnianie śledztwa. – „Dupku”, dodała już w myślach.

– Nie dysponuję żadną informacją, która mogłaby wam pomóc – odparł biskup.

– Ja o tym zdecyduję. Czego dotyczyły wasze spotkania? – Lottie miała dość owijania w bawełnę.

– To prywatne sprawy, o których nie muszę z panią rozmawiać.

– Biskupie Connor, znałeś dwie z trzech ofiar. Spotkałeś się z Susan Sullivan, a ksiądz Angelotti był pod twoją opieką. I sądzisz, że nie masz nam nic do powiedzenia? – Starła się zachować stanowczy ton. – Im dłużej prowadzisz tę grę, tym bardziej jestem przekonana o twojej winie. Wierz mi, że jeśli wyczuję, że próbujesz nas wywieść w pole, dopilnuję, żebyś poznał, co to znaczy piekło na. – Pochyliła się do przodu, dysząc ciężko.

– Czyżbym słyszał groźbę w pani głosie, inspektor Parker? – Connor odwzajemnił wrogie spojrzenie.

Napięta sytuację przerwał Boyd.

– Nikt nikogo o nic nie oskarża, księżę biskupie. Przedstawiamy tylko fakty. Chcemy wiedzieć, dlaczego ksiądz kłamał na temat spotkania z ofiarą. Sam ksiądz przyzna, że to dość podejrzenie wygląda.

Duchowny wziął głęboki oddech i oparł się na wygodnym fotelu. Lottie nawet nie drgnęła, pochyłona, gotowa się na niego rzucić. Partner położył dłoń na jej ramieniu. Nadal się nie poruszyła. Nie zamierzała tym razem odpuścić Connorowi.

– I daruj sobie groźenie mi nadinspektorem Corriganem – warknęła. – Gównu mnie obchodzi, ile dołków razem zaliczyliście albo przy ilu butelkach

whiskey miło spędziliście czas. Chcę odpowiedzi, a ty mi ich udzielisz, choćbym musiała zawlec twoje żałosne dupsko na posterunek.

Uśmiech na twarzy biskupa jeszcze bardziej rozjuszył inspektor Parker.

– Ksiądz pozwoli, że podsumuję nasze stanowisko – rzekł Boyd. – Ksiądz Angelotti przyjechał z Rzymu pierwszego grudnia. W Wigilię spotkał się ksiądz z Susan Sullivan po raz drugi w tym roku. Mamy przypuszczenia, że zaginiony ksiądz został zabity tego samego dnia. Chyba pora zagrać w otwarte karty, biskupie Connor.

– A ja sądzę, że chyba już pora, żebyście sobie poszli – stwierdził.

– Co ty ukrywasz? – warknęła Lottie, wpatrując się w jego szmaragdowe oczy.

– Nie mam nic do ukrycia – powiedział, nieznacznie się rumieniąc.

– Mimo to nie chce ksiądz nam pomóc? – zapytał Boyd.

– Jestem bardzo zajęty... gdybyście byli tak uprzejmi... – Duchowny wskazał na drzwi i wziął do ręki telefon.

– Nie marnuj czasu na dzwonenie do nadinspektora – burknęła Parker i wypadła z pokoju.

– A pani niech nie marnuje czasu na nękanie mnie – odpowiedział i zamknął za nimi drzwi.

\*\*\*

– Mam wielką ochotę zabić tego człowieka – sapnęła Lottie, kiedy siedzieli już w samochodzie.

– Ja też – odparł jej partner. – Skąd wiesz, jak się gra w golfa?

– Z gier Seana.

Boyd pokiwał głową, udając, że rozumie.

– Connor coś ukrywa – zastanawiała się.

– Muszę się napić. – Sierżant wyglądał na zrezygnowanego.

Lottie obserwowała jezioro, oświetlone światłem księżyca.

– Już prawie dziewiętnasta. Powinnam zajrzeć do dzieciaków.

Boyd nie odpowiedział. Był skupiony na prowadzeniu samochodu.

– Chociaż w sumie czemu nie? – stwierdziła, odchylając fotel pasażera. Oparła stopy o deskę rozdzielczą i zamknęła oczy.

Jej partner nadal milczał.

Była wdzięczna za odrobinę ciszy. Rickard i Connor wodzili ją za nos. Po



dzisiejszym dniu była całkowicie pewna, że obaj coś ukrywają. Ale co? Związek ich tajemnic z Domem św. Angeli był niemal oczywisty. Nie wiedziała tylko, czy chodziło o przeszłość, czy o teraźniejszość. Nie zamierzała się poddawać. Była to winna ofiarom.

## ROZDZIAŁ 53

Mężczyzna powiedział sekretarce, że wróci za godzinę, i opuścił biuro. Potrzebował świeżego powietrza, nawet jeśli na dworze sypał śnieg.

Kiedy spacerował na wpół opustoszałymi ulicami, przeszła obok niego roześmiana para wtulonych w siebie nastolatków. Wiejący silnie wiatr rozwiązał szal chłopca, a idąca z nim dziewczyna owinęła go sobie wokół szyi. Czarny tatuaż wyraźnie wyróżniał się na tle padających płatków.

Zatrzymał się przy sklepowej witrynie, obserwując, jak dziewczyna przyciąga do siebie chłopaka i całuje go. Widział, jak jej blade dłonie prześlizgują się po udzie młodzieńca, po czym wędrują po jego plecach i zatrzymują się na szyi.

Próbował opanować oddech. Dyszał tak głośno, że bał się, że go usłyszą. Smukła szyja. Tatuaż. Ten chłopak był cudowny.

Para ruszyła dalej i zniknęła za drzwiami baru Danny's.

Mężczyzna pragnął w końcu poczuć pod palcami ciepło skóry młodzieńca i nie mógł już dłużej na to czekać.

## ROZDZIAŁ 54

Lottie i Boyd weszli do baru Danny's. Detektywi Kirby i Lynch siedzieli przy stoliku niedaleko kominka.

Przed Kirbym stały dwa kufle guinnessa. Włosy detektywa były w jeszcze większym nieładzie niż zwykle. Lynch sączyła grzaną whiskey. Wnętrze wypełniał szum rozmów, a grupka nastolatków z kolczykami w różnych częściach ciała siedziała w rogu baru. Na ich stoliku znajdował się imbryk oraz mnóstwo filiżanek. Herbatka „Biała Małpka”, pomyślała inspektor, siadając pomiędzy podwładnymi. Nie zwróciła większej uwagi na młodzież w kącie. Jej partner podszedł do baru, by zamówić im coś do picia.

– Czekasz na kogoś, Kirby? – zapytała inspektor.

– To drugie piwo jest dla mnie – oznajmił, ściągając kurtkę. Z kieszeni na piersi detektywa wystawał wymięty kawałek papieru i trzy poobgryzane długopisy.

– A pierwsze?

– Zapomnę o nim, zanim go wypiję.

Podniósł kufel i opróżnił trzema potężnymi haustami. Otarł usta wierzchem dłoni i odstawił pusty kufel na stolik.

– Dobrze było. – Cicho beknął.

Lottie uśmiechnęła się do Lynch. Boyd wrócił, niosąc dwa kieliszki wina – czerwone dla siebie i białe dla inspektor Parker.

– Myślałem, że szefowa już nie pije – zdziwił się Kirby. Nad wargą zostało mu trochę piany z piwa.

– Nie piłam. Teraz piję. Potrzebuję drinka tak samo jak ty tego pierwszego kufła.

– Święte słowa. – Wypił tęgi łyk, po którym bez wstydu potężnie beknął.

– Proszę nie patrzeć za siebie, inspektor Parker. – Lynch wskazała wzrokiem na coś za plecami Lottie. – Pani córka siedzi w tamtym rogu.

Lottie natychmiast spojrzała w tamtą stronę. Katie! Siedziała z głową opartą o ramię Jasona Rickarda. Miała przymknięte oczy, a podkreślone czerwienią usta uśmiechały się drwiąco. Jej blada twarz rzucała Lottie wyzwanie.

– Nie ruszaj się z miejsca – ostrzegł ją sierżant.

– Nie mam zamiaru. Dość już konfrontacji na dzisiaj.

Sączyła wino, choć tak naprawdę chciała opróżnić kieliszek jednym łykiem, jak Kirby. Niestety nie miała tak dobrej wątroby jak on. I musiała wrócić pieszo do domu. Drażniło ją to, że Maria Lynch była świadkiem jej problemów z córką. Opanowując złość, odwróciła się do współpracowników i opowiedziała im, czego się do tej pory dowiedziała.

– Proszę mi dać pięć minut z tym biskupem, a wszystko wyśpiewa. – Kirby oblizwał wargi.

– Jak wam minął dzień? – zapytała inspektor, ignorując nastolatków za jej plecami.

– Wpadłem na niezły trop – odparł detektyw. – Sprawdziłem bilingi Browna. Kilka telefonów wykonano na numer należący do księdza Angelottiego.

– James Brown znał Angelottiego! – Inspektor szybko wypila wino. – Teraz mamy na to niezбитy dowód. – Odstawiła pusty kieliszek. – Kiedy dzwonił?

– Dzwonił kilka razy, po raz pierwszy w połowie listopada. Chwileczkę.

Wyciągnął z kieszeni kilka kartek i rozłożył je na stole. Były na nich numery i daty zaznaczone żółtym flamastrem.

– O, tutaj – wskazał grubym palcem. – Dwudziesty trzeci listopada, o osiemnastej piętnaście. I jeszcze dwa, dwudziestego drugiego i dwudziestego czwartego grudnia.

– O której dzwonił w Wigilię? – Inspektor była podekscytowana.

– Wpół do jedenastej i o dziewiętnastej trzydzieści – odparł detektyw, zakreślając długopisem cyfry.

– Według patolog Angelotti zginął w Wigilię – rzekła.

– Tego samego dnia, kiedy Susan Sullivan spotkała się z biskupem. Nadęty dupek nie chce nam powiedzieć, o czym rozmawiali – mruknął Boyd.

– Wspólny mianownik? – zapytała Lynch.

– Dom św. Angeli i Tom Rickard. – Lottie zerknęła przez ramię na Jasona, który całował szyję jej córki. Odwróciła wzrok, marszcząc się z obrzydzeniem.

– Co miał z nimi wspólnego Angelotti? – zapytał sierżant.

– Jeszcze nie wiem, ale możemy założyć, że Brown dzwonił do niego rano, by umówić się na spotkanie, a potem, żeby je odwołać – stwierdziła

inspektor. – O tym mówił jego kochanek, Derek Harte.

– Tylko, że Amgelotti już był na miejscu – zauważył sierżant. – W dodatku miał towarzystwo.

– Na to wygląda – analizowała inspektor. – Kto mógł z nim wtedy być?

Barman wcisnął się pomiędzy nich, by dodać węgla do płonącego w kominku ognia. Płomień przygasł na chwilę, by natychmiast wystrzelić snopem iskier, które zasypały stół detektywów. Kirby zamówił dla wszystkich kolejną, po czym zapadło milczenie, zakłócone jedynie wybuchami śmiechu przy stoliku nastolatków.

Lottie próbowała skupić się na rozmowie z podwładnymi, ale nie potrafiła przestać myśleć o tym, co robiła Katie. Patrzyła na dno pustego kieliszka, modląc się w duchu, aby barman szybko napełnił go winem. Spojrzała na wystrzępione rękawy swojej koszulki. Gdyby Adam żył, mieliby więcej pieniędzy. Zaczęła się zastanawiać, czy to pieniądze młodego Rickarda tak pociągały jej córkę.

Na stoliku pojawiły się kolejne drinki. Boyd rozdał je zgromadzonym, podczas gdy Kirby regulował rachunek u barmana. Lottie znowu usłyszała gromki śmiech nastolatków i odwróciła się. Katie wbiła w nią wzrok, po czym szeroko otworzyła usta, ukazując kolczyk w języku. Jason obejmował ją ramieniem. Lottie była w szoku i nagle poczuła, że sierżant ciągnie ją za ramię. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że wstała.

– Daj jej spokój – powiedział. – Niech się bawi.

– Taki z ciebie znawca? – warknęła, odtrącając jego dłoń.

– Nie jestem znawcą, ale jeśli zrobisz jej scenę przed znajomymi, będzie jeszcze gorzej. Usiądź.

Głośno wypuściła powietrze z ust i usiadła. Boyd miał rację. Wypiła kolejny łyk wina, pozwalając, by alkohol ją znieczulił.

– Nie chcę pani martwić, inspektor Parker, ale pani druga córka? Chloe, prawda? Właśnie weszła do baru – poinformowała Lynch.

– Jezu! – jęknęła Lottie i ponownie się odwróciła. Chloe pomachała jej i podeszła do stolika.

– Witaj, matko – powiedziała, pozdrawiając pozostałych skinieniem. – Widzę, że jesteś bardzo zajęta.

– Nie mów do mnie tym tonem – rozkazała. – Gdzie jest Sean?

– Nie ma go tu.

– To oczywiste – odparła, cytując ulubioną odpowiedź córki.

– Jest w domu. Na obiad mieliśmy chińskie zupki. – Dziewczyna stanęła za krzesłem Lottie.

– Ohyda. – Boyd zrobił kwaśną minę.

– Co ty tutaj robisz? – Inspektor czuła, że Chloe próbuje wywołać w niej poczucie winy. – Jesteś niepełnoletnia.

– Wiem, matko – przytaknęła, ciągnąc za wystające spod kurtki sznurki różowej bluzy z kapturem. – Szukałam Katie i właśnie ją znalazłam.

– Powinnaś już wracać do domu. – Lottie zdała sobie sprawę, że ich sprzeczka była w centrum zainteresowania gapiów. – Zaczekaj na zewnątrz. Zaraz przyjdę.

Chloe odwróciła się na pięcie i wyszła z baru.

– Niech się pani nie martwi – pocieszała detektyw Lynch. – Będzie lepiej.

– Ale kiedy? – zapytała Lottie. – To właśnie chciałabym wiedzieć. Bo na razie jest coraz gorzej. – Zauważyła uśmiech na twarzy Lynch czy jej się zdawało? Musiała bacznie ją obserwować, tej kobiecie nie można ufać. Zostawiła niedopity kieliszek wina i włożyła kurtkę.

– Do zobaczenia w pracy. O szóstej rano. Dzięki za wino, kiedyś się odwdzięczę.

– Podwieźć cię? – zaoferował Boyd, nie wstając z krzesła.

– Nie, pójdziemy pieszo. Muszę się przewietrzyć. Ale dzięki.

– Niech szefowa uważa na złodziei – zarechotał Kirby.

Lottie stanęła na chwilę przed stolikiem Katie i jej przyjaciół, ale nic nie powiedziała i poszła dalej.

Detektywi też milczeli, sącząc drinki i słuchając trzaskającego ognia w kominku. Na zewnątrz szalała zamieć. Inspektor nałożyła kaptur. Wydawało jej się, że łatwiej znieść okropną pogodę niż to, co przeżywała w środku. Chloe chwyciła ją pod ramię i w końcu Lottie poczuła ciepło.

\*\*\*

Mężczyzna siedział w zaciemnionym i ledwo widocznym kącie baru. Czekał, aż detektywi opuszczą lokal. Był pewien, że go nie zauważyli, ale z podekscytowania nie za bardzo go to obchodziło. Kiedy chłopak z tatuażem na szyi podszedł do baru, mężczyzna stanął obok niego.

– Postawić ci coś? – zapytał, zamawiając dla siebie kolejny kufel piwa.

– Nie, dzięki. Mam z kim pić.

– Na pewno? – Wyciągnął z portfela pięćdziesiąt euro.

– Możesz się łaskawie odpieprzyć?

Mężczyzna wbił wzrok w ciemne oczy młodzieńca, po czym zapłacił za swoje piwo i schował resztę do kieszeni. Kiedy odchodził, pogłaskał jego plecy, próbując zrobić to w jak najmniej podejrzany sposób.

– Wybacz. – Zaśmiał się. – Trochę dziś tłoczno.

– Odwal się, zboczeńcu.

Mężczyzna wrócił do swojego stolika. Jego dłonie drżały, a ciało zeszywniało. To oczekiwanie było nie do zniesienia. Zdecydował więc, że będzie musiał coś z tym zrobić.

## ROZDZIAŁ 55

Tom Rickard siedział na brzegu łóżka i wiązał buty.

– Mówiłem ci już, że jesteś piękna?

– Przez ostatnią godzinę co kilka sekund. – Kobieta odgarnęła długie włosy z twarzy. – Tom, nie wiem, jak długo będę mogła to ciągnąć.

Naciągnęła kołdrę po szyję, na której wisiał srebrny łańcuszek.

– Nie mów tak. – Odwrócił się i szorstko pocałował kochankę w usta.

Usiadła. Kołdra zsunęła się, odsłaniając jej rozpalone ciało. Znowu miał na nią ochotę.

– Coraz trudniej wymyślać mi wymówki – powiedziała. – Któregoś dnia ktoś nas tu przyłapie. – Urwała na chwilę. – Tom, czy ty mnie słuchasz? Rozejrzyj się. Jak długo możemy tak żyć? Nienawidzę tego miejsca.

Rickard bał się odezwać. Podniósł marynarkę z drewnianego krzesła i narzucił ją na pogniecioną fioletową koszulę. Rozejrzył się po pokoju. W kącie stał elektryczny grzejnik, z zatechłego sufitu odchodziła farba, a o poobrywane deski podłogowe już nie raz pokaleczyli stopy. Ta cudowna kobieta leżąca na skrzypiącym łóżku zasługiwała na coś więcej niż to. Ale oboje byli zbyt rozpoznawalni w mieście, aby spotykać się w hotelach. Teraz, kiedy Melanie węszyła wokół niego jak pies gończy, było to szczególnie niebezpieczne.

– Możemy o tym porozmawiać później? – Usiadł z powrotem na łóżku.

– Nie traktuj mnie jak jednej ze swoich sekretarek. Nie możesz ot tak wpisać mnie sobie w grafik na szybki numererek, a potem zwać do pani Versace. Nie powinno nas tutaj być. – Opadła na wilgotną poduszkę i zamknęła oczy.

– Daj mi trochę czasu. Pracuję nad tym, słowo. Razem na pewno nam się uda.

– A w jaki sposób? Boże, Tom, jesteś żaloszny.

– Chcesz to zakończyć? – Popatrzył na nią, obawiając się, że odpowie tak.

– Sama nie wiem. To wszystko nie jest w porządku. – Zacisnęła powieki.

– Już niedługo. Prawie dopiąłem interes. Po prostu nie rób niczego pochopnie. Daj mi trochę czasu.



Kobieta otworzyła nagle oczy, a Rickard zadrżał pod jej spojrzeniem. Po chwili jednak ustąpiła.

– Pocałuj mnie, a potem się ubiorę. Wyjdziemy razem. To miejsce jest okropne.

Pochylił się nad nią, przesuając językiem po jej ramieniu i liżąc łańcuszek. Ich usta złączyły się w namiętym pocałunku. Kiedy krzyknęła, Rickard zdał sobie sprawę, że przygryzł jej wargę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zawołała, odpychając go. Wyskoczyła z łóżka i założyła bieliznę. Pachniała seksem, którego woń przyłgnęła do jej ciała niczym perfumy. – Nie mam pojęcia, jak ja z tobą wytrzymuję – rzuciła z odrazą.

– Przepraszam – szepnął. Na wczorajszym balu nie mógł jej dotknąć. Doprowadzało go to do szału, któremu teraz dawał upust. Nie potrafił się jej oprzeć. – Przykro mi – dodał.

– Mnie też. Żałuję, że wdałam się w ten durny romans. – Zapięła sukienkę. – Chyba nie chcę już z tobą dłużej być.

– Nie mów tak. Ja cię kocham. Jesteśmy sobie przeznaczeni – błagał.

– Widzisz, właśnie o tym mówię. – Włożyła sweter, a potem płaszcz. – Czasem jesteś taki niedojrzały. Byłam już w takich sytuacjach. Widziałam facetów, którzy nie wytrzymywali presji. Jesteś dokładnie taki sam jak oni.

Rickard patrzył bezradnie jak zapina pasek płaszcza. Jej śmiech dotknął go do żywego. Wstał z otwartymi ustami.

– Daj spokój. Myślałeś, że to mój pierwszy raz? Dorośnij wreszcie. – Zaśmiała się i podniosła torebkę. – Jeśli zależy ci na regularnym seksie, to znajdź inne miejsce. Moja noga więcej tu nie postanie.

Trzasnęła drzwiami tak głośno, że zadzwoniły szyby w oknach. Poczuł, jak serce kurczy mu się w piersi. Najpierw świrowała Melanie, teraz i jego kochance zaczęło odbijać. Nie wspominając już o finansowym bajzlu, w który mógł go wpędzić cały ten interes z kupnem Domu św. Angeli. Dodatkowo inspektor Lottie Parker dyszała mu w kark. Zastanawiał się, co jeszcze mogło pójść nie tak.

A potem parsknął śmiechem.

Stawił czoła trudniejszym problemom i wychodził z nich zwycięsko. Tym razem nie będzie inaczej. Wiedział, jak radzić sobie w beznadziejnych sytuacjach, był więc przekonany, że i z tą sobie poradzi.

## ROZDZIAŁ 56

Kiedy Lottie wracała z córką do domu, strasznie sypał śnieg. Zimne powietrze działało na nią trzeźwiąco. Szły w milczeniu. Inspektor nie mogłaby skupić się na rozmowie, bo cały czas sprawdzała, czy nikt ich nie śledzi. Nie chciała wpadać w panikę, ale jej napastnik mógł wrócić.

W domu powiesiła kurtkę na poręczu schodów, a Chloe weszła do salonu. Sean leżał na kanapie, przerzucając kanały w telewizji. Dziewczyna opadła na fotel naprzeciwko brata i założyła ręce na piersi. W pokoju było chłodno, pomimo że termostat działał bez zarzutów.

– Wybaczcie mi – przeprosiła Lottie. – Powinnam wrócić od razu do domu. Ale miałam ciężki dzień i potrzebowałam chwili odpoczynku. – Oparła się o drzwi i patrzyła na dzieci. Czy to poczucie winy sprawiało, że się im tłumaczyła?

Chloe wstała z fotela i podskoczyła do matki.

– To ja przepraszam – odparła, mocno przytulając Lottie. – Bałam się, że jesteś w cugu. To dlatego przyszłam do baru.

Lottie było miło, że córka się o nią martwi.

– Nie musisz się mną przejmować – powiedziała. – Nie wypiałam dużo i nie zamierzam robić tego często.

– Ja nie będę cię ściskał. – Sean uśmiechnął się do nich przez ramię. – Chcę nowe PlayStation.

– Przecież to PlayStation ma dopiero dwa lata. Co z nim nie tak? – zapytała, uwalniając się z uścisku Chloe.

– Cały czas się zacina. Niall powiedział, że niedługo zapali się czerwone światło śmierci – groźnie wyszeptał. – Poza tym dostałem je, zanim umarł tata, czyli cztery lata temu.

– A Niall jest ekspertem od konsol, tak?

Lottie wiedziała, że przyjaciel jej syna był mistrzem w rozmontowywaniu różnych sprzętów i składaniu ich z powrotem. Czerwone światło śmierci? Co to miało oznaczać? W domowym budżecie na pewno nie starczy pieniędzy na nowe PlayStation.

– Tak, on *jest* ekspertem. To kiedy je dostanę? – Sean w mgnieniu oka

zmienił się z nastolatka w małego chłopca. – W banku mam trochę pieniędzy.

– Nie waż się ich tknąć. Są na funduszu powierniczym, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat. – Inspektor wpłaciła niewielkie pieniądze z ubezpieczenia po Adamie na specjalne konta dla swoich dzieci.

– No wiem. Ale mam kilkaset euro na własnym koncie – nalegał z wyrzutem w głosie.

– Jeszcze o tym pomyślę. Za kilka dni wracasz do szkoły – powiedziała z pewnego rodzaju ulgą. – Nie będzie czasu na gry.

– Ale ja nie potrafię żyć bez FIFY i GTA. A w telewizji nic nie ma.

Lottie ciężko westchnęła. Może powinna zrezygnować z telewizji satelitarnej?

– Chodź ze mną, Chloe. Zobaczymy, czy w kuchni jest coś do jedzenia poza zupkami.

Sean wrócił do przeszukiwania kanałów, zatrzymując się na którymś z odcinków *Breaking Bad*. Lottie nie była pewna, czy to odpowiedni serial dla trzynastolatka, ale była zbyt zmęczona, by się spierać.

## ROZDZIAŁ 57

Mike O'Brien po tym, jak odesłał dane z konta pożyczkowego Rickarda do centrali, wyszedł z banku w podłym nastroju. Wiedział, że nie ominą go konsekwencje. Ale jeszcze nie dzisiaj. Teraz mógł mieć tylko nadzieję, że to, co zrobił, przypadnie w cyfrowym świecie. Wracił do domu, próbując o tym nie myśleć, ale na próżno.

Jak co wieczór siedział w fotelu ze swoim rudym kotem na kolanach. Z głośników rozbrzmiewała muzyka klasyczna. Zazwyczaj to wystarczało, by się zrelaksował. Ale tym razem było inaczej.

Żuł paznokcie, głaszcząc swojego zwierzaka. Przez większość życia był sam. Odpowiadało mu to. Samotność i odosobnienie pasowały do niego jak ulał. Nie nawiązywał przyjaźni ani nie był z nikim w związku. Na siłowni miał kilku znajomych, wliczając w to detektywa Boyda. Ale nie byli to jego przyjaciele. Miał specyficzne seksualne ciągoty, z którymi nauczył się żyć i wiedział, jak je zaspokajać. Nie zawsze taktownie, ale mu się to udawało. Do ponownego rozpoczęcia treningów hurlingu pozostały dwa miesiące. Tęsknił za chłopcami z drużyny, którą prowadził. Zamyślił się, jak wspaniale będzie znów wrócić na boisko, gdy dzwonek do drzwi wyrwał go z zadumy.

Zepchnął kota na podłogę i rozejrzał się dookoła. Czyżby centrala już wysłała policję? Czy to możliwe, aby tak szybko dowiedzieli się o jego nieuczciwych praktykach? Niemożliwe. Przecież nie było nawet dwudziestej pierwszej.

Wyłączył muzykę, odsłonił kotarę i wyjrzał przez okno. Mieszkanie na odludziu miało swoje wady. Zwłaszcza że osiedle widmo, na którym stał jego dom, należało do Rickarda. Plan zakładał budowę dwudziestu pięciu domów otoczonych wysokim murem, ale wykonano tylko połowę z nich. Nie zamontowano też interkomów przy bramach wjazdowych. Niedokończone budynki opierały się o zardzewiałe rusztowania, a w ich wnętrzu huczał wiatr, który odbijał się echem w głowie O'Briena.

Odsunął się od okna, zostawiając za sobą jedynie odbicie w szybie. Opuścił zasłonę i wygładził ją.

Dzwonek do drzwi zabrzmiał ponownie.

O'Brien zaklął i poszedł otworzyć.

\*\*\*

Biskup Connor wydawał się być zaniepokojony.

– Wpuść mnie do środka, zanim ktoś nas zobaczy – mruknął, odpychając gospodarza.

– Co się stało? – zapytał, siląc się na uśmiech. Zamknął za nim drzwi, upewniając się najpierw, czy na zewnątrz nikogo nie ma.

– Nie znoszę kotów. – Connor wkroczył do salonu, zerkając na rudzielca kulącego się pod fotelem.

O'Brien zacisnął pięści. To przecież był jego dom.

– Wezmę twój płaszcz – oznajmił, podnosząc go z oparcia kanapy. Na materiale zostały kłębki kociej sierści. O'Brien strzepnął je i powiesił płaszcz w korytarzu.

Kiedy wrócił do salonu, zobaczył, że Connor trzyma w dłoni porcelanową figurkę młodego chłopca.

– Mógłbyś odnowić to wnętrze. – Biskup odstawił figurkę na półkę nad kominkiem.

– Dobrze jest, jak jest. Nie ma powodu niepotrzebnie wydawać pieniędzy.

– Oczywiście. Typowa odpowiedź bankiera.

– Napijesz się?

Nalał sporo whiskey do dwóch kryształowych szklanek i podał jedną z nich Connorowi. Stuknęli się szklankami i na stojąco sączyli alkohol.

– Inspektor Lottie Parker wciska nos w nasze sprawy. – Biskup był nerwowy.

– Ma taką pracę.

– Wie, że widziałem się z tą Sullivan. Węszy też wokół śmierci księdza Angelottiego.

– Z którą nie miałeś nic wspólnego, prawda? – Ton O'Briena brzmiał podejrzliwie.

– Nie chcę, by odkryła coś jeszcze.

– A co z twoim przyjacielem, nadinspektorem Corriganem? Nie możesz poprosić go o pomoc?

– Chyba wyczerpałem użyteczność tej znajomości.

– Może usiądziesz? – Bankier wskazał na fotel, pod którym leżał obrażony

kot.

– Dziękuję, postoję – odparł, przechodząc na środek pokoju.

Pod O'Brienem ugięły się kolana, mimo to stał nadal.

– Co mam zrobić?

– Musimy zająć ją czymś innym.

– To znaczy? Co właściwie proponujesz? – Bankiera zaczynała ogarniać bezradność. Pociągnął kolejny łyk ze szklanki, aż zapiekło go w gardle. Lottie Parker upokorzyła go wczoraj w jego biurze. Chętnie by jej odpłacił za zniewagę, ale co mógł zrobić? – A Tom Rickard, co on ma na ten temat do powiedzenia?

– To z tobą teraz rozmawiam – rzucił chłodno.

Od momentu wejścia biskupa salon O'Briena zdawał się kurczyć. Bankier pocił się tak bardzo, że szklanka zaczęła mu się wyslizgiwać z dłoni. Odstawił ją na półkę za swoimi plecami.

– Obaj wiemy, jak ważne jest, aby pewne fakty zostały tajemnicą. – Connor jednym krokiem zbliżył się do niego i strzepnął łupież z jego ramienia. – Sekrety muszą pozostać sekretami.

O'Brien zrobił krok w tył, potykając się o ekran kominkowy. Nie miał dokąd uciec, a ostry zapach whiskey przyprawiał go o mdłości. Żyła na szyi Connora groźnie pulsowała. Bankier wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Wyobrażał sobie, jak pompuje krew do serca biskupa, jeśli w ogóle je miał. Wstrzymał oddech.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wydusił w końcu.

– Mam ci to przeliterować?

– Nie... chyba nie.

Oczy Connora pociemniały. Postawił szklankę obok figurki chłopca i położył obie dłonie na ramionach bankiera.

– Dobrze. Nie mogę sobie pozwolić na żadne straty – powiedział. – Jesteś naszym finansowym zabezpieczeniem. Pilnujesz, by nasze pieniądze i... cała reszta pozostały w ukryciu. – Jego słowa odbijały się od ścian pokoju.

Potrząsnął O'Brienem, cofnął ręce i opróżnił szklankę. Odstawiając ją, odwrócił się, dając bankierowi szansę na zaczerpnięcie powietrza.

– Nie znoszę kotów – powtórzył, wychodząc z pokoju.

O'Brien nie mógł wykrztusić słowa. Smród z ust biskupa niemal go dusił. Oparł się o kominek, żeby nie upaść.

Biskup założył płaszcz.

– Nie musisz mnie odprowadzać – rzucił.

O'Brien poruszył się dopiero wtedy, kiedy rudy kot wyszedł spod fotela i otarł się o jego nogę.

\*\*\*

Osiągnięcie pozycji dyrektora generalnego wymagało dużo ciężkiej pracy, sprytu i żylki do interesów. Nie zaszkodziła też odrobina nepotyzmu. Gerry Dunne nie był głupi. Wiedział, że jego ojciec, który wcześniej piastował to stanowisko, zadbał o przyszłość syna. Teraz żałował, że poszedł w jego ślady. Praca przynosiła mu zbyt wiele problemów i decyzji do podjęcia. Nie lubił dokonywać trudnych wyborów, zwłaszcza takich, za które mógłby zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Wyszedł wcześniej z pracy, ale wrócił, żeby ponownie sprawdzić dokumenty, cicho przeklinając swojego wtrącającego się we wszystko ojca. Przerzucił kartki wniosku na zagospodarowanie posesji, na której stał Dom św. Angeli. Był wdzięczny Jamesowi Brownowi, że ten pozostawił mu go do ostatecznej aprobaty niedługo przed swoją przedwczesną śmiercią. Dunne włożył wniosek do szuflady biurka i zamknął ją na klucz. Projekt nie budził zastrzeżeń, zwłaszcza po tym, jak udało im się sfałszować plan deweloperski. Ale Tom Rickard chciał być pewny i był gotów zapłacić podwójnie. Dunne nie miał zamiaru odrzucić takiej oferty. Trwał w nadziei, że cała ta sprawa wkrótce zostanie zakończona i będzie mógł wrócić do dawnego życia. Wyjrzał przez okno, na dworze padał śnieg. Chwycił płaszcz, wyłączył światło i opuścił biuro, czując presję większą niż kiedykolwiek w życiu.

\*\*\*

Mike O'Brien stał pod prysznicem, a gorąca woda szczypała jego skórę. Czuł się bardzo mały. Demony uwierały go pod bliznami, wywołując panikę. Zmusił się, żeby o nich nie myśleć. Nie lubił wracać do przeszłości. Zostawił ją za sobą i nikt nie zdoła jej wskrzesić. Szorował się coraz mocniej, tworząc na skórze czerwone ślady. W ten sposób chciał ukoić wzbierający w nim gniew.

Musiał uwolnić się od torturujących go myśli, które doprowadzały do utraty zdrowego rozsądku. Zakręcił wodę i czekał, aż jego nagie ciało

wyschnie.

Tylko jedno mogło uspokoić jego skołatane nerwy.

Nakarmił kota, ubrał się i wyszedł z domu.

\*\*\*

Biskup Terence Connor przez jakiś czas jeździł bez celu ulicami miasta. Kiedy w końcu zaparkował, długo nie wysiadał z samochodu. Myślał o spotkaniu z O'Brienem, obawiając się, że zbyt mocno na niego naciskał. W desperacji zaczynał posuwać się za daleko. Zbyt wiele wody przelewało mu się przez palce i musiał szybko coś wymyślić, by temu zapobiec. Ta gra była mu wyjątkowo nie na rękę. Poza tym musiał dopilnować, by Tom Rickard wywiązał się z umowy. On i O'Brien siedzieli w tym razem. Trzeba sięgnąć po drastyczniejsze środki, pomyślał, ale nie był pewny, czy jego wspólnicy byli na nie gotowi. Siedział jeszcze przez dłuższą chwilę, wpatrując się w padający nad zamrażniętym jeziorem śnieg i wyobrażając sobie partyjkę golfa w słoneczny dzień, na polu postawionym w miejscu starego sierocińca. Tak, przyszłość malowała się w jasnych barwach.



## ROZDZIAŁ 58

- Odwiedził mnie nasz znajomy biskup. – O'Brien opadł na fotel.
- Czego znowu chce ten bydlak? – mruknął Rickard, proponując mu drinka, ale ten odmówił.
- Prowadzę samochód, poza tym wypilem już trochę.
- Jak chcesz. – Deweloper nalał sobie do szklanki. – Coś taki nerwowo?
- To chyba dlatego, że Connor mnie przeraża.
- Tom Rickard parsknął śmiechem.
- Daj spokój, nie bądź baba. Czego od ciebie chciał?
- Nie podoba mu się, że policja, a zwłaszcza inspektor Parker, węszy wokół naszych interesów.
- Nic na to nie poradzimy. Dwie z ofiar były związane z naszym projektem. Ale przecież nie mamy nic do ukrycia, prawda? – Rickard uważnie przyglądał się bankierowi.
- Nie... chyba nie.
- Chyba? – Deweloper zawisł nad O'Brienem. – Lepiej, żebyś był tego pewien.
- Chodzi o to... te wszystkie pożyczki. Jeśli szybko ich nie spłacisz, będę w gównie po uszy.
- To nie dotyczy naszego wspólnego znajomego.
- Pieniądze z twoich pożyczek pokrywają koszty inwestycji.
- Wiem, jak prowadzić własne interesy – warknął deweloper, okrążając białą kanapę. – A biskupowi doradziłbym, żeby pilnował swoich.
- Są jeszcze inne sprawy...
- Co takiego?
- Nie... nie mogę powiedzieć. Ale jeśli wyjdą na jaw...
- Na miłość boską, wykrztuś to wreszcie!
- Nie musisz o tym wiedzieć.
- Słuchaj no, O'Brien. Jeśli policja odkryje coś, o czym nie wiedziałem, całą umowę szlag trafi. Rozumiesz, co mówię? Szlag... ją... trafi.
- Rickard opuścił szklankę, rozlewając whiskey na oparcie kanapy.
- Żartujesz, prawda? – Oczy bankiera rozszerzyły się z niedowierzaniem.

– Nie, nie żartuję. Jeśli ty i Connor kombinujecie coś za moimi plecami, wycofuję się. – Założył ręce na szerokiej piersi. – Jak myślisz, co wtedy z wami będzie?

– Ja... ja... ja... – O'Brien wstał, wymachując rękami w powietrzu.

– Nie lubię cię, ale wiesz co? Wcale nie muszę cię lubić.

– Co?

– Znasz mnie. Nazywam rzeczy po imieniu, a ty jesteś gównem warty. Więc dopilnuj, żeby pieniądze były bezpieczne i nie pokazuj mi się na oczy. – Rickard otworzył frontowe drzwi. – Wynocha.

– Jjj... już idę.

– Powiedzieć ci coś, O'Brien?

– Niby co?

– Cały czas odstawiasz się jak szczur na otwarcie kanału, ale to nie zmienia faktu, że bez swoich diamentowych spinek i modnych garniturów byłbyś nikim.

– Nie obrażaj mnie – odparł. Czy nie usłyszał tego samego od Lottie Parker? Zwiesił smętnie głowę.

– Precz z mojego domu! – ryknął Rickard. – Bo na wyzwiskach się nie skończy.

O'Brien w milczeniu wyszedł, a Rickard nalał sobie kolejnego drinka i podszedł do okna.

– Zastraniec – burknął.

Rozsunął zasłony w ostatnim momencie, by zobaczyć tylne światła samochodu dyrektora banku oddalające się od domu. Zasłonił okno, przełknął łyk whiskey i podszedł do stolika. O'Brien sugerował, że powinien o czymś wiedzieć. Jakiego haka miał na tego gościa biskup Connor?

Co do jednego miał rację, pomyślał deweloper. Inspektor Parker wchodziła im w drogę już wystarczająco długo. Sprawy powoli zaczynały wymykać się spod kontroli.

Nalał sobie jeszcze jedną szklankę whiskey i wypił ją łąpczywie. Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Jason, a wraz z nim Katie Parker. Rickard wpatrywał się w dziewczynę, która była bardzo podobna do swojej przeklętej matki.

– Pora na ciebie, mała. – Wskazał szklanką na drzwi.

– A to dlaczego? – zapytał Jason, obejmując dziewczynę ramieniem.

– Bo jej matka to cholerna inspektor policji. Właśnie dlatego – warknął.

- To żaden powód – odparł jego syn. – Jesteś pijany.
- Nie pyskuj mi! – wrzasnął, robiąc krok w jego kierunku.
- A ty nie mieszaj się do mojego życia! – zawołał Jason, przyciągając Katie do siebie.

Rickard nie wytrzymał. Zacisnął pięść i uderzył syna w policzek. Upuścił szklankę, która rozbiła się na podłodze. Drugi cios trafił chłopaka w szczękę. Jason przewrócił się, a Katie z krzykiem wybiegła z domu.

## ROZDZIAŁ 59

Lottie włożyła do zmywarki talerze i pozamiatała podłogę w kuchni. Ubrania suszyły się na grzejnikach, a termostat został podkrecony. W domu było ciepło, a w powietrzu unosił się zapach płynu do płukania.

Ziewnęła i przeciągnęła się, myśląc o tym, co jeszcze miała do zrobienia. Przebiegła wzrokiem po wysprzątanej kuchni i wreszcie poczuła się wygodnie we własnym domu. Nie był to pałac, ale byli w nim bezpieczni. Żałowała, że spędza tak mało czasu w domu. Może powinna poprosić matkę, aby pomogła jej w pracach domowych. Chociaż... może lepiej nie, pomyślała przygnębiona. Wiedziała, że wkrótce będzie musiała pogodzić się z Rose. W końcu była jej matką. Kochała ją mimo tych wszystkich rzeczy, które zrobiła w przeszłości. Gdyby tylko Lottie wiedziała, o co chodziło. Był to kolejny punkt na liście zagadek. Wróciła pamięcią do rozmowy o Susan Sullivan, zastanawiając się, czy te morderstwa miały coś wspólnego z poszukiwaniami jej dziecka?

Drzwi wejściowe trzasnęły. Usłyszała szybkie kroki, zmierzające na piętro.

– Katie? – zawołała inspektor. Nie usłyszała odpowiedzi, poszła więc do pokoju córki. Znalazła ją płaczącą w poduszkę. Usiadła na brzegu łóżka i położyła dłoń na jej ramieniu.

– Zmokłaś do suchej nitki. Szłaś do domu pieszo? – Strzepnęła płatki śniegu z jej włosów.

– To twoja wina – chlipnęła Katie. – I twojej pracy. Jak zwykle wszystko zepsułaś.

– O czym ty mówisz?

Podejrzewała, że wcześniej, w barze, jej córka była pod wpływem narkotyków, ale teraz w jej oczach płonął gniew. Jej blade policzki były czarne od rozmazanego tuszu do rzęs. Lottie nie poznawała w niej dziecka, które wychowała. Nie wiedziała, jak sobie z nią poradzić, choć zawsze potrafiła wesprzeć matki nieposłusznym dzieciom, z którymi stykała się w czasie służby. Trzeba będzie szybko rozwiązać tę sprawę; porozmawiać z synem Rickarda i odsunąć go od córki, pomyślała. Boyd z chęcią jej w tym pomoże.

– Pani inspektor policji – rzuciła Katie. – Myślisz, że jesteś taka ważna, kiedy siedzisz sobie ze swoimi fagasami w barze? Taka władcza i wpływowa. Ale wiesz co? Jesteś nikim, jesteś zwyczajną pijaczką. Właśnie tak, pijaczką! Zniszczyłaś mi życie! – Ponownie ukryła twarz w poduszce, tłumiąc płacz.

Lottie zerwała się z łóżka. Słowa córki zraniły ją i nie potrafiła wykrztusić słowa. Wykręcała sobie ręce, a poczucie wstydu paliło ją w piersi. Liczyła plakaty na ścianach, kosmetyki na toaletce, buty ustawione w rzędzie wzdłuż łóżka. W panice i ze łzami w oczach rozglądała się po pokoju, bezskutecznie próbując znaleźć słowa pocieszenia i wsparcia dla córki.

Katie uniosła głowę.

– Tata Jasona go uderzył – załkała, znów przypominając małą dziewczynkę, którą Lottie tak dobrze знаła i kochała. – Szłam kilka kilometrów, zanim złapałam taksówkę. Padał śnieg, było ciemno. Tak bardzo się bałam.

– O Boże, dziecko. Mogłaś przecież zadzwonić. No już, ściągnij to przemoczone ubranie i połóż się spać.

– Dlaczego on to zrobił? – Usiadła, niezdarnie zdejmując kurtkę.

– Nie wiem, dlaczego ludzie robią takie rzeczy – odparła inspektor. – Naprawdę nie mam pojęcia.

Była przerażona. Myślała tylko o tym, że jej córka szła sama w nocy drogą wzdłuż jeziora. Oraz o trzech ofiarach zabójstw, znajdujących się w Trupiarni Jane Dore.

Czy naprawdę niczego nie nauczyła dzieci?

## ROZDZIAŁ 60

Kiedy Jason wybiegł z domu, Tom Rickard spojrział na żonę, która z obrzydzeniem wykrzywiła twarz.

Drżącymi dłońmi nalał sobie kolejną szklanke whiskey. Nigdy w życiu nie uderzył syna. Dlaczego zrobił to akurat teraz? Problemy w interesach wcale go nie usprawiedliwiały.

Może powinien jeszcze się napić?

Poluzował krawat i opróżnił szklanke.

\*\*\*

Jason nienawidził ojca. Kiedy rodziciel go uderzył, zaczął gardzić nim bardziej niż kimkolwiek innym na świecie.

Wybiegł z domu i ruszył alejką, z rękami w kieszeniach. Wyszedł na główną drogę, nie mając pojęcia, dokąd zmierza. Miał nadzieję, że Katie nic się nie stało. Wyrzucał sobie, że pozwolił jej wracać samej do domu po zmroku. Zatrzymał się, by do niej zadzwonić. Niestety nie mógł tego zrobić, ponieważ okazało się, że zostawił telefon w domu. Wybiegł też bez kurtki. Śnieg przemoczył jego koszulkę, która przyłgnęła do ciała jak druga skóra. Był jeszcze na haju, ale wiedział, że nie mógł nigdzie pójść bez telefonu.

Kiedy odwrócił się w kierunku domu, drogę za jego plecami rozjaśniły światła. Zdał sobie sprawę, że szedł po złej stronie jezdni. Wskoczył do przydrożnego rowu, by przepuścić samochód. Kierowca zwolnił, zatrzymał się i opuścił szybę.

– Podwieźć cię, synu? – zapytał mężczyzna, pochylając się nad miejscem dla pasażera.

Jasonowi wydawało się, że go rozpoznał. Jeden ze znajomych ojca? Facet z baru? Nie był pewien, ale nie miał zamiaru odmawiać.

– Dzięki. Problem w tym, że nie wiem, dokąd chcę jechać.

– To żaden problem. – Kierowca uśmiechnął się. – Ja też nie.

Jason otworzył drzwi i wszedł do samochodu. Mężczyzna wrzucił bieg i ruszył. Wycieraczki poruszały się jednostajnie. Nieznajomy włączył radio,

co zagłuszyło ich szum. Jechali, słuchając pieśni wykonywanych przez Andree Bocellego. Śnieg przestał padać, a zza chmur wyłonił się jasny księżyc. Jason zadrżał, kiedy niewidomy tenor wyśpiewywał przerażające melodie. I dopiero teraz zrozumiał, co to znaczy bać się własnego ojca.

## ROZDZIAŁ 61

Pani Murtagh zaparkowała auto i założyła ciężki plecak z termosem zupy i plastikowych kubków. Zachwiała się, ściskając laskę. Bez Susan to takie męczące, pomyślała.

Brakowało jej zmarłej przyjaciółki. Nie mogła pojąć, że ją zamordowano, i miała tylko nadzieję, że zabójstwo nie miało związku z ich podopiecznymi. Ci ludzie mieli już dość problemów. Za dnia ukrywali się przed wzrokiem nieczułych mieszkańców Ragmullin, wtapiając się w ponure mury miasta. Na ulice wylegali dopiero w nocy.

Temperatura spadła poniżej zera. Jej oddech unosił się w powietrzu, kiedy szła oblodzonym chodnikiem do sklepu elektrycznego Carey's. Postawiła termos na ziemi. Patrick O'Malley zazwyczaj tu koczował, śpiąc albo leżąc kaca. Rozejrzała się dookoła, ale nigdzie go nie dojrzała. Zerknęła na zegarek. Była o tej samej porze, co zawsze. Dostawy zupy o tej samej godzinie były pomysłem Susan. Chciała dać tym ludziom choć jedną rzecz, na którą mogli liczyć.

Kobieta westchnęła ciężko. Podniosła termos i ruszyła ulicą do kolejnego bezdomnego klienta. Miała nadzieję, że Patrick nie zamarznął gdzieś na śmierć.

Podejrzewała, że po prostu się upił.



## ROZDZIAŁ 62

W budynku panowała ciemność. W oknach nie było szyb.

– Co my tu robimy? – zapytał Jason, mrugając. Cholera, pomyślał, zasnąłem.

– Możesz tu spędzić noc. – Kierowca miał monotony ton głosu.

– Nic z tego. Odwieź mnie do domu. Muszę zadzwonić do dziewczyny, żeby dowiedzieć się, czy nic jej nie jest.

– Na pewno wszystko u niej w porządku. Jak ma na imię?

– Katie. Jej matka pracuje w policji.

– Naprawdę? – Mężczyzna milczał przez chwilę. – A to ciekawe.

– Powiniennem wracać do domu. – Chłopak trząsał się z zimna.

– Myślałem, że wy, młodzi, lubicie przygody. Chciałem cię oprowadzić. Dać lekcję historii.

– Późno już, a ja nienawidzę historii. – Wyprostował się, kiedy mężczyzna manewrował samochodem. Światła były przyciemnione. Jason nie mógł dokładnie przyjrzeć się jego twarzy, ale był pewien, że już go gdzieś widział.

– Wierz mi, ta lekcja ci się spodoba – nalegał nieznajomy i wyłączył silnik.

– Jest bardzo ciemno. – Jason próbował nie brzmieć jak mały chłopiec.

– Chodź ze mną – nakazał mężczyzna, wysiadając z samochodu.

Wygramolił się więc i podciągnął przemoczone jeansy. Nieznajomy włączył latarkę w telefonie i ruszył schodami do ogromnych drzwi. Jason stanął na pierwszym stopniu, nie wiedząc, co robić. Nie chciał zostać w ciemności sam, więc poszedł za nim. Mężczyzna otworzył skrzypiące drzwi. Weszli do środka, po czym zawołał:

– Kochanie, wróciłem! – Echo przerażającego śmiechu odbijało się od ścian.

Nieznajomy podszedł do schodów prowadzących na piętro. Przyłożył policzek do ich poręczy, a następnie zaczął ją głaskać.

Jason zastanawiał się, czy nie zbiec schodami i nie uciekać do domu. Jednak nie zrobił tego. Nadal bolała go szczeka od ciosu, który zadał mu ojciec. Pomyślał, że najchętniej zapaliłby skręta. Gdyby była z nim tutaj Katie, śmialiby się do rozpuku z tego liżącego schody pajaca.

– Idziemy na górę. – Mężczyzna zostawił Jasona samego w ciemności.

Nagle nad ich głowami zabrzmiał głośny krzyk.

– Co to było? – zapytał chłopak, pochylając głowę.

Kierowca zaśmiał się.

– To tylko wiatr gwizdze w korytarzach – odparł. – Albo ptaki. Sam nie wiem. No chodź, coś ci pokażę.

Jason chciał zobaczyć, co kryje się na górze, a gniew na ojca dodał mu odwagi. Ruszył więc schodami za nieznajomym.

Co mogło się stać?

## ROZDZIAŁ 63

Telefon inspektor Parker zadzwonił piętnaście minut przed północą, kiedy przeglądała swoje notatki, żałując, że zostawiła chleb od pani Murtagh w samochodzie Boyda. Na ekranie wyświetliło się nazwisko nadinspektora Corrigan. Była zbyt zmęczona, by słuchać kazania. Telefon ucichł, ale po chwili zadzwonił ponownie. Wiedziała, że Corrigan nie odpuści, odebrała więc, nie zwracając uwagi na to, kto dzwoni.

– Słucham, sir?

– Co za oficjalny ton.

Lottie uśmiechnęła się i odłożyła notatki.

– Joe. Dobrze cię słyszeć.

– Jak idzie śledztwo?

– Jak krew z nosa.

– Powinnaś odwiedzić mnie w Rzymie. Pogoda jest piękna. Zimno, ale niebo jest błękitne.

– Brzmi nieźle. Ale...

– Zastanawiasz się, dlaczego dzwonię w środku nocy?

– Zgadłeś.

Joe zaśmiał się.

– Jak się czujesz?

– Wszystko w porządku – skłamała.

Tak naprawdę nic nie było w porządku. Katie zasnęła w jej ramionach, a ona cały czas myślała o tym, co powiedziała córka. Może miała rację? Może rzeczywiście była pijaczką? Po śmierci męża bardzo dużo piła. Zazwyczaj panowała nad sobą, ale nie w pełni. Poza tym uzależniła się od leków. Świetny przykład dla nastolatków, ciężko westchnęła.

– Po głosie słyszę, że nie jest dobrze – powiedział Joe. – Przyjedź do Rzymu. Mam pewne informacje, na które musisz rzucić okiem.

– Złamałeś kod Leonarda da Vinci? – zażartowała.

– Nie do końca. Znalazłem archiwa Domu św. Angeli. Nie dam rady ci ich przesłać, zrobienie zdjęć potrwa wieki. Zresztą, gdyby mnie nakryli, wyrzuciliby mnie z Kościoła. Musisz sama na nie spojrzeć. Myślisz, że twój

szef pozwoli ci przyjechać?

– Nie ma szans – rzuciła smutno. – Chyba nadepnęłam twojemu biskupowi na odcisk.

Znowu złożył na mnie skargę.

– Przecież tylko wykonywałaś swoją pracę.

– To kumpel od golfa nadinspektora Corrigana.

– Na twoim miejscu nadepnąłbym na odcisk biskupa jeszcze mocniej. Wierz mi lub nie, ale ten człowiek nie jest aż taki święty, za jakiego chciałby uchodzić.

– Jesteś pewien, że to, co znalazłeś, pomoże mi w śledztwie?

– Nie. Ale może wypełnisz kilka luk.

– Connor nie mówi mi całej prawdy – stwierdziła.

– Po lekturze tych dokumentów wcale się nie dziwię.

– Teraz mnie zaciekawileś. Czy to ma związek z księdzem Angelottim?

– Spotkałem się z jego znajomym. Sądzi, że Angelotti wyjechał do Ragmullin, żeby obserwować poczynania Connora. Czyli odwrotnie niż dotychczas myśleliśmy.

– A teraz nie żyje – skwitowała. Informacje od Joe wzbudziły w niej ciekawość. Chciała zobaczyć na własne oczy, co znalazł. Chciała zobaczyć jego.

– Lottie, myślę, że jest też inny powód, dla którego Angelotti przyjechał do Ragmullin.

– Jaki?

– Wolałbym nie rozmawiać o tym przez telefon – szepnęła.

– Leżysz w łóżku? – zapytała.

– Zgadłaś – zaśmiał się. – Muszę kończyć. Mój współlokator wraca.

– Nie masz swojego pokoju?

– Nie zamierzam się tutaj zadowiać – powiedział. – Dostałem pokój w Irish College. Poproś nadinspektora o zgodę, dobrze?

– Jasne. Będziesz dostępny pod tym numerem? – Zerknęła na ekran telefonu.

– Jeśli nie odbiorę, wyślij mi wiadomość. Mogę odprawiać mszę.

Wyobraziła sobie jego uśmiech.

– Dobranoc, Lottie.

Pożegnała się i zakończyła połączenie.

Sprzątnęła ze stołu notatki i poszła na górę. Katie spała jak zabita.

Ucałowała ją delikatnie w czoło i wyłączyła lampkę nocną. Jej uwagę przykuło zdjęcie oprawione w muszelki. Podniosła je, aby lepiej mu się przyjrzeć. Cała piątka na wycieczce na Lanzarote. Było to cztery lata temu. Wtedy ostatni raz pojechali na wakacje. Na zdjęciu, które zrobili przed wjazdem na wulkan Timanfaya, wszyscy się uśmiechają, są szczęśliwi.

Lottie zaczęła wspominać ten czas, kiedy wszystko miało sens. Czas wypełniony miłością i poczuciem bezpieczeństwa. Teraz była rozdarta pomiędzy niepewną przyszłością a stabilną przeszłością i nie mogła przestać myśleć o Adamie. Ale rozważanie podróży do Rzymu na spotkanie z księdzem, którego znała od tygodnia, utwierdziło ją w przekonaniu, że było z nią naprawdę kiepsko.

\*\*\*

### **30 stycznia 1976**

*Sally obudziła się z wrzaskiem.*

*Spodziewała się, że przy łóżku zostanie matka. Zamiast niej był tam Patrick. Przyłożył palec do ust i syknął. Usiadła, zastanawiając się, co robił w sypialni dziewcząt. Rozejrzała się po pokoju tonącym w ciemności. Słyszeć było tylko oddechy śpiących dzieci.*

*– Chodź ze mną, muszę ci coś pokazać – powiedział cicho, ściągając z niej koc.*

*Wyślizgnęła się z łóżka, przyciskając nocną koszulę do piersi.*

*– Dokąd idziemy? – zapytała.*

*– Cii – szepnął i chwycił ją za rękę.*

*Jedynym źródłem światła na zewnątrz był zakurzony żyrandol. Pokój siostry dyżurnej znajdował się na przeciwległym końcu korytarza. Patrick poprowadził Sally na drugie piętro. Przemknęli nim i przeszli przez drzwi. Nigdy tu nie była. Podążyli w ciemności do kolejnych drzwi, prowadzących do wąskiego przejścia. Wpadający przez okna blask księżyca oświetlał ich blade twarze.*

*Kiedy doszli do sklepionego łuku, Sally zatrzymała się.*

*– Patrick, tu jest strasznie.*

*Chłopiec odwrócił się, nie puszczając jej dłoni, i wyszeptał:*

*– Proszę, musisz to zobaczyć.*

*Nabrała powietrza i dała się poprowadzić wąskimi schodami w dół.*

W pośpiechu zapomniała założyć kapcie i teraz marzły jej stopy. Patrick zatrzymał się na najniższym stopniu. Byli w kaplicy. Sally spojrzała na niego. Potrząsnął głową, ostrzegając ją, by była cicho. Szła tedy po raz pierwszy.

Na ołtarzu paliły się świece, a w powietrzu unosił się zapach wosku. Sally zobaczyła księdza Cona. Ścisnęła mocniej dłoń Patricka. Kapłan klęczał przed ołtarzem, odziany w kremowo-złoty ornat, który zakładał na błogosławieństwa. Miał wyciągnięte ręce w kierunku rzeźby Maryi Panny i Dzieciątka Jezus, znajdującej się we wnęce za ołtarzem. Sally przysunęła się do Patricka i poczuła bijące od niego ciepło.

– Co się tutaj dzieje? – zdziwiła się.

Chłopiec znowu potrząsnął głową i wzruszył ramionami. Poprowadził ją w prawo, wzdłuż ostatniego rzędu klęczników i wciągnął do kąta obok konfesjonału. Były w nim już dwie osoby. Chciała krzyknąć, ale Patrick posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Wstrzymała oddech, modląc się, by krzyk uwięził jej w gardle.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, rozpoznała chłopców siedzących z nią w kącie. James i Fitzy. Patrick popchnął ją między nich. Miała tysiąc pytań, ale milczała. Cieszyła się, że Patrick wciąż trzymał ją za rękę.

W kaplicy rozległ się niski pomruk, a po chwili ucichł. Sally przygryzła język.

Ksiądz kołysał się, śpiewając jakąś pieśń. Nagle rozsunęła się kotara koło ołtarza. Stanął w niej Brian. Był nagi, a na ciele miał krwawe sińce. Odwróciła wzrok i ścisnęła mocniej dłoń Patricka, żeby przypadkiem nie zostawił jej samej. Kapłan wstał i przywołał Briana, który powoli do niego podszedł, z rękami przyrośniętymi do boków. Pewnie jest mu zimno, pomyślała Sally.

Ksiądz popchnął chłopca na kolana i otoczył złotym ornatem. W końcu Sally nie wytrzymała i krzyknęła.

Patrick zakrył jej usta dłonią. Ksiądz Con odwrócił się. Nagie ciało Briana oświetlał blask świec, a jego oczy były czarne niczym węgiel. Ten widok przeraził Sally bardziej, niż perspektywa kary, jaka ich czekała.

– Chodu! – wrzasnął Patrick i pociągnął ją za sobą.

Zaczęła biec. Fitzy dreptał jej po piętach, a James włókł się na końcu. Pomknęli krętymi schodami. Obraz Briana utkwiał w jej pamięci. Nagie ciało. Otwarte usta. Martwe spojrzenie.

Zatrzymali się dopiero w pokoju z dwoma przejściami. Sally zaczęła szlochać. Fitzy objął ją ramieniem, a stojący obok Patricka James powtarzał w kółko:

– Kurczę blade, kurczę blade.

– Co on robił Brianowi? – wyjąkała, ale dobrze znała odpowiedź. Ksiądz Con zmuszał ją do tego wielokrotnie. Nie potrafiła zapomnieć, jak Brian stał na ołtarzu z otwartymi ustami, z których wyciekało coś białego.

– Bydlak z niego i tyle – warknął Patrick.

– Poparzę go tymi jego świecami. Spalę mu jaja – dodał Fitzy. Jego głos odbił się echem od ścian.

Sally wiedziała, że się boją. Byli tak wstrząśnięci, że prawie widziała strach, unoszący się nad nimi, ściekający wraz z ich potem. Stanęła przy drzwiach, nasłuchując, czy kapłan za nimi nie idzie. Nie czuła się dobrze w ciemności.

– Musimy coś zrobić – szepnęła.

– Taa – zadrwił Patrick. – Niby co?

– Ja mówię poważnie. Co możemy zrobić? – Załkała, przełykając łzy.

Na schodach za drzwiami usłyszeli kroki. Sally odskoczyła i spojrzała na chłopców. W ich przerażonych oczach odbijało się światło księżyca. Ze strachu nie mogli się poruszyć.

– Co teraz z nami będzie? – zapytała.

James zalał się łzami.

# **DZIEŃ SIÓDMY**

**5 stycznia 2015**



## ROZDZIAŁ 64

Była piąta trzydzieści rano. Inspektor Parker weszła do centrum operacyjnego, w którym sierżant Larry Kirby przypinał fotografie do korkowej tablicy. Nie spała dobrze i miała podły nastrój.

– Wczesnie wstałeś – powiedziała, stawiając kubek z kawą na parapecie, po czym zdjęła kurtkę.

Wczoraj zostawiła samochód na parkingu przed posterunkiem, ale spacer do pracy nie poprawił jej humoru. Podeszła do śmierzącego cygarami detektywa. Cuchnął gorzej niż skarpetki na dnie kosza z praniem. Pomyślała, że dobrze zrobiła, wstawiając wczoraj wieczorem pranie.

– W ogóle się nie kładłem – odparł. Jego przyżółkłe palce były zbyt grube i szpilka, którą próbował wbić w fotografię, spadła na podłogę.

– Co ty robisz?

– Chciałem zmienić układ danych na tablicy. Minął już tydzień od początku śledztwa.

– Nie przypominaj mi. Mam to zrobić za ciebie?

Kirby potrząsnął głową, na co inspektor wzruszyła ramionami, podniosła kubek z kawą i usiadła.

– Powiedz mi, na co patrzę – poprosiła. Może powinna przynieść kawę również dla niego. Wyglądał na bardzo śpiącego.

– Na zdjęcia głównych bohaterów naszego dramatu – wyjaśnił.

Lottie spojrzała na tablicę. Były na niej fotografie Patricka O'Malleya, Dereka Harte'a, Toma Rickarda i Gerry'ego Dunne'a. Kirby trzymał w dłoni zdjęcie biskupa, zamierzając dodać je do pozostałych.

– Nie robiłabym tego – doradziła.

Zerknął na nią. Jego pokryty siwymi włosami brzuch wystawał spod niedopiętej wyblakłej koszuli. Z kieszeni na piersi jego marynarki wystawał krawat w kropki.

– A dlaczego? Po pani wczorajszym spotkaniu można uznać go za główną atrakcję programu.

– Nadinspektor Corrigan może być innego zdania – stwierdziła. – Grają razem w golfa.

Nie oddzwoniła wczoraj do szefa, więc pewnie wkrótce czeka ją kolejne kazanie. Miała nadzieję, że pani Corrigan zrobiła mężowi dobre śniadanie i do pracy przyjdzie w dobrym humorze.

– A co mi tam. – Detektyw wbił szpilkę w szyję biskupa. Zrobił krok do tyłu, a na jego zmęczonej twarzy pojawił się zadowolony uśmiech.

– Tak naprawdę nie są jeszcze podejrzanyymi – zauważyła.

– Są wystarczająco zaangażowani w tę sprawę. – Detektyw opadł na krzesło. Przez chwilę milczeli, a za oknem wschodziło poranne słońce.

Inspektor oddała mu swoją kawę. Uniósł ją w drwiącym toaście i wypił.

– Kandydatów na zabójcę mamy wyjątkowo mało – stwierdził, przyglądając się zdjęciom.

– Moglibyśmy dodać panią Murtagh, Beę Walsh i Mike’a O’Briena, dyrektora banku – rzekła. – Z tego, co wiemy, to wszystkie osoby, które znały nasze ofiary. Jezu, mam wrażenie, że Sullivan i Brown mieszkali w klasztorze.

– Cholera, miałem gdzieś tu O’Briena. – Kirby przetrząsnął stertę papierów, znalazł zdjęcie, którego szukał, i przypiął na tablicy.

– A ksiądz Joe Burke? – Sierżant Boyd wszedł do biura. Miał świeżo umyte, lśniące włosy.

– Co z nim? – najeżyła się Lottie.

– Był pierwszy na miejscu zabójstwa Sullivan, zaraz po sprzątacze – odparł, siadając obok Kirby’ego. Miał ze sobą kubek kawy, który natychmiast znalazł się w dłoni inspektor Parker.

– W takim razie powinniśmy powiesić też zdjęcie pani Gavin – zadrwiła, nie mogąc ukryć sarkazmu.

– Bądźcie poważni, koledzy – poprosił Kirby.

Lottie wiedziała, że detektyw nie lubił, gdy ktoś robił z jego pracy cyrk. Poza tym był przemęczony.

– Kochaś Browna mógł zabić księdza Angelottiego z zazdrości – stwierdził, wskazując na zdjęcie Dereka Harte’a. – Kiedy Brown się o tym dowiedział, załatwił i jego.

– A co z Sullivan? Po co miałby ją mordować? – zapytał sierżant.

Kirby posłał mu gniewne spojrzenie.

– Nie wiem...

– Jeszcze – dokończyła za niego inspektor Parker.

– Następny w kolejce to Tom Rickard, deweloper nieruchomości –

kontynuował detektyw. – Kupił posesję św. Angeli za bezcen. Przepchnął plan zabudowy przez radę miejską pewnie dzięki łapówkom. Kiedy jego znajomy, Gerry Dunne, zatwierdzi wniosek, będzie mógł tam postawić, co tylko będzie chciał. – Wskazał na zdjęcia ofiar. – Dwoje pracowników rady mogło próbować go powstrzymać albo go szantażowali. To by wyjaśniało spore sumy przelewane na ich konta. Część pieniędzy znaleźliśmy w zamrażarce Sullivan. Brown zadzwonił do dewelopera przed wycieczką na tamten świat. Usunąwszy oboje, Rickard miał wolne pole do działania. – Dziobnął palcem zdjęcie dewelopera.

– W takim razie dlaczego zabił księdza Angelottiego? – zapytał Boyd.

– Nie mam pojęcia – odparł detektyw, drapiąc się po głowie. – Może ten wpadł na trop pieniędzy?

– Mów dalej – zachęcała Lottie, coraz bardziej zainteresowana teorią Kirby’ego.

– Skoro mowa o pieniądzach... Mike O’Brien – detektyw przez chwilę przyglądał się zdjęciu bankiera – wie, kto przelał kasę na konta ofiar. Nie wiem, czy jest pośrednikiem, ale chyba powinniśmy go obserwować. Kto wie, może on też otrzymał od Rickarda grubą kopertę. Dobrze byłoby zajrzeć do jego lodówki. – Zaśmiał się ze swojego dowcipu, po czym odkaszlnął. – Wracając do księdza Angelottiego, należy zadać pytanie, po co tutaj przyjechał. Nie wierzę w te bzdury o „odnajdywaniu siebie”. Myślę, że miał inny powód.

Lottie milczała, przypominając sobie nocną rozmowę z Joe. Popatrzyła na padający za oknem śnieg. Wycieczka do słonecznego Rzymu nie była złym pomysłem.

– Nadal uważam, że zdjęcie księdza powinno wisieć na tablicy – mruknął sierżant.

– No to je powieś – warknęła, piorunując partnera wzrokiem.

– Jest pani wyjątkowo drażliwa, pani inspektor – odparł.

– Nie zaczynajcie znowu, dobra? – wyjęczał Kirby.

– Co przegapiłam? – W drzwiach pojawiła się Maria Lynch. Jej kucyk podskakiwał przy każdym kroku, a w dłoni trzymała torebkę z rogalikami.

Troje detektywów spojrzało na nią.

– Nic – odpowiedzieli równocześnie.

Za Lynch do biura wszedł nadinspektor Corrigan, opluwając zebranych, zanim z jego ust padło choćby jedno słowo.

– Inspektor Parker!

Stał, opierając dłonie na biodrach. Miał szeroko rozstawione nogi i twarz równie czerwoną jak Kirby. Czyli nie zjadł dobrego śniadania, pomyślała Lottie.

– Tak jest – bąknęła cicho.

– Do gabinetu – nakazał, obrócił się i odmaszerował korytarzem.

Lottie oddała Boydowi kawę, układając w myślach odpowiedzi na nadchodzące pytania. Była gotowa do walki.

– Zanim pan coś powie, chciałabym...

– Nie, pani inspektor – przerwał jej, unosząc dłoń. Usiadł na skórzanym fotelu, który zasyczał pod ciężarem jego ciała. – Zanim *pani* coś powie, chciałabym, żeby darowała sobie pani cholerne wymówki. Nie chcę ich słuchać. Czy to jasne?

Skinęła głową, bojąc się odezwać.

– Mam nadzieję, że miała pani dobry powód, aby znowu nękać biskupa Connora.

– To pytanie czy stwierdzenie faktu? – No i nici z trzymania języka za zębami.

Okulary Corrigan'a zsunęły się po jego tłustym nosie. Oczy wyszły mu z orbit, a żyła na skroni zaczęła groźnie pulsować.

– Czekam na wyjaśnienia, zanim zwrócę się do komendanta głównego, by panią zawiesił.

– Zawiesił? – Cholera, niedobrze. – Za co?

– Coś wymyślę – odparł.

Lottie czuła, że brakuje jej powietrza. Wzięła głęboki wdech, po czym wypaliła:

– Chcę pojechać do Rzymu.

W tej sytuacji równie dobrze mogę iść na całość, pomyślała.

– Co... do Rzymu? – zająknął się. – Chcesz teraz obrazić samego papieża?

– Wepchnął zsuwające się okulary na swoje miejsce.

Inspektor nie odpowiedziała.

– Siadaj. Usiądź, na miłość boską, i nie stój jak jakaś cholerna żyrafa.

Usiadła.

– Odbiło ci? – Nadinspektor rozpaczliwie uniósł ręce. – Co w ciebie wstąpiło?

– Muszę pojechać do Rzymu. – Lottie znowu podjęła próbę. – Myślę, że

ksiądz Angelotti jest brakującym ogniwem w sprawie Sullivan i Browna. Tylko w Rzymie dowiem się, jaki miał z nimi związek. – Miała nadzieję, że zabrzmiała przekonująco. Nie wiedziała, co odkrył Joe. – Muszę przeglądnąć archiwa Domu św. Angeli. Prawie czterdzieści lat temu zamordowano tam dwoje dzieci. W tym samym czasie w sierocińcu przebywały dwie z ofiar. Archiwa pozwolą na ustalenie motywu zbrodni. Powinny znajdować się w archidiecezji dublińskiej, ale z jakiegoś powodu przeniesiono je do Rzymu. Dlatego właśnie muszę tam pojechać.

– Jesteś albo pijana albo szalona – stwierdził nadinspektor. – Nie czuję od ciebie alkoholu, więc raczej to drugie.

– Rozumiem, że się pan nie zgadza.

– Dobrze rozumiesz.

– Mogę dokładniej wyjaśnić, dlaczego chcę tam pojechać?

– Nie, nie możesz! – zagrzmiał. – Pozwól, że coś ci wyjaśnię, inspektor Parker. – Wstał i okrążył ją. – Prowadzimy śledztwo od tygodnia i jak dotąd gównu nam z tego przyszło. Codziennie występuję na konferencjach, pieprząc w kółko to samo, bo ty i cały twój zespół błaznów rzucacie pierdzieloną monetą, kogo tym razem oskarżyć. Ludzie w mieście srają w gacie ze strachu. Na wolności grasuje morderca, ośmieszając całą policję, a ty mi mówisz, że co? Że chcesz jechać szukać śladów w Rzymie? Też mi coś!

Przestał spacerować wokół niej i usiadł, wywołując kolejne syknięcie. Lottie zastanawiała się, czy ten dziwny dźwięk dochodził z fotela czy z tyłka Corrigana.

– Mogę to logicznie wytłumaczyć. Poza tym mam przeczucie, że... – urwała w połowie zdania, widząc, że policzki jej szefa zalewa rumieniec.

– Przestań mi tu pieprzyć o kobiecej intuicji i przeczuciach! Rozumiemy się?

– Tak jest.

– Masz przestać nękać biskupa Connora. Jeśli jeszcze raz do mnie zadzwoni, zawieszę cię, zanim odbiorę telefon. Czy to jest jasne, inspektor Parker?

– Tak, sir. – Powstrzymała się od komentarza, że Connor może zadzwonić, by umówić się na partię golfa.

– Nie zbliżaj się też do Toma Rickarda.

– Dobrze.

– Wynoś się i zacznij w końcu pracować.

Nadinspektor Corrigan zdjął okulary i przetarł oczy. Kiedy założył je z powrotem, Lottie była już przy drzwiach. Gdy wychodziła, usłyszała, jak mówi:

– Do Rzymu jej się zachciało, kurwa mać.

## ROZDZIAŁ 65

Tom Rickard jadł w pośpiechu śniadanie.

– Jason nie wrócił na noc. – Melanie była zaniepokojona.

– Wiem – odparł, wpychając do ust kiełbasę.

– Martwię się – westchnęła ciężko, dolewając mu herbaty. – Często nocuje poza domem, ale po tym, co wydarzyło się wczoraj... – Jej głos był tak samo ostry jak nóż, który trzymał w dłoni.

Spojrzał na nią, po czym wydłubał spomiędzy zębów kawałek jajka i połknął go.

– Niedługo wróci.

– Nigdy go nie biłeś, nawet kiedy był mały. Co się z tobą stało? W dodatku przy jego dziewczynie, to odrażające.

Rickard oblizał się i dokończył śniadanie. Wsypał do kubka trzy łyżeczki cukru i wypił herbatę.

– Nasz syn obraca się w złym towarzystwie. Dziś położę temu kres – zdecydował.

– Zdajesz sobie sprawę, że w mieście grasuje morderca, a on zniknął?

– Nie bądź niemądra – zganił ją. – Pewnie spędził noc ze swoją panną.

– Jak ty? Gdzie wczoraj wyszedłeś? Było bardzo późno.

– Nie zaczynaj, Melanie. – Rickard przyglądał się żonie przez zęby widelca.

– Najpierw bijesz Jasona, a potem gdzieś znikasz. – Wykrzywiła usta. – Znowu byłeś z tą blondyną? – Obwąchała go, chcąc wyczuć damskie perfumy.

Dolał sobie herbaty, zastanawiając się, na ile części rozpadłby się kubek, gdyby rzucił nim o ścianę. Albo gdyby uderzył nim żonę w głowę.

Na szczęście w korytarzu zadzwonił telefon. Rickard wstał, żeby go odebrać. Ten, kto do niego telefonował, właśnie uratował go przed popełnieniem kolejnego głupstwa.

\*\*\*

Katie Parker obudziła się z potężnym bólem głowy. Wyjęła spod poduszki telefon. Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych wiadomości.

Stuknęła palcem w numer Jasona. Dlaczego jego ojciec tak się wściekł?

Odpowiedziała jej poczta głosowa. Głos Jason oznajmił wesoło:

„Cześć. Nie mogę teraz odebrać. Nie musisz zostawiać wiadomości. Ha, ha”.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Dzień dobry, kochanie. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Zadzwoń, kiedy się obudzisz. Kocham cię.

Rozłączyła się i wysłała mu wiadomość pełną uśmiechniętych emotikonek. Opadła na poduszkę i jęknęła, kiedy wspomnienia ostatniej nocy zaczęły do niej wracać.

Nazwała matkę pijaczką.

Schowała głowę pod kołdrę i ciężko westchnęła.

\*\*\*

Tom Rickard wpatrywał się w telefon komórkowy syna, który trzymał w dłoni. Dotarło do niego, że Jason wybiegł z domu bez niego. Dzwonienie ucichło. Deweloper zobaczył imię „Katie” na wyświetlaczu, po czym mrugnęła ikona poczty głosowej.

Odsłuchał wiadomości od dziewczyny i ponownie spojrzął na telefon. Dzieciak nigdzie się bez niego nie ruszał. Wściekły, łamał sobie głowę, gdzie on się podziewa.

Wrócił do stołu, żałując, że nie uderzył go mocniej.

\*\*\*

Jason Rickard obudził się. Nad głową słyszał odgłos drapania. Próbował usiąść, ale nie mógł. Dłonie i stopy miał związane liną, która oplatała też jego pierś i szyję. Wstrząsnęły nim dreszcze. Kurwa, kurwa, kurwa. Co się stało? Próbował przypomnieć sobie ostatni wieczór, ale w głowie miał pustkę.

Poruszył głową, by rozejrzeć się dookoła. Nic. Nic poza ciemnością. Lina wbijała mu się w szyję, powodując ból. Był związany jak świąteczny indyk.

To nie było śmieszne.

Sprawa była poważna.



Leżąc na zimnej podłodze, próbował wezwać pomocy, ale z jego gardła wydobył się wyłącznie szloch.

Chciał do mamy.

Chciał do Katie.

Chciał dołożyć cholernemu ojcu.

## ROZDZIAŁ 66

Lottie i Boyd weszli do posterunkowej kuchni. Sierżant nalał wody do czajnika i postawił go na gazie.

– Za kogo ten Corrigan się uważa? – wycedziła przez zęby, uderzając pięścią w stół.

– Sądzę, że za naszego szefa – odparł i lekko się uśmiechnął. Położył na stole dwa czyste kubki i nasypał do nich kawy.

Inspektor oparła się o ścianę i założyła ręce na piersi. Była wściekła, ale próbowała się uspokoić.

– Udawałam nawet posłuszną podwładną. – Ciężko westchnęła. – Nie kupił tego. W ogóle nie chciał mnie słuchać.

– Na jego miejscu też bym cię nie słuchał – skwitował. – Spójrz na to z jego strony. Nie mamy dowodów na te morderstwa. Media podchwyciły newsa, że Sullivan pracowała w garkuchni. Piszą o tym na pierwszych stronach gazet. Corrigan odpowiada przed swoimi przełożonymi i przed opinią publiczną. A według niej nie robimy nic, by znaleźć zabójcę.

– Mówisz jak on. – Wzięła kilka głębokich oddechów. – Znalazłam trop wiodący do Rzymu, ale nie był nim zainteresowany.

Dokładnie streściła rozmowę z księdzem Joe. Gdy mówiła, Boyd nie okazywał żadnych emocji. Liczyła, że chociaż się zdenerwuje.

– Zastanów się, Lottie – nalegał. – W dzisiejszych czasach *twój* księżulek na pewno znalazłby jakiś sposób na przesłanie tych informacji.

Czajnik zagwizdał i sierżant zalał kawę.

– Nie ma mleka. – Rozłożył ręce.

– Nie chcę mleka. Chcę odpowiedzi. W końcu znalazłam jakiś trop i nie mogę go sprawdzić. – Podniosła kubek i napiła się kawy. Cisza, która zapanowała w kuchni, nieco ją uspokoiła. – Może masz rację – powiedziała w końcu.

– W jakiej sprawie?

– Może powinnam zadzwonić do Joe. Zapytać, czy na pewno nie może mi przesłać tego, co znalazł.

– Dobrze na początek – przytaknął.

Nagle zadzwonił telefon Lottie. Na wyświetlaczu widniało imię jej córki.

– To Katie. Kolejny problem do rozwiązania.

– Z tym ci nie pomogę – oznajmił i opuszczając kuchnię, otarł się o nią. Kiwnął głową na znak przeprosin i zostawił ją samą.

Udała, że tego nie zauważyła, ale kontakt fizyczny sprawił jej przyjemność.

– Katie, wszystko w porządku?

– I nie oddzwonił do tej pory – lamentowała.

– Zaczynj od początku. Myślałam o czymś innym.

– Jeezu, mamó! Chodzi o Jasona. Nie wiem, gdzie jest. Pani Rickard zadzwoniła do mnie z jego komórki. Nie wrócił na noc do domu.

Inspektor Parker zerknęła na zegar.

– Jest jeszcze wcześnie. Pewnie zatrzymał się u kolegi.

– Nie, mamó! On nigdzie się nie rusza bez telefonu. Jego mama powiedziała, że wyszedł zaraz po tym, jak wybiegłam. Po tym, jak uderzył go ojciec. Martwię się.

– Całkiem niepotrzebnie, wierz mi. Pewnie zajmuje się swoim urażonym męskim ego. Ojciec nie powinien go bić, ale to ich problem. Jason wróci do domu. To nastolatek, a nie małe dziecko.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Katie szlochała do słuchawki. – Chciałam cię przeprosić.

– Za co?

– Nazwałam cię pijaczką. Nie chciałam, przepraszam. Jesteś najlepszą matką na świecie. – Jej głos drżał od płaczu.

– Dziękuję. – Lottie poczuła ulgę. – Kochanie, muszę kończyć. Porozmawiamy później. Byłam na dywaniku u szefa. Zjedz śniadanie i zadzwoń, jak tylko Jason się do ciebie odezwie.

Odetchnęła, uśmiechając się do siebie, po czym różnym krokiem ruszyła do centrum operacyjnego. Gdy tam przyszła, zauważyła, że Kirby umieścił na tablicy zdjęcie księdza Joe Burke'a.

## ROZDZIAŁ 67

Mike O'Brien udawał, że ciężko pracuje.

Jego asystentka, Mary Kelly, pochylała się nad swoim biurkiem, kręcąc zalotnie pośladkami. Przez chwilę obserwował ją przez otwarte drzwi biura. Nie był jednak zainteresowany. Zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie. Biskup Connor nieźle go wczoraj nastraszył, Tom Rickard zirytował swoimi uwagami... Nic więc dziwnego, że O'Brien był podminowany.

Palce drżały mu na klawiaturze. Wypisywał bzdury. Powietrza. Potrzebował powietrza, zimnego i czystego. Wylogował się i nałożył płaszcz.

– Mary, wychodzę na chwilę. Zapisz wiadomość, jeśli ktoś zadzwoni. Niedługo wrócę. – Zapiął płaszcz.

– A jeśli zadzwonią z centrali w sprawie danych, które wysłał pan wczoraj? Co im powiedzieć?

– Powiedz im, żeby się wypchali – burknął i wyszedł.

\*\*\*

Biskup Connor otworzył drzwi samochodu i usiadł w obitym kremową skórą fotelu. Może nie powinien być tak ostry dla O'Briena. Sugerowanie mu, by zajął się inspektor Parker, mogło się okazać kiepskim pomysłem. Sprowokuje ją i będzie jeszcze bardziej podejrzliwa. Nie miał pojęcia, co zamierzał bankier. Biskup wiedział, że pod presją ten człowiek był zdolny do wszystkiego. To najśłabsza karta talii, ale zawsze dobrze jest mieć zaufanego człowieka w banku, pomyślał duchowny.

Co się stało, to się nie odstanie. Connor zawsze doprowadzał plany do końca. Przynajmniej miał z głowy księdza Angelottiego. Wokół roило się już wystarczająco dużo osób wciskających nos w nie swoje sprawy. Projekt zostanie zrealizowany. Nowy hotel i pole golfowe. Dożywotnie członkostwo i tyle czasu na grę, ile dusza zapagnie.

W końcu wszystko szło po jego myśli.

Włączył radio i wrzucił pierwszy bieg, nucąc w rytm muzyki.

\*\*\*

Sznur samochodów jechał powoli oblodzoną drogą. Gerry Dunne planował być wcześniej w pracy, bo chciał po raz ostatni zerknąć na dokumenty. Ale niestety stał w korku. Nagle zadzwonił telefon. Bea Walsh. Odrzucił połączenie. Ta kobieta nie dawała mu spokoju. Wczoraj próbowała go przekonać, że zaginęła teczka Domu św. Angeli. Odpowiedział jej tak grzecznie, jak potrafił, że miał wszystko pod kontrolą. Pod kontrolą? Już za kilka dni nie będzie się musiał przejmować tą sprawą. Będzie wolny i bogatszy o grubą kopertę pieniędzy. Zastanawiał się, czy jego żona chciałaby spędzić tydzień na plaży.

Stał na światłach skrzyżowania ulic Main i Gaol, kiedy zobaczył samochód Mike'a O'Briena wyjeżdżający z piskiem opon spod banku. A temu co się stało? Dunne miał już dość tej sytuacji, więc pomysł spędzenia tygodnia w słońcu stawał się z każdą chwilą atrakcyjniejszy.

## ROZDZIAŁ 68

- Co ty robisz? – zapytał Boyd, spoglądając przez ramię na Lottie.
  - Szukam biletów do Rzymu. – W myślach przeklinała skomplikowane procedury Ryanaira.
  - Odbiło ci? Kto za nie zapłaci?
  - Ja.
  - A to ciekawe. Po raz pierwszy słyszę, żeby policjantka sama opłacała podróż służbową.
- Przysunął krzesło i usiadł obok niej.
- Odwróć wzrok, to nie będziesz musiał kłamać Corriganowi – powiedziała, wpisując dane na klawiaturze.
  - Nie słyszałaś, co przed chwilą powiedziałem? To szaleństwo.
  - Tak, słyszałam. Możesz przestać to powtarzać.
  - Nie zamierzam brać w tym udziału – rzucił i wstał.
  - Nikt cię o to nie prosi.
- Kirby spojrział na nich i pokręcił głową.
- A może zrobiłbyś tak coś pożytecznego? – mruknęła.
  - Na przykład?
  - Pogadaj z kochankiem Browna, Derekiem Hartem. Spróbuj go przycisnąć. Mam wrażenie, że coś ukrywa. Przesłuchaj też tego młodego księdza z domu biskupa. Eoin, tak się chyba nazywa. Porozmawiaj z Patrickiem O'Malleyem. Znajdź księdza Cona. Mam ci to zapisać?
- Boyd kopnął w krzesło, które uderzyło o kaloryfer. Złapał płaszcz i wychodząc, trzasnął drzwiami.
- Samolot odlatywał o trzynastej trzydzieści. Spojrzała na zegar. Jeśli się pospieszy, zdąży na lotnisko. Bilet kosztował siedemdziesiąt dziewięć euro, wliczając podatek. Nie za dużo, ale i tak nie mogła sobie na niego pozwolić. Szef nie zwróci jej pieniędzy, ale nie miała czasu znowu go przekonywać. Sama musiała sobie poradzić. Kliknęła więc na ikonę rezerwacji.
- Niech to szlag – zezłościła się.
  - Co tam, szefowo? – zagadnął Kirby, zerkając na ekran jej komputera.
  - Nieważne.

Zajrzała do szuflady, mając nadzieję, że znajdzie w niej coś na uspokojenie. Niestety, nie było w niej żadnych tabletek. Kiedy ją zamykała, zauważyła leżącą na dnie starą teczkę. Dokumenty znajdujące się w teczce oczekiwały na wyjaśnienie. Czy po tych wszystkich latach odnajdzie je w starych archiwach Rzymu? Jeśli tak, to podróż będzie warta wydanych pieniędzy.

– Siedemdziesiąt dziewięć euro w jedną stronę, pięćdziesiąt pięć z powrotem – westchnęła ciężko. Kirby udawał, że nie podsłuchuje.

Na pewno jej na to nie stać. Miała do zapłacenia stos rachunków. Przygryzła wargę, rozważając w głowie wszystkie za i przeciw. Czy Joe naprawdę znalazł coś istotnego? A co, jeśli się co do niego pomyliła? Może to on zamordował Sullivan i Browna, a nawet księdza Angelottiego? Wyjęła z portfela kartę kredytową. Pomyślała, że debet był niską ceną za oddanie sprawiedliwości ofiarom.

Sięgnęła do szuflady i wyciągnęła teczkę sprawy dotyczącej zaginionego chłopca, która prześladowała ją niczym uparty duch. Położyła ją obok klawiatury i spojrzała na zdjęcie. Przesunęła palcami po piegach dziecka. Skoro Corrigan chce mnie zawiesić, przynajmniej dam mu dobry powód. Wpisała dane, sfinalizowała transakcję i wydrukowała kartę pokładową, zanim zdążyła się rozmyślić.

– Cholera. – Nerwowo przeczesła palcami włosy.

– Co znowu? – zapytał Kirby.

– Muszę znaleźć kogoś, kto zajmie się dziećmi.

Kirby potrząsnął głową i wrócił do swoich zajęć.

– To stanowczo wykracza poza moje kompetencje.

Lottie wbiła paznokcie w skórę głowy. Wiedziała, że musi odłożyć dumę na bok i zadzwonić do matki.

## ROZDZIAŁ 69

Musiał znowu zasnąć, bo kiedy otworzył oczy, zauważył blade światło. W drzwiach stał ten człowiek. Jason przymrużył oczy, ale nie mógł dostrzec jego twarzy.

– Czego ode mnie chcesz? – wydusił.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Zgarnąłem cię przypadkiem. Nigdy tego nie robiłem. To było bardzo ekscytujące.

– Jesteś zboczony.

– Nieładnie tak odnosić się do starszych. Uważaj, bo będę musiał dać ci klapsa.

– Co mi zrobiłeś? Jeśli mnie tknąłeś, to przysięgam, że mój ojciec cię zabije.

– Nie pokładałbym w nim wielkich nadziei po tym, co mi wczoraj powiedziałeś.

– Czy ty...? – Głos uwiązał chłopakowi w gardle.

– Czy ja co?

Wiedział, że mężczyzna z niego drwi.

– Czy cię dotykałem? Nie, jeszcze nie. Ale długo o tym myślałem. – Nieznajomy zaśmiał się i dotknął ręką krocza.

Jason poczuł, że mu niedobrze.

– Naszprycowałeś mnie?

– Tabletką nasenną. Nie mogłem ryzykować, że będziesz się stawiał. Bo wtedy to wszystko byłoby stratą czasu.

– Co by było stratą czasu?

– Już ci mówiłem, jeszcze nie wiem. Jesteś głodny?

– Chce mi się pić. Rozwiąż mnie, proszę.

Mężczyzna parsknął, a jego głos odbił się echem po pokoju.

– Przyniosę ci wody i coś do jedzenia. Ale jeszcze nie teraz.

– Wypuść mnie stąd. Chcę wracać do domu – błagał. Zimne powietrze zmieniło jego oddech w obłoki pary.

– Będziesz robił, co ci każę. – Mężczyzna brzmiał groźnie. Odwrócił się, po czym wyszedł i zamknął drzwi na klucz.



Jason czekał i nasłuchiwał. Martwą ciszę przerywał tylko odgłos drapania w sufit i krakanie kruków.  
Poza tym nie słyszał nic.

## ROZDZIAŁ 70

Sierżant Boyd bezskutecznie protestował. Musiał zgodzić się na zatajenie nieobecności Lottie.

– Jutro będę z powrotem – zapewniła go.

– Sam nie wiem...

– Dzięki. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. – Ścisnęła jego ramię. – Jakby Corrigan o coś pytał, to powiedz mu, że szukam śladów albo przepytuję podejrzanych.

– O czym ty w ogóle mówisz? Ślady? Podejrzani?

– A ty co, papuga? – zadrwiła. – Na pewno coś wymyślisz.

Jeśli Joe znalazł cenne dla śledztwa informacje, była bezpieczna. Corrigan i tak pewnie ją zawiesi za nieposłuszeństwo. Chociaż... przecież nie odmówił jej kategorycznie, prawda? Tak czy owak, chrzanić go.

W domu wyjęła książki z plecaka Seana i pobiegła do swojego pokoju poszukać czystych ubrań. Koszule i swetry ładowały na łóżku, tworząc krzywą wieżę.

– Co robisz? – zapytała Chloe, stając w drzwiach. Wciąż miała na sobie piżamę.

– Jadę do Rzymu. Podróż służbowa. Zadzwońłam do babci, zostanie z wami na noc.

– Co? O nie.

– Wiem, wiem – odparła Lottie. – Ale chcę być pewna, że jesteście bezpieczni.

Podniosła czerwoną bluzkę i spojrzała na córkę w poszukiwaniu aprobaty. Chloe zmarszczyła się i pokręciła głową.

– Niech no pomyślę. – Spojrzała na stertę ubrań. – Czego potrzebujesz?

– Czegoś ładnego i czystego.

Chloe wyciągnęła kremową jedwabną bluzkę z małymi guzikami, top na ramiączkach i ciemnobrązowe dżinsy.

– Co ty na to? – zapytała. – Będą pasować do Uggsów.

– Są idealne – ucieszyła się inspektor. – Mogłabyś je złożyć i schować do plecaka?

Przeszukując szafę, znalazła granatową koszulkę z długim rękawem więc ją założyła. Miała brudne dżinsy, ale musiały wystarczyć.

– Któregoś dnia spalę te wszystkie ohydne T-shirty – zagroziła Chloe.

– Są wygodne. Ale nie jestem przekonana co do tej bluzki.

– Jest prześliczna. Powinnaś się bardziej postarać, jeśli chcesz kogoś sobie znaleźć – poradziła córka, uśmiechając się lekko.

Inspektor spojrzała na nią z uniesionymi brwiami.

– A co to miało znaczyć?

– Musisz częściej wychodzić z domu, poznawać nowych ludzi. Jesteś za młoda, by pozostać singielką do końca życia. Tata na pewno chciałby, żebyś ułożyła sobie życie na nowo. – Chloe wzięła do ręki tubkę z nawilżaczem. – Znajdę jakąś saszetkę. Żebyś nie miała problemów przy odprawie.

Lottie patrzyła, jak jej córka opuszcza pokój. Nigdy nie pomyślała o tym, że jej dzieci mogłyby chcieć, by sobie kogoś znalazła. Po tym wszystkim, co przeszły, nadal nie przestawały jej zadziwiać.

Usiadła na łóżku i spojrzała na splądrowaną szafę. Na górnej półce zauważyła robiony na drutach sweter. Adam zakładał go, kiedy wychodził na ryby. Sięgnęła po niego i przytuliła do twarzy, pragnąc poczuć zapach męża. Bezskutecznie. Latem Rose, skarżąc się na mole, wyprała sweter. Ta kropla przelała czarę goryczy. Lottie wyrzuciła matkę z domu i przepłakała cały wieczór nad koszem mokrego prania. W głębi duszy wiedziała, że to nie wina Rose, ale poczuła się dotknięta.

Przycisnęła sweter do piersi, po czym odłożyła z powrotem na półkę. Wiedziała, że musi pogodzić się z matką.

Spojrzała na drzwi pokoju. Chloe przyniosła przezroczystą saszetkę, wrzuciła do niej nawilżacz i włożyła do plecaka.

– Spakowałaś bieliznę na zmianę? – zapytała.

Lottie wyjęła z szuflady biustonosz i majtki.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

– Nie mam bladego pojęcia, matko. – Chloe kręciła ze śmiechem głową.

– Babcia zaraz będzie.

– Chyba wytrzymamy z nią jedną noc.

– Jeszcze jedna sprawa. Miej oko na Katie. Wczoraj wróciła do domu przybita. Nie kłóćcie się, proszę.

Chloe przewróciła oczami.

– Ciągle tylko Katie i Katie. Nie martwisz się o mnie i Seana?

– Wiem, że mogę na ciebie liczyć. Proszę, zrobisz to dla mnie?

– Jasne. Obiecuję nie zabić jej, dopóki nie wrócisz. Uważaj na włoskie ogiery.

Lottie uściśnęła mocno córkę, ucałowała ją w czoło i poszła pożegnać pozostałe dzieci.

Najpierw zajrzała do Katie.

– Jason zadzwonił?

– Nie – odpowiedziała smutno. – Pójdę popytać znajomych, może coś wiedzą.

– Nie martw się. Na pewno wypalił za dużo zioła i teraz leży gdzieś nieprzytomny.

– Mamo!

– A kiedy wrócę porozmawiamy o ogrodnictwie.

– Co?

– Nauczę cię, jak pozbyć się zielska.

Katie uśmiechnęła się i uściśnęła matkę. Sean stanął w drzwiach, spoglądając pytająco na matkę.

– Kiedy dostanę nowe PlayStation?

\*\*\*

Inspektor wyszła z domu po jedenastej. Boyd czekał na nią, opierając się o samochód. Gdy do niego podeszła, wziął od niej plecak.

– Zawiozę cię – oznajmił i wszedł do wozu.

– Daruj sobie kazania – mruknęła, po czym zajęła miejsce pasażera.

– Po prostu nie rozumiem, co cię opętało – rzekł, cofając z podjazdu. – Ale dobrze, nic już nie powiem. Jadłaś coś?

Pokręciła głową. Sierżant wyjął ze schowka tabliczkę czekolady i podał jej.

Resztę podróży na lotnisko spędzili w milczeniu. Udało im się dotrzeć na miejsce w niecałą godzinę, po czym Boyd zatrzymał samochód tuż przed wejściem do hali odlotów. Lottie położyła plecak na kolanach.

– Jeśli się myślę, to trudno. Ale nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie sprawdziła każdego tropu.

– Wiesz, że w ten sposób przekreślasz swoją karierę, prawda? – ostrzegł.

– No to patrz – odburknęła.

Przeszła przez szklane drzwi, starając się sprawiać wrażenie kogoś, kto wie, co robi. Jednak tak naprawdę nie miała pojęcia, co ją czeka.

\*\*\*

Boyd wrócił do miasta. Wciąż był wściekły na Lottie. Usiadł przy jej biurku, zastanawiając się, jak tym razem wybrnie z tarapatów, w które się wpakowała. Wiedział, że dla sprawy jest gotowa zrobić wszystko.

Bez niej biuro wydawało się puste. Tak samo jak jego serce. Podniósł jej kubek. Bałaganiara. Kiedy wstawał, trącił łokciem teczkę, której zawsze broniła z ogromną zawziętością. Dotychczas nie zawracał sobie nią głowy, ale teraz ciekawość wzięła górę. Zajrzał do środka.

Chłopiec na zdjęciu miał szelmowski wyraz twarzy. Sierżant przejrzał dokument. Zaginiony został umieszczony w Domu św. Angeli. Matka zgłosiła jego zniknięcie, kiedy władze placówki poinformowały o jego ucieczce. Przeczytał imię i nazwisko chłopca i już wiedział, dlaczegoteczka i ten dzieciak były tak ważne dla Lottie. Dlaczego mu nie powiedziała? Nie ufała mu? Ich przyjaźń nie miała dla niej znaczenia?

Przejrzał dokładnie wszystkie dokumenty chłopca, a kiedy skończył, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle znał inspektor Lottie Parker.

## ROZDZIAŁ 71

Po wylądowaniu Lottie szybko znalazła stację kolejową i wsiadła do pociągu. Drżała z podniecenia. Wieczór był przyjemny, choć z nieba padała mżawka. Przystawiła zegarek, by nadrobić różnicę czasu.

Szła brukowaną ulicą. Nigdy nie była w Rzymie, ale w pociągu przestudiowała mapę miasta, zapamiętując drogę do hotelu. Prosto, potem w lewo. Powinna być już blisko. I rzeczywiście była.

Stała na małym placu przed Bazyliką Matki Bożej Większej. Jej piękno zapierało dech w piersi. Dzwony wybiły osiemnastą, a plac ożył, kiedy gołębie poderwały się do lotu.

Hotelowe lobby osłepiło ją marmurową podłogą i ścianami. Recepcjonista powitał ją uśmiechem.

– *Buongiorno, Signora.*

Lottie uwielbiała jego akcent. Żałowała, że nie znała włoskiego.

Mężczyzna potwierdził jej rezerwację i podał klucz.

– To jeden z naszych najlepszych pokoi, *signora*. Czwarte piętro. Może pani skorzystać z windy.

– *Grazie* – odparła. Wiedziała przynajmniej, jak powiedzieć „dziękuję”.

Jej pokój mieścił się na końcu korytarza. Był nieduży, ale czysty i przytulny. Podziękowała w duchu Joe, że tak szybko udało mu się znaleźć dla niej nocleg. Napisała do niego z lotniska w Dublinie. Nalegał, że z funduszy diecezjalnych zapłaci za pobyt. Nie protestowała.

Otworzyła okno, zalewając pokój odgłosami Wiecznego Miasta. W powietrzu unosił się zapach aromatycznej kawy z baru poniżej. Widok był niezwykły. Lottie bardzo chciała zwiedzić miasto. Może innym razem, pomyślała.

Pod prysznicem nie było ciepłej wody. Jakoś sobie z tym poradziła. Odświeżyła się i nabrała energii do działania. Założyła brązowe dzinsy i jedwabną bluzkę. Odpięła dwa guziki, odsłaniając dekolt. Tak lepiej, pomyślała, zanim znów je zapięła. Spojrzała na zegarek, wiedząc, że Joe już na nią czekał.

\*\*\*

Idąc wąskimi i krętymi uliczkami, zapuszczała się do serca starego miasta. Kierowcy trąbili na siebie, obok przemykały skutery, w oddali słyszała syreny. Deszcz przestał padać, a Lottie w końcu znalazła wyjście z brukowanego labiryntu. Zobaczyła Bazylikę św. Piotra, stojącą po drugiej stronie Tybru, lśniąca w blasku ulicznych latarni. Przeszła mostem do Watykanu. Zerknęła na SMS-a od Joe, w którym opisał jej drogę, skręciła za róg i wpadła prosto na niego.

– Witaj w Rzymie, inspektor Parker.

– Dobrze cię widzieć. – Wyciągnęła dłoń na powitanie. Nie spodziewała się, że znajdzie go tak szybko.

Joe objął ją, mocno ściskając. Poczowała, że się rumieni. Po chwili wypuścił ją z objęć, by jej się przyjrzeć.

– Schudłaś od naszego ostatniego spotkania. Zbyt dużo pracujesz. A te sińce wyglądają jeszcze gorzej niż wcześniej.

Lottie uśmiechnęła się.

– Daj spokój, widzieliśmy się dwa dni temu.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedział. – Oprowadzę cię po mieście. Będziesz zachwycona.

– Jestem tu służbowo – odparła. – Za kilka godzin muszę wracać do Irlandii.

– Powinnaś skorzystać z okazji – zachęcał. – Może chociaż krótka wycieczka po bazylice?

– No dobrze, ale naprawdę krótka. – Wiedziała, że powinna zabrać się do pracy, ale naprawdę chciała zobaczyć ten zabytek.

Kiedy znaleźli się przed bazyliką, Joe zaczął opowiadać o jej architekturze, po czym weszli do środka, mijając stanowisko ochrony.

– Rany – westchnęła z zachwytem.

Wnętrze robiło ogromne wrażenie, a w powietrzu unosił się zapach kadzideł. Uwagę Lottie przykuła *Pietà* Michała Anioła, umieszczona za szybą. Maryja trzymała w ramionach Jezusa, a jej twarz była przepelniona smutkiem. Lottie chwilę przyglądała się rzeźbie, po czym wspomniała dzień, w którym trzymała w ramionach zimne martwe ciało Adama. Z zamyślenia wyrwał ją Joe, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Wizyta w bazylice nie trwała długo. Szli w milczeniu, przechodząc

wąskimi uliczkami. Joe nie chciał odpowiadać na jej pytania w trakcie spaceru. Powiedział tylko, że zaprowadzi ją do miejsca swojego odkrycia. Zatrzymali się po dziesięciu minutach przed ponad czterometrowymi drewnianymi drzwiami. Joe nacisnął klawisz interkomu. Szorstki głos odpowiedział mu po włosku, po czym drzwi się otworzyły.

Stali w wąskim przedsionku, w którym znajdowała się fontanna otoczona rzeźbami aniołków. Długie schody prowadziły do apartamentów. Lottie przypomniało się mieszkanie Gregory'ego Pecka z filmu *Rzymskie wakacje*. I tylko czekała, aż zza rogu wychyli się Audrey Hepburn.

Dwa piętra wyżej w drzwiach pojawił się korpulentny mężczyzna. Czarna sutanna falowała, kiedy szedł ku nim schodami, szczebiocząc po włosku.

– Joseph, Joseph! – zawołał, ściskając księdza Joe.

– Księżę Umberto, to inspektor Lottie Parker – powiedział Joe. – Policjantka z Irlandii, o której ci wspominałem.

Mężczyzna musnął jej policzek swoim.

– Mów mi Umberto – zaśpiewał.

– Lottie.

Ruszyła schodami za duchownymi. Umberto trzymał Joe za rękę jak matka odbierająca dziecko ze szkoły. Na końcu schodów znajdowało się małe pomieszczenie. Inspektor wcisnęła się tam zdziwiona, że w jednym pokoju można zmieścić tyle książek. Ksiądz Umberto pospiesznie zaczął ogarniać bałagan.

– Przepraszam, nie miałem czasu posprzątać – tłumaczył się łamanym angielskim. Jego okulary wyglądały, jakby były przyklejone do nosa. Lottie usiadła przy mahoniowym biurku zapełnionym dokumentami.

Księża rozmawiali ze sobą po włosku, ale kiedy Joe zauważył pytające spojrzenie Lottie, zaproponował, aby rozmawiać po angielsku. Umberto zgodził się.

– Powiedz, proszę, dlaczego ksiądz Angelotti przyjechał do Irlandii? – poprosił go Joe.

Duchowny nie odpowiedział od razu i z jakiegoś powodu posmutniał.

– Nie żyje. To jest... jak to się mówi... okropne. – Przeżegnał się i schylił głowę. Kiedy skończył odmawiać błogosławieństwa, rozejrzał się po pokoju. – Wiem, że coś jest źle.

– Co masz na myśli? – zapytała Lottie. Zadrzała, kiedy zabrzmiał kościelny dzwon. Dźwięk był tak głośny, jakby dobiegał z pokoju obok.



– Myślę... on pojechał coś ukryć. Ukryć błędy. – Włoski kapłan usiadł na podłodze. Nigdzie indziej nie było miejsca.

– Ksiądz Umberto opiekuje się irlandzką korespondencją papieską – wyjaśnił Joe. – Chodzi o dokumenty wysłane do Ojca Świętego przez biskupów. Umberto kataloguje je i magazynuje. Ostatnimi czasy przechowuje się tu niektóre archiwa diecezji irlandzkich. Ksiądz Angelotti był jego bezpośrednim przełożonym.

Umberto z trudem zdjął okulary i rozpłakał się. Lottie wyjrzała przez małe okienko, by nie patrzeć na tę smutną scenę. Słabo radziła sobie z wrażliwymi mężczyznami.

– Przepraszam. To przykre. Angelotti, on był mój przyjaciel.

– Przynieść ci wody? – zaoferował Joe.

– Nie, już dobrze. Nie wierzę, że drogi przyjaciel nie przyjdzie do domu. Serce pęka. – Jego ramiona unosiły się i opadały wraz z kolejnymi szlochami.

Lottie spojrzała znacząco na Joe, który unikał jej wzroku.

– Możesz nam pomóc? – zapytała Umberto.

– Pomóc, *si*. – Wstał i wcisnął okulary na nos. – Nic mi nie zrobią, *si*? – Otarł łzy, próbując odzyskać spokój.

– Dlaczego ksiądz Angelotti przyjechał do Irlandii? – Inspektor miała nadzieję, że szybko dowie się czegoś istotnego. Miała coraz mniej czasu, a perspektywa zwolnienia z pracy stawała się coraz realniejsza.

– Dostał wiadomość... Dlatego pojechał.

– Masz może jej kopię? – spytała.

– Niestety. Wiadomość na jego telefonie.

– Ale przecież musisz coś wiedzieć? – nalegała.

Ksiądz Umberto westchnął ciężko, spojrzał na Joe, a potem na Lottie.

– Nie pamiętam kiedy. Latem? On dostał telefon od człowieka. Jamesa Browna. Prosił o śledztwo w sprawie Domu św. Angeli. Mówił, że sprzedana za mało pieniędzy. I jeszcze, żeby poszukać adoptowane dziecko. Rozumie? Przepraszam za mój angielski słaby.

– Rozumiem – odparła.

– Angelotti przez godziny przeszukiwał księgi. Miał więcej rozmów z Jamesem. W grudniu mówi mi, że musi jechać. Mówi, że zrobił wielki błąd, że musi porozmawiać z jakimiś ludźmi. Wszystko naprawić.

– Jaki błąd? – zdziwiła się.

– Mówi, że pomylił numery. Nic więcej. Prosił, żeby nie pytać. Więc ja nie pytałem.

– Czy inspektor Parker mogłaby rzucić okiem na te książki? – poprosił Joe. Umberto kiwnął głową.

– Mój drogi przyjaciel nie żyje. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Ja idę na *passeggiata*... na spacer. Nie muszę kłamać, jeśli nie zobaczę. – Nałożył płaszcz i wyszedł bez słowa.

Joe wstał.

– Jakies dwa lata temu biskup Connor zlecił przeniesienie tutaj wszystkich ksiąg z Domu św. Angeli. Nie mam pojęcia dlaczego. Są w piwnicy. Chodź ze mną. – Otworzył drzwi. Lottie myślała, że prowadzą do łazienki. Za nimi jednak znajdowały się kręte schody.

– Nie sądzisz, że te książki powinny zostać ukryte w bezpieczniejszym miejscu? – zdziwiła się.

– Tutaj jest bezpiecznie. W Rzymie takich biur jak to jest bardzo dużo. Niewiele osób wie o ich istnieniu – skwitował, gdy dotarli na sam dół klatki schodowej. Przed nimi ukazały się ciężkie drewniane drzwi z wielkim żelaznym kluczem w zamku.

Inspektor spojrzała na księdza Joe i weszła do środka.

## ROZDZIAŁ 72

– To miejsce jest niesamowite. – Lottie była zachwycona.

Na ścianach znajdowały się, aż po sam sufit, półki z obitymi w skórę księgami.

Joe otworzył tę leżącą na biurku.

– Dom św. Angeli – powiedział.

Inspektor odetchnęła, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymywała powietrze. Kapłan ostrożnie zaczął przewracać strony, dopóki nie dotarł do roku, którego szukał: 1975. Spojrzała na niego, po czym zagłębiła się w lekturę.

Nazwiska, daty, płeć. Same dziewczynki.

– Co to jest? – zastanawiała się, chociaż dobrze znała odpowiedź.

– Te strony dotyczą dziewczynek umieszczonych w Domu św. Angeli w 1975 roku – odparł. – Przejrzałem je, ale nigdzie nie znalazłem Susan Sullivan.

Lottie usiadła i przewróciła strony księgi.

– Tu jest – powiedziała. – Sally Stynes. Prawdziwe nazwisko Susan. – Przesunęła palcem po kartce. – To są numery referencyjne, tak? – zapytała. – Ten obok imienia Sally, AA113. Co to oznacza?

– To odnośnik do innej księgi – odparł. – Nie znalazłem jej jeszcze, ale spójrz na to – podał jej jakąś małą książkę.

– Jezu – szepnęła. – To niemożliwe. Daty urodzin. Daty zgonów. Joe, przecież to były niemowlęta i małe dzieci. – Przekartkowała książeczkę. Kolejne strony wywoływały w niej jeszcze większe przerażenie.

– Wiem – ściszył głos.

– Przyczyna śmierci: odra, kolka, nieznaną – odczytała. – Boże... Gdzie je pochowali?

– Nie mam pojęcia.

– Skatalogowali je jak przedmioty na aukcję. – Lottie nie mogła uwierzyć w to, co widzi. – To były czyjeś dzieci.

– Nie wiem, czy to ma jakiś związek z twoim śledztwem. Księgi z numerem, który znalazłaś, nie ma tutaj – oznajmił, pochylając się nad jej

ramieniem.

Inspektor próbowała opanować drżenie rąk. Przed oczami zobaczyła zdjęcia martwych dzieci znajdujących w szambach. Kilka lat temu było o tym bardzo głośno. Teraz trzymała w ręku dowód na równie potworne zbrodnie.

– W tej księdze zapisano wyłącznie nazwiska dziewczynek, które przyjęto do Domu św. Angeli – zauważyła. – Ale byli tam też chłopcy. – Przypomniała sobie teczkę, ukrytą w szufladzie swojego biurka. Miała nadzieję, że znajdzie tutaj odpowiedź na tę zagadkę.

– Są zapisani w innej księdze. Poszukam. Przez tę szkołę przewinęło się mnóstwo dzieci. – Joe wskazał na rzędy półek.

– To nie była szkoła! – krzyknęła, waląc pięścią w biurko. – Tylko więzienie.

– Teraz prawda wyszła na jaw – odparł zrezygnowanym głosem.

– Kim jest ten ksiądz Cornelius Mohan? Jego podpis jest na każdej stronie – spytała, odwracając wzrok od wypisanych przed nią tragedii. Czy to był właśnie ksiądz Con, o którym mówił O'Malley? Na pewno, pomyślała.

Joe ściągnął z półki następną księgę.

– Najpierw spójrz na to. – Otworzył wolumin na zaznaczonej wcześniej stronie. – To coś jak lokalizator – wyjaśnił. – Są tu nazwiska księży oraz parafie, w których służyli.

Wzięła do drżącej dłoni księgę, w której widniało nazwisko księdza Corneliusa Mohana. Rzędy dat poniżej potwierdzały wielokrotne przeniesienia kapłana do różnych parafii i diecezji, bez wyjaśnienia ich przyczyny.

– Większość księży służy w dwóch, góra trzech parafiach w ciągu całego życia – oznajmił Joe.

– Tutaj jest ich o wiele więcej. Dwadzieścia, może nawet trzydzieści. – Przesunęła palcem w dół kartki i zaczęła liczyć.

– Mohan pracował w czterdziestu dwóch różnych parafiach na terenie całego kraju. – Pokręciła głową.

– Niezła historia. – Odkrząknął i zaczął krążyć po pomieszczeniu.

– Myślisz, że przenosili go z powodu molestowania?

– W księgach nie ma nic na ten temat, ale kapłanów nie przenosi się tak często z parafii do parafii. Jestem pewien, że gdzieś jestteczka z oskarżeniami pod jego adresem.

– Jezu, ostatni raz przenieśli go do Ballinacloy. To niedaleko Ragmullin – przeraziła się Lottie. – Wiesz, czy ten ksiądz jeszcze żyje?

– Raczej usłyszałbym o jego śmierci, nawet jeśli był na emeryturze. – Joe opadły ramiona. – Jeśli żyje, to ma jakieś osiemdziesiąt lat.

– Spotkałeś go kiedyś?

– Nie, nie znam go. Byłem w szoku, kiedy odkryłem te informacje.

– Czy ktoś mógł ręcznie uzupełnić dane?

– Żadna z ksiąg nie jest zapisana na komputerze. Zwierzchnicy Kościoła Katolickiego dostaliby białej gorączki, gdyby ktoś się do nich dobrał.

– Mogę zrobić kopię?

– Niestety, to zabronione.

Spojrzała na księdza, dostrzegając w jego oczach to, co chciała wiedzieć. Włożyła dłoń do kieszeni, dotykając telefonu.

– Mówiłeś, że musisz iść do toalety.

– Nie wyrywaj stron, proszę – wyszeptał.

– Dziękuję.

– Ufam ci.

Nasłuchując kroków Joe, który zmierzał na górę, pomyślała, że spoczywa na nim ciężkie brzemie grzechów jego Kościoła.

Od czytania ksiąg zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła dłużej na nie patrzeć, wyjęła więc telefon i zaczęła robić zdjęcia. Chciała ich zrobić jak najwięcej, aby potem złożyć je w całość na komputerze. Tego nie uda im się ukryć, przysięgła sobie w duchu. Wypisane na stronach imiona ukazywały historię krótkiego życia tych dzieci. Lottie była przekonana, że morderstwa w jej rodzinnym mieście miały z tym jakiś związek. James Brown i Susan Sullivan byli razem w Domu św. Angeli. Księgi musiały skrywać przyczynę ich śmierci.

Kiedy skończyła, spojrzała na daty wypisane na zakurzonych grzbietach, które sięgały początku dwudziestego wieku, a kończyły się w latach osiemdziesiątych. Wyciągnęła tom z lat siedemdziesiątych. Znalazła strony z numerami referencyjnymi od A100 do AA500 i zrobiła zdjęcia. Księgi, w których zapisano nazwiska chłopców, znalazła na najniższej półce. Odszukała tę z 1975 roku, sfotografowała każdą stronę i odstawiła na miejsce. To samo zrobiła z pierwszą połową tomu z 1976. Nie miała siły teraz tego czytać i zastanawiała się, dlaczego Joe nie zrobił zdjęć sam i nie wysłał ich e-mailem.

Drzwi do lochu otworzyły się. Stał w nich ksiądz Joe, z dłońmi w kieszeniach.

– Wczoraj powiedziałaś – przypomniała sobie – że biskup Connor jest w to zamieszany. Jak dotąd nie znalazłam na to dowodu.

– Spójrz na podpis na końcu linijki – polecił.

Zajrzała do tomu z informacjami o przeniesieniach księży. Każdą linijkę wieńczył autograf: Terence Connor.

– Muszę zadzwonić do Boyda.

– Dlaczego?

– Musi znaleźć tego Corneliusa Mohana. Służył w parafii Ragmuliin i trzy lata pracował w Domu św. Angeli. – Zerknęła na wyświetlacz iPhone'a. W pokoju nie było zasięgu.

– Wyjdźmy na świeże powietrze – zdecydowała.

Bała się, że po przeczytaniu ksiąg dostanie mdłości. Minęła stojącego w drzwiach kapłana i pomknęła schodami tak szybko, jakby zmarli powstałi z zakurzonych ksiąg i deptali jej po piętach.

Na zewnątrz zaczęła chodzić w kółko. Wysokie budynki rzucały mroczne cienie.

– Czy możesz dalej przeszukiwać księgi? – poprosiła. – Znajdź, co się da. Jestem pewna, że wszystko zaczęło się w Domu św. Angeli.

– Oczywiście – przytaknął. – Ale skąd to wiesz?

– To musi być jakaś przykrywka, a błąd Angelottiego, o którym wspomniał Umberto, ma związek z numerami referencyjnymi. Sprawa zaczyna nabierać sensu – stwierdziła, po czym sprawdziła sygnał i zadzwoniła do partnera.

## ROZDZIAŁ 73

Było kilka minut do zamknięcia siłowni. Boyd skończył ćwiczyć, wyłączył bieżnię i poszedł się przebrać.

W szatni zastał Mike'a O'Briena, zakładającego na mankiety diamentowe spinki. Jego twarz była czerwona z wysiłku. Odwrócił się i założył kurtkę, kiedy do detektywa zadzwonił telefon. Sierżant zerknął na wyświetlacz i odebrał.

– Ksiądz Cornelius Mohan – powtórzył, słuchając tego, co mówiła Lottie.  
– Zaczekaj, nie mogę znaleźć długopisu.

O'Brien wyciągnął z kieszeni długopis i podał go policjantowi. Detektyw skinął głową na znak podziękowania.

– No, mów. Tak, zapisałem. Ballinacloy. Rozumiem. Zaraz tam pojedę.  
Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale inspektor rozłączyła się.

– Ja też cię kocham – mruknął, po czym oddał długopis O'Brienowi, złapał za torbę i wyszedł z siłowni.

\*\*\*

W Ballinacloy mieszkało prawie dwa tysiące obywateli. Wioska znajdowała się przy starej drodze do Athlone, piętnaście kilometrów od Ragmullin.

Ksiądz Cornelius Mohan był w ogrodzie, ładując torf do kosza. W ustach trzymał papierosa. Był sprawny jak na swoje lata, co napawało go niemałą dumą. Jednak śnieg utrudniał mu chodzenie i obawiał się, że jeśli upadnie, złamie biodro.

Kiedy odwrócił się w stronę domu, światło padające z okna przysłoniła czyjaś postać. Podniósł głowę i spojrzał w ciemne oczy. Nagle poczuł ucisk w klatce piersiowej i zabrakło mu tchu. Kosz z torfem spadł na ziemię, a wraz z nim papieros, który przez chwilę tlił się na śniegu.

– Pamiętasz mnie? – Głos poniósł się echem.

Starzec spojrzał na twarz przybysza, którą częściowo skrywał kaptur. Był starszy, ale oczy miał tak samo puste jak przed laty. Kapłan wiedział, że ten

dzień kiedyś nadejdzie.

Kopnął kosz, odwrócił się, próbując uciec, ale jego stare nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Odejdź! – zawył. – Zostaw mnie w spokoju.

– Czyli jednak mnie pamiętasz.

Mężczyzna chwycił księdza za ramię. Ten wyrwał mu się i pokuśtykał za róg domu, gdzie potknął się o stalową kratkę odpływową. Upadł na plecy, a napastnik przygniół go do ziemi.

– Czego ode mnie chcesz? – wydyszał starzec.

– Okradłeś mnie – warknął.

– W życiu nic nie ukradłem.

– Odebrałeś mi normalne życie.

– Już wtedy nie było nic warte – wycedził kapłan. – Powinieneś mi dziękować, że ocaliłem cię od złego.

– Ależ to ty zasiałeś we mnie zło, szalony draniu. Czekałem na ten moment całe życie. Wreszcie mogę cię posłać do diabła.

– Idź w cholerę!

Ksiądz Cornelius nie mógł złapać oddechu. Napastnik owinał sznur wokół jego szyi i przez chwilę kapłanowi się zdawało, że słyszy kościelne dzwony. Potem ogarnęła go ciemność.

\*\*\*

Boyd zadzwonił do drzwi. W środku paliło się światło, ale nikt nie otworzył.

– Chodź – powiedział do Lynch, mając zamiar obejść dom.

Podwórce oświetlała mała żarówka, a blask księżycy padał na drzewa bladą poświatą. Trudno było cokolwiek zobaczyć.

Detektyw Lynch dreptała za nim. Cieszył się, że po nią zadzwonił, bo w takim miejscu dobrze jest mieć towarzystwo.

Szli w milczeniu, kiedy nagle ujrzał leżące na ziemi ciało. Wyciągnął rękę, nakazując Lynch, by się zatrzymała.

– Co jest? – zapytała, spoglądając na niego.

Detektyw przyłożył palec do ust i nasłuchiwał.

– Zaczekaj tutaj – szepnął i ruszył w stronę ciała.

Kucnął i przyłożył staruszkowi dwa place do szyi. Wiedział, że to bez



sensu. Jego twarz była sina, język wyszedł na wierzch, a puste oczy patrzyły wprost na sierżanta. Boyd wstał i rozejrzał się dookoła.

– Lynch?

– Co znowu?

– W krzakach. Chyba coś widziałem.

– Tam nic nie ma.

– Jest! Nie widzisz? – Pobiegnął przez ciemny ogród.

– Czeka! – zawołała detektyw. – Gdzie idziesz?

Przeskoczył żywopłot i włączył latarkę w telefonie.

– Boyd, ty kretynie! – wrzasnęła Lynch. – Zaczeka!

Biegł coraz szybciej, ślizgając się po lodzie, który pokrył wąską ścieżkę. Gałęzie chłostały go w twarz, a cierniowy krzew rozciął mu nos. Biegł dalej, z tętniącą w żyłach adrenaliną. Był pewien, że to zabójca.

Oblodzony chodnik nie ułatwiał biegu. Sierżant szybko i płytko oddychał, a uciekinier przewrócił śmietnik i pomknął alejką. Na jej końcu znajdował się mur. Boyd przeskoczył go, kontynuując pościg.

Przed nim rozciągało się pole. Przystanął, by złapać oddech. W którą stronę teraz? Zaklął.

Nie wiedział, że ten człowiek był tuż za nim, dopóki nie poczuł sznura zaciskającego się wokół jego szyi. Skarcił się w duchu, że napastnik go zaskoczył. Lottie nie da mi żyć, jak się dowie, myślał, po czym uderzył go łokciem, ale ten nie zwolnił uścisku.

Kopnął do tyłu i trafił go w nogę. Jednak sznur zacisnął się mocniej. Zimne powietrze przeszywało Boyda na wskroś i ciemniało mu przed oczami. Był bezsilny i spanikowany. Chwilę walczył z zaciskającym się wokół szyi sznurem, ale nogi zaczynały odmawiać mu posłuszeństwa.

Nic nie widział, ale czuł, że mężczyzna się nad nim pochyła. Napastnik rozciął nożem jego ubranie, po czym wbił go w Boyda. Sierżant poczuł ostry ból w boku i zaczął jęczeć. Gdzieś w oddali dzwonił jego telefon. Lottie będzie wściekła, kiedy się dowie, że dał się zabić. Zakrztusił się, patrząc na księżyc, i nagle niczym żałobny welon oplotła go ciemność.

## ROZDZIAŁ 74

Joe położył dłoń na ramieniu Lottie. Szli krętymi uliczkami Watykanu do Borgio Pio.

– Mam nadzieję, że te księgi ci pomogą – powiedział. – Jak idzie śledztwo?

– Nie pytaj.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

– Nie mogę o tym rozmawiać, w każdym razie nie z tobą. Nadal jesteś podejrzanym. – Jej głos brzmiał niepewnie.

Ksiądz zaśmiał się.

– To się nazywa wdzięczność. Mówiłem przecież, że mogą mnie za to wyrzucić z Kościoła.

– Przepraszam. I dziękuję.

– Nie ma za co.

– Nadal nie mam pojęcia, dlaczego ksiądz Angelotti przyjechał do Ragmullin – narzekała. – To mało prawdopodobne, żeby jedynym powodem do wyjazdu była wiadomość od Jamesa Browna.

– Nie wiem – odparł, przysuwając się do niej bliżej.

– Czego nie wiesz?

– Po co przyjechał do Ragmullin.

Joe spojrzął na wznoszącą się nad Tybrem Bazylikę św. Piotra i podrapał się po głowie.

– Lottie, mam w głowie dziwne myśli. I wcale mi się to nie podoba.

– Mów dalej – poprosiła.

– Kościołowi od wieków towarzyszyły skandale. W ostatnich dziesięcioleciach było głośno o przekrętach finansowych albo o molestowaniu dzieci. – Zamknął na chwilę oczy. – Może Angelotti miał za zadanie ukryć coś, co miało pozostać tajemnicą. Spróbuję się dowiedzieć, kto go wysłał, ale mógł też działać z własnej inicjatywy.

– Przypadków wykorzystywania było mnóstwo. Dzieci z Tuam, pralnie sióstr magdalenek. Dlaczego zainteresował się tym dopiero teraz? – Inspektor Parker podniosła rękę, po czym je opuściła. Joe złapał ją i obrócił twarzą do

siebie.

– Mam nadzieję, że w kopiach ksiąg coś znajdziesz.

– Ta sprawa jest jak węzeł autostradowy, zmierza wszędzie i jednocześnie donikąd. Żadnych śladów, nic. Ale przeniesienie tych archiwów do Rzymu jest podejrzane.

– No wiesz, Kościół robi to, na czym zna się najlepiej. Ukrywa prawdę. Porozmawiam rano z Umberto i przejrzę pozostałe księgi.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo doceniam to, co robisz.

– Mimo to nadal jestem podejrzany, prawda? – zapytał.

Nie odpowiedziała. Szli, milcząc, i dopiero przed wejściem do swojego hotelu zapytała:

– Dokąd teraz pójdziesz?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Nie wszedłbyś na kawę? – Nie chciała być sama po tym, co zobaczyła w księgach. Poza tym uznała, że mogłaby się z Joe zaprzyjaźnić.

– Z chęcią – odparł i wszedł za nią do ciepłego holu.

– Cholera – syknęła.

– Co się stało?

– Bar jest już zamknięty.

– Następnym razem zarezerwuję ci pokój w bardziej luksusowym hotelu – zaśmiał się.

Lottie myślała przez chwilę, po czym zaproponowała:

– Może nie wypada mi o to pytać, ale w pokoju mam czajnik i filiżanki. Co ty na to?

– Inspektor Parker, to, co proponujesz, jest bardzo niestosowne. – Jego twarz rozpromienił uśmiech. – Tym bardziej się zgadzam.

W windzie odsunęła się od niego, przycisnęła torebkę do piersi i westchnęła. Co ja wyprawiam?, pomyślała. Lubiła Joe, ale nie była pewna, czy był dla niej jak brat, czy może łączyło ich coś więcej. Gdy weszli do pokoju, zasłony kołysały się na wietrze, a przez otwarte okno wpadał zapach deszczu. Joe stał tuż za nią i nagle w pokoju zrobiło się bardzo ciasno.

– Przepraszam. – Minęła księdza i wzięła do ręki czajnik.

Napełniła go w łazience. Kiedy wróciła, Joe siedział na krześle przy stoliku. Jego płaszcz wisiał na wezglówiu łóżka. Odkąd wyszli z lobby, nie odezwał się słowem. Włączyła elektryczny czajnik i nasypała kawę z saszetek do filiżanek.

Była zmęczona. Przechyliła głowę, próbując rozmasować sobie kark. Joe wstał z krzesła i znalazł się za jej plecami.

– Ciii – szepnął, masując miejsce, gdzie przed chwilą były jej palce.

Jej ciało przebiegły dreszcze. Boże jedyny, o czym ja myślę, skarciła się w duchu. Przecież on jest księdzem. Nie robi nic złego, tylko masuje mi szyję.

Joe pachniał mydłem. Lottie stała w bezruchu, sparaliżowana jego dotykiem, zastanawiając się, czy mógłby rozgrzeszyć jej przeszłość i pomóc zmierzyć się z przyszłością.

– Wystarczy, Joe. – Zaśmiała się nerwowo i odsunęła od niego, po czym zaparzyła kawę. – Napijmy się, dobrze?

– Oczywiście – przytaknął i usiadł na krześle.

– Przepraszam, jeśli wysyłałam ci sprzeczne sygnały. Lubię cię, ale tylko jako przyjaciela. Moje życie i tak jest już bardzo skomplikowane.

Ksiądz roześmiał się, a wiszące w powietrzu napięcie wyleciało przez otwarte okno.

– Mój Boże, wybacz, jeśli zrobiłem coś niewłaściwie. Chciałem tylko rozmasować ci szyję. Miałaś ciężki dzień.

Rumieniec rozlał się na jej twarzy. Pomyślała, że zrobiła z siebie idiotkę, po czym odstawiła filiżankę i odwróciła wzrok.

Joe wstał i położył dłonie na jej ramionach.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Lottie Parker. Wiedz, że masz we mnie przyjaciela. Zrobię wszystko, by pomóc ci rozwiązać tę sprawę. – Wyciągnął do niej dłoń. – Zgoda?

– Tak. – Westchnęła, potrząsając jego dłonią.

Joe uśmiechnął się, założył płaszcz i wyszedł. Kiedy zamknął za sobą drzwi, oparła się o nie, nasłuchując jego oddalających się kroków i czekając, aż jej oddech wróci do normy. W oddali biły dzwony bazyliki.

Kiedy w końcu poczuła, że może się poruszyć, zadzwoniła do Boyda.

Chciała usłyszeć jego głos, ale niestety nie odebrał telefonu.

Spojrzała więc przez okno na panoramę miasta i zaczęła liczyć wieże. Liczyła odgłosy klaksonów i syren. Tą ją odprężyło. Usiadła na krześle i włączyła laptopa. Jeszcze tej nocy musiała wrócić do domu. Zarezerwowała bilet na samolot, który odlatywał za dwie godziny. Szybko spakowała plecak i opuściła hotel.

W drodze na lotnisko ponownie zadzwoniła do partnera.

Nie odebrał telefonu.

## ROZDZIAŁ 75

Jason usłyszał dźwięk dzwonka. Otworzył oczy i obrócił się, wyteżając wzrok. Małe światełko mrugało nad jego głową.

– Czas odprawić mszę, ministrancie.

Usłyszał głos, odmawiający jakąś modlitwę. Światełko przygasło i zamigotało.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Wezmę to, co mi zaoferujesz – syknął mężczyzna.

– Mój ojciec...

– To po części jego wina, więc śmiało możesz mieć do niego pretensje.

– Co... o czym ty mówisz?

– Nie musisz się tym przejmować.

Jason zacisnął powieki, by powstrzymać łzy. Nieznajomy zdjął z niego kajdany i postawił na nogi, po czym pogłaskał go po plecach, głośno przy tym wzdychając. Następnie poprowadził go korytarzem, a potem schodami w dół.

Znaleźli się w małej kapliczce. Jason stał jak zahipnotyzowany, wpatrzony w odbywającą się przed nim scenę.

Mężczyzna ubrany był w białą sutannę. Uderzał w dzwonek w dziwnym rytmie, wyśpiewując szaloną melodię. Jego głos unosił się i opadał równo z trzepoczącym się ogniem świec.

– Zabiłem dziś człowieka – wyrecytował śpiewnym tonem.

Jasonowi zrobiło się zimno. Był naszprycowany narkotykami i słuchając tego szalonego śpiewu, czuł mdłości.

– Chyba nawet dwóch. – Po kamiennym westybulu poniósł się echem histeryczny chichot.

Krążący pod sufitem kruk wyleciał przez witraż, zostawiając za sobą pióro. Oczy chłopaka zasnuły się mgłą, a kiedy upadł na marmurową posadzkę, czarne krucze pióro opadło obok niego.

## ROZDZIAŁ 76

Lottie oparła głowę o okno samolotu. Zamknęła oczy, rozmyślając o ostatnich kilku godzinach spędzonych w Rzymie. Jej umysł zaprzętały liczby zapisane w starych księgach. Susan Sullivan była jedną z nich. Jej dziecko również.

Nagle wyprostowała się gwałtownie, budząc pasażerkę z fotela obok.

– Przepraszam – szepnęła. – Przed nami jeszcze godzina lotu.

Kobieta pochyliła głowę i ponownie zasnęła.

Lottie wpatrywała się w oparcie fotela przed sobą. Coś było w zasięgu jej ręki. Jakaś wskazówka. Wiedziała o niej wcześniej, ale jeszcze do niej to nie dotarło. Była pewna, że już niedługo odkryje coś ważnego. Miała zdjęcia dowodów. Będzie musiała je tylko przejrzeć i na pewno kawałki układanki złożą się w całość.

Zazdrościła cicho chrapiącej kobiecie obok. Sama nie mogła zasnąć. Musiała z kimś porozmawiać. Musiała zobaczyć się z Boydem. Musiała wracać do pracy. Musiała się przespać.

Podczas gdy samolot wzlatywał ponad ciemne chmury, jej serce spadało w otchłań, dręczone grzechami, które popełniła.

Czy w ogóle będzie mogła kiedyś zasnąć?

## ROZDZIAŁ 77

Ten chłopiec jest niedoskonały, pomyślał mężczyzna. Zresztą ja jestem taki sam. Słaby i niedoskonały.

Obaj znajdowali się w Domu św. Angeli, w którym mężczyzna spędził pełne okrucieństwa i rozpacz dzieciństwo. Dorastał niczym dziki bluszcz pokrywający mury tego domu. Jego dusza rozpadała się z każdym dniem, a w jego świecie zapanowała ciemność. Przez wiele lat skrywał w sobie zło, teraz jednak uległ pokusie. Duchy tego domu ponownie wskrzesiły w nim diabła, zdjęły łańcuchy z drzemiącego w nim mroku, prowadząc ku ostatniej podróży w jego życiu.

Do miejsca, w którym to wszystko się zaczęło.

Kopnął chłopca leżącego na podłodze, a kiedy ten wydał jęk bólu, postawił go na nogi i zawlókł do pokoju. Pchnął go na drewnianą podłogę, zatrasnął drzwi i zamknął je na klucz. Oparł się o nie, ciężko wzdychając.

Utrzymał demony na wodzy i oszczędził chłopca.

Ale na jak długo?

\*\*\*

### **Trzydziesty stycznia 1976**

*Dzieci drżały ze strachu, tuląc się do siebie. W drzwiach stanął Brian, którego nagie ciało było okryte białym szlafrokiem. Włączył światło. Sally zasłoniła oczy przed nagłą jasnością.*

*– Wszystko w porządku? – zapytała.*

*– Nie – burknął – nic nie jest w porządku. Z tobą też nie będzie. Masz zejść ze mną do kaplicy, ksiądz Con kazał.*

*– Odbiło ci?! – wykrzyknął Patrick, zasłaniając ją swoim ciałem.*

*– Wszyscy macie iść ze mną – powiedział Brian głosem równie martwym, jak jego oczy.*

*Sally wydawało się, że wyglądał na o wiele starszego. Położyła dłoń na jego ramieniu i poczuła kości. Odskokzył, jakby go uszczypnęła. Chwycił ją za rękę i pociągnął do drzwi. Wrzasnęła, co wyrwało Fitzy'ego*



z oszołomienia. Złapał ją i wciągnął z powrotem. Sally upadła u stóp chłopców i skuliła się. Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

– Proszę cię, Brian – błagała. – Wracajmy do łóżka i zapomnijmy o tym wszystkim.

– Lepiej już chodźcie. On czeka – odparł, a jego oczy były ciemne jak nocne niebo.

Nagle w drzwiach pojawił się ksiądz Con, postawił Sally na nogi i pociągnął na dół. Krzyczała, słysząc za sobą biegnących za nimi chłopców.

Przy ołtarzu kapłan zmierzył ją wściekłym wzrokiem, a ona popatrzyła na niego z ogromną nienawiścią. Znała każdą zmarszczkę na jego twarzy, każdy włos w brwiach i na policzkach, każdy ząb w ustach. Nienawidziła go całego.

– Niegrzeczna dziewczyna – warknął, przygryzając dolną wargę i wbijając palce w jej ramię.

– Jeśli taka jestem, to tylko przez ciebie – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Jej odwaga była tylko pozorem. Czowała obecność stojących za nią chłopców-wojowników. Niestety nie mieli żadnej broni.

Jeden z nich zawołał:

– Brawo, Sally!

Pewnie to Patrick, pomyślała.

Ksiądz chwycił Fitzego, który stał najbliżej niego. Jego rude włosy lśniły w świetle świec, a w oczach płonął ogień.

– Wcale się ciebie nie boję! – zawołał.

Sally wołała, żeby milczał. Był zbyt młody na taką odwagę. Albo może po prostu był głupi?

Ksiądz uśmiechnął się złowieszczo, spoglądając na niego jak na złowioną rybę.

Sally panicznie się bała. Wiedziała, że muszą uciekać i sprowadzić pomoc. Tylko kogo? Na pewno nie siostry, które również bały się księdza Cona, on był ich szefem. Nie miała pojęcia, co robić. Spojrzała na Patricka, który wyglądał równie bezradnie jak ona. Nagle w cieniu za ołtarzem zauważyła młodego księdza. Stał w ciemnej nawie, przeczesując palcami gęste ciemne włosy, jakby też nie wiedział, co robić. Jego milcząca i bezczynna obecność była nie mniej przerażająca od szaleńca, który trzymał Fitzego.

Chłopiec zaczął krzyczeć, kiedy kapłan wykręcał mu do tyłu ręce.

– Nauczę cię szacunku do starszych. Odkąd tu przyszedłeś, sprawiasz same kłopoty i będziesz je sprawiał, dopóki nie opuścisz tego miejsca – wycharczał

ksiądz.

– Nic mi nie zrobisz – zawołał odważnie Fitzy. Wydawał się przy tym bardzo mały.

Kapłan trzymał go jedną ręką, a drugą zdjął z ołtarza świecę, przykładając ją do twarzy dziecka. Rude włosy chłopca zaczęły płonąć, a zapach spalenizny sprawił, że Sally poczuła mdłości.

– Przeprós natychmiast. Jesteś niczym więcej, jak tylko bękartem zrodzonym z dziwki.

Chłopiec wił się i skręcał, nie mogąc się uwolnić.

Sally patrzyła na jego bezradne ciało. Chciała coś zrobić. Cokolwiek, ale byli bezsilni. Stali w bezruchu jak te postacie na ścianach. Dlaczego ten drugi ksiądz nie reaguje? Zerknęła w jego stronę. Nadal się nie poruszył.

Ksiądz Con upuścił świecę na podłogę, kopnął swoje ubranie i podniósł długi skórzany pas.

– Brianie, weź sznurek od szlafroka i zwiąż tego małego mordercę.

Twarz chłopca była mokra od potu. Sally patrzyła na Patricka i Jamesa. O co chodzi? Obaj potrząsnęli głowami.

Fitzy wierzgał i gryzł, ale duchowny nie zwalniał uścisku. Brian wykonał polecenie, po czym zaciągnęli Fitzy'ego przed ołtarz.

– To ty zabiłeś to dziecko, które znalezione pod jabłonią, prawda? – syknął ksiądz. – Nie zrobiłem tego, ohydny kłamco! – ryknął chłopiec, plując mu w twarz.

Kapłan zacisnął dłoń na pasie i wymierzył mu cios w twarz, rozcinając policzek. Z rany popłynęła krew. Uderzył go znowu, potem jeszcze raz. Sally ukryła twarz w dłoniach i zacisnęła powieki. Po chwili wyjrzała przez palce. Widok był nie do zniesienia. Wrzasnęła i zbierając w sobie całą odwagę, rzuciła się na księdza Cona. Obrócił się, uderzając ją pasem. Patrick natychmiast ją chwycił i odciągnął. Chciała walczyć, ale wiedziała, że to beznadziejne. Złapała Jamesa za rękę i pociągnęła w kierunku schodów. Cała trójka zaczęła biec, wzywając pomocy.

Sally obejrzała się przez ramię. Zobaczyła Briana, trzymającego biednego rudzielca za ramiona, podczas gdy szalenciec lał go raz po raz. Wiedziała, że do końca życia nie zapomni widoku skózanego pasa, odrywającego mięso z ciała chłopca, oraz jego przerażającego krzyku. Wiedziała, że już nigdy nie zapomni księdza z czarnymi włosami, który stał beczynnym w kącie.

Kiedy biegli, nagle usłyszała za sobą głos:

– Ani kroku dalej!

Obrócili się, stając przed młodym kapłanem, który w świetle padającym z krypty poniżej wyglądał, jakby otaczał go piekielny ogień.

Sally wtuliła się w chłopców tak mocno, że rzucali jeden cień.

– Proszę o ciszę. Chyba nie chcecie wszystkich obudzić? – Usta kapłana wykrzywił złośliwy uśmiech. Jego oczy były czarniejsze niż węgiel, a głos ostrzejszy niż brzytwa.

– To, co tam zobaczyliście, was nie dotyczy. Zajmę się wszystkim. Nie możecie o tym nikomu powiedzieć. Nikomu! Czy to jasne? – szepnął groźnie.

Dzieci kiwnęły głowami jak drewniane kukielki poruszające się na niewidzialnych sznurkach.

– Jeśli się dowiem, że z kimś rozmawialiście o tym, co się stało z tamtym chłopakiem, będzie z wami krucho. To ostatnie ostrzeżenie. A teraz do łóżek – zasyczał i odszedł w stronę kaplicy. Sally i chłopcy spojrzeli na siebie oczami pełnymi łez.

– A co z Fitzym? – szepnęła.

– Słyszałaś? Musimy o nim zapomnieć – odparł Patrick.

– Biedaczysko – wykrztusił James i osunął się na podłogę. Objął ramionami kolana i pochylił głowę. Płakał, drżąc na całym ciele.

Sally usiadła obok niego, po chwili dołączył do nich Patrick.

Zapłakali nad losem Fitzego.

# **DZIEŃ ÓSMY**

**6 stycznia 2015**

## ROZDZIAŁ 78

O piątej rano Lottie stała przed drzwiami hali przylotów na lotnisku w Dublinie. Włączyła telefon.

Miała pięć nieodebranych połączeń od Kirby'ego. Boyd nadal milczał. Zadzwoiła najpierw do niego, ale nie odebrał. Wybrała więc numer Kirby'ego.

– Jezus Maria, szefowo, próbuję się z panią skontaktować od kilku godzin – sapnął.

– Co się stało? Moje dzieci! Co z nimi?

– Nic im nie jest.

– Bogu dzięki. Boyd nie odbiera telefonu. Potrzebuję podwózki do domu.

– Jest w szpitalu.

– Że co!? Co się stało? Nic mu nie jest? Błagam cię, powiedz, że nic mu nie jest.

– Jest ciężko ranny. Ma ranę kłutą i ślady duszenia na szyi. Operują go. Lepiej niech pani szybko wraca.

– Co się tam działo, do jasnej cholery?

– Ten ksiądz, do którego wysłała pani Boyda, nie żyje. Został zamordowany. Boyd ścigał zabójcę, ale sam prawie zginął.

– O Boże. Wyjdzie z tego?

– Nie mam pojęcia.

– Będę za godzinę.

– Szefowo?

– Co?

– Nadinspektor Corrigan pani szuka.

Lottie rozłączyła się, podbiegła do postoju taksówek i wsiadła do pierwszej z brzegu. Opadła na tylne siedzenie, a już po chwili obserwowała szary świt wschodzący nad horyzontem. Myślała tylko o jednej osobie.

O Boydzie.

\*\*\*

Lekarze i pielęgniarki przemierzali szpitalny korytarz tam i z powrotem. Kiedy znikali w drzwiach OIOM-u, na korytarzu powstawał przeciąg. Lottie chciała tam wejść, aby dowiedzieć się, w jak poważnym stanie jest jej partner, ale rozsądek zwyciężył. Przed drzwiami stały cztery krzesła. Dwa z nich zajmowali drzemiąca detektyw Lynch i siedzący obok niej Larry Kirby.

– Kiedy skończyli operować? – zapytała inspektor.

– Pół godziny temu – odparł, podnosząc się. – Nic więcej nie wiem.

Lottie zaczęła krążyć przed wejściem na oddział, ale po chwili usiadła.

– Chodźmy na kawę – zaproponowała Lynch, przeciągając się.

– Nie – warknęła. – Jak to się stało?

Lynch streściła jej wydarzenia poprzedniej nocy.

– A ksiądz Cornelius... zginął tak samo jak poprzednie ofiary, prawda?

– Tak. Uduszony. Chłopcy sprawdzają, czy był w jakiś sposób powiązany z pozostałymi ofiarami – odparła detektyw.

– W Rzymie wpadłam na trop. Dlatego zadzwoniłam do Boyda, żeby porozmawiał z tym księdzem.

– Jaki trop? – zdziwiła się Lynch.

– Podczas przesłuchania Patrick O'Malley wspomniał o księdzu Conie. Dowiedziałam się, że to Cornelius Mohan. Pracował w Domu św. Angeli, kiedy przebywali tam Sullivan i Brown. Potem przenosili go do różnych parafii i ośrodków. Był gwałcicielem dzieci.

– Nadal nie rozumiem, jaki to ma związek z naszymi morderstwami – powiedział Kirby. – Ksiądz-pedofil nie bardzo mi tu pasuje.

– Pasuje. Musimy się tylko dowiedzieć więcej szczegółów. – Ukryła twarz w dłoniach. Strasznie bolała ją głowa. – Mam nadzieję, że Boyd z tego wyjdzie – szepnęła.

Zapanowało milczenie.

Z drzwi prowadzących na OIOM wybiegł lekarz. Na jego widok Lottie zerwała się z krzesła.

– Nazywam się inspektor Parker. Chcę zobaczyć się z sierżantem Boydem.

– Nie obchodzi mnie, kim pani jest. Żadnych odwiedzin, dopóki jego stan nie będzie stabilny.

– Jak długo będzie dochodził do siebie?

– Nie wiemy.

– Błagam, doktorze.

– Miał uszkodzoną śledzionę, ale udało się ją uratować. Szczęściarz z niego. Dziś zostanie na OIOM-ie. Radzę wam wracać do domu i zadzwonić później – rzekł, po czym ruszył korytarzem.

Lottie spojrzała na detektywów.

– Chodźcie – rozkazała. – Pomożemy Boydowi, łapiąc tego gnoja. Teraz to już jest sprawa osobista.

## ROZDZIAŁ 79

Kirby wysadził inspektor przed jej domem. Kiedy weszła do kuchni, Rose właśnie myła podłogę.

– Czy kojarzysz nazwisko Cornelius Mohan? – zapytała zaraz po tym, jak podziękowała matce za opiekę nad dziećmi.

– Tak. Mieszka w Ballinacloy. Przeszedł na emeryturę.

Jezu, ona naprawdę zna tu wszystkich, pomyślała Lottie.

– Co o nim wiesz?

– W latach siedemdziesiątych był wikariuszem w Ragmullin.

– Coś jeszcze? – Lottie podejrzliwie przyglądała się matce.

Rose odwzajemniła jej spojrzenie.

– O co ci chodzi? – spytała, wykręcając mopa.

– O informacje.

– Z tego, co pamiętam, przez jakiś czas był kapelanem w Domu św. Angeli.

– Co ty powiesz? – Była pewna, że jej matka nie mówi całej prawdy.

– Daj spokój, dziecko. Opowiedziałam ci o rozmowie z Susan Sullivan, nie mam pojęcia, co jeszcze chciałabyś wiedzieć.

– Czy ksiądz Cornelius był zamieszany w jakiś skandal, kiedy pracował w Domu św. Angeli?

Rose odwróciła się, odstawiła mopa i kubek do szafy, po czym narzuciła na siebie płaszcz. Założyła kapelusz i zatrzymała się przy drzwiach.

– Dobrze wiem, że znasz już odpowiedź, Lottie Parker.

– A ja wiem, że to tam porzuciłaś Eddiego, kiedy zmarł tata – stwierdziła ponuro.

Dłoń Rose zsunęła się z klamki. Podeszła do córki z błyszczącymi od łez oczami.

– Twój ukochany tatuś popełnił samobójstwo. Nie umarł ot tak sobie. – Zaczęła szlochać. – A ja nikogo nigdzie nie porzuciłam.

– Przepraszam. – Lottie położyła dłoń na ramieniu matki. Myślała, że ją odtrąci, ale tego nie zrobiła.

– Nie, to ja przepraszam. Byłaś za mała, by to wszystko zrozumieć, a ja nie



potrafiłam o tym rozmawiać. Wiesz, jak to jest żyć po stracie męża. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by dobrze się tobą zaopiekować. Wszystko.

Lottie dobrze wiedziała, przez co przeszła jej matka, ale miała już dość wymówek. Chciała w końcu poznać prawdę.

– Powiedz mi, co się stało. Jesteś mi to winna.

– Tyle zrobiłam dla ciebie i dzieci. Nie masz prawa niczego ode mnie żądać.

– Dlaczego tata popełnił samobójstwo?

– Nie wiem.

– Dobra, niech ci będzie. Na razie odpuść ten temat. Ale co z Eddiem? Zostawiłaś go w Domu św. Angeli, żeby tam zgnił. To niewybaczalne.

– Nie masz pojęcia, jak wtedy było. Samobójstwo było tematem tabu. Zostałam sama z dwójką dzieci. A Eddie był... Nie potrafiłam nad nim zapanować. Zrobiłam to, co uznałam za konieczne.

– Miałaś wybór, mamó. Poszłaś po linii najmniejszego oporu.

– Nie waż się mnie osądzać.

– To powiedz mi, dlaczego posłałaś Eddiego do Domu św. Angeli.

– Tylko tam wiedzieli, jak sobie z nim poradzić.

Lottie zaśmiała się gorzko.

– Chyba jednak nie wiedzieli. Uciekł, prawda? Wiesz, co on musiał tam przejść? – Potrząsnęła głową, przypominając sobie okropności, które skrywały księgi w Rzymie.

Rose otuliła się płaszczem i podeszła do wyjścia.

– Do końca życia będę musiała żyć z konsekwencjami tej decyzji. Wychodzę. Nie życzę sobie, aby własna córka mnie przesłuchiwała i oskarżała. Żegnaj.

Lottie była wściekła. Przez chwilę wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknęła matka, po czym zaczęła liczyć pajęczyny nad szafkami. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Rose doskonale umiała odwrócić kota ogonem, zmieniając pytania w oskarżenia. Tylko ona potrafiła tak naprawdę zranić Lottie.

\*\*\*

Zajrzała do dzieci, przebrała się i pojechała na posterunek. Pulsująca w żyłach adrenalina sprawiała, że nie czuła się zmęczona.

Zagoniła podwładnych do pracy. Nie mogli cały czas myśleć o leżącym w szpitalu sierżancie Boydzie. Mieli sprawę do rozwiązania. Lottie była przekonana, że zabójstwa księży Corneliusa i Angelottiego mają związek z Susan Sullivan i Jamesem Brownem. Usiadła za swoim biurkiem i wgrała zdjęcia z telefonu na komputer. Zmrużyła zaspane oczy. Każda strona opowiadała skrywaną przez lata historię. Każde nazwisko oznaczało czyjeś cierpienie. A wszystko odbywało się za murami stojącego za miastem sierocińca. Wiedziała, że musi tam pojechać, mając nadzieję, że mury tego domu pomogą odnaleźć odpowiedzi, których szukała.

– Wydrukuj zdjęcia i posortuj według daty – powiedziała do Lynch i poszła do kuchni. Kiedy odwróciła się z kubkiem w ręku, zobaczyła Corrigan stojącego w drzwiach. Tylko nie to, pomyślała.

– Dzień dobry, sir – powitała go niewinnie, pijąc kawę.

– Wyglądasz okropnie. – Założył ramiona na piersi.

Nadinspektor stał w drzwiach i nie zamierzał się stamtąd ruszyć. Lottie wyprostowała się, zbierając całą odwagę, na jaką było ją stać.

– Dziękuję – odparła z wymuszonym uśmiechem.

– Nie jestem głupi – oznajmił spokojnie. Zbyt spokojnie.

– Wiem – odpowiedziała. Co innego mogła zrobić?

– Nie pogrywaj ze mną, Parker – warknął i pochylił się nad nią. Skuliła się, ale Corrigan tylko nalał wody do czajnika. – Byłaś w Rzymie.

– Tak jest. – Nie było sensu zaprzeczać.

– Zignorowałaś mój rozkaz. Mogę cię zawiesić, zwolnić, urwać ci jaja, gdybyś je posiadała.

– Tak jest. – Lottie nie miała zamiaru się kłócić.

– Mam nadzieję, że podróż się opłacała. Mogła kosztować ciebie i innych sporo kłopotów – rzekł, zalewając kubek.

– Chyba tak. – Podała mu karton mleka.

– Słucham. Czego się dowiedziałaś? – Odstawił kubek i ponownie założył ramiona.

– Szefie, sądzę, że morderstwa są powiązane z wydarzeniami, które miały miejsce w Domu św. Angeli w latach siedemdziesiątych. Mogło tam dojść do morderstwa, może nawet dwóch. Przyznaję, pojechałam do Rzymu. Wpadłam tam na trop.

– Jaki znowu trop?

– Ksiądz Burke odnalazł pewne informacje. Prosił, bym przyjechała rzucić

na nie okiem. Nie mógł przesłać mi ich w inny sposób.

– Mów dalej.

– Dotarłam do ksiąg, w których spisano dane dzieci przyjętych do Domu św. Angeli. Daty, imiona, dane adopcyjne, zgony. Nie miałam czasu przyrzeć się im dokładnie. Nie wiem, czy przydadzą się w śledztwie, ale podpis widniejący na stronach nie jest bez znaczenia.

– Czyj podpis?

– Księdza Corneliusa Mohana.

– Ofiara z Ballinacloy? – zdziwił się Corrigan. Chwycił za kubek i oblał się kawą.

– Tak – odparła. – W jednej z ksiąg zapisano jego przeniesienia, wliczając w to pracę w Domu św. Angeli. Służył w ponad czterdziestu różnych parafiach. Sam pan się może domyślić dlaczego.

– Mieszkał piętnaście kilometrów od Ragmullin, obok szkoły podstawowej. Obłąd.

– Wszystko to za zgodą biskupa Connora, który, dodam, zlecił przeniesienie ksiąg do Rzymu. – Lottie obserwowała Corrigan, który przetwarzał przekazane mu informacje. Po chwili dodała: – Skontaktowałam się wczoraj z Boydem. Poprosiłam, żeby pojechał do Ballinacloy i przesłuchał księdza Corneliusa. Sądziłam, że będzie wiedział coś o ofiarach.

Corrigan zatrzymał kubek tuż przy ustach.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Jakim cudem zabójca dotarł do Mohana przed Boydem? Ktoś dał mu cynk?

– Nie wiem, ale to wszystko jest bardzo podejrzane – odparła. – Muszę się dowiedzieć, kto jeszcze znał nasze plany. Mohan wiedział coś, za co go zamordowano.

Corrigan nadął policzki i rzekł:

– Twoja egzekucja została odroczone. Boyd jest w szpitalu, a ja nie mogę pozwolić sobie na stratę kolejnego detektywa. Ale kiedy to wszystko się skończy, możesz zostać pociągnięta do odpowiedzialności za niesubordynację. Wracaj do pracy, Parker, i pamiętaj! – Popatrzył jej prosto w oczy.

– O czym, sir?

– Mam cię na oku.

Spojrzenie Corrigan, wdercało się w jej czaszkę. Na szczęście szybko odszedł, kręcąc głową. Lottie westchnęła. Groziła jej dyscyplinarka, ale

przynajmniej pozwolono jej pracować. Los zaczął się do niej uśmiechać.

## ROZDZIAŁ 80

Lottie przeglądała wydrukowane zdjęcia, które Maria Lynch zostawiła na jej biurku. Imiona dzieci wirowały jej przed oczyma, kiedy nagle dotarła do niej straszna myśl. Ksiądz Joe pozwolił jej sfotografować księgi i był przy niej, kiedy zadzwoniła do Boyda. Serce zamarło jej w piersi. Tylko on wiedział, co powiedziała sierżantowi. Czy to on nasłał zabójcę na starego księdza? Niemożliwe. A może jednak? Myślała gorączkowo. Dlaczego miałby zapraszać ją do Rzymu, pokazywać archiwa, a potem zdradzić? Był przyjacielem. Prawda? To nie miało sensu. Choć z drugiej strony, nie było innego wytłumaczenia. Nic nie miało sensu. Podskoczyła z krzesła jak oparzona.

– Kirby! – krzyknęła.

Detektyw spojrzał w jej stronę.

– Wszystko dobrze, szefowo?

– Jakież wieści ze szpitala?

– Na razie żadnych.

– Sprawdziliście księdza Joe Burke’a? – Starła się przybrać spokojny ton głosu.

– Tak. Wydrukuję pani wszystko, co mamy. – Kirby wpisał nazwisko księdza do komputera.

Lottie próbowała rozmasować sobie szyję. Nie wiedziała, czy chciała w ten sposób przypomnieć sobie dotyk Joe, czy powstrzymać wymioty.

Podczas gdy detektyw bębnił palcami w klawiaturę, inspektor usłyszała głos Toma Rickarda, wykrzykującego wyzwiska. Wszedł do biura z impetem, a za nim wkroczył nadinspektor Corrigan.

Lottie obróciła się i spojrzała w ciemne oczy Rickarda. Był w podłym nastroju.

– Witam panią.

– Dzień dobry, panie Rickard – odparła najuprzejmiej, jak potrafiła.

Przysunęła krzesło Boyda. Deweloper usiadł na samym jego brzegu. Inspektor dała znać Corriganowi, że panuje nad sytuacją. Ten podniósł brew, spojrzał na nią, po czym wyszedł.

– Przyszedł pan w sprawie Domu św. Angeli? – zapytała, biorąc do ręki notes i długopis.

– To nie ma teraz znaczenia – odburknął, wyciągając białą chusteczkę i ocierając pot z czoła. – Mój syn, Jason, zaginął.

Lottie pisała, nie podnosząc wzroku. Czy Katie przypadkiem nie powiedziała, że wczoraj nie mogła się do niego dodzwonić? Powinna była uważniej słuchać córki. Chłopak na pewno zadzwoniłby do Katie. Coś było nie tak.

– Zaginął? Według mojej córki pomiędzy panem i Jasonem doszło do sprzeczki. Kiedy to było?

Rickard otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale zamiast tego powiedział:

– Tak. Przedwczoraj. Wybiegł wtedy z domu i do tej pory nie wrócił.

– Dzwonił pan do jego przyjaciół? Pytał pan w miejscach, w których zwykle bywa?

– Tak. Objechałem całe miasto i brzeg jeziora – odparł. – Pokłóciliśmy się. Uciekł. – Głowa dewelopera kołysała się z boku na bok.

– Rozumiem pana niepokój, ale Jason ma dziewiętnaście lat. Jest dorosły. Myśli pan, że jego zaginięcie może mieć związek z tym, że kupił pan Dom św. Angeli? – spytała, kładąc nacisk na nazwę ośrodka.

Rickard zerwał się z krzesła. Lottie instynktownie się odsunęła.

– Ty bezwzględna suko...

– Proszę siadać, panie Rickard – poleciła, notując powoli, by dać mu chwilę na odzyskanie spokoju.

– O czym pani mówi? – Rickard zacisnął pięści na biurku. – To absurd.

– Czyli nie żądano okupu. – Zapisała i podniosła wzrok znad notesu. – Panie Rickard, będą musiała zadać kilka niewygodnych pytań. Jest pan znanym biznesmenem. Nie możemy wykluczyć porwania dla pieniędzy. Podobnie jak samobójstwa czy ucieczki z domu. Jeśli chce pan, żebyśmy zajęli się tą sprawą, musi pan z nami współpracować. – Wciskała kit, ale nie miała zamiaru odpuścić. To mogła być jedyna szansa, żeby wyciągnąć od niego prawdę.

– Co moje interesy mają wspólnego z Jasonem?

– Zapewne nic. Moim zdaniem uderzył pan syna, chłopak uciekł, a teraz liże rany i obmyśla, jak się na panu odegrać.

– W takim razie dlaczego nie jest z pani córką? Dlaczego do nikogo nie zadzwonił? Zostawił w domu telefon, ale jego znajomi mają komórki, konta

na Facebooku i Twitterze. Nie sądzi pani, że skontaktowałyby się ze swoją dziewczyną? Co ona pani mówiła?

– Była przerażona. Powiedziała, że uderzył pan syna. Nadal się do niej nie odezwał, ale Jason jest dorosły, panie Rickard. W normalnych okolicznościach kazałabym panu wracać do domu, pocieszyć żonę i czekać na informacje od nas.

Jego twarz zaczerwieniła się, ale milczał.

– Jednakże – ciągnęła inspektor Parker – jak pan dobrze wie, sytuacja w Ragmullin nie jest w tej chwili normalna. Zamordowano kilka osób. Ma pan więc powody do obaw. – Naprawdę martwiła się o Jasona, ale nie mogła sobie odmówić odrobiny złośliwości. Musiała wyciągnąć od Rickarda wszystko, co wiedział. Deweloper zmarł w bezruchu, ale jego dolna warga zaczęła drgać, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Naruszyłabym protokół, ponieważ pański syn jest pełnoletni, a w takich wypadkach ze wszczęciem dochodzenia czeka się dłużej. W drodze wyjątku możemy wypełnić formularz zgłoszenia zaginięcia.

– I to wszystko? Formularz?

– Jak mówiłam, i tak naruszę w ten sposób protokół.

– W dupie mam wasze protokoły. Gdzie jest Corrigan? – Rickard wstał.

– Proszę mi opowiedzieć o Domu św. Angeli – poprosiła, nie podnosząc wzroku.

– To nie ma z tym nic wspólnego. – Usiadł, wzdychając.

Inspektor włożyła do ust długopis i uruchomiła komputer. Otworzyła raport z sekcji Susan Sullivan, powiększyła zdjęcie przedstawiające szyję ofiary i obróciła monitor. Nie miała nic do stracenia.

– Co to ma znaczyć? – mruknął, a w jego dłoni ponownie pojawiła się chusteczka.

– To pierwsza ofiara.

To było podłe posunięcie. Ale miała nadzieję, że jeśli go przycisnie, ujawni jej coś użytecznego.

– Pani inspektor, proszę... – wyjąkał. – Naprawdę sądzi pani, że mogłem mieć coś wspólnego z tymi... tymi okropnościami? – Potrząsnął głową i wypiął pierś.

Lottie zamknęła raport i otworzyła kolejny.

– James Brown. – Spojrzała na Rickarda. – Dzwonił do pana przed

śmiercią. Proszę mi powiedzieć, o czym rozmawialiście.

Deweloper przygryzł wargę.

Wyobrażała sobie, jak jego mózg formułuje odpowiedź. Zanim się odezwał, dodała:

– Proszę myśleć o synu. Chce pan za kilka dni przyjść tu z żoną, żebym pokazała jej zdjęcia z autopsji Jasona?

Rickard przełknął głośno ślinę i pochylił się nad biurkiem.

– To naprawdę nie ma nic wspólnego z Domem św. Angeli – wycedził przez zęby. – Jestem biznesmenem. Opracowuję plany, podpisuję umowy, buduję nieruchomości i na nich zarabiam. Czasami tracę pieniądze, ale częściej sporo zyskuję. Dom św. Angeli spadł mi jak z nieba po tym, jak przejechałem się na osiedlach-widmo. Miałem wizję, genialny plan. Chciałem zbudować piękny hotel, wspaniałe pole golfowe. W mieście byłyby nowe miejsca pracy. – Wyprostował się. – Moje interesy nie mogły mieć związku z zaginięciem Jasona.

– Przyjmijmy na chwilę, że jednak mogły.

– Nie poddaje się pani, co?

– Nigdy.

Wiedziała, że rozważa udzielenie jej odpowiedzi, którą chciałaby usłyszeć. Wyprostowała się na krześle, nie zdradzając żadnych emocji. Rickard rozejrzał się po biurze, spojrzał na nią i powiedział:

– Po pierwsze, chcę, żeby było jasne, że nie popełniłem tamtych morderstw ani ich nie zleciłem. Nie mam z nimi absolutnie nic wspólnego. Można mi wiele zarzucić, pani inspektor, ale nie jestem zabójcą.

– Niech pan mówi dalej – poprosiła.

– Może powinienem wezwać adwokata?

– A sądzi pan, że go potrzebuje?

Rickard odetchnął głęboko.

– To prawda, James Brown zadzwonił do mnie wieczorem, zanim został zabity.

– Proszę mówić – powtórzyła. To żadna nowość, mieli na to dowody.

– Znałem Susan Sullivan i Browna. Pracowali nad zezwoleniem na zagospodarowanie przestrzenne. Powiedział mi, że Sullivan nie żyje i że mogła zostać zamordowana. Chciał się ze mną spotkać. To wszystko.

– Spotkaliście się?

– Nie. Powiedziałem, że jestem zajęty i rozłączyłem się. Parę godzin



później już nie żył.

– Ktoś jednak się z nim spotkał i go zamordował. Mówił pan komukolwiek o telefonie od Browna?

– Nikomu.

– Panie Rickard, wie pan, że możemy sprawdzić pańskie bilingi.

– Zadzwońłem do współników. Poinformowałem ich o śmierci Sullivan i rozmowie z Brownem.

– Wspólników? Czyli kogo?

– Chyba nie musi pani znać ich nazwisk, prawda?

Lottie uśmiechnęła się krzywo. Wyciągnęła go od niego później, pomyślała.

– Czy któryś z pana współników miał powód, aby zabić Sullivan lub Browna?

– Skąd mam wiedzieć?

– Może pan mieć jakieś podejrzenia. Czym dokładnie w tej inwestycji zajmowały się ofiary?

Rickard wziął głęboki wdech.

– Oboje byli zawzięci – odparł. – Wiedzieli, że wymusiłem zmiany w planie zagospodarowania hrabstwa, żeby uzyskać zgodę na budowę na tej działce. I mieli mnie na oku. Szantażowali mnie, żądając odszkodowania za dawne krzywdy czy coś w tym stylu. Nie miałem pojęcia, o co im chodzi. Kiedy Brown zadzwonił do mnie w lipcu, powiedziałem mu, żeby spieprzał.

Lottie przypomniała sobie pieniądze na kontach ofiar i gotówkę w lodówce Susan.

– Mimo to zapłacił im pan.

– Skądże znowu! – Walnął pięścią o blat biurka. – Nigdy nikt mnie nie zastraszył.

– Więc co pan zrobił? Szantażowali pana.

– Poprosiłem współników o spotkanie. Kiedy dowiedzieli się o tych groźbach, zdecydowaliśmy, że najlepiej po prostu je przeczekać. Brown i Sullivan nie stanowili zagrożenia. Nie mieli dowodów na jakiegokolwiek naruszenia. Szczerze mówiąc, nie było żadnych naruszeń. Po prostu przyspieszyłem cały proces.

– A jak pan to zrobił?

– Łapówka tu i tam, do kieszeni radnych. Ale nie o tym teraz rozmawiamy, prawda?

Lottie zignorowała informację o łapówkach. Miała już dość problemów.

Postanowiła zatem uderzyć z innej strony.

– Czy jako dziecko mieszkał pan w Domu św. Angeli, panie Rickard?

– Nie, nie mieszkałem. Co to ma do rzeczy?

Nie była przekonana, czy mówi prawdę.

– Kto jeszcze brał udział w pańskim projekcie? – zapytała. Jeśli rzeczywiście nie poddał się szantażowi, to kto przelał pieniądze na konta ofiar?

– Czy to pomoże odnaleźć mojego syna?

– Możliwe, że tak. Chcę poznać te nazwiska.

– Znajdzie pani Jasona?

– Zrobię, co w mojej mocy, by go odszukać – zapewniła.

– Żywego – dodał. Od momentu, kiedy usiadł przed jej biurkiem, stał się mniejszy.

Nie odpowiedziała. Nie mogła mu tego obiecać, ale miała nadzieję, że Jason żył.

Deweloper odchrząknął, po czym powiedział:

– Gerry Dunne, Mike O'Brien i biskup Terence Connor.

– Muszę znać całą prawdę, panie Rickard – oznajmiła.

– Nie ma żadnej „prawdy”, pani inspektor. Jest tylko kilku wpływowych ludzi, chcących łatwo zarobić. Connor sprzedał mi działkę za cenę znacznie niższą od wartości rynkowej w zamian za dożywotnie członkostwo w nowym klubie golfowym. O'Brien zajął się pieniędzmi na sfinansowanie inwestycji, a Gerry Dunne zagwarantował, że projekt przejdzie w radzie. To wszystko. Nie braliśmy udziału w czymś tak szemranym, aby warto było za to kogoś zabić. Proszę skierować śledztwo na inne tory i nie marnować czasu, który powinna pani poświęcić na znalezienie mojego syna. – Rickard zaczął przetrząsać kieszenie. – Skoro tak pani zależy, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Domu św. Angeli, to proszę – rzucił na biurko pęk kluczy – niech pani sama tam pójdzie. To rudera do gruntownego remontu. Gołe ściany, nic więcej. Niech pani zaspokoi ciekawość i – na miłość boską – zacznie szukać Jasona!

Lottie przysunęła klucze do siebie.

– Dzięki – mruknęła. – Niech pan wraca do żony. Proszę mnie powiadomić, jeśli chłopak się odezwie. Ja zrobię to samo.

Rickard wstał i bez słowa opuścił biuro, nie oglądając się za siebie. Jego garnitur był tak samo pomarszczony, jak jego twarz.

Kiedy wyszedł, wyciągnęła z szuflady pozątką teczkę i przyjrzała się chłopcu ze zdjęcia. Doskonale wiedziała, co czują bliscy zaginionej osoby. Naprawdę miała nadzieję, że Jason uciekł z domu. Gdyby było inaczej, mieliby kolejny problem.

## ROZDZIAŁ 81

Sean Parker słuchał, jak za ścianą płacze jego siostra. Przypomniało mu to nocne szlochy matki po śmierci taty. Bardzo dobrze pamiętał, jak wstawała rano z czerwonymi oczami i udawała, że nic się nie stało. Często chciał jej powiedzieć, że nie może spać przez to jej pochlipywanie. Ale tego nie zrobił. Było mu żal matki, sióstr i samego siebie.

Teraz współczuł Katie. Podziwiał Jasona od chwili, kiedy dał mu zapalić skręta. To było dziwne przeżycie. Zaciągnął się kilka razy, a po chwili pokój eksplodował, wypełniając się najróżniejszymi kształtami i barwami. Potem zrobiło mu się niedobrze i długo wymiotował w łazience.

Nacisnął guzik i zastopował grę. Pomyślał, że wolałby, aby mama była z nimi częściej. Od kiedy odszedł tata, wszyscy mówili mu, że jest panem domu. Zastanawiał się, co pan domu powinien robić?

Kiedy ponownie chciał włączyć PlayStation, system się zawiesił. Wiedział tylko jedno: potrzebuje nowej konsoli, i to natychmiast.

Nie namyślał się długo. Miał oszczędności na koncie w banku. Otworzył szafkę, szukając karty bankomatowej. Nagle jego palce zacisnęły się na czymś twardym i zimnym. Wyciągnął scyzoryk, który dostał od ojca kilka lat temu. Lubił wysuwać jego ostrza, udając bohaterów *Grand Theft Auto*, ale zawsze zostawiał go w domu. Tym razem stwierdził, że weźmie go ze sobą. W mieście grasował morderca. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba się bronić przed atakiem. Tata zawsze mu powtarzał, że należy być ostrożnym. Spojrzał na godzinę w telefonie. Było wpół do dwunastej. Był pewien, że wróci do domu przed lunchem. Wsadził nóż i kartę do kieszeni, założył dwie bluzy z kapturem oraz kurtkę i wymknął się z domu, podczas gdy Chloe wyzywała siostrę od histeryczek.

## ROZDZIAŁ 82

Lottie zdjęła buty i masując obolałą stopę, myślała o tym, że ma klucze do Domu św. Angeli. Kirby przyglądał jej się znad monitora.

– No co? – burknęła.

– Nic.

– Kirby, czy choć raz mógłbyś powiedzieć, co ci chodzi po głowie?

Założyła but na obolałą stopę. Przeczesła palcami włosy i włączyła telefon. Żadnych wiadomości ani telefonów. Nic. Miała nadzieję, że Boyd czuł się lepiej. Spojrzała na Kirby'ego, który stanął obok niej z kartką w dłoni.

– Prosiła pani, żebym znalazł coś na temat księdza Burke'a – rzekł i wrócił za biurko.

Lottie spojrzała na zdjęcie paszportowe, z którego uśmiechał się do niej Joe. Przejrzała raport, natrafiając na artykuł lokalnej gazety z Wexford.

– Czytałeś to? – zapytała.

– Tak – odparł detektyw. – Nasz księżulek to niezły pies na baby.

Słowa artykułu zlewały się w niezrozumiałą masę. Była niewyspana, albo może wypila za mało kawy? Zbierało jej się na wymioty; próbowała się skupić, ale umysł odmówił jej posłuszeństwa. W artykule cytowano kobietę z Wexford. Twierdziła, że ksiądz Joe Burke składał jej niedwuznaczne propozycje. Kiedy odrzuciła jego zaloty, zaczął ją nękać. Zgłosiła sprawę na policję, ale przeciwko księdzu nie wszczęto postępowania. Lottie nie mogła uwierzyć, że coś takiego ukazało się w prasie. Potem przypomniała sobie spotkanie z Cathalem Moroneyem. Nadal musiała ustalić, kto był jego kontaktem w policji.

Spojrzała na detektywa.

– Ugania się za parafiankami – mruknął. – Tylko, że Kościół uważa to za zbrodnię, z tymi ich ślubami czystości i w ogóle. Moim zdaniem...

– Nie prosiłam cię o komentarz – warknęła.

Kirby zamilkł.

Uległa urokowi księdza Joe. Czy próbował ją uwieść? Czy to dlatego ściągnął ją do Rzymu, choć sam mógł sfotografować księgi i przesłać ich

zdjęcia?

Odepchnęła krzesło, złapała telefon i kurtkę i wyszła, nie usłyszawszy od Kirby'ego już ani jednego słowa.

\*\*\*

Miała zamiar rozejrzeć się po Domu św. Angeli, ale na parkingu wpadła na Marię Lynch.

– Jadę do Ballinacloy – oznajmiła detektyw. – Pojedzie pani ze mną?

– Jasne, ale ja prowadzę – odparła, mając nadzieję, że w domu starego księdza znajdą coś, co pomoże w śledztwie.

Cornelius Mohan mieszkał w domku obok małego kościoła. Przy drodze stał rząd domów jednorodzinnych, za którymi wił się otoczony żywopłotem chodnik. Między domami a kościołem znajdowała się pięcioklasowa szkoła podstawowa. Jej zbiornik na olej opałowy został ozdobiony *malunkami Tomka i przyjaciół*. Przez ostatnie dziesięć lat ksiądz-pedofil mieszkał obok szkoły, umieszczony tu zapewne przez biskupa Connora. Lottie potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

Stojący przy bramie wjazdowej funkcjonariusze podnieśli taśmę policyjną, pozwalając im przejść. Lynch podeszła do kryminologów, rozmawiających na podwórku za domem. Lottie nałożyła gumowe rękawiczki i otworzyła drzwi domu. Przedpokój był zagracony, a kuchnia miała wysokie sklepienie. W domu cuchnęło papierosami i torfem. Na stole obok kubka z herbatą stała wypełniona niedopałkami popielniczka. Drzwiczki piecyka były otwarte, a popiół był równie zimny jak ciało księdza.

Otworzyła kolejne drzwi. Przez cienkie zasłony wpadały do pokoju promienie słońca. Odśloniła je, oświetlając unoszący się w powietrzu kurz i niezasałane łóżko, komodę i dwudrzwiową szafę.

Podniosła niebieski koc i wsunęła dłoń pod poduszkę. Wyjęła spod niej portfel, wypełniony banknotami o nominałach pięćdziesiąt i sto euro. Jeden z nich był zalaminowany wraz z obrazkiem przedstawiającym Świętego Antoniego trzymającego w ramionach małego Jezusa. W portfelu było tysiąc sześćset dwadzieścia euro. Cornaliusa nie zamordowano w celu rabunkowym. Wyglądało na to, że nikt poza starcem nie wchodził do tego pokoju, i to od dawna.

Zajrzała do szuflad, a potem do szafy. Nie było w nich wiele ubrań

i wszystkie miały czarny kolor. Z szafy unosił się zapach moli i stęchlizny. Pod łóżkiem znalazła parę butów i brudną skórzaną walizkę. Wyciągnęła ją; w środku znajdowały się stare wycinki z gazet, teczki i notesy.

Wyciągnęła jeden z nich i przejrzała go. Strony zapełniały równo wypisane rzędy cyfr. Domyśliła się, że to domowe rachunki. W innym znalazła to samo. No dalej, Mohan, pomyślała, pomóż mi trochę. Klęczała na zakurzonej podłodze, przeglądając dalej notesy. Sięgnęła po siódmy z kolei. Ta sama granatowa okładka, to samo równe pismo. Tylko że nie zapisano w nim liczb. Wstrzymała oddech. To były notatki księdza.

Mohan nie tylko dopuszczał się strasznych czynów, ale również je dokumentował. Słowa się zlewały, oblepiając strony niczym obrzydliwa kleista maź. Udręka małych dzieci wyrywała się ze stron. Ksiądz spisał swoje najgłębsze sekrety, a potem zamknął je w walizce. Poczula, że jej serce pęka i kamienieje jednocześnie. Morderca. Gwałciciel, pomyślała, a jej dusza rozpadała się na kawałki.

Nie mogła tego dalej czytać; wyjęła woreczek na dowody, włożyła do niego notes i schowała do kieszeni kurtki. Nie miało znaczenia, co z nim zrobi; wiedziała, że nie będzie mogła zapomnieć tego, co przeczytała. Najwyraźniej nie pomyślał o swoich notatkach, zanim zginął. Mógł je przecież spalić, chyba że używał ich do ponownego przeżywania swoich zbrodni. Jakim trzeba być potworem, by robić coś takiego?

Zawołała Lynch i po otrzymaniu zgody od kryminologów zabrała walizkę do bagażnika. Uciekła z tego domu, nie mogąc pozbyć się z głowy odgłosu biegnących za nią małych stópek. W kościele zabił dzwon, a jego echo poniosło się po całej wsi.

## ROZDZIAŁ 83

Kolejka przed bankomatem zdawała się nie mieć końca. Sean miał dość marznięcia i postanowił wejść do banku, by skorzystać z drugiego bankomatu. Tam przynajmniej było ciepło.

Stojąca przed nim kobieta, której towarzyszyło dwoje małych dzieci, wypłaciła pieniądze. Sean wpisał kod PIN i wybrał dwieście euro.

Zastanawiał się, gdzie podziewa się Jason. Pomyślał, że mógłby zapytać swoich kumpli, czy go widzieli. Jego przyjaciele raczej nie obracali się w kręgach, do których należał Jason Rickard, ale nie zaszkodziłoby sprawdzić. Przyrzekł sobie, że tak zrobi, po czym schował pieniądze do kieszeni spodni i poszedł w stronę wyjścia.

\*\*\*

Mężczyzna obserwował Seana.

Wytarł ręce o nogawki spodni od garnituru, upewniając się, czy nikt go nie zauważył.

Wiedział, że ten chłopiec jest synem inspektora Parker. Stał za stojakiem wypełnionym ulotkami i patrząc na nastolatka, natychmiast się podniecił. Wsadził ręce do kieszeni, próbując okiełzać swoje pożądanie.

To było zbyt ryzykowne. Miał już jednego chłopca. Ale żeby wszystko było tak jak wtedy, potrzebował przecież dwóch.

Kiedy Sean nacisnął w drzwiach zielony guzik, mężczyzna szybko za nim stanął, a kiedy drzwi się otworzyły, wkroczył do przedsionka i uśmiechnął się.

Nastolatek odwzajemnił uśmiech.



## ROZDZIAŁ 84

Było południe, ale na dworze panował półmrok i znowu padał śnieg.

W drodze powrotnej z Ballinacloy Lottie sprawdziła, czy nie otrzymała wiadomości ze szpitala. Niestety, telefon milczał. Weszła z Lynch na posterunek, wpisała zawartość walizki do rejestru i dodała notes do materiałów dowodowych. Myśl o wypisanych w nim okropnościach przyprawiała ją o mdłości.

– Niedługo wrócę – powiedziała, po czym wyszła z posterunku.

Potrzebowała wziąć prysznic, ale najpierw chciała sprawdzić, co kryje się za drzwiami Domu św. Angeli.

\*\*\*

Lottie wysiadła z samochodu i spojrzała na stary sierociniec. Nieznany dotąd niepokój ogarnął jej umysł. Dwukrotnie policzyła okna, po czym weszła po schodach, uważając, by się nie poślizgnąć.

Kiedy stanęła przed drzwiami, poczuła trwogę. Bała się o siebie, bała się swojej przeszłości, podjętych decyzji i żalu, który ją dręczył. Bała się osoby, w którą powoli zaczynała się zmieniać, i bardzo żałowała, że nie było z nią Boyda. Tęskniła za nim.

Założyła na zdrętwiałe palce gumowe rękawiczki, przekreśliła klucz w zamku i pchnęła drzwi. Zdziwiła się, że tak łatwo ustąpiły.

Hol nie był tak przestronny, jak się spodziewała. Chłód zapierał jej dech w piersi. W środku temperatura była jeszcze niższa niż na zewnątrz. Na końcu korytarza znajdowały się schody z drewnianymi poręczami, prowadzące do ciemnych korytarzy.

Wsluchiwała się w ciszę tego domu, podczas gdy wiatr rozbijał się o szyby. Zamknęła drzwi, obtupała buty ze śniegu i ruszyła na piętro. Szła korytarzem, mając po jednej stronie okna, a po drugiej drzwi. Policzyła okna, po czym wróciła do schodów i poszła drugim korytarzem, ponownie licząc. To samo zrobiła na drugim piętrze. Coś cię nie zgadzało.

W środku było tylko trzynaście okien. Na zewnątrz naliczyła ich

szesnaście. Oba korytarze kończyły się betonowymi ścianami. Opukała je. Wydawały się być solidne. Pomyślała, że zapyta o to Rickarda, może będzie umiał jej to wyjaśnić. Niezgadza ją się liczba okien pobudziła jej ciekawość, ale nie wiedziała, czy ma ona jakiegokolwiek znaczenie.

Wystraszył ją ptasi jazgot odbijający się od ścian. Szybko uspokoiła nerwy i oparła się o ścianę. W murach tego domu czuła ciężar jego przeszłości, a opowieść O'Malleya cały czas krążyła jej po głowie. Była pewna, że słyszy krzyczące dzieci uciekające przed zakonnicami oraz odgłos wyrrywanych włosów i łamanych kości. Ten obraz był tak rzeczywisty, że gdyby tylko wyciągnęła dłoń, mogłaby go dotknąć. Te dzieci nie miały żadnej nadziei. Nikt im nie pomógł, a ich życie było przepełnione tylko bólem i rozgoryczeniem.

Przypomniała sobie zdjęcie z teczki. Czy mały rudzielec, o którym mówił bezdomny, został zamordowany w tym domu? Czy były to tylko pijackie urojenia? Przytłoczyło ją druzgocące poczucie bezradności.

Śpiew kosa, dobiegający z dachu, ucichł. Lottie wracała, tym razem licząc wyblakłe drzwi wzdłuż korytarza. Dom św. Angeli był martwy, ale drzwi do zapomnianej przeszłości musiały zostać otwarte. Może właśnie to chcieli zrobić Susan i James, pomyślała, przeczuwając, że w tym domu znajdzie klucz do dręczącej ją tajemnicy.

Zaglądnęła do pokoi, które wyglądały na stare sypialnie dzieci. Następnie weszła do kolejnego pomieszczenia.

Było podobne do innych, ale tutaj okna były zasłonięte czarnymi workami. Wymacała włącznik światła. Żarówka zwisająca z zakurzonego kabla rozjaśniła ponury pokój.

Przy jednej ze ścian stało metalowe łóżko z białą pościelą. Lottie zmarszczyła nos, czując zapach proszku do prania. Obróciła poduszkę i zajrzała pod materac, ale nic nie znalazła.

Nagle usłyszała cichy brzęk. Wyprostowała się, nasłuchując. Śnieg uderzał o szyby, a wiatr szeleścił w workach. Poza tym było cicho. Ponownie rozejrzała się po pokoju. Poza łóżkiem był tam tylko mały piecyk gazowy i krzesło. Z sufitu zwisały płyty farby, a kołysząca się na wietrze żarówka migała.

Lottie już chciała wychodzić, kiedy przy jednej z nóg łóżka coś przykuło jej uwagę. Schyliła się i odgarnęła kurz ze srebrnego naszyjnika. Od razu wiedziała, do kogo należał.

\*\*\*

Jason obrócił głowę. Był pewien, że usłyszał pukanie w ścianę. Niestety nie mógł się ani poruszyć, ani zakrzyczeć. Był związany i miał zakneblowane usta.

Ktoś go szukał! Adrenalina buzowała w jego żyłach i z całej siły napiął sznur, który był jednak od niego silniejszy.

Ogarnęła go rozpacz i osunął się na podłogę. Jeśli ekipa poszukiwawcza była w głównej części budynku, to czy mogli go tutaj znaleźć? Czy w ogóle wiedzieli, że to miejsce istnieje? Miał tylko nadzieję, że nie poddają się tak szybko. Był coraz słabszy, coraz bardziej zmęczony i zrozpaczony. Ponownie nadstawił uszu, pragnąc cokolwiek usłyszeć.

Nastała cisza, a nadzieja prysła. Jason wił się i szarpał, a kiedy nagle usłyszał ponowne krakanie pod sufitem, z wymiotował.

## ROZDZIAŁ 85

– Ty jesteś Sean Parker, prawda?

Chłopiec odwrócił się od witryny sklepu z gramami.

– Co panu do tego? – burknął, opierając się o szybę.

– Po prostu chciałem się przywitać.

– To się pan przywitał. Coś jeszcze? – zapytał, machając jednemu z przyjaciół, który stał po drugiej stronie ulicy.

– Dobrze znam twoją siostrę i Jasona. Słyszałeś o tym, że zaginął?

Sean cofnął się, ale nie miał dokąd uciec.

– Tak.

– To trochę dziwnie zabrzmiało, ale on tak naprawdę nie zaginął. Wiem, gdzie można go znaleźć.

– Niech pan pójdzie na policję.

– Jason nie chce ich w to mieszać. Chodzi o jakąś rodzinną sprzeczkę czy coś takiego.

– No dobrze, ale co to ma ze mną wspólnego? – zapytał.

Mężczyzna potrząsnął głową i zrobił krok do tyłu.

– Masz rację. Przepraszam, że zawracam ci głowę.

Sean przygryzł wargę i zmierzył nieznanomego wzrokiem. Wyglądał porządnie, był dobrze ubrany, czysty. Zdziwiło go tylko, że nie miał na sobie płaszcza. Było bardzo zimno. Mężczyzna wydawał się znajomy, ale nie potrafił sobie przypomnieć, skąd mógłby go znać. Poza tym nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego człowieka. To po prostu jakiś starszy koleś, który zna moją siostrę, pomyślał. – Gdzie jest Jason?

Mężczyzna odwrócił się.

– Nie mogę zawieść jego zaufania, ale mogę cię do niego zabrać. Potem powiesz policji, że przypadkiem znalazłeś jego kryjówkę.

– Jasne.

– Chodź ze mną.

## ROZDZIAŁ 86

Lottie waliła pięściami w kierownicę. Samochód ani drgnął, a ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, który jeszcze nie zamarzał.

Bezskutecznie przekreślała kluczyk w stacyjce, kiedy na wyświetlaczu telefonu pojawiło się nazwisko Jane Dore.

– Dzień dobry, Jane.

– Skończyłam sekcję księdza Mohana.

– Jest pani równie szybka jak skuteczna – pochwaliła ją. – Takie same wyniki jak w przypadku innych ofiar?

– Nie, nie takie same – odparła patolog. – Sprawca użył mniej siły. W końcu Mohan miał już swoje lata – stwierdziła. – Ale ksiądz ma taki sam tatuaż jak Brown i Sullivan.

Inspektor wstrzymała oddech. Stary kapłan z tatuażem?

– Jest podobny do pozostałych z tą różnicą, że jest wyraźniejszy. Zeskanowałam zdjęcie i powiększyłam je. Tatuaze pozostałych ofiar były wyblakłe i wyglądały jak linie w okręgu. U Mohana dokładnie widać, co przedstawia.

– To znaczy? – Lottie miała nadzieję, że dowie się czegoś konkretnego.

– Wygląda jak ikona Maryi z Dzieciątkiem. Często pojawia się jako rzeźba w kościołach. Tę informację znalazłam w Wikipedii.

Lottie spojrzała na dach sierocińca. Rzeźba, której nie mogła rozpoznać tamtej nocy, kiedy przyjechała tu z Boydem, przedstawiała Matkę Boską z małym Jezusem w ramionach.

– Może mieć pani rację – powiedziała – ale nadal nie wiem, dlaczego Susan i James mieli ten tatuaż. – No i Patrick O'Malley, przypomniała sobie.

– Radzę szybko rozwikłać tę zagadkę, zanim pojawią się kolejne zwłoki.

Jane zakończyła rozmowę. Lottie wiedziała, że będzie musiała ponownie przesłuchać O'Malleya. Czy był jedynie świadkiem, czy sprawcą zbrodni sprzed lat? Co łączyło go z zabójstwami Sullivan i Browna? Ten człowiek mógł posiadać ważne informacje, które będzie musiał sobie przypomnieć. Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu.

– Pani inspektor, tu Bea Walsh... z rady miejskiej.

– Dzień dobry. Jak się pani miewa?

– Chciałam panią poinformować, że plan na zagospodarowanie przestrzenne działki, na której stoi Dom św. Angeli, został dziś zaakceptowany.

– Rickard będzie mógł postawić swój hotel. Dopiął w końcu swego, co nie?

– Niekoniecznie. Mieszkańcy mogą odwołać się od tej decyzji, ale prawdę mówiąc, wątpię, żeby ktoś chciał to zrobić. Dzięki tej inwestycji będą nowe miejsca pracy.

– Dziękuję za telefon.

– Jeszcze jedno, inspektor Parker. Teczka z dokumentami wcale nie zaginęła. Gerry Dunne miał ją cały czas u siebie.

Lottie ciężko westchnęła. Fakt, że jej samochód się zepsuł i będzie musiała słono zapłacić za naprawę, wcale nie pomagał jej się skupić.

Patrząc na pokryte śniegiem pola, marzyła o papierosie. Spojrzała na otoczony murem sad. Przyprószone białym puchem gałęzie wystawały zza kamiennego ogrodzenia. Oczami wyobraźni zobaczyła małą Susan, Jamesa, Patricka i Briana, kimkolwiek i gdziekolwiek teraz był, dręczonych przez księdza Cona.

## ROZDZIAŁ 87

– Pan naprawdę wie, gdzie jest Jason? – spytał Sean, kiedy nieznajomy wsiadł do samochodu.

– Oczywiście, że tak.

– Niezły zbieg okoliczności, co?

– Nie rozumiem.

– Wie pan, kim jestem i gdzie jest Jason – odparł chłopiec. – Proszę włączyć ogrzewanie.

– Już się robi. – Mężczyzna wyjechał z parkingu i przekręcił gałkę na desce rozdzielczej. – Niebawem się rozgrzejesz, mój mały.

– Skąd pan mnie zna?

– Znam też twoją matkę. Jesteś do niej bardzo podobny – powiedział.

– Wszyscy mi mówią, że jestem podobny do taty.

– Nie znam go. – Kierowca zatrzymał samochód, czekając na zielone światło.

– On nie żyje.

– Współczuję.

– Skąd pan zna moją siostrę i Jasona?

– Jestem znajomym jego ojca. Robimy razem interesy.

Kiedy jechali przez miasto, Sean milczał, myśląc o Katie, jak bardzo się ucieszy z powrotu Jasona do domu. Będzie mi dłużna aż do śmierci, uśmiechnął się do siebie.

– Co cię tak rozbawiło? – zdziwił się mężczyzna.

– Och, nic takiego – odparł, nadal szczerząc zęby.

\*\*\*

– Dokąd panią zawieźć, szefowo? – Kirby żuł cygaro.

– Ale tu śmierdzi – mruknęła, zapinając pas. Odór tytoniu był nie do zniesienia.

Zostawiła samochód przed Domem św. Angeli. Kirby nie miał w samochodzie kabli, aby mogli naładować akumulator.

– Chcę porozmawiać z Tomem Rickardem, ale najpierw odwiedzimy Boyda.

– Nie wpuszczą pani na oddział – stwierdził Kirby.

– Mam to gdzieś – burknęła. – Patrz, jak jedziesz! – Chwyciła się deski rozdzielczej, kiedy detektyw gwałtownie skręcił, ledwie unikając zderzenia z innym samochodem. – Możesz zapalić, jeśli ci to pomoże.

– Według rozkazu, szefowo. – Wydobył z kieszeni zapalniczkę i odpalił cygaro.

– Znalazłam to w sierocińcu. – Wyciągnęła woreczek z naszyjnikiem.

– Ładny. Co tam robił?

– Nie wiem, ale się dowiem – odrzekła. – Ile będzie mnie kosztować naprawa samochodu?

– Kufel piwa. – Kirby uśmiechnął się.

– Jedno mogę ci postawić. Na drugie nie masz co liczyć.

– Aż tak kiepsko? – Westchnął.

Lottie kiwnęła głową.

– Nie wiesz przypadkiem, jak naprawić PlayStation?

\*\*\*

– Kretyn – warknął mężczyzna, odzyskując panowanie nad kierownicą. Skręcił w boczną uliczkę i wjechał przez tylną bramę Domu św. Angeli.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Sean.

– Zadajesz za dużo pytań – wycedził przez zęby.

– A co, nie wolno mi?

Kierowca zaparkował za kaplicą i wyłączył silnik.

Sean zacisnął palce na scyzoryku. Cieszył się, że zabrał go ze sobą. Przeczucie podpowiadało mu, że powinien uciekać, ale zanim zdążył to zrobić, mężczyzna złapał go za łokieć i popchnął w kierunku zamkniętych na kłódkę drewnianych drzwi.

Kiedy nieznajomy je otworzył, chłopiec skurczył się w sobie. Nie wiedział, czy spowodował to wyraz twarzy tego człowieka, czy to, że mocno ścisnął go za ramię.

Mężczyzna zaryglował drzwi.

– Dlaczego pan to zrobił?

– Tak jest bezpieczniej. Tędy.



Sean nie ruszył się z miejsca.

– Skoro drzwi były zamknięte od zewnątrz – zaczął – to czy Jason nie był tu uwięziony?

Nieznajomy zacisnął zęby, a Sean cofnął się do drzwi.

– Powiedziałem, że zaprowadzę cię do Jasona. Bądź grzeczny i rób, co mówię.

– Wcale go tu nie ma! – pisnął. – Kim jesteś?

Zacisnął dłoń na scyzoryku w kieszeni spodni, uświadamiając sobie, że dał się zaciągnąć w to miejsce jak jakiś idiota. Jak mógł wybrnąć z tej sytuacji? Iść za tym człowiekiem i mieć nadzieję, że Jason naprawdę tutaj jest? A może lepiej użyć noża i uciec? A co, jeśli w ten sposób zostawi Jasona na pastwę losu? Co zrobiłaby jego mama? Musiał szybko coś wymyślić, bo inaczej będzie miał poważne kłopoty.

– Dość tych pytań. Idziemy.

Sean podjął decyzję. Pozwolił poprowadzić się wąskim ciemnym korytarzem, ale nie wypuszczał scyzoryka z dłoni.

## ROZDZIAŁ 88

- Przynajmniej nie leży już na OIOM-ie. – Kirby lekko się uśmiechnął. Lottie przewróciła oczami. Strasznie ją wkurzał. Cały czas coś nawijał. Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić nerwy.
- Jak było w Rzymie? – zagaił.
- Czy ty do mnie mrugnąłeś? – Podeszła do niego, piorunując go wzrokiem.
- Nie chciałem. Tak jakoś samo wyszło – wybełkotał, pocierając nieogolony podbródek.
- Przestań udawać Boyda. Kiepsko ci to idzie.
- Można odwiedzić pacjenta, ale tylko na pięć minut, nie dłużej. Jest osłabiony, ale przytomny – oznajmiła młoda pielęgniarka. Miała na sobie niebieski strój, który podkreślał błękit jej oczu. – Pojedynczo. – Podniosła dłoń, kiedy oboje ruszyli do sali chorych.
- Niech pani idzie. – Kirby przepuścił Lottie w drzwiach.

\*\*\*

Boyd leżał na łóżku, wsparty na poduszkach. Z jego ciała sterczały niezliczone kable i rurki prowadzące do ustawionych dookoła monitorów. Pielęgniarka ścisnęła jedną z rurek i przyjrzała się jej. Kiwnęła z zadowoleniem głową i zwróciła się do inspektora Parker:

- Pięć minut – powtórzyła i zostawiła ich samych.
- Lottie przysunęła sobie krzesło i usiadła jak najbliżej partnera. Zamrugła, próbując się uśmiechnąć.
- Przepraszam – szepnęła. – Nie powinnam była jechać do Rzymu. Wpakowałeś się przeze mnie w kłopoty.
- Ulżyło jej, kiedy się do niej uśmiechnął.
- Wiem, że musisz odpoczywać, ale czy pamiętasz, kto cię zaatakował?
- Jak zawsze bezpośrednio, co nie? – zachrypiął Boyd.
- Kiedy Kirby powiedział mi, co się stało, byłam przerażona – wyjaśniła. – Bałam się, że umrzesz, ale próbowałam o tym nie myśleć. Znasz mnie,

pracowałam od rana do nocy.

Chwyciła jego długie palce w swoją dłoń i pocałowała go w poranione czoło.

– Nie płacz – wyszeptał sierżant.

– Czasem mam na to ochotę – zachlipała.

– Widziałem plecy zabójcy... Wyglądał jakby znajomo... Sam nie wiem.

Nie mogę ci pomóc.

– Czy to mógł być O'Malley?

– Trudno powiedzieć.

Lottie wzięła z szafki chusteczkę higieniczną i wytarła ślinę z jego ust.

– Nie przejmuj się tym. Dopadnę go. Jak z nim skończę, drań będzie żałował, że się urodził.

– Bądź ostrożna – ostrzegł ją. – Nie chcę, żebyś też tutaj skończyła. Chociaż może daliby nam małżeńskie łóżko.

– Cwaniaczek. – Uśmiechnęła się. – Nie mogę uwierzyć, że zabójca przyszedł do księdza przed tobą. Mówiłeś o nim komuś poza Lynch?

– Nie, nikomu.

Zastanawiała się przez chwilę. Była pewna, że Lynch nie miała z tym nic wspólnego. Jeśli więc Boyd nie powiedział nikomu innemu, jedynym podejrzanym był ksiądz Joe. Spojrzała na zmęczoną twarz partnera. To nie pora, by zwierzać mu się z podejrzeń. Sierżant przymknął oczy.

– Wracaj do zdrowia. Nie dam sobie bez ciebie rady. – Musnęła ustami jego skroń w chwili, gdy na salę wróciła pielęgniarka.

Lottie popatrzyła przez ramię na śpiącego Boyda i wyszła. Była jeszcze bardziej zdeterminowana, by schwytać zabójcę.

## ROZDZIAŁ 89

– Niestety nie mamy żadnych informacji o Jasonie, ale muszę porozmawiać z pani mężem.

Lottie opierała się o framugę drzwi domu Rickardów. Melanie wróciła do środka. Inspektor uznała to za zaproszenie i weszła do salonu. Siedzący w fotelu Tom Rickard spojrział na nią z nadzieją. Kiedy potrząsnęła głową, jego twarz spochmurniała.

– Już mówiłam pańskiej żonie, że nie wiem, gdzie jest wasz syn. Wydaliśmy oświadczenie w tej sprawie. Ogłosiliśmy informację w mediach społecznościowych, zaangażujemy w to również telewizję.

– Pani inspektor nie ma pojęcia, jak bardzo się martwię – wyjąkał Rickard.  
– Robimy, co w naszej mocy.

Lottie usiadła naprzeciw niego. Miał na sobie wygnieciony garnitur, a jego oczy były zaczerwienione. W pokoju było ciepło od płonącego w kominku ognia.

– Napije się pani czegoś? Kawy? Herbaty? – zaproponowała Melanie.

– Herbaty, dziękuję – odpowiedziała, wyczuwając chłodną atmosferę pomiędzy małżonkami.

– Jeśli chodzi o Dom św. Angeli... – zaczęła.

– W tej chwili bardziej mnie martwi, co się dzieje z Jasonem – odrzekł.

– Kto jeszcze ma klucze do budynku?

Rickard wzruszył ramionami.

– Moi współnicy. Oddałem pani swój zestaw.

– Dlaczego je mają?

– Dałem je im, żeby mogli się tam rozejrzeć. Nie prosiłem o zwrot. Nie mam pojęcia, czy któryś z nich z tego skorzystał – wyjaśnił. – Co to ma do rzeczy?

– Myślę, że nie jest pan ze mną szczery – stwierdziła i wyciągnęła woreczek z naszyjnikiem. – Wygląda znajomo?

Rickard nawet na niego nie spojrział.

– Nie.

– Myślałam, że pan go rozpozna? Proszę się postarać.

– Niech cię szlag, kobieto! Kiedy odnajdziesz mojego syna!?

Inspektor wstała, żałując, że nie może zostać przy ciepłym kominku.

– Jeszcze jedno. Ma pan oryginalne plany tego domu? Chcę sprawdzić rozkład pomieszczeń.

Rickard znowu wzruszył ramionami, ciężko westchnął i podniósł się z fotela. Wyglądał jak niedźwiedź, przebudzony z zimowego snu. Wyjął z szuflady biurka zwinięty w rulon dokument i podał go Lottie.

– Proszę to zatrzymać, już mi nie zależy. – Ponownie westchnął i stanął obok fotela.

– Pomimo tego, że otrzymał pan pozwolenie?

– W tym momencie syn jest dla mnie najważniejszy. Kiedy plany nie będą już pani potrzebne, może je pani spalić. Błagam panią, niech pani odnajdzie Jasona. Proszę potraktować tę sprawę priorytetowo.

Odwrócił się w stronę kominka i wpatrzył się w ogień.

Melanie wróciła do pokoju, niosąc tackę z herbatą. Postawiła ją na stoliku i położyła dłoń na ramieniu inspektor. Lottie widziała w jej oczach ból i niepokój.

Kiwnęła głową, mając nadzieję, że tym samym nieco ją uspokoi, po czym wyszła, zostawiając Rickardów pogrążonych w rozpacz.

## ROZDZIAŁ 90

– Spójrz na to, Kirby. – Inspektor Parker wskazała na rozłożone na biurku plany Domu św. Angeli. – Miałam rację.

– W czym?

Podwinęła rękawy i obrysowała część strony żółtym flamastrem.

– Na drugim piętrze korytarz powinien mieć szesnaście okien. Jednak w środku naliczyłam tylko trzynaście.

– To oznacza...? – Detektyw przeszukiwał kieszenie.

Stuknęła flamastrem o kartkę.

– Że za ścianą są jeszcze trzy okna oraz że mogą tam być dodatkowe pokoje.

– I co z tego?

– To, że dlaczego ktoś miałby odcinać część skrzydła? – zastanawiała się.

– To właśnie chciałabym wiedzieć.

– Myśli pani, że to ma związek z morderstwami?

– Może tak, może nie, ale korci mnie, żeby się dowiedzieć. Mamy adres O'Malleya?

– Przecież to bezdomny.

– No tak... Znajdź go.

Rozejrzała się i zauważyła studiującą tablicę Lynch.

– Coś mi tu nie gra – mruknęła detektyw.

– Mianowicie co?

– Derek Harte, kochanek Browna. Przejrzałam jego zeznania i coś się nie zgadza. Albo kłamał, albo nie powiedział całej prawdy, bo nie mogę znaleźć go w rejestrze nauczycieli.

– Sprawdź to natychmiast.

Lottie nie miała na to czasu. Musiała odwiedzić panią Murtagh. Może ona wiedziała, gdzie zwykle przebywa Patrick O'Malley.

\*\*\*

– Ostatnio go nie widziałam – pani Murtagh zaprosiła inspektor do środka,

przeganiając psa.

W czajniku gotowała się woda, a na talerzu na stole leżał bochenek świeżego chleba.

– Wie pani, gdzie można go znaleźć?

– On może być gdziekolwiek, moja droga. Zazwyczaj spędza noc na Main Street. Czasami sypia za starą stacją kolejową; w wagonach albo w którymś z budynków. Wiesz, tym ze starym tarasem. Dach się w nim zawalił.

Lottie ciężko westchnęła, a pani Murtagh naląła im herbaty.

– Gdzie się podziewa twój chudzielec, detektyw Dottie?

– Mam na imię Lottie. Sierżant Boyd leży w szpitalu. Został ranny podczas służby. – To okropne. Pomodłę się za niego. Co się stało?

– Proszę się tym nie przejmować. – Inspektor sprawdziła godzinę na telefonie. – Powinnam już iść. Dziękuję za herbatę.

– Coś mi się przypomniało. Już wiem, co chciałam pani powiedzieć ostatnim razem.

– Co takiego?

Gospodyni strzepnęła okruszki z talerza.

– Telefon.

– Coś z nim nie tak?

– Nie twój. – Staruszka zawahała się. – Komórka Susan Sullivan. Znalazłam ją.

– Że co? – Uśmiech spelzł z twarzy inspektor. Zaciśnęła pięści. – Gdzie ona jest? To ważny dowód w śledztwie. Dlaczego nie powiedziała mi pani wcześniej?

– Zapomniałam, że ją mam, a teraz nie jestem pewna, czy chcę ją oddać – stwierdziła, zakładając ramiona na piersi.

– Mogę panią oskarżyć o utrudnianie śledztwa. Dzięki temu telefonowi może mogliśmy zapobiec morderstwu.

Wiedziała, że bredzi. Wszystkie dane otrzymali od operatora sieci. Zauważyła zmieszaną minę gospodyni i spróbowała się uspokoić.

– Niech się pani nie martwi. Proszę go oddać, to zapomnę o całej sprawie.

– Nie wiem nawet, czy działa.

– To nie ma znaczenia – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Skąd pani go ma?

– Przypomniałam sobie o nim dosłownie przed chwilą. Susan upuściła go do garnka z zupą. Trzeba byłą ją wyłączyć i ugotować nową. Taki kłopot.

– Kiedy to było?

– W przeddzień morderstwa. Susan poprosiła mnie, żebym włożyła telefon do miski z ryżem i wstawiła ją do suszarki.

– Dlaczego nie zabrała go ze sobą?

– Byłyśmy zajęte, zupełnie o nim zapomnieliśmy. Następnego dnia już nie żyła.

– A pani zatrzymała telefon?

– Przecież mówię, że następnego dnia ją zamordowano – wyjaśniła ze łzami w oczach.

– Trzeba było oddać go mnie.

– Zapomniałam, że go mam. – pani Murtagh podniosła imbryk, ale Lottie nie chciała więcej herbaty.

– Susan nie żyje. Jej tajemnice mogą pomóc wyjaśnić, kto i dlaczego ją zabił. Proszę przynieść ten telefon.

Gospodyni wstała powoli i wyszła do przedpokoju.

– Był bardzo przemoczony. Nie wiem, czy coś w nim znajdziecie. – Oddała telefon.

Pewnie nic, pomyślała Lottie, chowając go do plastikowego woreczka.

– Jest coś jeszcze... – zaczęła pani Murtagh, pocierając czoło.

– Słucham?

– Dom św. Angeli. Susan mówiła, że pracowało tam dwóch księży.

– Proszę kontynuować.

– Była w okropnym stanie, kiedy wróciła ze spotkania z biskupem. Chciała, żeby udostępnił jej archiwa, aby mogła odnaleźć dziecko. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Nie pamiętam, czy pani o tym mówiłam. Powiedziała, że rozpoznała w biskupie księdza, którego spotkała w dzieciństwie.

– Co?

– Mówię tylko to, co od niej usłyszałam.

Lottie nie mogła uwierzyć w to, co mogła oznaczać ta informacja. Susan wróciła do Ragmullin dwa lata temu. Nie mogła spotkać biskupa wcześniej. Czy Connor wie, kim były ofiary? Chociaż może to wcale nie on jest tym drugim księdzem.

– Przez te wszystkie lata Susan i James dbali o siebie nawzajem. Teraz twoja kolej, by się o nich zatroszczyć – rzekła smutno pani Murtagh.

Inspektor Parker wstała, próbując z całych sił opanować wściekłość.



Staruszka zawinęła chleb w folię aluminiową.

– Przykro mi – powiedziała, podając go Lottie.

– Mnie też – odparła, odkładając go na stół. – Jeśli spotka pani Patricia O'Malleya, proszę dać mi znać. – Zanim znowu pani zapomni, pomyślała. – Muszę z nim porozmawiać.

Gospodyni wyglądała, jakby w ciągu kilku minut postarzała się o parę lat. Złapała laskę i odprowadziła inspektor do drzwi.

Lottie nie pożegnała się, wyszła i szybko wsiadła do samochodu Kirby'ego.

## ROZDZIAŁ 91

Sean otworzył oczy. Jego głowa pulsowała od bólu.

Leżał na zimnej podłodze. Chciał usiąść, ale był związany.

Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie był i co się stało? Nasłuchiwał, ale wokoło panowała cisza. Nagle przypomniał sobie mężczyznę, który powalił go na podłogę... Niestety nic więcej nie pamiętał.

Obrócił się, wytrzeszczając oczy w ciemności. Bał się, było mu niedobrze, a po jego ciele przechodziły dreszcze. Poczł w kieszeni wibracje telefonu, ale nie mógł go dosięgnąć. Pomyślał, że jeśli ten drań nie zauważył komórki, to może nie znalazł też noża. Kąciki jego oczu napełniły się łzami. Nie mógł nic zrobić. Był przerażony i bezradny.

Poczł się jak bezbronny mały chłopiec. Skulił się i zaczął płakać.

## ROZDZIAŁ 92

Inspektor Parker krążyła po zatłoczonym biurze. Telefon trafił już w ręce techników. Podeszła do Kirby'ego i streściła mu rozmowę z panią Murtagh.

– Mówiłem, żeby szefowa pozwoliła mi skopać kłamliwą dupę tego klechy – warknął.

– Można słówko? – Lynch odciągnęła Lottie na stronę.

– Zaraz. Muszę zadzwonić do domu.

Wybrała numer Chloe.

– Jak tam?

– W porządku. Sean poszedł do miasta.

– Do miasta? Po co? – zdziwiła się.

– Cały czas jęczał, że chce nowe PlayStation. Może poszedł je kupić?

– Daj mi go.

– Jeszcze nie wrócił. Jest pewnie u Nialla. Pisałam do niego, ale nie odpowiedział.

– Może nie ma nic na karcie?

– Typowe – zaśmiała się dziewczyna.

– Co u Katie?

– Dramatyzuje, jak zwykle. Udało ci się znaleźć Jasona?

– Pracuję nad tym – odparła. – Zadzwon do mnie, jak tylko Sean wróci do domu.

– Jasne.

Inspektor rozłączyła się i zwróciła do Lynch.

– Chciałaś o coś zapytać?

– Chodzi o Dereka Harte'a. Ma pani chwilę?

– Mów.

Lynch przycisnęła do piersi teczkę, którą trzymała, mówiąc:

– Raz jeszcze przejrzałam jego zeznania i sprawdziłam go.

– Słucham.

– Chyba spieprzyliśmy sprawę, pani inspektor. I to nieźle.

– Tylko nie to.

Lottie przysunęła dwa krzesła do kaloryfera. Usiadły, a Lynch zaczęła

przeglądać zawartość teczki na jej kolanach.

– Harte zeznał, że pracował w szkole. Uzналиśmy, że jest nauczycielem.

– Ale to nieprawda, co? – Inspektor wpatrywała się w podwładną. – Na miłość boską!

– Nie jest zarejestrowany w żadnym związku zawodowym. Pracował jako złota rączka. Ostatnim razem w Szkole Podstawowej pod wezwaniem św. Szymona w Athlone. W podaniu o pracę podał fałszywe informacje i adres. Sprawdziłam bazę danych policji i znalazłam go.

– Był skazany?

– Na osiem lat za porwanie i napaść na tle seksualnym na nieletniego. Odsiedział pięć. Zwolniony z więzienia Arbour Hill niecały rok temu.

Inspektor była wściekła. Kto był odpowiedzialny za tak rażące niedopatrzenie? Oczywiście, starsza śledcza Lottie Parker. Z pewnością czekało ją za to postępowanie dyscyplinarne. A Lynch wszystko ujdzie na sucho. Szlag! Dyrekcja szkoły w ogóle nie sprawdziła, kto w niej pracuje. Harte pewnie nie musiał nawet ukazywać policyjnego oświadczenia o niekaralności. To istny koszmar.

– Jezu Chryste! – krzyknęła. – Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz? Taka niekompetencja jest niedopuszczalna. Pomyśleć, że nawet dupkowi współczułam. Zabiję go, kiedy tylko wpadnie w nasze ręce.

– Sprawdziłam adres, który podał. Wynajmuje kawalerkę.

Detektyw podała inspektor zdjęcie skazańca. W niczym nie przypominało tego pogrążonego w żalu człowieka, który znalazł ciało Jamesa Browna. Miał krzaczastą brodę, długie włosy i ciemne, pozbawione wyrazu oczy.

– Masz jakieś dobre wieści? – zapytała, upuszczając zdjęcie na podłogę. Zaczęła kaszleć, czując ucisk w piersi.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Lynch.

Lottie chciała odpowiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Detektyw przyniosła kubek z wodą.

– Co się dzieje? – Podała jej wodę.

Inspektor wypila i poczuła chwilową ulgę.

– Jest pani wykończona – zauważyła Lynch.

Lottie nie potrzebowała jej współczucia.

– To z zimna. Znajdź Harte'a. Weź Kirby'ego i dopadnij tego sukinsyna, zanim nadinspektor Corrigan dowie się o tej wpadce.

– Tak jest.

– Wydrukuj mi wszystko na jego temat. Chcę wiedzieć, z kim mamy od czynienia.

Lynch pospiesznie wyszła, a inspektor Parker wyjrzała przez okno i popatrzyła na katedrę, która lśniła w blasku zachodzącego słońca. Rozbłysnęły uliczne lampy. Już myślała, że wszystko zaczyna się układać w spójną całość. Niestety znowu czekała na nią kolejna przykra niespodzianka.

Wyjęła z biurka srebrny naszyjnik, który znalazła w Domu św. Angeli, włożyła go do kieszeni i zamknęła szufladę.

Musiała porozmawiać z panią doktor nie tylko o swoim przeziębieniu.

## ROZDZIAŁ 93

Annabelle O'Shea jak zwykle wyglądała oszołamiająco. Miała na sobie nienaganną granatową garsonkę i białą koszulę, przez którą prześwitywał czerwony biustonosz. Chce zrobić wrażenie, pomyślała inspektor. Gabinet doktor O'Shea mieścił się na Hill Point. Kiedy Lottie dotarła tam na pieszo, była zalana potem.

– Wyglądasz okropnie. Usiądź. – Annabelle wskazała na krzesło, po czym usiadła na obitym skórą biurku. – Wypisałam ci receptę.

– Nie mam czasu iść do apteki. Nie możesz mi dać kilku pigułek? Tylko na teraz.

– Co się dzieje? – zdziwiła się doktor. Sięgnęła do szafki za biurkiem, wyciągnęła dwa opakowania leków uspokajających i podała je Lottie.

Inspektor przyjęła je z wdzięcznością i schowała do kieszeni, z której wyciągnęła woreczek.

– To należy do ciebie – stwierdziła, wskazując na srebrny naszyjnik. – Wyjaśnij mi, jak znalazł się pod łóżkiem w Domu św. Angeli.

Annabelle zerknęła na wisiołek. Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

– To nie moje – odparła, odsuwając woreczek od siebie.

Inspektor zaniósł się śmiechem, który szybko zmienił się w atak kaszlu.

– Może inni daliby się nabrać na twoje kłamstwa, ale na pewno nie ja.

Doktor przyjrzała się naszyjnikowi.

– Na pewno wiele osób nosi podobną biżuterię.

– Nie mam czasu, ani tym bardziej nastroju na gierki – ostrzegła ją.

Annabelle rzuciła woreczek na biurko, wstała i szybkim krokiem podeszła do drzwi.

– Dostałaś już to, po co przyszłaś.

– Powiedz mi, proszę. Muszę to wiedzieć.

– Nawet jeśli to mój naszyjnik, to nie twój interes, prawda?

– Prowadzę śledztwo, w którym Dom św. Angeli jest bardzo ważnym punktem zaczepnym.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Na miłość boską, Annabelle, gadaj!

– No dobrze, dobrze. Uspokój się.

Doktor O’Shea usiadła. Lottie zrobiła to samo.

– Bywam tam od czasu do czasu. Z kochankiem.

– Kim on jest? – dociekała inspektor. Wyjęła chusteczkę i wydmuchała głośno nos.

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Właśnie, że muszę.

– To Tom Rickard.

– Co takiego?

– Obiecał mi, że odejdzie od żony – tłumaczyła się – kiedy będziemy mieli dość pieniędzy, aby rozpocząć wspólne życie. – Urwała, zamknęła oczy, po czym szeroko je otworzyła. – Szczerze mówiąc, zaczął mnie nudzić.

Lottie parsknęła z obrzydzeniem.

– Nic się nie zmieniłaś. Zawsze bierzesz to, co chcesz.

– Ja nie wyszłam szczęśliwie za mąż tak jak ty.

– A co z Cianem... i twoimi dziećmi?

– O co ci chodzi? Myślisz, że to tylko ja? – Zaśmiała się gorzko. – Uważasz, że jestem jedyną kobietą na świecie, która zdradza męża?

– Suka – wycedziła inspektor, pochylając się nad biurkiem.

– Sama powiedziałaś, że biorę to, co chcę. Wtedy chciałam Toma Rickarda.

– Byłaś z nim w dniu zabójstwa Sullivan i Browna?

– Możliwe. Kiedy to było?

– Dobrze wiesz kiedy. Trzydziestego grudnia.

– Hmm... niech no sprawdzę. – Zajrzała do kalendarza na komputerze. – Tak. Byliśmy wtedy razem. Odwołano jego spotkanie, ja miałam wolne, więc się spotkaliśmy.

– To dlatego nie miał dobrego alibi. Nie chciał cię zdradzić.

– Raczej nie chciał, żeby żona się dowiedziała.

– Mogłaś mi o tym powiedzieć, kiedy rozmawialiśmy o Susan.

– Mogłaś zapytać.

– Cwana jesteś. – Lottie wstała. Miała już dość towarzystwa Annabelle. – Może nawet zbyt cwana.

Doktor milczała.

– Kiedy widziałaś Rickarda po raz ostatni?

– Dwa dni temu. – Wzruszyła ramionami. – Chyba.

– W Domu św. Angeli?  
– Oczywiście.  
– Żal mi cię. Nie jesteś głupia. Masz pieniądze, kochającą rodzinę. Mimo to zachowujesz się jak rozpuszczona gówniara, za jaką zawsze cię uważałam. Do widzenia.

\*\*\*

Lottie oparła się o ścianę budynku kliniki i czekała, aż jej oddech wróci do normy. Tom Rickard oszczędziłby jej sporo kłopotu, gdyby był z nią szczery. Zaczęła iść w stronę posterunku.

Kiedy szła mostem, nad kanałem usłyszała wycie kolejowych syren. Zmarznięta tafla była przyprószona śniegiem, który mienił się w bladym świetle latarni. Za starymi wagonami zauważyła błysk policyjnych kogutów. Pobiegnęła w dół wzgórza, nie zwracając uwagi na świąteczne ozdoby w witrynach sklepów. Przemarzała do szpiku kości, ale pogrążona w myślach, nie zwracała uwagi na zimno.

Na zaśnieżonych schodach prowadzących do posterunku siedział kruk. Miał wielki szary dziób, a jego szpony były dość długie, by wydłubać nimi ludzkie oko. Po kręgosłupie Lottie przebiegł zimny dreszcz.

Kiedy weszła do środka, gwar w centrum koordynacyjnym ucichł.

– Co jest? – rzuciła. Boże, nie, pomyślała, łapiąc się pod zębra. – Coś z Boydem?

– Nie – odparł Kirby, obracając się w krzesło.

– No to co się stało?

– Mamy kolejnego sztywniaka.

– Jason? – Inspektor Parker opadła na krzesło.

– Nie. Zwłoki znaleziono za torowiskiem, w jednym z opuszczonych domów.

– Mam nadzieję, że to nie O'Malley. – Wstała i obeszła biurko. – Był jednym z naszych głównych podejrzanych.

– Ciało leżało tam od kilku dni – poinformowała detektyw Lynch. – Twarz już obgryzły szczury. Nie ma jednej ręki i kilku palców drugiej. Palce u stóp też zostały zjedzone – mówiła, jakby ciało było przedmiotem, ale tylko w ten sposób detektywi mogli poradzić sobie z okropnościami, z jakimi mieli do czynienia.



– Oby to nie był O’Malley – warknęła Lottie. – Pani Murtagh twierdzi, że często tam nocuje. – Walnęła pięścią w biurko. – Wiadomo już, czy to było morderstwo?

– Zapewne zmarł z wychłodzenia – stwierdziła Lynch. – Pojedzie pani na miejsce? Patolog już tam jest. – Nałożyła płaszcz.

Szmer rozmów oznaczał, że policjanci wrócili do pracy.

– Zajmij się tym, ja zostanę tutaj. – Inspektor chwyciła się oparcia krzesła. Miała nadzieję, że to nie było kolejne morderstwo. Śmierć O’Malleya oznaczałaby, że nikt nie odpowie na jej pytania, a sekrety Domu św. Angeli pozostaną nieodkryte.

– Namierzyliście Dereka Harte’a?

– Pod adresem, który podał, nie było go, nie odbiera telefonów – odpowiedziała Lynch, zatrzymując się w drzwiach.

– Znajdźcie go – rozkazała – i sprowadźcie tu Cathala Moroneya.

## ROZDZIAŁ 94

Sean pomyślał, że na dworze musi być już ciemno, bo w pokoju zaczynało robić się chłodniej. Matka na pewno już go szukała, chociaż z drugiej strony, czy w ogóle wiedziała, że zaginął?

Usłyszał kroki za drzwiami i po chwili stanął w nich mężczyzna.

– Jak tam, mój mały? – Jego głos był twardy i szorstki.

– Czego... czego ode mnie chcesz? Gdzie jest Jason? – wyjąkał Sean.

– Ach, ta dzisiejsza młodzież. Taka niecierpliwa. – Nieznajomy zacmokał i wszedł do pokoju.

Poczuł, że sznur i łańcuchy opadają. Mężczyzna podniósł go. Sean wyprostował się, ale kolana znów się pod nim ugięły. Porywacz złapał go pod ramię i wyprowadził z pomieszczenia. Niech drań myśli, że opadłem z sił, pomyślał nastolatek.

Porywacz zatrzymał się przed innymi drzwiami, otworzył je i wepchnął chłopca do środka. W powietrzu unosił się zapach wymiocin. Sean zamrugał, próbując przyzwyczać wzrok do ciemności. Na podłodze leżał skulony Jason. Nie miał na sobie koszulki ani butów, a jego spodnie były rozpięte.

– Chciałeś zobaczyć Jasona. No to patrz. – Mężczyzna podszedł do leżącego chłopaka.

Jason się nie poruszył. Był nieprzytomny, a może martwy? Sean nie wiedział, co myśleć, ale podejrzewał, że nieznajomy planuje zabić ich obu.

Zebrał się w sobie i wybiegł na korytarz. Zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku, zostawiając Jasona na pastwę losu, ale nie miał zamiaru marnować okazji do ucieczki.

Oparł się o drzwi i odetchnął z ulgą. Rozejrzał się i ruszył, by odnaleźć wyjście z budynku. Zrobił jedynie kilka kroków, zanim stanął jak wryty. Porywacz wpatrywał się w niego, a w rękach trzymał sznur.

– Jak... jak...? – wybełkotał Sean. Ze strachu nie mógł nawet drgnąć.

Mężczyzna chwycił go i związał mu ręce. Sean chciał go kopnąć w krocze, ale niestety nie trafił. Pociągnął linę, koncentrując całą energię na ucieczce.

– Przestań – wydyszał nieznajomy, złapał go i obwiązał liną w pasie. Skrępowany Sean oparł się o mężczyznę.

– Skąd się tu wzięłeś? Jak...?

– W pokoju jest dwoje drzwi.

Porywacz otworzył ponownie drzwi i pchnął go do środka.

– Miłego wieczoru – warknął. – Niedługo wrócę.

Sean podpełzł do Jasona, ale ten nie wydał z siebie żadnego odgłosu.

– Wszystko gra, stary?

Chłopak jęknął, jak zwierzę schwytane w sidła. Sean słyszał ten dźwięk tylko raz w życiu, kiedy tata zabrał go na polowanie. Co powinien zrobić schwytany w pułapkę myśliwy? Myśli kłębiły mu się w głowie, więc przełączył ich tor na PlayStation. Odpowiedź mógł znaleźć w wirtualnym świecie – jego królestwie. Zamknął oczy i delikatnie dotknął ramienia Jasona.

– Spokojnie, wydostaniemy się stąd – zapewnił, ale zrobił to bez przekonania.

## ROZDZIAŁ 95

– Czy technicy znaleźli coś w telefonie Susan? – spytała inspektor Parker.

– Jeszcze nad nim pracują – odparł detektyw Kirby. – Ale raczej nie znajdą niczego nowego. Operator przekazał nam wszystkie dane. Połączenia przychodzące i wychodzące miały związek tylko z pracą. Z nikim nie pisała SMS-ów. A Tom Rickard dzwoni do nas co kilka minut.

– Poinformujemy o zaginięciu Jasona w *Wiadomościach*. Masz jego zdjęcie?

– Znalazłem na Facebooku – odparł, wymachując w powietrzu kartką. – Niebrzydki, ale tatuaż mógłby sobie darować. Pani córka z nim chodzi?

– Na to wygląda – ucieła. Nienawidziła pogaduszek. Boyd przynajmniej wiedział, jak poprawić jej nastrój. Bardzo za nim tęskniła. Wzięła więc do ręki telefon, żeby zadzwonić do szpitala, ale nie zrobiła tego, ponieważ w drzwiach pojawił się Corrigan.

– Cathal Moroney jest na dole. Chce z tobą rozmawiać. – Jego palec oskarżycielsko wystrzelił w kierunku inspektor.

– Wszystko w porządku. Kazałam go wezwać w sprawie syna Rickardów.  
– Odłożyła telefon na biurko.

Dziennikarz przecisnął się obok Corrigan i wszedł do biura.

– Jak tu wszedłeś? – Zerwała się z krzesła.

– Posłałem recepcjonistce czarujący uśmiech – odrzekł Moroney.

Corrigan wyszedł, a za nim podążył Kirby. Dziennikarz usadowił się bez pytania za biurkiem Boyda. Inspektor już chciała zaprotestować, ale wiedziała, że lepiej mieć go po swojej stronie.

– Czy dobrze słyszałem, że znaleźliście kolejne ciało? – zaszcebiotał, włączając dyktafon w telefonie. – Mogę pojechać tam z ekipą?

– Za chwilę. Najpierw musisz mi pomóc – powiedziała najuprzejmiej, jak tylko potrafiła. – I wyłącz telefon.

Moroney dramatycznym gestem schował telefon do kieszeni.

– Czym mogę pani służyć?

Lottie podała mu fotografię Jasona Rickarda.

– Nie żyje? – zaciekawiał się.

– Mam nadzieję, że nie. To syn Toma Rickarda, dewelopera, prezesa Rickard Construction. Zaginął i potrzebujemy pomocy w poszukiwaniach. Możesz puścić materiał w wieczornych *Wiadomościach*?

– Czy to ma jakiś związek z morderstwami?

– Z tego, co wiemy, to nie.

– Chłopak ma profile na Facebooku i Twitterze?

– Tak. Monitorujemy media społecznościowe. Byłabym bardzo wdzięczna za pomoc. – Bycie uprzejmą dla Moroneya kosztowało ją sporo wysiłku. Wzięła głęboki oddech i pokazała mu kolejne zdjęcie. – Szukamy też tego człowieka.

– Poznaję go. – Stuknął palcami w fotografię. – Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska. Czy on przypadkiem nie miał brody?

– Nazywa się Derek Harte.

– Ten pedofil z Dublina? Sześć albo siedem lat temu molestował tam jakieś dziecko. Myślałem, że siedzi.

– Niedawno wyszedł na wolność.

– Skazany gwałciciel i zaginiony nastolatek. Pani inspektor, nie urodziłem się wczoraj. Dlaczego szukacie tego typu? – Zaciekawiony dziennikarz pochylił się nad biurkiem.

Lottie musiała uważać na słowa. Nie mogła mu powiedzieć, że Harte jest podejrzanym w sprawie o morderstwo.

– Martwimy się o bezpieczeństwo Jasona Rickarda i musimy namierzyć miejsce pobytu Dereka Harte'a. Możesz nam pomóc czy nie? – Posłała mu słodki uśmiech.

– Jak najbardziej – zapewnił. – Pani twarz ładnie się goi, inspektor Parker.

– Radzę zająć się twarzami ze zdjęć, panie Moroney.

\*\*\*

Kiedy uwolniła się od natrętnego dziennikarza, na korytarzu przed biurem pojawiły się jej córki.

Chloe trzymała w dłoniach pudełko z pizzą i butelkę coca-coli.

– Pomyślałyśmy, że przyda ci się zastrzyk energii. Założę się, że nic dzisiaj nie jadłaś.

– Mówisz jak twoja babcia. – Zaśmiała się. – I jak zwykle masz rację.

Lottie wstała i zaprosiła dziewczyny do środka.

– Gdzie jest Sean?

– Jeszcze nie wrócił – odparła Chloe. – Pewnie jest u Nialla.

Katie wyglądała na zmartwioną. Usiadła za biurkiem sierżanta Boyda i zapytała:

– Mamo, gdzie jest Jason?

– Szukamy go. Nie martw się.

Chloe przycupnęła na krawędzi biurka, za którym siedziała jej siostra.

– Pewnie jara zioło na jakiejś imprezie. Jesteś po prostu zazdrosna, że nie wziął cię ze sobą.

– Dziewczynki, proszę... Jestem zmęczona. Nie kłóćcie się. – Lottie ciężko westchnęła, po czym wyjęła z pudełka kawałek ciepłej pizzy. Była głodna, ale nie miała siły jeść.

Córki wbiły wzrok w podłogę i milczały. Lottie poczuła się winna. Wiedziała, że powinna spędzać więcej czasu w domu. Pomyślała o matkach, które podobnie jak jej własna porzuciły swoje dzieci w Domu św. Angeli. Zastanawiała się, czy ona też jest złą matką.

– Szkoda, że nie ma tu Seana – przerwała ciszę Chloe.

– Na pewno nic mu nie jest – zapewniła ją. – Zadzwoń do niego.

– Zostaw wiadomość, jeśli nie odbierze – poradziła dziewczyna.

– Sean, oddzwoń natychmiast. Jeśli nie masz pieniędzy na karcie, napisz do dziewczyn na Facebooku. Masz na to pięć minut.

– Kiedy się wkurzasz, jesteś bardzo stanowcza, matko – zauważyła Chloe.

– Wcale nie. – Lottie uśmiechnęła się.

– Najpierw Jason, teraz Sean – mruknęła Katie.

– Zamknij się! – krzyknęła Chloe, zamykając pudełko z pizzą.

– Nie gadaj głupot, Katie, jest dopiero siedemnasta. – Inspektor wytarła dłonie w spodnie i zamówiła córkom taksówkę. Powinna zacząć się martwić?

– Myślisz, że Seanowi... mogło się coś stać? – zapytała Katie. – Tak bardzo martwię się o Jasona.

– Nic im nie będzie. Wracajcie do domu. Zadzwoń do babci, żeby do was zajrzała.

– Nie! – jęknęła Chloe. – Damy sobie radę bez niej. Przecież niedługo wrócisz, prawda?

– Mam dużo pracy, ale obiecuję, że zajrzę do was, jak tylko będę mogła.

– Najpierw Jason, teraz Sean – powtórzyła Katie, odchodząc.

Inspektor Parker dostała gęziej skórki. Lepiej, żeby był w domu, kiedy

wrócą dziewczyny, pomyślała. Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Dzwonił ksiądz Joe.

– Oby to było coś ważnego – rzuciła szorstko.

– Chciałem się upewnić, że bezpiecznie wróciłaś do Ragmullin.

– Nie mam teraz czasu. Oddzwonię później. – Rozłączyła się. Miała dość problemów jak na jeden dzień.

Joe zadzwonił ponownie, ale odrzuciła jego połączenie.

– Nie odbierze szefowa? – zdziwił się Kirby, przechodząc przez próg.

– Pilnuj swojego nosa – warknęła.

– Mam wydruk z telefonu Susan Sullivan. Nic nowego. Ale udało nam się odzyskać jej zdjęcia. Niech pani spojrzy. – Podał jej wydrukowaną fotografię.

W domu Susan nie było żadnych zdjęć. Znajdowały się na karcie jej telefonu.

W dłoni trzymała szarą fotografię przedstawiająca małe dziecko o jasnych włosach i wąskich policzkach. Miało zamknięte oczy. Tylko to jej pozostawiono? Jedyne zdjęcie nowo narodzonego dziecka. Skąd je wzięła?, zastanawiała się.

– Co z tym ciałem na torowisku?

– Zabrano je do kostnicy – odparł Kirby.

Lottie ciężko westchnęła, po czym znów rozległ się dźwięk telefonu. Tym razem dzwonił Boyd.

– Coś sobie przypomniałem – wyszeptał.

– Powinieneś odpoczywać.

– Podłączyli mnie do setki rurek i kabli. Nigdzie się stąd nie ruszę.

– To dobrze, musisz szybko wyzdrowieć. Co sobie przypomniałeś?

– Ten, kto mnie napadł, wydawał się znajomy. Był sprawny i silny. Dałem mu niezłego kopa i chyba trafiłem pięścią w szczękę. Nasz podejrzany będzie kulawy i z poobijaną twarzą.

– Ja mam poobijaną twarz – zauważyła.

– I tak wyglądasz lepiej niż on.

– Dzięki, Boyd. Poprawiłeś mi humor.

– To dobrze. Inaczej nie byłbym ci potrzebny. – Zaśmiał się cicho.

– Czy ktoś jeszcze wiedział, że idziesz do księdza Cona?

– Odebrałem telefon na siłowni.

– Na siłowni? Może ktoś podsłuchał naszą rozmowę.

– W szatni było mnóstwo ludzi. Mike O’Brien pożyczyl mi nawet długopis.

– O’Brien cię słyszał?

– Tak, podobnie jak kilka innych osób. Nie wyciągaj pochopnych wniosków tylko dlatego, że facet ma łupież.

– Muszę się dowiedzieć, gdzie był po wyjściu z siłowni – stwierdziła.

– Żałuję, że nie mogę być teraz z tobą.

– Ja też – szepnęła i rozłączyła się.

\*\*\*

Za jej plecami pojawiła się Maria Lynch.

– Mam informacje na temat Dereka Harte’a.

Lottie skinęła głową i pogrążyła się w lekturze. Harte urodził się w 1975. W jej głowie zapaliła się lampka, poprosiła więc o przyniesienie kopii ksiąg z Rzymu.

Lynch rozłożyła kartki na biurku. Inspektor przesunęła palcem wzdłuż rzędów nazwisk, aż w końcu zatrzymała się przy jednym z nich. Obok widniał numer referencyjny. Podniosła głowę.

– O co chodzi?

– Sama nie wiem. – Lottie ponownie sprawdziła datę urodzenia Harte’a.

– Czy to oznacza to, co myślę? – Lynch zerkała jej przez ramię.

– Nie mam pojęcia. – Zamknęła na chwilę oczy.



## ROZDZIAŁ 96

Lottie, widząc Jane Dore wkraczającą do biura, bardzo się zdziwiła.

– Dzień dobry, Jane. Coś cię stało? – Zmarszczyła czoło.

– Skończyłam pracę na torowisku. Pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć.

– Dziękuję – odparła, nie rozumiejąc, dlaczego Dore zadała sobie trud, by poinformować ją o tym osobiście.

– Przeprowadziłam na miejscu wstępne oględziny. Nie widziałam tatuażu na wewnętrznej stronie uda. Ciało jest w oplakany stanie, więc będę miała pewność dopiero po autopsji.

– Co takiego? – Inspektor wyprostowała się na krześle, próbując sobie przypomnieć rozmowę z O'Malleyem. Mogłaby przysiąc, że powiedział jej, że on też ma tatuaż. – Myślałam, że to Patrick O'Malley.

– Ktokolwiek to był, mógł umrzeć z wychłodzenia – stwierdziła Jane. – Chociaż zazwyczaj nie lubię zgadywać. – Patolog uśmiechnęła się i podała jej swój telefon.

– Co to? – zdziwiła się, mrużąc oczy.

– Znalaziono to w pobliżu ciała.

– Nic nie widzę. To zdjęcie jest niewyraźne.

– Zaraz ci je wyślę – powiedziała Jane. – Ciało leżało w okolicy często odwiedzanej przez włóczęgów. Były tam skrzynie, tekturowe pudła, plastikowe butelki, śpiwory. Kryminolodzy znaleźli to w jednym z nich. Uznałam, że chciałabyś to natychmiast zobaczyć.

Lottie otworzyła pocztę i kliknęła załącznik od Jane. Na zdjęciu był napisany odręcznie liścik. Jego treść zmroziła jej krew w żyłach.

– Czy ta wiadomość ma związek z niedawnymi morderstwami? – zapytała patolog, kładąc dłoń na ramieniu Lottie.

– Nie wiem. To może dotyczyć zbrodni sprzed lat. – Inspektor Parker chciała uniknąć dalszych pytań, zaproponowała więc kawę.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała patolog. – Wrócę już do Trupiarni. Tam jest tłoczniej niż w supermarkecie przed Wigilią.

Lottie chciała się zaśmiać, ale nie za dobrze jej to wyszło.

– Jesteś wycieńczona – zauważyła Jane.  
– To był długi dzień. – Ciężko westchnęła, po czym wydrukowała zdjęcie listu.

Kiedy podniosła głowę, patolog już nie było w biurze.

\*\*\*

Inspektor czuła na sobie ciekawskie spojrzenia Kirby’ego i Lynch.

– Co tam jest napisane? – przerwała milczenie detektyw.

Lottie podniosła kartkę i przeczytała:

– *Droga inspektorko, rudzielec od pasa nazywał się Fitzy. Musi pani znaleźć Briana...* – tu tekst się urwał, jakby autorowi złamał się ołówek albo nie miał już siły pisać. Strona była pognieciona, a pismo nierówne.

Inspektor wyciągnęła starą teczkę z szuflady i wsunęła liścik pod zdjęcie chłopca. Zaginął prawie czterdzieści lat temu, ale na fotografii nadal się uśmiechał. Przesunęła palcem po jego piegopatym nosie i zamknęła teczkę. Czy to Fitzy’ego zamordowano w Domu św. Angeli? Modliła się, żeby to nie była prawda. Inaczej ta sprawa stałaby się bardzo osobista.

Pomyślała o Seanie i wybrała jego numer. Niestety nie odebrał telefonu.

– Zamorduję cię, Seanie Parkerze – mruknęła do słuchawki.

## ROZDZIAŁ 97

Mundurowi przyprowadzili mężczyznę na posterunek półtorej godziny po wieczornych *Wiadomościach*. Reportaż Moroneya poruszył mieszkańców miasta i doprowadził do dość przypadkowego schwytania Harte'a.

Inspektor Parker i detektyw Kirby siedzieli w dusznym pokoju przesłuchań. Skazaniec zgodził się na nagrywanie rozmowy i odmówił prawa do adwokata.

– Panie Harte, został pan zatrzymany podczas próby wtargnięcia na teren posesji należącej do zmarłego Jamesa Browna. Czy może nam pan powiedzieć, dlaczego chciał się włamać do tego domu?

Lottie wpatrywała się w niego, z trudem powstrzymując odragę. Harte z głupim uśmiechem na twarzy bez przerwy rozcierał dłonie. Miała ogromną ochotę go uderzyć, ale zamiast tego wyjęła z kieszeni tabletki uspokajające i wzięła jedną do ust. Nie mogła pozwolić sobie na stracenie nad sobą kontroli. Musiała dowiedzieć się, gdzie jest Jason Rickard i dlaczego jej syn się nie odzywa. Zmarszczyła czoło. Powinna była zlecić to przesłuchanie Lynch, ale teraz było już za późno.

Harte milczał, płytko oddychając przez zaczerwieniony nos i obrzydliwie się uśmiechając.

– Nie mam na to czasu – stwierdziła. Odepchnęła krzesło, które trzasnęło o ścianę, i chwyciła Harte'a za koszulę. Kirby zerwał się, gotów do interwencji. Natomiast Harte nie przestawał głupio się uśmiechać. Jego maska opadła, ukazując oblicze sadystycznego zwyrodnialca. Lottie zacisnęła pięść i uderzyła go w szyję.

– To znęcanie się – wydyszał. – Może jednak wezwę tego adwokata.

Uderzyła go ponownie, tym razem jeszcze mocniej. Gdyby był przy niej Boyd, natychmiast by ją odciągnął, a potem śmialiby się z tej sytuacji przy kuflu piwa.

Potrząsnęła skazańcem ostatni raz i odepchnęła go na krzesło. Nie mogła usiedzieć w miejscu, ale w pomieszczeniu było zbyt ciasno, by się po nim przejść. W dodatku Kirby zajmował większość wolnej przestrzeni. Nie pozostało jej nic innego, jak podnieść krzesło i usiąść.

– Gdzie jest chłopak? – wycedziła, próbując z całych sił powstrzymać chęć uduszenia Harte’a.

– Chłopak? Nie wiem, o co ci chodzi – wycharczał.

– Lubisz małych chłopców, co nie? Nastolatków, takich jak on. – Rzuciła na stół zdjęcie Jasona.

Zerknął na nie, a potem szybko podniósł wzrok.

– Nie znam go.

– Jakoś ci nie wierzę. – Schowała fotografię. – To ty rozwiesiłeś plakaty w sypialni Browna?

– Odmawiam komentarza.

– Po co się z nim zadawałeś?

– Nie twój interes.

– To jest mój interes. Mam interes w tym, żeby aresztować cię za morderstwo.

– Aresztuj sobie, niech ci ulży. I tak nie macie żadnych dowodów – wycedził, stukając palcem w stół. – Ja tego nie zrobiłem.

– Brown nie pasuje do profilu twoich ofiar. Nie był ślicznym małym dzieckiem. Dlaczego umawiałeś się ze starszym facetem? Miał coś, na czym ci zależało? Pieniądze? Informacje?

– Pieprzysz bez sensu. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Założył ramiona na piersi.

– Po co ta szopka z udawaniem nauczyciela?

– Nigdy nie powiedziałem, że nim jestem.

– To powiedz mi z łaski swojej, dlaczego chciałeś się dzisiaj włamać do domu Browna?

– Nie chciałem się włamać, tylko wejść. Wiedziałem, gdzie chowa zapasowy klucz, ale go tam nie było. Spróbowałem wejść od tyłu, a potem oknem. Nie pomyślałem, że mogliście zabrać klucz i włączyć alarm.

Przyglądała mu się bardzo uważnie. Jak to możliwe, że teraz wygląda inaczej? Była wściekła na siebie, że dała się nabrać. Wcześniej myślała, że był z nią szczery.

– Masz okazję wszystko wyjaśnić – rzekła.

– Jeśli to nie jest problem, teraz jednak wolałbym zeznawać w obecności adwokata.

– Panie Harte, mogę pana oskarżyć o utrudnianie śledztwa i zrobię to. To ostatnia szansa.

Przez jego twarz przetoczyła się lawina emocji. Opadł na krzesło. Wyglądało na to, że podjął decyzję.

– No dobra. Co będę z tego miał?

– Zależy, co mi powiesz.

– Dostanę kawy?

Chciała mu odmówić, ale myśl o chwili wolności od towarzystwa Dereka Harte'a była kusząca.

– Jasne – mruknęła. – Dokończymy przesłuchanie po przerwie. – Wyłączyła sprzęt nagrywający. Była wściekła i potrzebowała świeżego powietrza.

\*\*\*

Zapaliła papierosa, mocno się zaciągając. Stała oparta o szybę kiosku, a słowa Harte'a nie dawały jej spokoju.

Daszek wystawy sklepowej zapadał się pod ciężarem śniegu. Lottie z nudów zaczęła liczyć czerwone samochody. Grupa młodych chłopców stała na rogu po drugiej stronie ulicy. Ich wesołe okrzyki przypomniały jej o Seanie. Spojrzała na telefon: nadal nie oddzwonił. Wybrała więc numer do Chloe.

– Nie, jeszcze nie wrócił – odpowiedziała. – Katie doprowadza mnie do szału.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Spróbuj zadzwonić do Nialla albo innych przyjaciół Seana.

– Jakich przyjaciół?

– Po prostu zrób, o co cię proszę.

To było do niego niepodobne. Lottie poczuła, że jest jej niedobrze. Potrząsnęła głową, aby odpędzić czarne myśli. W mieście źle się działo.

Naciągnęła kaptur i dostrzegła w szybie swoje odbicie. Wyglądała jak zjawą. Wróciła szybko na posterunek. Harte to jej następny cel. Była gotowa.

\*\*\*

Inspektor Parker przestępowała z nogi na nogę, wiedząc, że jeśli cymś się nie zajmie, to rzuci się na siedzącego przed nią mężczyznę.

– A zatem, panie Harte, co ma pan nam do powiedzenia?

– Chwila, chwila – przerwał jej. – Zanim zacznę mówić, chcę mieć gwarancję, że o nic mnie nie oskarżycie. Nie chcę wracać do pierdła.

Zwlekała z odpowiedzią. Nie miała zamiaru składać żadnych obietnic.

– Chyba lepiej opowiem wam, co wiem – westchnął.

Lottie zerknęła na Kirby’ego, który kiwnął głową. Chciała mieć pewność, że wszystko się nagrywa.

– Zadzwoił do mnie ksiądz z Rzymu, niejaki Angelotti.

Inspektor usiadła ze zdziwienia. Nie spodziewała się, że z jego ust padnie nazwisko zamordowanego księdza.

– Twierdził, że ma dla mnie jakieś informacje. Gadał coś, że mnie adoptowano i że matka biologiczna chce się ze mną spotkać. – Rozejrzał się nerwowo po pokoju.

– Mów dalej.

– Wiedziałem o adopcji, ale nie rozmyślałem o tym za bardzo. Kiedy do mnie zadzwonił, zaciekało mnie to. – Nadal nie mógł skupić wzroku.

– Jako niemowlę oddano cię do Domu św. Angeli – wyjaśniła Lottie. Widziała jego nazwisko w księgach z rzymskiego archiwum. – Chcesz mi wmówić, że jesteś synem Susan Sullivan?

– Trudno w to uwierzyć, co nie? Mnie też zajęło to trochę czasu. Ale ten księżulo wydawał się przekonany. Powiedział, że przyjedzie do Irlandii pod koniec roku. Z dowodem.

– Jak cię odnalazł?

– Ponoć doszły go słuchy, że jakaś kobieta szuka dziecka. Po dacie, którą mu podała, dotarł do jakichś starych akt adopcyjnych czy coś takiego. Tak przynajmniej twierdził.

– Ładna historyjka – zadrwiła, ale w myślach zobaczyła kopie ksiąg, leżące na jej biurku. Wstała i znowu zaczęła dreptać w kółko.

– Mówię, co wiem. Siedziałem pięć lat, moje nazwisko pojawiło się *Wiadomościach*. W tym kraju nietrudno znaleźć faceta na warunkowym. – Uśmiechnął się krzywo.

Lottie przeszedł dreszcz. Ksiądz Angelotti był lepszym śledczym niż ona. Dlaczego szkoła, w której pracował Harte, nie sprawdziła, czy nie był karany? Przez tak fatalną pomyłkę ktoś wpadnie w niezłe szambo.

– Zdradził mi jej nazwisko. A jak przy tym przeproszał. Że niby nie powinien tego robić i tak dalej.

– Spotkałeś się z nim?

– Nie – odparł, unosząc głowę. Jego rozbiegane oczy były puste. – Miał przyjechać do Irlandii. Zapytał, czy chciałbym spotkać się z matką. Chciał znać moją odpowiedź, zanim z nią porozmawia. Było mi wszystko jedno.

– Czyli jednak się z nim widziałeś?

– Nie widziałem. Nigdy. Ani go nie zabiłem. Nie wiem, co jeszcze chcecie usłyszeć.

– A w jakich okolicznościach spotkałeś Jamesa Browna?

– Przypadkiem.

– Nie wierzę – stwierdziła Lottie.

Harte zdawał się obmyślać nowy plan.

– Okej – westchnął. – Ksiądz powiedział, że prośbę o odnalezienie mnie złożył w imieniu tej kobiety niejaki James Brown. Poszperałem tu i ówdzie. Znalazłem ją, Susan Sullivan. Pracowała w radzie miejskiej w Ragmullin. W Internecie znalazłem jej miejsce pracy, poznałem imiona współpracowników. Wyszukałem kilkoro z nich. Na Browna wpadłem na serwisie randkowym. To prawda, naprawdę się polubiliśmy. Było mi przykro, kiedy się dowiedziałem, że zginął.

– Kłamiesz – stwierdziła krótko inspektor. – Skoro był ci tak bliski, to dlaczego go zabiłeś?

Zaśmiał się:

– Można mi wiele zarzucić, pani inspektor, ale nie jestem mordercą.

– Kontaktowałeś się z Susan?

– Nie. Zostawiłem to księżulkowi.

Lottie spacerowała od ściany do ściany. Zmęczenie zaczynało dawać o sobie znać. Spojrzała na Kirby'ego. To przesłuchanie prowadziło donikąd.

– Za dużo tych zbiegów okoliczności. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – stwierdził detektyw, przerywając ciszę, która zapadła w pokoju.

– Wiem, że byłem w Domu św. Angeli. Możecie to potwierdzić. Nie miałem powodu, by kogokolwiek zabijać.

Chociaż jedno się zgadza, pomyślała inspektor:

– Dlaczego chciałeś wejść do domu Browna?

Harte przygryzł wargę. Zastanawiał się, co powiedzieć? Oby tym razem był szczery.

– James trzymał w domu pieniądze, tak samo jak Susan.

– Jakie pieniądze? – Lottie usiadła.

– Szantażowali kogoś. Nie powiedział mi kogo, więc nawet nie pytajcie.

Któregoś wieczoru wygadał się, że poza przelewami na konto dostali też gotówkę. Nic więcej nie powiedział i prosił, żebym nie pytał.

– Uważaj, bo ci uwierzę – zaśmiała się inspektor. – Gdzie są teraz te pieniądze?

– Nie wiem. Gdzieś w domu.

Kiedy zaczęła świdrować go wzrokiem, powiedział:

– No dobra, są na lustrze nad łóżkiem.

Inspektor Parker spojrzała na detektywa Kirby'ego. Kolejne przeoczenie.

– A gotówka Susan? Wiesz, gdzie ją trzymała?

– Przecież ją pani znalazła, prawda?

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy to on ją napadł. Spuścił wzrok, by nie patrzeć na jej poranioną twarz.

– Tyyy....! – Lottie skoczyła na niego przez stół. Nogi krzesła zgrzytnęły o podłogę, kiedy Harte cofnął się pod ścianę.

– Kobieto, opanuj się. Nie mogłem wejść do środka, bo domu pilnowały psy. Zobaczyłem, jak wychodzisz. Pomyślałem, że znalazłaś pieniądze, więc za tobą poszedłem.

Kompletnie straciła nad sobą panowanie. Wbiła palec w pierś skazańca, który opierał się o ścianę.

– Ty sukinsynu... – warknęła. Kirby chwycił ją za łokieć.

– Nie chciałem cię aż tak poszarpać. Ale przecież nic ci się nie stało, co nie?

– Skąd wiedziałeś o moich dzieciach?

– Zgadywałem – wysapał. – Musiałem cię nastraszyć, żebyś myślała, że rabuś to morderca.

– No to ci się, kurwa, udało! – ryknęła, waląc go w klatkę piersiową.

– Przecież cię nie zabiłem. Ani nikogo innego.

Usiadła, a kiedy Harte zrobił to samo, złapała go za ramię i wykręciła, aż zaskomlał z bólu.

– Jesteś małym, nędznym skurwielem – wycedziła przez zęby.

– Myśl sobie, co chcesz – odparł, odzyskując arogancki ton. Zerknął na kamerę pod sufitem.

Lottie puściła jego ramię.

Kirby wiercił się na krześle – wiedziała, że też chce dołożyć Harte'owi. Jeśli mówił prawdę, to zabójcą był ktoś inny. Tylko dlaczego miałaby mu wierzyć?



– Gdzie jest Jason Rickard? – zapytała.

– Nie wiem, o kim mowa – upierał się skazaniec.

Inspektor odetchnęła ciężko, wyłączyła sprzęt nagrywający i wyszła z Kirbym, zostawiając Harte'a samego.

## ROZDZIAŁ 98

Inspektor Parker wraz z detektywami przyglądała się zdjęciom wiszącym na tablicy w centrum operacyjnym.

– Aresztujemy tego dupka za włamanie i napaść na tle rabunkowym. O co możemy go oskarżyć? No dalej, ludzie, myślcie!

– Nie mamy dowodów na to, że Harte kogoś zabił – zauważył Kirby.

– Jason Rickard nadal się nie odnalazł. Jeśli go porwano, to z jakiego powodu?

No i gdzie jest mój Sean, pomyślała. Miała nadzieję, że wrócił już do domu. Ignorując zimny dreszcz, który przebiegł jej po plecach, podeszła do biurka i przejrzała zdjęcia ksiąg z Rzymu. Sprawdziała daty i nazwiska, tak naprawdę nie zwracając na nie uwagi. Próbowwała sobie przypomnieć opowieść O'Malleya, który w całej tej sprawie był coraz bardziej podejrzany.

– Kiedyś w Domu św. Angeli popełniono morderstwo – powiedziała. – Jeśli się nie mylę, ktoś pozbywa się kolejnych świadków tej zbrodni. Nie wiem, co Jason i ksiądz Angelotti mają z tym wspólnego, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Mam raport mundurowych, którzy rozmawiali z taksówkarzami. W Wigilię żaden z nich nie miał kursu pod adres Browna – poinformował Kirby.

– Angelotti nie mógł dojść tam na piechotę. Nie w taką pogodę – stwierdziła Lottie. – Musiał mieć transport.

– Myśli szefowa, że to zabójca go podwiózł? – zapytał detektyw.

– Możliwe. I to bardzo. Trzeba będzie jeszcze raz przesłuchać biskupa Connora. Drań nie był z nami szczery. – Inspektor podniosła torebkę. – Poza tym musimy znaleźć Mike'a O'Briena. Boyd mówił, że mógł podsłuchać naszą rozmowę o księdzu Conie.

– Bawimy się teraz w teorie spiskowe? – zastanawiał się Kirby.

– Ktoś musi naładować mi akumulator.

– Zajmę się tym.

– Najpierw chcę się rozejrzeć na torowisku. – Lottie włożyła starą teczkę do torebki.

– Sean się odezwał?

Pytanie Lynch sprawiło, że inspektor zatrzymała się w drzwiach.

– Która godzina?

– Za dwadzieścia ósma.

– Kirby, to numer komórki mojego syna. Zapytaj techników, czy mogą ją namierzyć.

– Się robi.

– Staram się nie martwić – westchnęła – ale to do niego niepodobne. Lepiej pójdę go poszukać. – Nie wiedziała już, co ma robić.

– Proszę się nie niepokoić – pocieszyła ją Lynch. – Dam znać drogówce, żeby się za nim rozglądali. Znajdziemy go. Ma pani kontakt do jego znajomych?

– Chloe już do nich dzwoniła, ale spróbujcie jeszcze raz. Poda wam numery telefonów. – Z trudem powstrzymywała łzy. – Namierzcie też O'Briena.

Nagle zadzwonił telefon inspektor. Na wyświetlaczu pojawiło się imię księdza Joe.

– Nie teraz – rzuciła i rozłączyła się. – Może będzie lepiej, jeśli zostanę na posterunku. Sean może mnie tu szukać.

– Jeśli przyjdzie, natychmiast panią powiadomię – zapewniła Lynch.

– No dobrze. – Ciężko westchnęła. – Czas brać się do pracy.

Nie mogła przestać się martwić o Seana. Była przerażona i bardzo zmęczona. Zajrzała do torebki, szukając pigułek, po czym przypomniała sobie, że jedną przed chwilą wzięła.

Wyjęła z torebki naszyjnik i rzuciła go na biurko.

– To alibi Toma Rickarda – powiedziała. – Ruchy, Kirby. Mamy mnóstwo roboty.

## ROZDZIAŁ 99

Jim McGlynn i jego zespół nadal pracowali w jednym z pozbawionych dachu domów przy stacji kolejowej.

Inspektor Parker rozejrzała się dookoła. Jedynymi śladami życia w tym miejscu byli krzątający się kryminolodzy. Pozdrowiła ich, po czym wyszła na zewnątrz i włączyła latarkę.

– On musi gdzieś tu być – mruknęła, przetrzepując śmierdzące śpiwory.

– Nie sądzę – burknął Kirby, trzymając się z daleka od szalejącej Lottie.

Nagle usłyszeli krzyk.

– To mnie szukacie?

Odwróciła się i upuściła na ziemię koc. Przed nimi stał Patrick O'Malley. Trzymał ręce w kieszeni i wyglądał o wiele lepiej niż ostatnio.

– Gdzie pan był? – Inspektor podeszła do niego.

– Próbowałem poskładać życie do kupy – odpowiedział.

Lottie chwyciła O'Malleya za łokieć i pociągnęła za sobą do samochodu. Miała dość smrodu wydobywającego się ze starych wagonów. Był tak intensywny, że drapał ją w gardło. Przyspieszyła kroku.

O'Malley oparł się o drzwi auta.

– Niech pan wsiada, jest zimno – zaproponowała i dołączyła do niego na tylnym siedzeniu.

Kirby usiadł na miejscu kierowcy, żując cygaro i obserwując ich w lusterku. Bezdomny był ogolony i miał na sobie czyste ubranie.

– Gdzie pan był? – powtórzyła pytanie.

– Przyjęli mnie w schronisku na Patrick Street.

– Dlaczego nie poszedł pan tam wcześniej?

– Nie chciało mi się, miałem wszystko w dupie. Ale... po tym, co spotkało Susan i Jamesa... coś się zmieniło. – Urwał. – Inspektorko, jestem im winny to, żeby zacząć normalnie żyć. Zacząć od nowa.

– Panie O'Malley, powinnam pana zabrać na posterunek i przesłuchać.

– Proszę bardzo. Nie mam nic do ukrycia.

Inspektor przyjrzała mu się uważnie. Na jego twarzy nie było widać winy ani strachu.

– Ten liścik – zaczęła. – Znaleźliśmy go w śpiworze. To pan go napisał, prawda?

– Ano tak – odparł. – Zacząłem go, ale nie skończyłem. Zdecydowałem, że pora wziąć się w garść. Nie wróciłem tutaj po rzeczy, zresztą nie były wiele warte.

– Więc co pan tu teraz robi?

– Słyszałem, że znaleziono ciało. Przyszedłem tylko popatrzeć, to wszystko. To chyba stary Trevor. Zamarzł, kretyn jeden.

– O czym chciał pan napisać?

– Zacząłem sobie przypominać różne rzeczy. To znaczy po naszej rozmowie. Myślałem, że teraz przyjdą po mnie. Nie śpieszno mi na tamten świat, więc zebrałem się, uczesałem i przysiągłem, że nie poddam się bez walki. Jak mały Fitzy.

Lottie wyjęła z torebki teczkę i pokazała zdjęcie chłopca.

– Czy to on?

O'Malley podrapał się w brodę.

– Nie wiem, inspektorko. To było wiele lat temu.

– Sądzi pan, że to może być Fitzy?

Przyjrzał się jeszcze raz piegowatej twarzy ze zdjęcia.

– Nie jestem pewien.

– Kiedy doszło do morderstwa, o którym pan mówił? W którym roku?

– Niewiele pamiętam. Za dużo piłem. Ale to była noc Czarnego Księżyca, w siedemdziesiątym piątym albo szóstym. Zaraz po świętach, więc pewnie w styczniu.

– Czarny Księżyc – powtórzyła.

– Dwa nowie w jednym miesiącu – dodał Kirby.

– Kiedy zło wypełza na powierzchnię.

Słowa O'Malleya zmroziły Lottie krew w żyłach.

– Nie mam pojęcia, co o panu sądzić. Czy zabił pan Susan, Jamesa i księdza Cona?

– Jak pani może... Że niby ja mógłbym coś takiego zrobić?

– To oczywiste, że wszystko, co się do tej pory wydarzyło, ma związek z Domem św. Angeli. – Lottie wzruszyła ramionami. – Pan też. Znał pan Susan i Jamesa. A także księdza Cona. Wszyscy troje nie żyją, został tylko pan.

– Jest jeszcze Brian...

– Próbowaliśmy się czegoś o nim dowiedzieć, ale bardzo możliwe, że zmienił imię. Może mi pan cokolwiek o nim powiedzieć?

– Tamtej nocy widziałem go po raz ostatni.

– Rozumiem, a czy spotkałeś kiedykolwiek biskupa Connora?

Śmiech bezdomnego przerodził się w atak kaszlu.

– Powiedziałaś coś zabawnego? – zdziwiła się.

– Tak! Ja? Czy znam biskupa? Jestem włóczęgą. Dlaczego miałby się zadawać z kimś takim?

– Rozumiem, że nie.

– No jasne, że nie – burknął. – I w dodatku...

– W dodatku co, O'Malley? – warknęła. Traciła cierpliwość do jego zagadek.

– Niech pani robi swoje, inspektorko – rzekł. – Niech pani robi swoje i zostawi mnie w spokoju.

\*\*\*

– Mike O'Brien jest następny na liście. – Lottie patrzyła, jak bezdomny oddala się w kierunku wzgórza. Nie sądziła, aby był zdolny do morderstwa. Ale z takimi jak on, skrzywdzonymi ludźmi o nieznanym przeszłości, wszystko było możliwe.

– Pozwoli mu pani odejść? – zdziwił się Kirby.

– Nie mam go za co przymknąć – odparła. – Poza tym nie byłby w stanie udusić kota, nie mówiąc już o trojgu dorosłych ludzi.

Krótką chwilę ciszy przerwał telefon od Lynch.

– Cholera – zaklęła i zakończyła rozmowę.

– Co znowu? – zapytał, uruchamiając samochód.

– Ani śladu Seana. Muszę go znaleźć. Poza tym Lynch nie namierzyła jeszcze O'Briena. Nie ma go w domu ani na siłowni.

Nadal obserwowała O'Malleya, który przeszedł przez most. Wydawał się mniejszy, jakby ciężar, który przytłaczał go przez całe życie, opadł na jego ramiona.

Wątpiła czy uda mu się odbudować życie, ale życzyła mu szczęścia.

Oboje go potrzebowali.

## ROZDZIAŁ 100

Było ciemno. „Jak w mysiej dziurze” – tak mówiła jego matka. Sean czuł oddech Jasona na ramieniu. Było mu bardzo niewygodnie i chciał iść do toalety. Nie miał pojęcia, jak długo byli sami. Nagle Jason drgnął.

– Nie śpisz? – zapytał Sean.

– Nie... Co jest grane?

Sean wstał, próbując uwolnić związane ręce.

– Kim jest ten świr?

– Nie wiem, ale już go gdzieś widziałem. To wszystko jest takie popieprzone – cicho wyjęczał.

– No dalej, stary. Musisz się ruszyć, bo inaczej nic nie zdziałamy.

– Co zdziałamy? Nic nie możemy zrobić, w tym cały problem.

– Nie zamierzam się poddać. Wydostaniemy się stąd.

– Nie mamy szans – upierał się Jason.

Sean wiercił się i skręcał tak długo, aż w końcu lina opadła. Przeszedł wzdłuż ściany i wymacał klamkę. Napierał z całych sił na drzwi, niestety na próżno. Ruszył do drugich, jednak i te były zamknięte. W pokoju nie było okna. Pogrzebał w kieszeniach spodni i wyciągnął nóż.

– Mam scyzoryk – powiedział.

– I co zrobisz? Podetniesz sobie żyły?

– Daj spokój. No dalej, co dwie głowy, to nie jedna. Trzeba się zastanowić.

– Nie mam siły myśleć.

Podszedł do Jasona i kopnął go w zębra.

– Bez ciebie nie dam rady.

– Co?

– Przecież z tej sytuacji musi być jakieś wyjście, przynajmniej spróbujmy. To ty powinieneś być mądrzejszy.

– Skoro jestem taki mądry, to jakim cudem znalazłem się w tej sytuacji?

– Proszę cię... wymyśl coś – błagał Sean. – Musimy mieć jakiś plan.

Jason usiadł, po czym Sean rozwiązał go.

– No dobra. Przynajmniej zginiemy w walce. – Jason odchrząknął.

Sean rozłożył kilka ostrzy scyzoryka, a potem wyciągnął najdłuższe z nich

i schował pozostałe.

– Nigdy nie miałem okazji go użyć. Aż do dzisiaj.

– Dobrze, musimy wymyślić plan.

Na te słowa Sean lekko się uśmiechnął i schował scyzoryk do kieszeni.

– Tak, plan bitwy.



## ROZDZIAŁ 101

Biskup Connor przyglądał się Mike'owi O'Brienowi siedzącemu na brzegu fotela. Bankier wyglądał na zmęczonego, a jego oczy były pozbawione wyrazu. Za to duchowny czuł się wyśmienicie.

- Gdzie jest Rickard? Powinien tu być.
- Dzwoniłem do niego, ale nie odbiera – poinformował O'Brien.
- Wniosek przeszedł bez problemu – oświadczył Connor. – Dunne wywiązał się z umowy, musimy dopilnować, aby Rickard zrobił to samo.
- Nadstawiam za was kark.
- Na Toma można liczyć. Dostaniesz swoje pieniądze.
- Widziałem wyciągi z jego konta. Niezły bajzel – mruknął bankier.
- O czym ty mówisz? – Duchowny wyprostował się.
- Od miesiący wysyłałem fałszywe dane do centrali. Zawarliśmy umowę. Nie wiem, jak długo będę mógł to ciągnąć. Ktoś w końcu odkryje tę manipulację i wtedy zaczną się kłopotliwe pytania.

Connor posłał mu groźne spojrzenie.

- Ja też chcę dostać swoje pieniądze. Dlaczego go tutaj nie ma? Nasz plan wkracza w kluczową fazę, a on nie odbiera telefonu!

Dyrektor banku wzruszył ramionami.

- Jak szybko jego firma może przystąpić do rozbiórki tej rudery? – Biskupowi zależało na pozbyciu się tego budynku.

- Okres oczekiwania na apelację potrwa jakiś miesiąc, może dłużej.
- Co? Kolejny miesiąc? – Policzki Connora zapłonęły czerwienią. Podniósł szklanę wody do ust i opróżnił ją jednym łykiem.

- Tak działa system – rzekł O'Brien. – Poza tym tego budynku nie można zburzyć. Jest wpisany do Krajowego Rejestru Zabytków czy czegoś podobnego.

- Wiesz, że żartowałem. Chociaż miło byłoby obrócić go w gruzy.
- Trudno ukryć sekrety z przeszłości, prawda? – Patrzył na biskupa przez przymknięte powieki.
- Jak tylko pozbędziemy się tego domu, wszystkie sekrety przepadną wraz z nim. Po renowacji to będzie wspaniałe miejsce – stwierdził, widząc oczami

wyobraźni sto dwadzieścia cztery pięknie urządzone pokoje, pole golowe z osiemnastoma dołkami i dożywotnie członkostwo w klubie.

– O ile będziemy dysponować wystarczającą ilością pieniędzy – zauważył bankier.

– Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie.

– Firma Rickarda tonie w długach. Jeśli chociażby jeden bank upomni się o ich spłatę, wszystko trafi szlag. Facet będzie bankrutem.

Biskup zadzwonił do dewelopera.

– Rickard, dobrze by było gdybyś się z nami spotkał. Parę rzeczy trzeba wyjaśnić. – Po chwili popatrzył na telefon. – Rozłączył się!

– Dopilnuj, żebym dostał moją część pieniędzy – O'Brien wstał, gotowy do wyjścia.

– A ty dokąd? Jeszcze nie skończyliśmy.

– Mylisz się. Ja już skończyłem.

## ROZDZIAŁ 102

Kiedy Tom Rickard przerwał połączenie, jego żona Melanie zeszła po schodach i postawiła walizkę w korytarzu. Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał zdziwiony.

– *Ja* nigdzie się nie wybieram – syknęła przez zaciśnięte zęby.

– Proszę cię, Mel... – wyszeptał, ale przerwała mu w pół słowa.

– Nawet nie zaczynaj. Czuję jej perfumy za każdym razem, kiedy wracasz do domu ze swoich nocnych eskapad. Nasz syn zaginął. Mam tego dosyć, Tom, serdecznie dosyć!

Westchnął ciężko i założył płaszcz.

– Czyli to koniec, tak?

– Sam jesteś sobie winien.

– Ale przecież... Jason... musimy go odnaleźć – mówił, chaotycznie gestykułując rękami.

– To przez ciebie uciekł z domu. Wynocha!

Odepchnęła go na bok i weszła do salonu, głośno stukając szpilkami o posadzkę. Rickard spojrzał na to wszystko, w co włożył mnóstwo ciężkiej pracy, i zrozumiał, jak puste było jego życie. Wziął walizkę i wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Wiedział tylko jedno, że musi odnaleźć syna.

\*\*\*

Mike O'Brien nie był zadowolony z tego, jak przebiegło spotkanie z biskupem. Jeździł po mieście jak wariat. Był zagubiony bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. A to nie wróżyło dobrze.

Tom Rickard pokrzyżował jego wszystkie plany. Ale czy mógł winić tylko jego? Przecież sam też dał się zastraszyć biskupowi. Powinien być silniejszy w obliczu przeciwności, ale nie potrafił. Zawsze był słaby.

Zaparkował przed domem dewelopera. We wszystkich oknach paliło się światło, rzucając złote promienie na śnieg. Co mógłby mu powiedzieć? Że

przeprasza za to, co zrobił i co zamierza zrobić?

Najwyższy czas wyjść z cienia i zostawić po sobie ślad, pomyślał, po czym dodał gazu i odjechał.

\*\*\*

Biskup Terence Connor przeczesał palcami włosy. Spotkanie potwierdziło jego obawy. Rickard planował go wydymać.

Krążył między ścianami jak lew w klatce. Wiedział, że zaszedł zbyt daleko, aby teraz wszystko stracić. Stawka była zbyt wysoka i nie zamierzał poddać się bez walki. Dom św. Angeli był mu to winien.

Założył buty i narzucił płaszcz.

Poczuł zimno w kościach, zwiastujące, że czeka go długa noc. Wyszedł na dwór, wszedł do samochodu i odjechał.

\*\*\*

Ściany celi zdawały się walić mu na głowę. Derek Harte czuł, że się dusi. Potrzebował wody. Nie mógł zostać w tym miejscu ani minuty dłużej.

Spędził w więzieniu pięć lat i nie miał zamiaru tam wracać. Całe jego życie było pasmem złych decyzji, a najgorszą była ta podjęta przez jego matkę, że suka wydała go na świat. Miał nadzieję, że była nią Susan Sullivan. Inaczej musiałyby ją odnaleźć i zabić.

– Wypuście mnie stąd! – wrzeszczał, a jego głos odbijał się od zimnych ścian. – Wypuście... wypuść... cie...

Zwinął się w kłębek na podłodze i wył, przeklinając swój zaszraną żywot.

\*\*\*

Patrick O'Malley długo wpatrywał się w zamarznąłą rzekę. W niektórych miejscach lód zaczynał pękać. Uliczne lampy rzucały cienie o dziwnych kształtach, a śnieg wciąż padał.

Marzył o drinku. Dwa dni bez alkoholu sprawiły, że czuł się gorzej niż kiedykolwiek w życiu. Chociaż nie. Najgorzej się czuł w noc Czarnego Księżyca. Nigdy wcześniej nie zaznał takiego strachu jak wtedy. Powróciły wspomnienia o Fitzym, piegowatym rudzielcu błagającym o życie. I nagle zaczął przypominać sobie jego twarz. Czy na zdjęciu, które pokazała mu

inspektorka, naprawdę był Fitzy? Potrząsnął głową, bo nie miał pewności.

W lśniącej krze zobaczył kolejny obraz. Razem z Susan i Jamesem wyglądał przez okno, kiedy zmiażdżone ciało Fitzy'ego wrzucano do dołu w ziemi.

Otworzył oczy, ale obraz nie zniknął, był wciąż bardzo wyraźny. Zobaczył twarze dwóch mężczyzn, a dawny strach powrócił, silniejszy niż kiedykolwiek.

Chciał się napić... Tak bardzo pragnął o tym zapomnieć.

Jednak po chwili postanowił, że najpierw opowie inspektor Parker wszystko, co wie.

## ROZDZIAŁ 103

Lottie rozmawiała przez telefon, przemierzając z góry na dół schody przed posterunkiem.

– Wiem, Chloe, robię, co w mojej mocy. – Rwała włosy z głowy, zastanawiając się gdzie był jej syn.

– Matko... mammo... błagam cię... musisz go odnaleźć.

– Znajdę go, przysięgam. – Lottie drżała na całym ciele. Zakończyła rozmowę i zadzwoniła do matki z prośbą, by zajęła się dziewczynkami.

Już miała wejść na posterunek, ale nagle zauważyła Toma Rickarda, opartego o samochód.

– Pani syn też zaginął? – Wszedł po schodach i zmierzył ją wzrokiem.

– Nie pańska sprawa – warknęła i odwróciła się.

Złapał ją za rękaw i przyciągnął do siebie.

– Teraz już wiesz, jakie to uczucie.

Lottie instynktownie uniosła drugą rękę, by go uderzyć. Złapał ją w powietrzu, patrząc jej głęboko w oczy.

– Znajdź mojego syna – warknął.

– Zrobię to.

– Oby, pani inspektor. – Jego głos unosił się na wietrze. – Oby.

Patrzyła, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Ogarnął ją przeraźliwy chłód. Dokładnie tak samo czuła się w dniu śmierci Adama, chociaż wtedy był pogodny dzień. Dzisiaj niebo było pokryte czarnymi chmurami, a ziemia zasypywana śniegiem.

– Inspektorko?

Lottie spojrzała w kierunku, z którego dochodził głos. Patrick O'Malley zmierzał ku niej po oblodzonym chodniku.

– Muszę pani coś powiedzieć – oświadczył, po czym opowiedział jej, co wydarzyło się w noc Czarnego Księżyca.

## ROZDZIAŁ 104

Zaparkował samochód na tyłach domu i wszedł bocznymi drzwiami. Miał nadzieję, że chłopcy będą spać. Czekala ich niezmiernie ciekawa noc.

Wziął ze sobą chipsy i napoje. Kiedy znalazł się na korytarzu, zapalił latarkę. Wokół niego ptaki wściekle trzepotały skrzydłami. Nie mógł doczekać się dnia, kiedy obróci to miejsce w gruzy. Na samą myśl o chłopcach podniecił się i przyspieszył kroku. Otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Pierwszy cios trafił go w głowę. Kiedy upadł, zobaczył nóż tuż przy twarzy. Potem nie widział już nic.

\*\*\*

– I co teraz? – pisnął Sean, po czym zaczął wciągać nieprzytomnego mężczyznę do pokoju.

Jason kopnął porywacza w zębra.

– Cholera, to bolało – jęknął i pokuśtykał na bok, rozmasowując bosą stopę.

– Przestań świrować! – zawołał Sean, zastanawiając się, dlaczego Katie chodziła z takim pajacem. – Musimy go związać.

Podniósł sznur, którym sam był wcześniej związany, ale kiedy pochylił się nad mężczyzną, dostał kopniaka w brzuch. Osunął się na podłogę i upuścił scyzoryk. Porywacz podniósł się z podłogi i uderzył Jasona w szczękę. Chłopak zwałił się bez życia na podłogę.

Sean grzmotnął o ścianę, a mężczyzna zadał mu kolejny cios, tym razem w twarz. Potem podniósł nóż i przyłożył go do gardła chłopca. Spod ostrza zaczęła wypływać krew.

– Cwaniaczki – wydyszał. – Małe, zsrane cwaniaczki.

Szaleniec szybkim ruchem dźgnął go w brzuch. Sean zawył z bólu. Przez jego bluzę sączyła się krew, spływając na jeansy. Roztrzęsiony, wymacał rozcięcie na skórze; nie było głębokie, ale czuł się bardzo osłabiony. Słyszał w oddali głosy, a jego powieki były coraz cięższe. Nagle zobaczył białe gwiazdy unoszące się w powietrzu.

– Już pora, żebyście dostarczyli mi odrobinę rozrywki – syknął mężczyzna, wycierając ostrze scyzoryka o spodnie chłopca, po czym schował nóż do kieszeni. – Niebawem wrócę.

Wstał, kopnął wciąż nieprzytomnego Jasona i wyszedł. Jego kroki niosły się echem po korytarzu.

Ciało Seana było obolałe. Zakrztusił się i z kącika ust wypłynęła krew. Jej metaliczny posmak dławił go, a po jego policzkach spływały łzy. Resztkami sił podpełzł w ciemności do siatki. Rozerwał ją i drżącymi dłońmi wyjął puszkę z napojem, który szybko wypił. Zdjął bluzę, choć każdy ruch sprawiał mu niewyobrażalny ból, i przycisnął ją do rany; nie była tak głęboka, jak myślał. Wepchnął bluzę w spodnie i zawiązał rękawy wokół pasa, próbując zatamować krwawienie.

Płakał. Z jego ust wydobywał się pełen przerażenia szloch. Wiedział, że czeka ich śmierć.

Z bezradności opadł na zimną podłogę i stracił przytomność.



## ROZDZIAŁ 105

– Nie możesz jechać szybciej? – nalegała Lottie.

Kirby dodał gazu i zacisnął zęby na cygarze.

– Nie mamy pewności, że on tam jest.

– Po tym, co powiedział mi O’Malley, myślę, że właśnie tam uprowadzono Jasona.

– Jest szefowa pewna, że nie ponosi jej wyobraźnia?

– Jeśli nie mam racji, to trudno. Pospiesz się.

Nagle zadzwonił jej telefon.

– Trochę to trwało, ale w końcu namierzyliśmy telefon Seana – poinformowała ją Lynch.

– No i? – Zacisnęła palce na fotelu.

– Teren jest dość spory. Ciągnie się od szpitala przez cmentarz i sięga aż za miasto. To jakieś cztery kilometry kwadratowe.

– Spróbujcie go zawęzić. Dzięki. – Rozłączyła się. – Będzie miał szlaban do śmierci – warknęła, ale jej głos drżał z przerażenia.

– Nic mu nie jest – zapewnił ją Kirby. – Pewnie wyszedł z kumplami na piwko.

– Ma trzynaście lat, ale w tej chwili jestem skłonna uwierzyć we wszystko.

– Ten obszar...

– No co? Mów! – rozkazała.

– Obejmuje również Dom św. Angeli.

Lottie otworzyła usta, ale nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Kkk... Kirby... gazu! – Zalała się łzami, szlochając i drżąc na całym ciele.

Detektyw zatrzymał się przy zepsutym samochodzie Lottie. Przebiegła wzrokiem po ciemnych oknach domu, po czym spojrzała na małą kaplicę mieszczącą się obok budynku. Przypomniała sobie, co usłyszała od bezdomnego. Opowiedział jej o księdzu, małych dzieciach, oświetlonym świecami ołtarzu i trzaskającym pasie. Boże, tylko nie to, pomyślała.

Nagle w jednym z okien zauważyła światło. Wyprostowała się w fotelu i ponownie zobaczyła błysk, jakby ktoś trzymał w dłoni latarkę.

– Kirby, spójrz tam. Widzisz to co ja?

Detektyw wyskoczył z samochodu, zanim zdążyła odpiąć pas. Ruszyła za nim, ślizgając się na lodzie.

– Tak, to chyba światło z latarki – potwierdził.

– Ruszaj się! – Pobiegnęła po schodach domu.

W panice przetrząsała kieszenie w poszukiwaniu klucza, po czym wsadziła go do zamka i otworzyła drzwi. Kiedy wkroczyli w mrok Domu św. Angeli, Lottie poczuła tę samą złowieszczą trwożę, której przed laty musiała doświadczyć mała Sally Stynes.

\*\*\*

Mężczyzna wrócił do pokoju ubrany w śnieżnobiałą szatę.

– Co ty robisz? – jęknął Sean, kiedy nieznajomy owinął sznur wokół talii Jasona i podniósł go na nogi.

Jason zachwiał się, a jego oczy wyglądały jak dwie szklane kulki. Mężczyzna chwycił Seana i zacisnął sznur na jego nadgarstkach. Chłopak zaczął płakać. Pragnął wrócić do domu i pograć na swojej starej konsoli. Nie potrzebował już nowego PlayStation. Pomyślał, że powie mamie, że stary sprzęt w zupełności wystarczy. Naprawi go razem z Niallem. Przyrzekł sobie również, że będzie pomagał w domu. Poodkurza i posprząta swój pokój. Zrobi wszystko, o co poprosi go mama, byleby tylko do niej wrócić i poczuć, jak go do siebie przytula.

– Nie becz, ty mały mazgaju – nakazał mężczyzna, po czym oświetlił latarką korytarz i wyciągnął związanych chłopców z pokoju.

– O nie – szepnął Jason.

– Co? – wychlipał Sean. Każdy krok sprawiał mu ból.

– O nie... – powtórzył.

– Co takiego?

– Tym razem... on mnie... zabije.

– Tym razem? – zdziwił się Sean. – Próbował już wcześniej? – Pociągnął go za ramię. Na widok dzikiego przerażenia w oczach Jasona serce zamarło mu w piersi.

Mężczyzna zaczął śpiewać jakąś złowieszczą mantrę, prowadząc ich w dół po schodach, po czym weszli do oświetlonej świecami kaplicy. Sean zaniósł się płaczem, kiedy zobaczył, że z belki nad ołtarzem zwisał sznur

zakończony stryczkiem.

\*\*\*

– Cicho – syknęła Lottie, stojąc w bezruchu na schodach.

– Przecież nic nie powiedziałem – zauważył Kirby.

– Zamknij się i słuchaj.

Milczeli, nasłuchując.

– Ktoś chyba krzyczał.

– Ja nic nie słyszę – odrzekł.

Inspektor wbiegła po schodach.

– Nie, wcześniej... Słyszałam krzyk. Ktoś tu jest.

– No jasne, że jest. Przecież widzieliśmy światło.

– Stul dziób, Kirby.

Zatrzymała się na długim korytarzu u szczytu schodów. Było ciemno.

– Śpiew. Słyszałam śpiewanie albo coś podobnego – szepnęła.

– Z całym szacunkiem, szefowo, ale chyba ponosi panią wyobraźnia. – Kirby oparł się o poręcz, by złapać oddech.

Wykrzywiła twarz i ruszyła w kierunku, z którego usłyszała głos. Może i ponosiła ją wyobraźnia, ale wolała się upewnić. To czy Kirby jej pomoże, to już jego sprawa.

– Proszę zaczekać – wysapał i powlókł się za nią.

Lottie ciężko westchnęła. W takich momentach bardzo chciałaby mieć przy sobie Boyda.

\*\*\*

Szaleniec uwolnił Jasona z więzów i poprowadził w stronę ołtarza. Sean ruszył za nimi, ale potknął się na nierównej posadzce i upadł.

Mężczyzna podszedł i popchnął go na drewnianą ławkę. Sean rozglądął się dookoła, próbując nie myśleć o bólu, który niemal go oślepił. Stąd musi być jakaś droga ucieczki, pomyślał i przestał płakać. Uświadomił sobie, że musi zapanować nad sytuacją, tak zawsze mówiła jego mama.

Po obu stronach kaplicy znajdowały się konfesjonały. Nigdzie nie mógł wypatrzeć wyjścia. Wiedział, że musi coś szybko wymyślić, ale miał pustkę w głowie i bardzo się bał. Oddychał tak szybko, że oczy znów zasły mu

łzami.

Podniósł wzrok na ołtarz i od razu tego pożałował. Żadna wirtualna gra nie była w stanie przygotować go na to, czego w tej chwili był świadkiem. Zaczęło go mdlić i był pewny, że zaraz zwymiotuje.

Mężczyzna wykrzywił twarz w ohydny uśmiech, w jego oczach odbijały się płomienie świec, a mokre od potu włosy przylegały do czoła. Zrzucił pętlę na szyję nieprzytomnego Jasona i zacisnął ją. Sean patrzył, jak odwiązuje drugi koniec liny od ławki i ciągnie za niego, unosząc ciało do góry. Sean odwrócił wzrok i zakrył usta, by nie zwymiotować.

Gdy stopy Jasona oderwały się od marmurowej posadzki, szalenie przywiązał linę do ławki, upewnił się, czy wytrzyma i zaczął jeszcze głośniej śpiewać.

\*\*\*

Lottie macała ściany na końcu korytarza. Kirby robił to samo.

– To na pewno śpiew. Dochodzi z drugiej strony, ale nie mogę znaleźć drzwi.

– Nie ma jak przejść – sapnął detektyw.

– To niemożliwe. Tutaj widziałam światło. W oknach...

Przypomniała sobie liczbę okien i plany domu, które dostała od Rickarda. Przebiegła korytarz, w panice licząc okna.

– Za ścianą jest ukryty pokój.

Szarpnęła za klamkę obok siebie, ale drzwi były zamknięte. Kirby wyważył je i weszli do środka. Z prawej strony znajdowały się trzy okna. Włączyła latarkę w telefonie i dostrzegła kolejne drzwi.

– To tutaj – szepnął detektyw.

Kiedy nacisnęła klamkę, poczuła zapach wosku. Na końcu schodów migotało światło. Spojrzała na Kirby'ego i przyłożyła palec do ust. Podeszła do poręczy i zerknęła w dół.

O mało co nie zakrzyczała z przerażenia.

– Obłąd – szepnęła, patrząc, jak ktoś, kogo znała, ciągnie za linę, na której wisiał Jason Rickard.

Zobaczyła również swojego przerażonego syna.

## ROZDZIAŁ 106

Sean zamarł, słysząc hałas na szczycie schodów. Mimowolnie odwrócił się i spojrzał prosto w przerażone oczy matki. Wydał z siebie zduszony jęk. Mężczyzna usłyszał to i popatrzył w górę.

Lottie zaczęła biec po schodach w dół. Sean, pomimo że krwawił, znalazł w sobie siłę i skoczył do przodu. Jednak lina, którą był związany, ograniczała jego ruchy i przewrócił się.

Szaleniec, kiedy zobaczył inspektor, napiął linę, na której wisiał Jason. Oczy jego ofiary wyszły na wierzch.

Sean wstał i napał na mężczyznę. Ten nawet nie drgnął i chwycił go za szyję. Na ten widok Lottie natychmiast się zatrzymała.

\*\*\*

Staneła jak wryta, z trudem opanowując wściekłość.

Wiedziała, że jeden niewłaściwy ruch mógłby okazać się tragiczny w skutkach. Serce tłukło się w jej piersi tak głośno, że dzwoniło jej w uszach.

Musiała zachować spokój, ale było to niezmiernie trudne. Nie mogła złapać tchu, a jej ciało pokryła gęsia skórka. Przerazenie, które rozrywało jej wnętrze, sprawiło, że zaczęła modlić się do Boga, w którego już od dawna nie wierzyła. Modliła się w duchu, by Adam pomógł ich synowi. Potem powiedziała:

– Wypuść chłopców, Brianie.

Zrobiła krok do przodu. Mike O'Brien skrzywił się, kiedy usłyszał swoje prawdziwe imię. Trzymając Seana za gardło, szarpnął linę, pozbawiając Jasona Rickarda szans na przeżycie. Głowa chłopca opadła na bok.

– Brawo, inspektor Parker. Mam tu parę spraw do załatwienia. Zechcesz usiąść i popatrzeć? – Jego głos wznosił się i opadał.

Lottie z trudem opanowała drgawki, po czym zerknęła na Kirby'ego, który wyciągnął broń. Użycie jej było teraz zbyt ryzykowne, mógłby zranić któregoś z chłopców. Posłała mu wymowne ostrzegawcze spojrzenie, po czym zerknęła na szaleńca, który zaczął zaciskać dłoń na szyi jej dziecka.

Resztkami sił powstrzymała mdłości, mówiąc:

– Wiesz, że nie musisz tego robić. Nazywasz się Brian, prawda? Wiem, co cię tutaj spotkało. To było okrutne, ale możesz jeszcze wszystko naprawić. Wypuść ich. Krzywdząc tych chłopców, nic nie zyskasz.

Zrobiła kolejny krok w stronę ołtarza.

– Muszę dokończyć to, co zacząłem. Nie powstrzymasz mnie – wysyczał O'Brien.

– Zastanów się! – błagała. – Myślisz, że zamordowanie dwójki dzieci przyniesie ci ulgę? – Kątem oka zobaczyła, że Kirby okrążył ołtarz z prawej strony.

– Byłem porzucony i bezbronny. Nikt mi nie pomógł – warknął.

– Ja ci pomogę. Jeszcze nie jest za późno. Tylko ich wypuść.

O'Brien zaśmiał się. Inspektor zadrżała, kiedy jego głos odbijał się od ścian kaplicy. Detektyw Kirby powoli zbliżał się do porywacza.

Demoniczny śmiech szaleńca stawał się głośniejszy, a twarz Seana zaczęła zalewać się czerwienią, po policzkach spływały mu łzy.

Lottie próbowała przypomnieć sobie, co O'Malley powiedział jej o Brianie. Zamordował dziecko, był odpowiedzialny za śmierć Fitzy'ego? Dlaczego zabił Sullivan i Browna? Jakie uśpione szaleństwo skrywały zakamarki jego duszy? Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na te pytania. Strach pulsował jej w żyłach.

– Wypuścić ich? – zawył histerycznie O'Brien. – Mam inny pomysł. Wypuszczę jednego z nich i każę ci patrzeć, jak drugi kona w męczarniach. Kogo wybierasz? Poświęcisz Jasona, żeby uratować syna? Decyduj, inspektor Lottie Parker!

– Już zdecydowałam. Kompletnie ci odbiło!

Przestała nad sobą panować. Ruszyła naprzód. Brian cofnął się, nadal ściskając szyję Seana.

– Jason pewnie już nie żyje. – Młody Rickard wisiał nieruchomo, jego twarz była sina, a z ust wystawał język. – Poddaj się, a obiecuję, że ci pomogę.

– Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem – zawył.

– Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić.

Muszę odwrócić jego uwagę i dać czas Kirby'emu, pomyślała.

– Dlaczego zabiłeś Susan i Jamesa? – Znowu zrobiła krok do przodu.

– Myślisz, że to JA ich zabiłem? Niby dlaczego miałbym to zrobić?

Lottie zerknęła ukradkiem na detektywa. Od O'Briena dzieliło go jeszcze kilka metrów.

Mężczyzna cofnął się, chwytając coś z ołtarza. Jego szata lekko się rozchyliła, odsłaniając nagie ciało, w dłoni trzymał nóż. Inspektor zauważyła tatuaż na jego nodze.

– Oni też mieli taki tatuaż. Co on oznacza? – grała na zwłokę.

– Świętoszkowaty Cornelius Mohan powiedział, że jesteśmy splamieni krwią szatana. Dlatego naznaczył nas na całe życie, by odpędzić demony. Ha!  
– Zaśmiał się.

Lottie zadrzała, kiedy jego palce jeszcze mocniej zacisnęły się na szyi Seana.

– Zasiał w naszych duszach zło, w ten sposób miał nad nami władzę. Był wcielonym diabłem. – Jego głos przeszedł w skowyt, kiedy podnosił Seana. Oczy chłopca wywróciły się białkami do góry.

Detektywi rzucili się na O'Briena jednocześnie. Inspektor próbowała wytrącić mu nóż z dłoni, ale ostrze rozcięło jej kurtkę, przebijając ramię. Buzująca w żyłach adrenalina pomogła jej zignorować ból. Uniosła drugą rękę, uderzając łokciem w gardło mordercy. Zaskoczony mężczyzna puścił chłopca, który upadł na podłogę. Kirby natychmiast wymierzył O'Brienowi potężnego kopniaka w pierś. Ten zatoczył się do tyłu, wpadając na płonące świece. Nagle jego szata zaczęła się palić. Inspektor szybko podniosła Seana, a detektyw Kirby chwycił nóż i odciął ciało Jasona.

O'Brien podniósł się i ruszył w ich stronę. Lottie kopnęła go, a ten znowu wpadł prosto na płonące świece. Zaczął wrzeszczeć, wymachując rękami i bezskutecznie próbując ugasić ogarniające go płomienie. Opadł na kolana, po czym zerwał się, zrzucając z siebie szatę. Jego skóra zaczęła odchodzić płatami od ciała.

– Nie zabiłem Jamesa! Ani Susan! Ani Angelottiego! – wrzeszczał, tarzając się po podłodze. – Zabiłem tego bydlaka Mohana! – krzyczał, zanim zniknął w kłębach dymu.

Kirby wykrzykiwał do telefonu rozkazy z bezwładnym ciałem Jasona przerzuconym przez ramię. Lottie stała nieruchomo, przytulając syna do piersi. Ruszyła się dopiero wtedy, kiedy detektyw pociągnął ją do schodów.

– Zostawiamy go tak? – wydyszał.

– Zastrzel go – ryknęła.

– Szkoda amunicji. Idziemy stąd. Już!

Lottie pobiegła za detektywem, trzymając Seana w pasie i ciągnąc go za sobą. Na szczycie schodów zerknęła przez ramię. O'Brien się nie ruszał, ogarnięty przez płomienie. Jego wrzaski ucichły, a pożar zaczął rozprzestrzeniać się po kaplicy.

Najważniejsze, że jej syn był bezpieczny. Tylko o tym teraz myślała.

Przemierzyli korytarz, potem schody, aż w końcu wyszli na zewnątrz. Inspektor upadła na kolana, tuląc nieprzytomne dziecko w ramionach. Kaszłała, wypluwając dym i wdychając przyjemne zimne powietrze. Usiadła na schodach nieruchomo jak rzeźba, którą widziała w Rzymie, dopóki nocnej ciszy nie zakłócił dźwięk syren.

\*\*\*

### **Trzydziesty pierwszy stycznia 1976**

*Tej nocy Sally nie zmrużyła oka. To była noc Czarnego Księżyca, tak powiedział Patrick.*

*Wsluchiwała się w oddech śpiących dziewczynek, wyobrażając sobie cienie tańczące w świetle księżyca. Cienie te kształtem przypominały płomienie świec. Zbliżały się do niej, zachęcając, by do nich dołączyła.*

*Usłyszała płacz niemowląt, dobiegający ze żłobka, ale nikt nie wstał, aby je utulić. Były same, tak jak ona. Czuła się, jakby świt miał nigdy nie nadejść.*

*Nie wiedziała, jaki los spotkał jej dziecko ani dlaczego Fitzy musiał zginąć. Jednak tej nocy przysięgła sobie, że kiedyś, choćby za tysiąc lat, prawda wyjdzie na jaw.*

*Za oknem wzeszło słońce, a księżyc pozostał jedynie bladym cieniem na niebie.*



# **DZIEŃ DZIEWIĄTY**

**7 stycznia 2015**

## ROZDZIAŁ 107

Promienie wschodzącego słońca oświetliły ściany szpitala. Pielęgniarka pochylała się nad Seanem, sprawdzając jego stan. Robiła to co dwadzieścia minut w ciągu ostatnich kilku godzin. Z zadowoleniem kiwnęła głową i zwróciła się do Lottie.

– Lekarz zaraz przyjdzie, ale stan pani syna jest stabilny. Wszystko będzie dobrze. – Wyszła, zostawiając Lottie z synem.

Inspektor ucałowała jego dłoń i czoło, gładząc go po włosach i raz po raz przeprasząc.

Liczyła krople leków, spływających do jego żył. Jedna, dwie, trzy... Powieki Seana zadrżały, kiedy nieuważnie opuściła dłoń na jego oczy.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Boyd. Miał na sobie granatowy szlafrok, elegancko związany w talii. Jego blada, pokryta sińcami twarz wyrażała niepokój i troskę. Kiedy do niej podszedł, spuściła głowę.

– Nie powinno cię tu być. Zaraz przyjdzie lekarz – powiedziała cicho.

– Możesz spróbować mnie wyprosić – odparł i delikatnie pocałował ją we włosy. – Śmierdzisz dymem.

– Odwal się.

– Dobrze jest czasem sobie popłakać – wyszeptał, głaszcząc jej ramię.

– Zawiodłam go. Zawiodłam naszą rodzinę, Seana, Jasona też.

– Twój syn żyje dzięki tobie.

– No tak – nie potrafiła ukryć pogardy w swoim głosie – ale co z synem Rickardów? Powinnam była szybciej się domyślić.

Nie odpowiedział.

– Wyglądasz okropnie – stwierdziła.

– Ty też. – Wskazał na jej ranę na ramieniu. – Morderca miał siniaka i kulał?

– Teraz na pewno. Lepiej już idź.

– I tak chciałem się wypisać ze szpitala.

– Co?

– Nie przydam ci się, jeśli będę tu tkwił i oglądał seriale.

Nie protestowała. Potrzebowała go, nawet jeśli czasem zachowywał się jak

Rick z Żywych trupów. Boyd uśmiechnął się i wyszedł. Lottie czuwała przy synu do czasu przyścia lekarza, który nakazał jej opuścić pokój.

\*\*\*

Nadinspektor Corrigan przemierzał korytarz, a za nim podążali Lynch i Kirby. Boyda nigdzie nie było.

– Inspektor Parker – powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. Nie wiedziała, jak zareagować na jego przyływ serdeczności, więc milczała.

– Drań ledwie żyje. Chcą go przewieźć na oddział leczenia oparzeń w Dublinie. Będzie musiał poczekać, aż przestanie padać. Nie polecą śmigłowcem w taką pogodę – wyjaśnił.

– O’Brien przeżył? – zdziwiła się.

– Ma poparzone osiemdziesiąt procent ciała, więc raczej się nie wylize.

– I dobrze – rzekła. – Co z budynkiem?

– Strażacy opanowali pożar w kaplicy. Zabezpieczymy ją, kiedy skończą go gasić.

– A Jason? – W końcu odważyła się zadać pytanie, które dręczyło ją najbardziej.

– Dobrze wiesz, że przybyliście za późno, by go uratować. – Potrząsnął głową.

Lottie ledwo stała na nogach. Corrigan potwierdził jej najgorsze obawy.

– Przynajmniej schwytaliśmy zabójcę – stwierdził.

– Sama nie wiem – zawahała się. O’Brien powiedział, że nie zabił Susan i Jamesa ani Angelottiego. Nie miał powodu kłamać, zwłaszcza że chwilę później przyznał się do zamordowania księdza Corneliusa Mohana.

Kiedy na korytarzu pojawili się rodzice Jasona, Kirby pomógł Lottie utrzymać się na nogach. Corrigan wyszedł im na spotkanie. Tom Rickard spojrział na nią, zanim uścisnął dłoń nadinspektora. Inspektor zadrzała i pozwoliła się odprowadzić w drugą stronę.

– Można na słówko, szefowo? – zapytał Kirby.

Oparła się o ścianę i kiwnęła głową.

– Wiem, że to pewnie kiepski moment, ale muszę to pani powiedzieć... – zaczął.

– No, wykrztuś to wreszcie.

– Chodzi o tego dziennikarza, Moroneya.

- Tak? – Z jakiegoś powodu domyślała się, co jej chce powiedzieć.
- Te jego informacje o tym, że James Brown był pedofilem... Być może chlapnąłem o jedno słowo za dużo.
- Jezu Chryste, Kirby. Co mu powiedziałaś?
- Moroney podsłuchał, co znaleźliśmy w domu Browna. Zadzwoił do mnie z prośbą o potwierdzenie. Byliśmy zawałeni papierami, więc przytaknąłem, żeby mieć go z głowy.
- Lottie pokręciła z niedowierzaniem głową. Myliła się, podejrzewając Lynch. Kirby popełnił błąd, ale nie miała czasu teraz o tym myśleć.
- Żeby to się więcej nie powtórzyło.
- Detektyw odetchnął głośno i wyciągnął cygaro z kieszeni.
- Dzięki, szefowo.
- A ja dziękuję za pomoc z O'Brienem. Dobra robota. – To był jedyny komplement, na jaki mogła sobie pozwolić w tej sytuacji. Kirby odszedł, a do niej po chwili dołączyła Lynch.
- Co z Seanem? – zapytała.
- Dojdzie do siebie. – Lottie westchnęła niepewnie.
- Przypomniała sobie wzrok Toma Rickarda, mając nadzieję, że nigdy nie będzie musiała na nikogo patrzeć tak jak on na nią.
- Dzieci są silne – stwierdziła Lynch, zatrzymując się.
- Ale czy aż tak? – mruknęła inspektor, idąc dalej.

## ROZDZIAŁ 108

Skreśliła za róg i wpadła na księdza Joe, który stał przy pokoju pielęgniarzek.

– Dobrze cię widzieć – oznajmił, odgarniając kosmyk włosów z czoła, po czym uśmiechnął się ponuro. Lottie widziała żal w jego oczach. Witaj w moim świecie, pomyślała.

– Cześć, Joe. Co tu robisz?

– Co z Seanem? – zignorował jej pytanie, gładząc grubą kopertę, którą trzymał w dłoni.

– Wszystko w porządku – skłamała. – Nie... nic nie jest w porządku. Boże, sama nie wiem, co mówię.

– Przykro mi, Lottie.

– Wiesz, ile razy już to słyszałam? Nic mi po waszym współczuciu.

– Przyjdę kiedy indziej.

– Nie – załkała. – Nie chcę cię więcej widzieć. Moje dziecko o mało co nie zginęło i to wszystko moja wina.

– Nic, co powiem, nie przyniesie ci teraz ulgi – szepnął, opuszczając głowę ze smutkiem.

– To co tu jeszcze robisz?

Wręczył jej kopertę.

– Dostałem to w biurze księdza Angelottiego.

– Co to jest?

– Spójrz na adres nadawcy.

– James Brown? – Zerknęła na datę. – Trzydziesty grudnia. Wysłał to w dzień śmierci. – Spojrzała pytająco na Joe. – Ale Angelotti już wtedy nie żył.

– Pewnie Brown o tym nie wiedział.

– Nie rozumiem.

– Wiem tylko tyle, że współpracownicy Angelottiego chcieli odesłać list z powrotem. Zgłosiłem się na ochotnika, by go zabrać, i przyleciałem tu najbliższym lotem.

Wyciągnął zwitek papierów z wewnętrznej kieszeni płaszcza i podał go jej.

– A to co? – Inspektor uniosła brew.

– Wróciłem do mieszkania Umberto i przejrzałem księgi. Znalazłem kilka informacji, które mogą cię zaciekać.

– Nie mam teraz do tego głowy. – Ciężko westchnęła, opierając się o ścianę.

– Wiem – odparł Joe, wsadził dłonie do kieszeni, odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą w zatłoczonym korytarzu.

Obserwowała go, dopóki nie zniknął za drzwiami windy. Cały jej gniew gdzieś uleciał, a jego miejsce wypełniło przytłaczające poczucie osamotnienia.

## ROZDZIAŁ 109

– Co jest w tej kopercie? – Boyd oparł się o ścianę przed salą, w której leżał Sean. Był ubrany w spodnie i koszulę i wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z trumny.

– Boyd? Co ty wyprawiasz? Odbiło ci?

– Przyda ci się pomoc.

– Wyglądasz okropnie – zauważyła Lottie. – Wracaj do łóżka, do pomocy mam cały zespół.

– Co jest w kopercie? – powtórzył.

– Jeszcze jej nie otworzyłam. James Brown wysłał to do Angelottiego. Joe przywiózł mi ją z Rzymu.

– Joe. Jak milutko.

– Nie zaczynaj.

– Stęskniłem się za tobą – powiedział ciepło.

– Ja za tobą też, głupolu, a teraz przepraszam, ale muszę zajrzeć do syna.

Nagle dobiegły ją głosy córek. Zapłakane Katie i Chloe podbiegły do niej i rzuciły się na szyję. Za nimi truchtała Rose Fitzpatrick. Lottie uśmiechnęła się do matki z wdzięcznością.

Jej rodzina, choć niepełna i zraniona, była teraz przy niej.

\*\*\*

Sean ocknął się i zobaczył swoje siostry trzymające go za rękę.

Inspektor Parker odetchnęła, po czym rozerwała kopertę i przeczytała list od Jamesa Browna. Po lekturze wiedziała, że musi jeszcze raz spotkać się z Patrickiem O'Malleyem. Zanim będzie za późno.

## ROZDZIAŁ 110

Chciała zostać z dziećmi, ale matka zachęciła ją, by wróciła do pracy.

Siedząc teraz przy biurku, toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Przynajmniej Seanowi nie groziło już nic gorszego niż babcia, która jak zwykle przejęła nad wszystkim kontrolę. Tym razem Lottie była jednak zadowolona z pomocy, którą zaoferowała jej Rose. Musiała przecież doprowadzić sprawę do końca. Potem obiecała sobie, że zatroszczy się o dzieci. Wszystkie jej potrzebowały, nawet Chloe, choć na pewno nie przyznałyby się do tego. Jediną osobą, o którą się nie martwiła, była jej matka. Rose zawsze dawała sobie radę.

Kirby postawił przed Lottie pudełko z Happy Mealem.

– Pora na lunch. – Uśmiechnął się.

Spojrzała na zegar. Ziewnęła, nie mogąc sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spała. Adrenalina nadal pobudzała ją do działania, więc nie przejmowała się tym zbytnio.

Przeglądała kopie ksiąg, które przekazał jej Joe.

– Boyd, chyba już wiem, jak Derek Harte został w to wszystko wplątany.

Sierżant usiadł na brzegu jej biurka. Nadal kiepsko wyglądał i Lottie martwiła się, czy nie zemdleje.

– No dobra, Sherlocku – zaśmiał się – wyjaśnij mi, o co tu chodzi.

– Ma zły numer.

– Że co, proszę?

– Spójrz na to. – Wskazała na wpis na jednej ze stron. – Susan Sullivan przypisano numer AA113. – Podniosła inną kartkę. – Kto figuruje pod nim w spisie dzieci?

Boyd przejrzał wydruk i znalazł właściwy numer.

– Derek Harte.

– Tylko że numer Susan został zmieniony.

– Skąd wiesz?

– Przyjrzyj się uważnie. Ktoś wytarł tusz i zmienił piątkę na trójkę. To było celowe działanie. Tożsamość dziecka Sullivan miała pozostać tajemnicą.

– Czyli Harte nie był jej synem – rzucił. – Teraz już rozumiem, jaki błąd



popęłnił ksiądz Angelotti. Ale w takim razie jeśli to nie on, to kto?

Inspektor Parker wskazała prawidłowy numer, a sierżantowi opadła szczęka.

– Poważnie? – zdziwił się.

– O ile nikt nie majstrował przy pozostałych numerach, to tak. – Pokręciła ze smutkiem głową. – To okropne.

– Myślisz, że on o tym wie?

– Nie sądzę.

Boyd potarł szyję i rzekł:

– Czyli wszystkie te zabójstwa miały utrzymać ten fakt w sekrecie, tak?

– Nie tylko to.

– To co jeszcze?

Lottie wyciągnęła z torebki starą teczkę i wyjęła zdjęcie uśmiechniętego piegusa.

– To drugi powód, dla którego ci wszyscy ludzie zginęli.

– Przez zaginionego dzieciaka?

– Tak myślę.

– Mam paść przed tobą na kolana, żebyś w końcu zaczęła być ze mną szczerą? – zadrwił.

Uśmiechnęła się. Dobrze, że wróciłeś, pomyślała.

– Jego matka zgłosiła zaginięcie w styczniu 1976. Kilka miesięcy wcześniej oddała go do Domu św. Angeli. Władze Kościoła uznały, że uciekł. Nigdy go nie odnaleziono. – Boyd nie musi wiedzieć więcej. Przynajmniej na razie, pomyślała.

– Co go łączy z listem od Browna?

– James i jego przyjaciele byli świadkami morderstwa popełnionego w sierocińcu. Sprawcami byli Cornelius Mohan i Brian, który potem ukrywał prawdę o zdarzeniu. Kiedy James i Susan zagrozili jej ujawnieniem, zostali zamordowani.

– Czekaj, czekaj, żebyśmy dobrze zrozumieli – przerwał jej partner. – Prawie czterdzieści lat temu Mike O'Brien, który naprawdę nazywał się Brian, został zmuszony przez księdza Cona do udziału w jakimś popieprzonym rytuale, podczas którego zamordowano innego chłopca. To chcesz mi właśnie powiedzieć?

– Tak – odparła krótko.

– Kim jest ten dzieciak ze zdjęcia?

– Nie teraz, proszę cię.  
– Lottie, przeczytałem akta tej sprawy i...  
– Skoro tak, to po co się głupio pytasz? Chodź, musimy znaleźć Patricka O'Malleya. – Zamknęła teczkę i włożyła do torebki.  
– Ale przecież to O'Brien jest mordercą – zdziwił się Boyd.  
– Przyznał się wyłącznie do zabójstwa księdza Cona.  
– Wiem. Mnie też prawie załatwił. Do tego ci się nie przyznał, co nie?  
– Nie. Sądzę jednak, że ktoś inny zabił księdza Angelottiego, Susan Sullivan i Jamesa Browna.  
– Nic już nie rozumiem...  
Do biura wbiegła zdyszana Lynch. Jej włosy, zwykle uczesane, były w nieładzie.  
– Szukaliśmy wszędzie. Po O'Malleyu nie ma śladu.  
– Nie mógł przecież rozpląnąć się w powietrzu! – wykrzyczała inspektor. – Musi gdzieś być. Myśl, Boyd. Dokąd udałby się udręczony człowiek?  
– Do źródła swej udręki?  
Lottie zerwała się z krzesła, zarzuciła partnerowi ramiona na szyję i ucałowała w policzek.  
– Jesteś geniuszem! Chodźmy.  
– Skoro tak twierdzisz. – Sierżant skrzywił się. – A jeśli znowu będziesz miała ochotę na ściskanie mnie, pamiętaj, że niedawno byłem poważnie ranny.  
– A kto powiedział, że będę chciała cię ścisnąć? – Mrugnęła do niego. – Ja prowadzę – powiedziała, po czym szybko zadzwoniła do matki, która potwierdziła jej, że Sean czuje się dobrze. Zadowolona, wyrzuciła pudełko z jedzeniem do kosza i wyszła z posterunku wraz ze swoim zespołem.

## ROZDZIAŁ 111

Za dnia Dom św. Angeli nie robił już tak przerażającego wrażenia. Był po prostu walącą się rudera.

Lottie wzięła głęboki oddech i podeszła do człowieka opartego o wyschnięte stare drzewo.

– Strażacy dobrze się spisali – oznajmił ksiądz Joe.

W okolicy nie było prawie nikogo. Wozy strażackie odjechały. Dwóch mundurowych stało przy trzepoczącej na wietrze taśmie policyjnej. Po pożarze zostały tylko żarzące się węgle i zapach spalenizny. Ściany kaplicy były czarne od dymu. Szyby w oknach pękły, a dach się zawalił. Ale główny budynek pozostał nietknięty.

– Chociaż lepiej by było, gdyby z tego miejsca nic nie zostało.

– Co tu robisz? – Inspektor zdjęła kaptur, by lepiej przyjrzeć się twarzy mężczyzny.

– Tyle zła się tutaj wydarzyło, ale pomimo tego musiałem tutaj przyjść.

– Joe... – zaczęła.

– Nie musisz nic mówić.

Odepchnął się od drzewa, a Lottie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Szukamy włóczęgi, Patricka o'Malleya. Widziałeś go może?

– To idealne miejsce na włóczenie się – stwierdził. – Biskup Connor węszy w okolicy.

Usłyszawszy to inspektor, zawołała partnera. Za nim ruszyli Lynch i Kirby.

– Connor jest tutaj – rzekła – to oznacza, że O'Malley też jest niedaleko. Rozdzielcie się i przeszukajcie teren. Boyd, ty zostań ze mną. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć.

– Nic mi nie będzie – burknął, ostentacyjnie odwracając wzrok od spoczywającej na ramieniu księdza dłoni Lottie.

Westchnęła i ruszyła do zaśnieżonego sadu. Boyd i Joe szli za nią, natomiast Lynch i Kirby okrążali budynek z lewej strony.

Lottie była w tym sadzie po raz pierwszy. Zima ogołociła drzewa z liści, a ziemię pokrywał czysty puch. Wiedziała, że to miejsce nie ma nic

wspólnego z czystością. Zło czaiło się za każdym pnem, a pod nimi, w nieoznaczonych grobach, spoczywały małe ciała. Spojrzała na okna, z których troje dzieci było świadkami strasznych okropności.

Nagle na końcu sadu dostrzegła dwoje ludzi. Tańczyli wokół siebie jak marionetki, wzbijając w powietrzu tumany śniegu.

Przyłożyła palec do ust i ruszyła powoli naprzód.

Marionetki znieruchomiały na odgłos stada ptaków, które poderwało się z gałęzi drzew.

O'Malley obrócił się gwałtownie i spojrzał prosto w jej oczy. Po jego policzkach spływała krew, a z szyi zwisał niebieski sznur.

Biskup Terence Connor również spojrzał na Lottie, wypuszczając z dłoni drugi koniec liny.

– To już koniec, księżo biskupie – oznajmiła. Godny podziwu tupet dokonywać morderstwa, kiedy teren patroluje policja, pomyślała.

– Koniec? – zawołał. – Nie, jeszcze nie. – Wzniósł ręce do nieba. – Tylko mój Ojciec, Bóg Wszchemogący, może o tym zdecydować.

– Jesteś skończony – wycedził Joe, stając obok inspektor.

– Ty! – ryknął biskup, celując w młodego księdza placem. – To wszystko przez ciebie!

– Ja? Jesteś szalony! – stwierdził Joe, wyrażając myśli Lottie na głos. – Tylu ludzi zginęło i po co? By ukryć przeszłość tego przeklętego miejsca? – Wyciągnął przed siebie dłonie. – Jak twój Bóg mógł do tego dopuścić?

– On jest także twoim Bogiem.

– Mylisz się. – Joe zerwał koloratkę i rzucił ją na ziemię.

– Błuznierco, zrobiłem to wszystko dla ciebie! – zagrział Connor.

O'Malley ruszył w kierunku biskupa. Lottie nakazała mu wzrokiem, by się nie zbliżał. Nie odstępowała księdza Joe na krok.

– Była twoją matką – powiedział duchowny, uśmiechając się szyderczo. – Jesteś synem Susan Sullivan.

Joe rzucił się mężczyźnie do gardła.

– Ty kanalio! Jesteś nikim! – wrzasnął.

Lottie złapała go za płaszczy.

– Stara, dobra Susan Sullivan – powiedział, cofając się. – Tak, to ona wydała cię na świat. Nigdy się o tobie nie dowiedziała. Odesłałem księgi do Rzymu po tym, jak trochę je poprawiłem. Podsunałem jej fałszywy trop z pomocą księdza Angelottiego. Biedak nie miał o niczym pojęcia. Ale Susan

Sullivan nadal nie chciała odpuścić. Wiedziałem, że nie spocznie, dopóki nie pozna prawdy. Ja tylko próbowałem cię chronić.

– Kłamiesz! – Oczy Joe wypełniły się łzami.

Serce Lottie pękało z żalu. Joe widział swoją matkę tylko dwa razy w życiu: w dniu urodzin i kiedy udzielał jej martwemu ciału ostatniego namaszczenia.

– Jesteś synem pedofila i jego ofiary.

– Kłamiesz... – wyszeptał, potrząsając głową. – Wiedziałbym, że mnie adoptowano, mam akt urodzenia. – Jego głos był słaby jak pęknięte szkło, gotowe rozpaść się w każdej chwili.

– To były inne czasy – powiedział biskup. – Zakonnice, Con i ja dopilnowaliśmy, żeby nikt nie zawracał sobie głowy takimi bzdurami, jak prawidłowo wypełnione papiery adopcyjne. Sfałszowane dokumenty wyglądały na prawdziwe, a detale dotyczące urodzin spisywaliśmy w księgach.

– Dlaczego zmieniłeś numery referencyjne? – zapytała inspektor.

– Bo mogłem. Susan Sullivan koniecznie chciała wiedzieć, kim był jej bękart. Musiałem go chronić.

– A ksiądz Angelotti? Dlaczego zginął? – grała na zwłokę.

– Kiedy odkrył swoją pomyłkę, chciał ujawnić prawdę. Domyślił się, że ktoś majstrował przy numerach, więc zaangażował Browna, by ten porozmawiał z Susan. Zaoferowałem, że podwiozę go na spotkanie z Jamesem. Chciałem zobaczyć, co udało im się ustalić. Kiedy ten się nie zjawił, skorzystałem z okazji. Miałem nadzieję, że wina spadnie na Browna.

Joe nadal kręcił z niedowierzaniem głową.

– To niemożliwe.

– Możliwe, mój drogi. W Domu św. Angeli ocaliłem ci życie. Umieściłem cię w dobrej rodzinie i przez lata ukrywałem prawdę.

– Zatuszowałeś zabójstwo małego chłopca – warknęła inspektor.

– Zrobiłem to, co musiałem – odparł, wzruszając ramionami.

– Dlaczego zabiłeś Susan i Jamesa?

– Szantażowali mnie. Całe lata starałem się ukryć prawdę dotyczącą Domu św. Angeli, a oni zagrozili, że ją nagłośnią. Musiałem ich powstrzymać. – Zaśmiał się. – Gdybym wiedział, że Sullivan jest jedną nogą w grobie, może by do tego nie doszło.

Inspektor spojrzała mu w oczy, widząc w nich samego diabła,

i powiedziała:

– Ukrywałeś przypadki znęcania się nad dziećmi. Przenosiłeś Corneliusa Mohana między parafiami, pozwalając, by dopuszczał się kolejnych okropieństw. Przymykałeś oko na umierające dzieci, które nigdy nie opuściły tego miejsca. Maczałeś palce w torturach i zabójstwie małego chłopca, którego zakopano gdzieś tutaj – wskazała na rosnące dookoła drzewa.

– Nic mi nie udowodnicie – wycedził, patrząc wyzywająco na inspektor.

Lottie wytrzymała jego spojrzenie i policzyła do dziewiętnastu, zanim odwrócił wzrok. Kirby i Lynch, którzy z jakiegoś powodu wyciągnęli służbową broń, zajęli pozycje za Connorem i O'Malleyem.

– Poza tym dlaczego ten chłopiec jest dla pani taki ważny?

– Był ważny dla wielu osób – rzekł Joe. – Zwłaszcza tych, których zabiłeś, by zachować wszystko w tajemnicy.

– Hańbisz powołanie, którym obdarzył cię Bóg, chłopcze – rzucił biskup.

– Nie, to ty przynosisz hańbę. – Młody ksiądz ruszył w jego stronę, ale Lottie go powstrzymała.

O'Malley wyrwał się trzymającemu go sierżantowi i powalił Connora na śnieg. Inspektor dźwignęła biskupa na nogi, podczas gdy Boyd walczył z wrywającym się bezdomnym.

– Widziałem cię na własne oczy! – zawył, plując krwią. – Z okna. Wszyscy troje widzieliśmy, jak zakopałeś biednego Fitzy'ego pod drzewem. Byłeś z nami w kaplicy i nic nie zrobiłeś, kiedy błagał o życie. Brian i Con zdierali z niego skórę, a ty nie kiwnąłeś palcem, by ich powstrzymać!

Sierżant odciągnął bezdomnego od biskupa.

– Morderca! – wrzeszczał. – Ale mnie nie udało ci się dopaść!

Lottie zakuła Connora w kajdanki. Miał puste, nieobecne spojrzenie.

– Eddie Fitzpatrick – szepnęła mu do ucha. – Mój brat. Co z nim zrobiłeś?

– Zakopałem. Co innego można zrobić z trupem? – Rozejrzał się po sadzie. – Leży gdzieś tutaj.

Uderzyła go z całej siły w twarz. Nawet nie drgnął, a jego puste oczy pociemniały jeszcze bardziej.

– Twoja rodzina pozbyła się go jak starego łacha – zadrwił. – Twój ojciec się zastrzelił, a matka oddała go do sierocińca. A ty... ty...

– Miałam wtedy cztery lata – mruknęła.

– Zapytałaś kiedyś matkę, dlaczego to zrobiła? Rose Fitzpatrick, przykładna katoliczka. Powiem ci dlaczego. Twój brat był nic niewartym

złodziejaszkiem. Rose nie mogła znieść wstydu, który jej przynosił, więc kazała go zamknąć.

– Milcz – załkała.

– Spytaj ją, dlaczego twój brat nie żyje!

Łzy spływały jej po policzkach, a z nieba zaczął padać śnieg. Słowa biskupa zraniły ją do żywego.

Płacząc, poczuła jak palce Boyda zaciskają się na jej dłoni.

# **EPILOG**

**30 stycznia 2015**



– Wiesz, że masz imię po Charlotte Brontë?

– Tak, matko.

Wcześniej nie mogła namówić Rose do rozmowy o ojcu i bracie. Teraz jej matka nie chciała mówić o niczym innym. Eddie był nie do opanowania po samobójstwie taty. Nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić, więc posłuchała rady proboszcza, aby oddać go na pół roku do Domu św. Angeli.

– A Eddiego nazwaliśmy...

– Po Edwardzie Rochesterze z *Jane Eyre* – dokończyła Lottie. – Tak, wiem.

Ale tak naprawdę nic już nie wiedziała.

Operator koparki uniósł dłoń i wyłączył maszynę. Zapadał zmrok i Lottie nie była pewna, czy coś znalazł, czy kończył na noc poszukiwania.

Oddaliła się, zostawiając matkę w towarzystwie Chloe. Jej druga córka została w domu z Seanem. Rickardowie pochowali Jasona pięć dni po wydarzeniach w kaplicy. Nikt z Parkerów nie został zaproszony na pogrzeb. Katie nie mogła tego zrozumieć, ale Lottie wiedziała, dlaczego nie chcieli ich widzieć. Boyd kupił Seanowi nową konsolę, która jeszcze nie została rozpakowana. Lottie natomiast kupiła synowi nowy strój do hurlingu, który rzucił pod łóżko.

Utrzymanie w jednym kawałku rodziny, która tak wiele przeszła, nie było łatwe. Dzieci bardzo jej teraz potrzebowały. Na własnej skórze doświadczyła tego, że jedna pochopna decyzja matki może zrujnować relacje z dziećmi. Nie mogła sobie na to pozwolić.

W pracy nadal wisiało nad nią widmo postępowania dyscyplinarnego za wyjazd do Rzymu i sposób, w jaki przeprowadziła śledztwo. Nadinspektor Corrigan do tej pory nie przeprosił jej za wzięcie strony biskupa Connora i wyraźnie jej unikał. Na razie była na płatnym urlopie i zamierzała go dobrze wykorzystać.

Niebo przybrało kolor ciemnego granatu. Noc zapadła, zanim dzień zdołał przynieść owoce.

Reflektor koparki oświetlał dół, głęboki na niecały metr. Na ciemnym niebie pojawiła się srebrna obręcz księżycy.

Może zła karma przestała prześladować jej rodzinę.

Stała na skraju przepaści, nie wiedząc, czy znajdzie w sobie siłę, by się wycofać. Ale Lottie Parker nigdy się nie wycofywała ani nie odpuszczała.

Nagle zauważyła księdza Joe stojącego w bramie sadu. On też był na

urlopie. Jego oczy wyrażały głęboki smutek. Nie było w tym nic dziwnego. Całe jego życie okazało się być kłamstwem. Wyglądał na bardzo zagubionego. Lottie pomachała do niego, ale szybko opuściła rękę, ponieważ ksiądz odwrócił się i odszedł.

Powróciła myślami do sekretów własnej rodziny, które teraz wychodziły na jaw. Teczka ze zdjęciem Eddiego nadal leżała w jej szufladzie. Była dumna z tego, jakim bohaterem okazał się być jej brat. O'Malley mówił o nim jak o odważnym Fitzym, dzielnie walczącym do końca z okrucieństwem Domu św. Angeli.

Rose Fitzpatrick opłakiwała syna przez wiele dni.

Poczuła dłoń Boyda spoczywającą delikatnie na jej plecach. Sierżant chciał dodać jej otuchy.

– Nie ma tam nic prócz kości. Nie musisz na to patrzeć.

Spojrzała na ciemne okna sierocińca i podeszła bliżej do dziury w ziemi, oświetlonej bladym światłem księżyca.

– Właśnie, że muszę, Boyd – oznajmiła, spoglądając w dół. – Właśnie, że muszę.

# PODZIĘKOWANIA

Praca nad tą powieścią była długą i wyjątkowo osobistą podróżą. Nie dotarłabym szczęśliwie do jej końca, gdyby nie wsparcie wielu osób.

Na początku chciałabym podziękować Wam, drodzy Czytelnicy, bez Was moja przygoda z pisaniem nie miałaby sensu.

Dziękuję mojemu zespołowi z wydawnictwa Bookouture, a w szczególności Lydii, która jako pierwsza pochwaliła moją powieść i wzięła mnie pod swoje skrzydła.

Mojej agentce, Ger Nichol z The Book Bureau, za wspieranie mnie. W pierwszym e-mailu, jaki do mnie wysłała, napisała, że jest w połowie książki i nie może doczekać się zakończenia. Ta wiadomość pozwoliła mi uwierzyć w to, że mogę zostać powieściopisarką!

Dziękuję Irlandzkiemu Centrum Pisarskiemu za ich nieocenioną pomoc. Kursy, jakie oferuje, i prowadzący je lektorzy są wspaniali. Tam udało mi się nawiązać wiele cudownych przyjaźni. Dziękuję Arlene Hunt, Conorowi Kostickowi i Louise Phillips za wskazówki, które pozwoliły mi rozwinąć pisarski warsztat. Podziękowania należą się także Carolann Copland z Carousel Writers' Retreat, pracownikom Irish Crime Fiction Group i Vanessie O'Loughlin z Writing.ie.

Dziękuję Niamh Brennan za to, że podzieliła się swoją wiedzą, a także za sokoli wzrok i konstruktywną krytykę mojej pracy i za wszystkie SMS-y i e-maile, w których wspierała mnie podczas blokad twórczych. Twoje zdanie wiele dla mnie znaczy.

Dziękuję Jackie Walsh za towarzystwo podczas zjazdów twórców powieści kryminalnych i na wycieczkach pisarskich. Niamh i Jackie zostały moimi dobrymi przyjaciółkami, które pomogły mi w pisaniu i wymyślaniu fabuły książki, a także dodawały pewności siebie.

Teresie Doran, Liamowi Manningowi i Padraigowi McGovernowi dziękuję za wysłuchanie pierwszych próbnych rozdziałów, które odczytywałam na naszych cotygodniowych spotkaniach.

Dziękuję Tarze Sparling za przeczytanie manuskryptu powieści.

Dziękuję Alanowi Murrayowi i Johnowi Quinnowi za pomoc z kwestiami dotyczącymi pracy policji. Biorę odpowiedzialność za wszelkie ewentualne błędy, jakie popełniłam w tym temacie.

Moim najlepszym przyjaciółkom, Antoinette i Jo, dziękuję za to, że zawsze były przy mnie.

Dziękuję mojej siostrze, Marie, że była przy mnie, kiedy los rzucał mi kłody pod nogi.

Dziękuję siostrze, Cathy i bratu, Gerardowi. Rodzina jest dla mnie wszystkim.

Dziękuję rodzicom, Kathleen i Williamowi Wardom, za to, że wierzyli we mnie i służyli pomocą przez całe życie, zwłaszcza w najtrudniejszych dla mnie chwilach.

Dziękuję teściowej, Lily Gibney, i jej najbliższym.

Dziękuję moim dzieciom, Aisling, Orli i Cathalowi. Nadajecie memu życiu sens. Kocham Was najbardziej na świecie. Dziękuję także najnowszemu członkowi naszej rodziny, mojej małej wnuczce Daisy, która jest dowodem, że życie jest pełne niespodzianek.

Dziękuję Aidanowi, mojemu ukochanemu mężowi, za którym bardzo tęsknię. To on zachęcał mnie do podążania za marzeniami. Wiem, że byłby ze mnie dumny, i żałuję, że nie może dzielić ze mną sukcesu. Kocham cię. Zawsze będziesz w moim sercu.